VLASTIMIL VONDRUŠKA

ŚMIERĆ WE WROCŁAWIU

VLASTIMIL VONDRUŠKA

ŚMIERĆ
WE WROCŁAWIU

Przełożyła
WERONIKA GIRYS-CZAGOWIEC

WYDAWNICTWO
STARA
SZKOŁA

Jest druga połowa XIII wieku. Królestwo Czeskie to jedno z najsilniejszych państw w Europie. Słusznie, ale też z odrobiną zazdrości, współcześni nazywają panującego tam Przemysła Ottokara II „królem żelaznym i złotym". Kopalnie w Kutnej Horze wyrzucają z siebie niewiarygodne ilości srebra. Wzbudzające grozę czeskie wojska pokonują w krwawych bojach wiele nieprzyjacielskich oręży. Czeski król rywalizuje z Habsburgami o tron cesarza rzymskiego.

Pod lśniącym pancerzem chwały kryją się jednak pęknięcia. We własnym państwie Przemysł Ottokar II zmaga się z buntem niezadowolonej z jego rządów szlachty. Za czasów jego przodków panowie czescy aż nadto przywykli do słabego tronu i teraz przeszkadza im silna ręka króla. Każdy walczy z każdym i wszyscy razem przeciwko władcy. Szlachcicom chodzi o jedno – o zagarnięcie dla siebie jak największego majątku i jak największej władzy. To niebezpieczny i niespokojny czas dla Królestwa Czeskiego.

Aby umocnić swoją pozycję, monarcha buduje nowe miasta królewskie oraz zamki. Jednym z nich jest Bezdiez w północnych Czechach. Budowę zamku i nadzór nad zbuntowanym terytorium powierzono młodemu prokuratorowi królewskiemu – Oldrzichowi z Chlumu. Reprezentuje on władcę, dowodzi królewską drużyną wojskową, pobiera podatki, dba o bezpieczeństwo na drogach, a także strzeże prawa krajowego. Bada przestępstwa, za które przewidywana jest kara śmierci, prowadzi rozprawy i wydaje wyroki. I choć wszystkie swoje obowiązki wypełnia nad wyraz sumiennie, zdradza szczególne zamiłowanie i zdolności do rozwiązywania zagadek kryminalnych.

ROZDZIAŁ I

Było to trzy dni po Janie Chrzcicielu. Powoli zbliżał się wieczór. Lasy pod Bezdiezem cicho szumiały, a wierzchołki drzew kołysał rześki wietrzyk powiewający od gór. Powietrze przesycała woń skoszonego siana i dymu unoszącego się z kominów domów w podgrodziu, gdzie gospodynie przygotowywały rodzinom kolację. Na końcu skalistego wywyższenia, pod niedokończonymi murami podpartymi rusztowaniem z grubo ciosanych belek, zamykały się na noc kwiaty w całej palecie barw. Po tej stronie wzgórza zawsze bujnie kwitły. Pomimo późnej pory na zamku wciąż panował gwar. Kamieniarze składali narzędzia i się przekomarzali. Wszyscy cieszyli się na wieczorną miskę kaszy i dzbanek piwa.

– Na świecie jest pięknie – westchnął z zachwytem Oldrzich z Chlumu, który obserwował okolicę z okna palatium burgrabiego. Mówił przez ramię do swojej żony Ludmiły z Vartemberku, a w jego głosie pobrzmiewała pewna nieśmiałość. Choć świętowali pierwszą rocznicę wspólnego życia, on wciąż nie mógł się przyzwyczaić do jej obecności u swego boku. A przecież nie był już niedoświadczonym młodzieńcem, niedawno skończył trzydzieści lat. Od dłuższego czasu w imieniu króla Przemysła Ottokara II

zarządzał północnymi Czechami i dzięki sukcesom śledczym zyskał tytuł królewskiego prokuratora.

Dwukrotnie miał też własną rodzinę. Ze swoją pierwszą kobietą mieszkał w Niemczech, ale do ołtarza jej nie zaprowadził; z drugą żył tu, w Czechach, i ta została jego żoną. Obie zmarły, a w duszy pozostały mu po nich jedynie głębokie blizny. Długo myślał, że się nie zagoją i że sądzone mu jest życie samotne. Ludmiła z Vartemberku dała mu nową nadzieję. Dzięki niej uświadomił sobie, że cierpienie stanowi część życia, a obowiązkiem chrześcijanina jest wypełnienie całego czasu pisanego mu na ziemi. Największym grzechem byłoby ugięcie się pod ciężarem utrapień. Powinnością człowieka, a zwłaszcza rycerza, jest walka. Nie tylko przeciw wrogom z mieczem w ręku, lecz także z samym sobą. Niekiedy okazywało się to trudniejsze niż trwanie na murach obronnych w chmurach nieprzyjacielskich strzał. Miłość miała jednak wielką moc.

– Masz rację – przytaknęła Ludmiła i poprawiła dłonią złociste kosmyki, które wysunęły się jej spod czepca. Jako mężatka przykładnie go nosiła, ale wciąż nie mogła do niego przywyknąć. – Lecz pięknie jest dlatego, że jesteśmy tu razem. – Odsunęła krzesło od stołu, wstała i podeszła do okna. Nie znała innego miejsca, z którego rozciągałby się tak wspaniały widok. Tu czuła się jak orzeł. – Widok na okolicę mamy stąd lepszy niż król ze swego zamku – stwierdziła z zadowoleniem.

Przemysł Ottokar II, zakładając zamek, wybrał na swoją siedzibę miejsce po przeciwnej stronie wypiętrzenia. Rozciągała się tu panorama na wszystkie zamki panów z Duby. Wydawało się, że pofalowana kraina obniża się i znika w mglistym oparze gdzieś w dolinie Łaby. Widok z palatium burgrabiego ograniczała na horyzoncie szarawa ściana gór. Za nimi zaczynały się Łużyce. W przepastnym morzu zieloności przed oczyma Ludmiły wznosiły się zamki jej brata Marka z Vartemberku i wuja Havla

z Lemberku. Była dumna ze swojego rodu. Musiała jednak przyznać, że bardziej dumna była z sukcesów męża. Nie znała świetniejszego rycerza. Objęła go od tyłu i przytuliła się do niego.

– Giermek Ota również uważa, że mamy tu lepszy widok – zauważył niby od niechcenia Oldrzich z Chlumu.

Te słowa wzmogły czujność kobiety. Zazwyczaj kiedy Oldrzich mówił w ten sposób, chciał ją sprowokować. Owszem, na swój sposób lubiła jego giermka, ładnego młodzieńca o doskonałych manierach, bezgranicznie oddanego jej mężowi, gotowego poświęcić dla niego życie. Zawsze odnosił się do niej z uprzejmością. Jednak Ludmiła z Vartemberku nie mogła zapomnieć swojego klasztornego wychowania, tak sprzecznego z pełnym miłosnych podbojów trybem życia Oty. Nie pojmowała, jak to możliwe, że już tak wiele dziewcząt dało się nabrać na jego słodkie słówka. Tłumaczyło je chyba tylko to, że odebrały wychowanie nie w klasztorze, lecz w twierdzach, warsztatach rzemieślniczych, a niekiedy nawet w karczmach. Trochę im współczuła.

– Dlaczego Ota tak myśli? – spytała czujnie, ale starała się nie psuć Oldrzichowi radości. Był naprawdę cudowny wieczór, a ona nabrała ochoty na miłosne igraszki. Jeszcze mocniej przytuliła się do męża. Jednocześnie przez głowę przemknęło jej pełne poczucia winy pytanie, czy do owego pragnienia nie przyczyniły się jej rozmyślania o grzechach Oty.

– Ponieważ z okien pałacu burgrabiego widać to, co najważniejsze w okolicy – wyjaśnił spokojnie Oldrzich z Chlumu. Odwrócił się i spojrzał na żonę. Czule ją objął i wyjaśniał dalej: – Mogę obserwować, co się dzieje wokół Lipy, bo tędy prowadzi droga do Łużyc. Ty masz przed oczami zamki swojego rodu. A on chyba wszystkie karczmy, w których…

– Nie kończ! – krzyknęła Ludmiła. Uczyniła to wprawdzie stanowczo, ale jej oczy się śmiały. Im dłużej mieszkała w Bezdiezie, tym bardziej

rozmazywały się klasztorne wspomnienia. Wspięła się na palce i złożyła usta w dzióbek. Gdy chciała pocałować męża, musiał się ku niej pochylić. Robił to chętnie i jeszcze się nie zdarzyło, żeby odrzucił taką propozycję. Przymknęła oczy w rozkosznym oczekiwaniu. Jednak nic się nie wydarzyło. Uniosła lekko powieki. Oldrzich z Chlumu wprawdzie ją obejmował, ale twarz miał odwróconą i spoglądał przez okno. – No wiesz! – rozzłościła się. – Nie szukasz przypadkiem jakiejś karczmy, w której mógłbyś sobie pouzywać lepiej niż ze mną? – Skłonność do zazdrości była chyba jedyną jej złą cechą.

– Jeszcze gorzej – odpowiedział z uśmiechem, ale zaraz spoważniał. – Spójrz na drogę od dolnej bramy.

Wyjrzała. Drogą wzdłuż murów zmierzała w stronę stromego zbocza niewielka drużyna zbrojnych na koniach. Na czele jechał młody rycerz z rozwiniętym sztandarem czeskiego króla. A za nim na wspaniałym siwku – Przemysł Ottokar II.

– Czego chce? – zamruczała niechętnie. Pojęła, że dziś w nocy chyba nici z miłości.

– Skąd mam wiedzieć? Nie zapowiedział się, czyli przybywa nieoficjalnie.

– To dobrze czy źle?

– Z nim nigdy nic nie wiadomo. Może chce mi cię porwać!

– A ty byś mnie oddał? – spytała głosem przestraszonego dziewczątka. Wiedziała, że tym samym daje mężowi sposobność do głupich gadek, które mężczyźni nazywają żartami. Zupełnie jej nie bawiły, ale oni je lubili i dlatego czasem pozwalała na nie Oldrzichowi.

Ku jej zaskoczeniu odpowiedział poważnie:

– Tylko w jednym przypadku mój rycerski honor kazałby mi sprzeciwić się królowi. Byłoby to wtedy, gdyby chciał cię skrzywdzić, ukochana!

Rozczuliła się i znów zapragnęła, aby zamknął ją w ramionach i ucałował. Z czułością pogładziła go po policzku. Lubiła jego szorstką w dotyku, krótką, wypielęgnowaną brodę.

– Zajrzyj do kuchni. Niech upieką parę kurcząt. Król je lubi – ciągnął Oldrzich rzeczowo. – Ja pójdę się przebrać. Dowódcy Diviszowi każ skontrolować straże! Wszędzie musi być porządek.

– Czego może chcieć Przemysł? – powtórzyła zaciekawiona Ludmiła. Odkąd została tu panią, król nie odwiedził zamku ani razu.

– Powiem ci, kiedy tylko się czegoś dowiem.

– A nie mogłabym też być przy tej rozmowie? – targowała się. Nie rozumiała, dlaczego ma zostać w kuchni, kiedy przyjeżdża król. Kurcząt z łatwością dopilnuje żona zarządcy. Można na niej polegać.

– Nie wiem, czego będzie dotyczyć. Może jakichś trudnych spraw? – bronił się Oldrzich z Chlumu. Od dnia ich ślubu musiał nieustannie odpierać jej prośby, by pozwolił jej pomagać w pełnieniu jego urzędowych obowiązków. Doceniał jej bystrość, wdzięk i poczucie humoru, ale to nie oznaczało, że pozwoli sobie wejść na głowę. Jak by to wyglądało?

– Wymówka. I to dość kiepska – odparła Ludmiła i niezadowolona zmarszczyła brwi. – Czyż nie jestem twoją prawowitą małżonką?

– Droga Ludmiło, mówiliśmy o tym już wiele razy – upomniał ją z westchnieniem. – Nie zaczynaj znowu. A już na pewno nie teraz. Podczas uroczystości rodzinnych możesz spokojnie grać pierwsze skrzypce. Kiedy jedziemy razem w gościnę, na polowanie czy inną zabawę, twoje miejsce jest przy moim boku. Ale jeśli chodzi o urząd, to…

– Mnie by wystarczyły nawet trzecie skrzypce – weszła mu w słowo. Złożyła dłonie, ale zaraz zarzuciła mu ręce na szyję. – Proszę!

– Zajmij się kuchnią – odparł stanowczo i uwolnił się z jej objęć. – Dowiem się, o co chodzi, i obiecuję, że jeśli będzie to możliwe, razem

dotrzymamy naszemu królowi towarzystwa.

Musiała się tym zadowolić. W duchu zirytowała się na swój kobiecy los, ale natychmiast zganiła się za te niemądre myśli. Przecież cudownie jest być kobietą. Szczególnie gdy ma się za męża Oldrzicha z Chlumu. Nawet jeśli, na jej nieszczęście, jest on królewskim prokuratorem. Przeszła po mostku nad szczeliną skalną, znajdującą się tuż przed wyjściem z palatium burgrabiego, a pierwszą osobą, którą napotkała, był giermek Ota. Opierał się o ścianę i poufale rozmawiał ze służącą, przyjętą do służby na zamku zaledwie przed tygodniem. Dziewczyna miała rude włosy i pulchne policzki, zarumienione z podekscytowania. Śmiała się zdecydowanie zbyt głośno.

– Oto! Czy nie powinieneś raczej wrócić do swoich obowiązków? – Ludmiła upomniała go surowiej, niż zamierzała.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony, szybko przeprosił dziewczynę i podszedł do żony swego chlebodawcy.

– Czy coś się stało, moja pani? – spytał troskliwie. Miał szczególny urok i Ludmiła natychmiast odzyskała pogodę ducha.

– Nadjeżdża król – wyjaśniła i ściszyła głos. Pełne zrozumienia spojrzenie Oty wyrwało jej skargę z serca: – Nie wiemy, jaki jest cel wizyty. A mój mąż nie życzy sobie mojego towarzystwa podczas tego spotkania.

– W takich sytuacjach bywam z nim ja, napełniam jemu i gościom kielichy – odparł po chwili namysłu Ota.

Ludmiła westchnęła smutno, ponieważ dobrze o tym wiedziała. W pewnych sprawach giermek miał więcej praw niż ona.

– Jeśli sprawi ci to przyjemność, pani, potknę się gdzieś tak nieszczęśliwie, że mi spuchnie noga i nie będę mógł na niej stanąć –

zaproponował Ota. – Wówczas nie będzie na zamku nikogo, kto byłby godzien obsługiwać naszego króla. Chyba że ty byś się tego podjęła…

Spojrzała nań zaskoczona, po czym łaskawie przyznała, że Ota jest lepszy, niż sądziła.

– W tym miesiącu słyszałem to od pani dwukrotnie – zauważył żartobliwie. – Czyż nie? Pierwszy raz na polowaniu, kiedy wyjawiłem, którą drogą będzie wracał nasz pan. A drugi…

– Przestań – przerwała mu ze śmiechem. – Tak czy inaczej, jestem twoją dłużniczką. Tego ci chyba w tym miesiącu jeszcze nie mówiłam?

– W tym miesiącu nie. Ostatnio sześć tygodni temu. Myślisz, moja pani, że zranioną nogę mogłaby mi opatrzyć ta służąca, z którą przed chwilą rozmawiałem?

Życie nieustannie stawia przed chrześcijanami rozmaite pokusy, ale Ludmiła z Vartemberku była rozumną kobietą. Tym razem postanowiła przymknąć oko na klasztorne zasady i udzieliła zgody.

– Ale rozgrzeszenia ci nie dam – ostrzegła i już zamierzała udać się do kuchni, kiedy Ota zatrzymał ją pytaniem:

– Czy nasz pan nie przekazał żadnych rozkazów dla dowódcy Divisza?

Zapomniała o tym na śmierć. Z lekkim poczuciem winy przyznała:

– Właśnie chciałam go poszukać, ale jeśli to ty się tym zajmiesz, będziesz mieć przynajmniej okazję do uszkodzenia sobie nogi. Niech Divisz sprawdzi straże.

Król Przemysł Ottokar II był wprawdzie nieco niższy niż Oldrzich z Chlumu, ale to nie przeszkadzało mu budzić respekt. Był to władca trochę nieprzewidywalny – łaskawy i przyjazny, ale potrafiący też zranić. Jego potęga nieustannie rosła, a im większym obszarem władał, tym częściej musiał zapominać o zasługach starych przyjaciół, ponieważ zyskiwał nowych. Oldrzich z Chlumu od wielu lat zaliczał się do wiernych

poddanych króla i chociaż czasem między nimi iskrzyło, stale cieszył się jego przychylnością. Pochodził z mało znaczącego rodu, lecz mimo to Przemysł Ottokar II mianował go niegdyś zarządcą północnych Czech. Poważanie i posłuch wśród lokalnej szlachty musiał jednak wywalczyć sobie sam.

Oldrzich przywitał władcę przy bramie tak, jak należało. Przemysł Ottokar II miał spokojne oblicze, a w jego oczach czaił się uśmiech. To był dobry znak.

– Przygotuj mi komnatę – nakazał, zanim zsiadł z konia. – Przenocuję tu. Ale najpierw muszę z tobą pomówić. Tylko się trochę umyję i przebiorę. Utrudziłem się od tego upału i podróży. Kto, na Boga, wpadł na pomysł, żeby budować zamek tak wysoko? Czy to była przemyślana decyzja?

– Pan z Duby też twierdzi, że zamek mógłby stać niżej, bo dzięki temu nie mógłbym go obserwować w dzień i w nocy – odparł Oldrzich z Chlumu. Spostrzegł, że król jest w doskonałym nastroju. Poczekał, aż zsiądzie, i sam ujął wodze jego konia.

– Hynek Berka? – spytał z rozbawieniem władca. – W tym przypadku muszę cię zganić, miły Oldrzichu, że nie znalazłeś w okolicy jeszcze wyższego wzniesienia.

– To jest najwyższe. I pozwolę sobie zauważyć, królu, że wybrałeś je osobiście.

– Zatem bez wątpienia wybrałem dobrze – roześmiał się Przemysł Ottokar II. Potem spoważniał i na chwilę się rozmarzył. – Pamiętam, jak staliśmy tutaj, na nagiej skale, a wokół rosły jedynie krzaki i drzewa. I jak byliśmy spragnieni, bo wdrapywaliśmy się niczym wiewiórki. Dokładnie tak jak dziś. To straszne, jak ten czas leci. Teraz stoi tu Bezdiez. Rozmawiać będziemy w twoim pałacu. Sami. – Nie czekając na odpowiedź, szybkim krokiem ruszył wzdłuż kaplicy drogą ze starannie ułożonych kamieni.

Oldrzich z Chlumu oddał wodze zarządcy, stojącemu za nim w ukłonie pełnym szacunku, i udał się do kuchni. Tam przez chwilę spierał się z Ludmiłą, ale w końcu jej uległ. Gdy Przemysł Ottokar II wszedł do sali reprezentacyjnej palatium burgrabiego, Oldrzich z Chlumu czekał przy stole, na którym stały dwa kielichy z zielonkawego szkła. W pokrytej niebieskim szkliwem ceramicznym misie pyszniły się pachnące, upieczone na złoto kurczęta, a w słomianym koszyku jeszcze ciepłe placki posypane rozmarynem. Z boku, ze skromnie spuszczonymi oczyma, stała Ludmiła z Vartemberku w swej najlepszej sukni, trzymająca w dłoniach miedziany dzban z mielnickim winem, które król lubił.

– Mój giermek się zranił – oznajmił Oldrzich i wskazał królowi swój okazały fotel. – Dlatego poprosiłem Ludmiłę z Vartemberku. Mam nadzieję, panie, że ci to nie przeszkadza?

– Ani trochę. Widok twojej żony jest milszy niż Oty, a poza tym mam ci do powiedzenia coś poufnego. Czy mogę polegać na dyskrecji nadobnej Ludmiły?

– To chyba oczywiste.

– To wcale nie jest oczywiste – zaoponował znacząco Przemysł Ottokar II. – Język niewiast bywa jeszcze mniej godny zaufania niż język starych mężczyzn, którym już plączą się wspomnienia. Im piękniejsza jest kobieta, tym bardziej trzeba być czujnym. Uroda i cnoty rzadko idą ze sobą w parze. Istnieją tylko dwa szlachetne wyjątki. Pierwszym jest moja królowa Kunegunda, a drugim – twoja żona. – Przy tych słowach dwornie skłonił się Ludmile. Gdy chciał, potrafił być czarującym rycerzem. A dziś wieczorem chciał. Wskazał na puste fotele, stojące po przeciwnej stronie stołu. – Oldrzichu, pozwalam ci dziś wieczór siedzieć w mojej obecności. A ty, Ludmiło, przynieś trzeci kielich, nalej nam i również zasiądź.

Ludmiła z Vartemberku zarumieniła się z radości, natomiast jej mąż lekko zmarszczył brwi. Życzliwość władcy przestawała mu się podobać. Król umiał być łaskawy, ale to zachowanie obudziło w gospodarzu podejrzliwość.

Wznieśli toast, a potem Oldrzich musiał zdać szczegółowy raport z przebiegu budowy zamku. Przemysł Ottokar II zażądał nawet wyjęcia ze skrzyni księgi rachunkowej i omówienia wydatków z ostatnich miesięcy. Ludmiła się nudziła. Słuchając, ile kosztuje obróbka kamieni i ich transport, musiała pogodzić się z myślą, że giermek Ota zgrzeszy. A ta wina spadnie także na jej duszę. Postanowiła, że rano niezwłocznie wyspowiada się kapłanowi.

– Dobrze – powiedział w końcu władca. – Kamieniarzom wprawdzie mógłbyś płacić nieco mniej, ale pracę wykonali doskonale. Na Bezdiezie oszczędzać nie zamierzam. Jestem z ciebie zadowolony. Mój jedyny rozkaz brzmi: jak najszybciej dokończyć główną wieżę. Mam nadzieję, że spodoba się ona panom z Duby. – Roześmiał się i wyciągnął rękę z pustym kielichem, aby pani zamku dolała mu wina. – Nie wyglądasz na zachwyconą, Ludmiło – ciągnął król z pewnym zdziwieniem. – Czy to mąż tak daje ci się we znaki?

Zanim Oldrzich z Chlumu zdążył cokolwiek rzec, odparła otwarcie:

– On nie, mój panie. Tylko te kamienie.

– Kamienie? – powtórzył Przemysł II, ale wnet pojął jej wyrzut i roześmiał się znowu. – Masz mądrą żonę. Tym bardziej zasługuje na to, abyś czasem sprawił jej radość. Co byś powiedziała, Ludmiło, gdyby twój mąż zabrał cię w niedługą podróż?

– Byłoby wspaniale – zgodziła się ostrożnie. Mimo swego młodego wieku nie była naiwna i rozumiała, że w pewnych sytuacjach trzeba zachować powściągliwość. – Dokąd mielibyśmy jechać?

– Mniemałem, że bardziej się ucieszysz – odrzekł władca z lekką urazą. – Choćby dlatego, że koszty wyjazdu zostaną pokryte z królewskiego skarbu. Udacie się do Wrocławia. Jak już wspomniałem, nasza rozmowa jest poufna. A zatem słuchajcie. Blisko przed rokiem wysłałem do Wrocławia pewnego zaufanego rycerza, aby się tam rozejrzał. Mój kuzyn, Władysław z dynastii Piastów, jest, jak wam oczywiście wiadomo, arcybiskupem salzburskim, ale pozostawił sobie również urząd administratora diecezji wrocławskiej. Doszły mnie słuchy, że wrocławskie duchowieństwo nie odnosi się ze zrozumieniem do moich planów wobec Śląska. Lecz mimo to potrzebuję Władysława, aby popierał moją politykę w Styrii i Karyntii. Interesowało mnie, czy to on stoi za konfliktami. Nie mogę jednak wyjawić mu swoich podejrzeń i okazać wątpliwości. Dlatego ów rycerz pojechał tam w przebraniu. Zdobył zaufanie kilku wpływowych osób, ale dwa miesiące temu zaginął. Nikt nie wie, gdzie się podziewa. Trzeba ustalić, co tam zaszło.

– Nie wystarczyłoby, żebym pojechał tam sam? – zapytał Oldrzich z Chlumu i natychmiast spiorunował go gniewny wzrok żony.

– Pierwotnie właśnie taki był plan – przyznał spokojnie król. – Ale obserwuję Ludmiłę i uważam, że byłaby cenną pomocnicą. A poza tym – jesteście młodym małżeństwem. Przecież nie zostawisz żony tu na pastwę losu, prawda? Chyba że po prostu nie chce opuszczać Bezdiezu.

Ludmiła pilnowała, żeby tym razem zachować jeszcze więcej opanowania. Przybrała dostojną minę i z wymuszonym spokojem spytała:

– To zależy od okoliczności. Kim był ten rycerz?

Władca uśmiechnął się i obrzucił Ludmiłę życzliwym spojrzeniem.

– Widzisz, Oldrzichu? Miałem rację. Jej pomoc będzie na wagę złota. A tego rycerza chyba nie znacie. Nazywa się Milicz, to brat Idika ze Szvabenic.

– Tego morawskiego wielmoży, któremu powierzyłeś, panie, urząd burgrabiego zamku w Bitovie? – upewnił się Oldrzich z Chlumu.

Na te słowa Ludmiła trochę przycichła i wyglądała na lekko zmieszaną.

– Właśnie tego – potwierdził król. – Wysłałem tam młodego Milicza, ponieważ zakładałem, że we Wrocławiu go nie znają. Nikt nie podejrzewa nawet, że mam pewne plany dotyczące Śląska.

– Czy powinniśmy jeszcze o czymś wiedzieć?

– We Wrocławiu przedstawiał się jako Roland. Utrzymywał, że jest zamożnym francuskim rycerzem. Studiował w Paryżu i doskonale mówi po francusku. Tak samo jak twoja Ludmiła, którą wychowywały francuskie zakonnice, czyż nie?

– Owszem – przytaknęła Ludmiła z Vartemberku, coraz bardziej podekscytowana wrocławską misją.

– I jeszcze coś – przypomniał sobie Przemysł Ottokar II. – Wy również pojedziecie tam w przebraniu. Gdyby ktoś się zorientował, że w rzeczywistości jesteś moim słynnym prokuratorem, Oldrzichu, byłbym bardzo rozczarowany. To oczywiście nie jest żadna groźba, wiesz, że cię lubię. Muszę jednak przede wszystkim bronić interesów Królestwa Czeskiego. I w żadnym wypadku nie chcę uczynić Piastów swoimi wrogami.

ROZDZIAŁ II

Rankiem, gdy tylko czeski król przejechał przez bramę i jego drużyna z rozwiniętym sztandarem ruszyła w dół stromą drogą z Bezdiezu, Oldrzich wezwał do siebie giermka Otę. Polecił mu, aby ten osobiście przyniósł śniadanie, ponieważ chciał z nim porozmawiać bez obecności służby.

Gdy giermek wszedł do wielkiej sali palatium burgrabiego, jego pan siedział w fotelu, w którym jeszcze wczoraj odpoczywał Przemysł Ottokar II. Obok niego kuliła się Ludmiła z Vartemberku, jeszcze trochę zaspana, ale szczęśliwa, gdyż noc ostatecznie spędziła w ramionach męża.

Ota lubił się dobrze prezentować. Włosy fryzował według niemieckiej mody i przepasywał się jak najciaśniej posrebrzanym pasem, aby podkreślić szerokość ramion. Teraz ostrożnie niósł misę z gorącą zupą. Postawił ją na stole i szybko zawrócił jeszcze po świeży chleb i trzy dzbanki jęczmiennego piwa.

– Ja jeść nie będę – przeprosił. – Ale chętnie się z wami napiję.

Nie czekając na zaproszenie, zasiadł za stołem, zgodnie z utartym na Bezdiezie zwyczajem. Ota był raczej przyjacielem rodziny niż sługą. A giermka właściwie tylko udawał, ponieważ już dawno wyrósł z wieku,

w którym chłopcy zyskiwali pierwsze doświadczenia na dworach szlachetnych panów.

Ludmiła od razu zaczęła się posilać – po miłosnych zbliżeniach zawsze dopisywał jej apetyt – natomiast Oldrzich z Chlumu jął wyjaśniać Ocie, jakie czeka ich zadanie. On sam był przyzwyczajony do skromnego życia i zawsze na pierwszym miejscu stawiał obowiązki wobec władcy.

Giermek upił łyk piwa z dzbanka i uważnie słuchał. Dopiero gdy jego pan zamilkł, odezwał się rozważnie:

– Chociaż droga z Wrocławia do Pragi wiedzie przez tereny za Izerą, nie można wykluczyć, że ktoś ze Śląska mógłby się zabłąkać w nasze strony. Sam wiesz, panie, ilu kupców korzysta ze szlaku wiodącego z Łużyc przez Hradek i Lipę aż tu, pod Bezdiez. Wielu z nich zna cię z widzenia, ponieważ często kontrolujesz komory celne, choć tak właściwie nie należy to do twoich obowiązków. A przecież to nie jedyne zagrożenie! Piastowie śląscy chętnie goszczą na dworze naszego króla, któryś z nich mógł tam cię zobaczyć. Nie jesteś wszak pierwszym lepszym rycerzem. Trudno liczyć na to, że we Wrocławiu pozostaniemy anonimowi.

– To prawda – zgodził się Oldrzich z Chlumu i dopiero teraz wziął łyżkę do ręki. – Co proponujesz?

– Trzeba odmienić nasze oblicza. Nie jest to takie trudne, jak mogłoby się wydawać. Czasem wystarczą drobne zmiany, żeby człowieka nie poznali nawet przyjaciele. – Giermek Ota pochwycił zaciekawione spojrzenie Ludmiły. Nie dostrzegł w nim nagany, raczej zachętę, by mówił dalej. Mimo to zamilkł i znów pił przez dłuższą chwilę. Jęczmienne piwo przesycała przyjemna goryczka, a ponieważ od rana panował upał, znakomicie gasiło pragnienie i odświeżało. Odstawił dzbanek i westchnął.

– Oto, o jakich zmianach mówisz? – dopytywał się Oldrzich. Odłożył łyżkę na stół i przyglądał się giermkowi badawczo. Znał go i wiedział, że

nie strzępi języka na próżno.

– Mam pewien pomysł, ale nie wiem, czy dobry – wahał się jeszcze Ota. – Powszechnie wiadomo, że zarządca północnych Czech jest barczystym, ciemnowłosym rycerzem z wypielęgnowaną brodą. A jego giermek – pięknym młodzieńcem.

– Ota!

– No dobrze. Zarządca północnych Czech też jest piękny. Lepiej? Mamy tu jednak inny problem. O pojedynku, w którym zabiłeś Benesza z Duby i wywalczyłeś rękę pięknej panny Ludmiły, mówi się chyba przy każdym rycerskim stole. Z pewnością również na Śląsku. A teraz wyobraź sobie, że do Wrocławia przybywa troje podróżnych. Główną postacią w tej małej drużynie jest wysoki rycerz z wypielęgnowaną brodą, a z nim podróżuje żona o wspaniałych jasnych puklach. Służy im przystojny młodzieniec. Ich twarze mogłyby się wydać znajome któremuś z miejscowych. O Diviszu i jego słynnej bliźnie na policzku nawet nie wspominam.

– Divisz oczywiście zostanie na Bezdiezie! Ale poza tym niestety masz rację. Co proponujesz?

– Jak już mówiłem, musimy wyglądać inaczej i inaczej się przedstawiać. Służba u króla wymaga czasem wielkich poświęceń. – Mówiąc to, Ota wpatrywał się uważnie w oblicze swego pana.

Ten nie odpowiedział od razu. W skupieniu pogładził dłonią brodę, jak zwykle czynił, kiedy się nad czymś zastanawiał. Na jego czole począł malować się frasunek. Dopiero po chwili spytał cicho:

– Dlaczego wciąż podkreślasz, że zarządca północnych Czech to rycerz z wypielęgnowaną brodą?

– Mamy tylko dwie możliwości. – Giermek Ota przepraszająco wzruszył ramionami. – Wiesz, że nie mówię tego z czystej złośliwości. Po

prostu: albo spełnimy życzenie naszego króla, albo nie.

– Chyba nie chcesz, aby mój szlachetny mąż się ogolił? – wybuchła Ludmiła z Vartemberku.

– Innego wyjścia nie widzę – potwierdził Ota. – Musimy też zrobić coś z twoimi włosami.

– Nie zetnę ich! – wykrzyknęła przestraszona Ludmiła i obronnym gestem osłoniła głowę.

– Mam lepsze rozwiązanie! Ta służąca, z którą wczoraj rozmawiałem, jest ruda. Czy to zauważyłaś, moja pani?

– Owszem! Wygląda wyjątkowo wulgarnie.

– Wcześniej jej włosy były jaśniejsze. Zna wszak zioła, które dodane do płukania nadają włosom odcień miedzi. Aby cię uspokoić, od razu dodam, że można go potem zmyć. Albo sam z siebie po pewnym czasie blednie i znika. Myślę, że to by wystarczająco odmieniło twój wygląd.

– A ja myślę, że to nie wystarczy – wtrącił Oldrzich z Chlumu, ponieważ Ludmiła nabrała powietrza, aby przygadać Ocie. – Zapomniałeś wszak o sobie, mój drogi! Tak piękny młodzieniec nie uszedłby uwadze wrocławskich dziewcząt. Moja zgolona broda to za mało. A zatem ty również musisz się poświęcić dla naszego króla.

– Otóż to – włączyła się Ludmiła z Vartemberku. Znów utwierdziła się w przekonaniu, że Ota jest w rzeczywistości grzesznikiem, mającym za nic wszelkie świętości. – Z łysą głową przynajmniej dałbyś spokój uczciwym dziewczętom. Musisz ściąć włosy. I to nie byle jak! Do gołej skóry! Wtedy będziemy bezpieczni.

– Zaiste interesująca propozycja, moja pani. – Giermek spokojnie pokiwał głową. – Pozwolę sobie tylko zauważyć, że cesarz Rudobrody też był łysy, ale nawet w okolicach swej siedemdziesiątki nie dawał spokoju dziewczętom i spłodził kilkoro nieślubnych dzieci. Możliwe bowiem, że

dziewczęta interesują się łysymi mężczyznami, ponieważ im współczują i chcą ich pocieszyć. A ponadto myślę, że nic nie rzuca się bardziej w oczy niż łysina.

– Tu muszę się zgodzić – przyznał Oldrzich z Chlumu i od razu zaproponował Ocie: – A może też ufarbujesz sobie czuprynę na rudo? I trochę ją skrócisz, żeby nie opadała ci aż na ramiona. Nie obawiaj się, drogi Oto, piórka odrosną. Miałbym nawet pewne wytłumaczenie, które mogłoby się okazać bardzo przydatne we Wrocławiu. Jeśli oboje będziecie mieć rude włosy, możecie podawać się za rodzeństwo.

– On miałby być moim bratem? – krzyknęła Ludmiła. – Nigdy!

– Poczekaj, najdroższa – powstrzymał ją Oldrzich. – Jeszcze nie skończyłem. Ja będę waszym sługą. Czy to by ci się podobało? – Mrugnął do niej figlarnie.

– Będę dobrym bratem – zapewnił Ota. – I w dodatku niezwykle cnotliwym, żeby nie przynieść wstydu rodzinie!

W sali na chwilę zapanowała cisza, zakłócana jedynie brzęczeniem muchy, która wleciała przez otwarte okno. Ludmiła z Vartemberku walczyła ze sobą, ale po krótkiej chwili nie wytrzymała i się roześmiała. Kiedy sobie to wszystko wyobraziła, podróż do Wrocławia zapowiadała naprawdę dobrą zabawę. Zaraz jednak spoważniała, ponieważ uznała, że to odpowiedni moment na wyznanie tego, co ją trochę trapiło.

– Zgoda, chociaż to, czego ode mnie żądacie, wydaje mi się grzeszne. Będę musiała wyprzeć się swojego męża i umalować się jak nierządnica babilońska. Skoro już musi tak być, to chcę, żebyście wiedzieli coś jeszcze. Znałam tego zaginionego rycerza!

– Milicza ze Szvabenic? – zdumiał się jej mąż. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek o nim wspominała.

– Ubiegał się o moją rękę, zanim ojciec postanowił wydać mnie za Benesza z Duby – kontynuowała. – Spotkałam się z nim tylko dwa razy i wcale mi się nie podobał. Był przesadnie pobożny i okropnie dziecinny.

– Przecież pochodzi z Moraw, czego tu szukał? – dziwił się Oldrzich. W jego głosie pobrzmiewały nuty rozdrażnienia.

– Owszem, jego ród pochodzi z Moraw – potwierdziła Ludmiła. – Ale Idik ze Szvabenic dostał od króla zadanie zasiedlenia lesistej krainy u stóp Karkonoszy. Właśnie tędy prowadzi jedna z głównych dróg handlowych na Śląsk. Niedawno panowie ze Szvabenic założyli tam miasto Bornflos. Miejscowi nazywają je Żaclerz. Wybudowali tam już dwa zamki. Wiem o tym, ponieważ niedawno wdali się w spór z jednym ze swoich sąsiadów, którego żoną jest moja ciotka.

– To nam ułatwi poszukiwania – stwierdził opanowany już Oldrzich. – Tylko ty, najdroższa, wiesz, jak ten zaginiony królewski zwiadowca wygląda. Ufam, że całą sprawę szybko wyjaśnimy.

Ledwo wypowiedział te słowa, już odezwała się w nim intuicja śledczego. Intrygi polityczne zawsze wymagały delikatności. Na Śląsku, gdzie w małych książęcych siedzibach panował klan skłóconych Piastów, było niczym w jamie pełnej skorpionów i węży. Przez moment nawet się zawahał, czy powinien narażać młodą żonę na takie niebezpieczeństwo. Jednak rozkaz króla brzmiał jasno. A przecież Przemysł Ottokar II z pewnością dobrze wie, że Milicz ze Szvabenic niegdyś ubiegał się o rękę Ludmiły. Wszystkie komplementy prawione jej wczoraj przez króla miały swój cel. Od początku chciał, aby do Wrocławia pojechali oboje. Bez wątpienia istnieje po temu jakiś powód. Jaki – tego Oldrzich nie wiedział.

Nie chcieli zwlekać z wyjazdem, jednak zmianom swych wizerunków poświęcili mnóstwo czasu. Wydawało się nawet, że znaleźli w tym upodobanie i prześcigali się w pomysłach.

– To gorsze niż karnawałowy pochód maskaradowy, w którym musiałem uczestniczyć – krzywił się Ota, kiedy Ludmiła przycinała mu włosy. – Ale jeśli mnie oszpecisz, moja szlachetna pani, ukarzę cię, grzesząc jeszcze więcej!

– Ukarałbyś w ten sposób tylko sam siebie – przestrzegła go surowo. Jednak strzygła go dalej w pełnym skupieniu. Szło jej doskonale, w klasztorze bowiem dziewczęta wzajemnie skracały sobie włosy, a w domu Ludmiła dbała o fryzurę męża.

Skończyła strzyżenie i podała Ocie lustro. W ozdobną złoconą ramę oprawiona była wypolerowana srebrna blacha, w której co rano Ludmiła z próżnością się przeglądała. Teraz rozbawiona zauważyła, że Ota wpatruje się w swe odbicie jeszcze uważniej niż ona. Po chwili z zadowoleniem skinął głową.

– Posłuchaj, Oto. – Ludmiła z Vartemberku zmieniła ton. – Mam do ciebie prośbę. Wiesz, że nie upiększam się zbyt często. Nasza matka przełożona mawiała, że malowana twarz to brama do piekieł. W związku z tym nie bardzo umiem się do tego zabrać. Czy ta rudowłosa służąca mogłaby mi pomóc? Ale nie piśniecie o tym nikomu ani słowa, rozumiesz?

– Możesz na mnie polegać, pani – skłonił się Ota.

Ludmiła lekko się uśmiechnęła. Uświadomiła sobie, że giermek nie skomentował tej prośby żadną z tych swoich rzekomo dowcipnych uwag. Kiedy chciał, potrafił być bardzo taktowny. Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego cieszy się on takim powodzeniem u płci przeciwnej. W rzeczywistości Ota był wrażliwym młodzieńcem. A ponadto bardzo pięknym.

– Przyślij ją do mojej sypialni, nie chcę, żeby wszyscy mi się przyglądali – poleciła. Zabrała lustro, nożyczki i skierowała się ku schodom wiodącym na piętro. Zanim do nich doszła, otworzyły się drzwi i na progu

pojawił się franciszkanin w szarym sfatygowanym odzieniu. Przepasany był sznurem, a na nogach miał zwykłe łapcie z łyka. Stał z pokornie pochyloną głową.

– Daj mu jałmużnę – powiedziała z roztargnieniem Ludmiła. Potem jednak zatrzymała się i gniewnie zapytała przybysza: – Jak dostałeś się do zamku?

– Mam swoje sposoby, najdroższa – odparł franciszkanin i zsunął kaptur z głowy. Ukrywał się pod nim Oldrzich z Chlumu. Ogolił się i zabarwił sobie nos na czerwono, żeby wyglądać na pijanego. – Zmieniłem plan. Nie będę się podawał za waszego sługę – wyjaśnił wesoło. – Dla naszego króla jestem gotowy na różne ofiary, ale służyć takiemu rudemu rodzeństwu chyba nie dałbym rady. A poza tym we Wrocławiu jest wielu prałatów, więc przebranie się za franciszkanina to lepszy fortel.

– Zaiste dobrze to wykoncypowałeś – potwierdziła wyniośle Ludmiła. – Bo ja i tak nie przyjęłabym na służbę człowieka z takim nochalem. Wybrałeś nam już imiona?

– Ja będę bratem Anzelmem – rzekł Oldrzich z Chlumu, podszedł do stołu i usiadł. Wszystko to wyglądało jak zabawa, jednakże ogarniały go coraz większe obawy. Dlaczego król wybrał właśnie jego i Ludmiłę? Musiał przecież wiedzieć, jak trudno będzie zorganizować wyprawę tak, aby we Wrocławiu nikt ich nie rozpoznał, tymczasem nalegał na to bardzo stanowczo. Oldrzich nie rozumiał jeszcze jednego. Znał arcybiskupa salzburskiego, który jako kuzyn króla zajmował obecnie stanowisko czeskiego kanclerza. Władysław był synem Anny, siostry króla Vaclava. Ten nad wyraz rozsądny człowiek uważał się bardziej za Przemyślidę niż Piasta. Oldrzich nie wierzył, że Przemysł Ottokar II nie potrafiłby się z nim porozumieć, gdyby we Wrocławiu działo się coś, co szkodziłoby

królewskim interesom. Im dłużej rozmyślał o powierzonej misji, tym dziwniejsza mu się wydawała.

– A mnie jakie imię nadasz? – dopytywała Ludmiła.

– Eliszka – zaproponował. – Pasierbica naszego króla też ma rude włosy, więc przynajmniej nie będzie mi się mylić.

Ludmiła z Vartemberku posłała mężowi niezadowolone spojrzenie, ale ani słowem się nie odezwała. O córkach, które czeski król miał z Aneżką zwaną Palcerzikiem z racji jej krótkich na palec włosów, mówiło się różne rzeczy. Dlaczego jej mężowi przyszło na myśl właśnie to imię?

– A Otę zmienimy w Otakara. Jestem już przecież starszym człowiekiem i pamięć nie służy mi jak za młodu – ciągnął wesoło Oldrzich z Chlumu. – Jeśli kiedyś się zapomnę i nazwę go Otą, nikt nie zauważy pomyłki.

– Naturalnie – zgodziła się chłodno Ludmiła. – Tak jak się nie pomylisz, nazywając mnie Eliszką. Zapewne jesteś przyzwyczajony do tego imienia.

– Oczywiście – przyznał, a w jego głosie nie dało się nie posłyszeć wyrzutu. – Przecież tak dano na chrzcie mojej matce. Natomiast brat Anzelm był kiedyś mym nauczycielem. A klasztorne wykształcenie z pewnością okaże się pomocne.

Przy wyjątkowej mobilizacji załogi zamku cała trójka opuściła Bezdiez jeszcze tego samego dnia po południu.

– Dobrze, że tym razem nie muszę z nimi jechać. Kto wie, co by ze mnie zrobili – zamruczał Divisz i z upodobaniem pogładził swoją bliznę na policzku. Giermek Ota nieraz się zeń naśmiewał, że wygląda jak zbójnik, ale zdaniem Divisza lepiej wyglądać jak rozbójnik niż jak błazen.

ROZDZIAŁ III

Po tygodniu spokojnej podróży dotarli do Wrocławia, jednego z największych polskich miast, położonego nad ujściem kilku mniejszych rzek i strumieni do Odry. Ruchliwy port wraz ze szlakiem handlowym z Miśni na wschód zapewniał Wrocławiowi potęgę i bogactwo. Otaczały go dwa pierścienie potężnych kamiennych murów. Na nich przed laty połamały sobie zęby tatarskie hordy, łupiące kraj po zwycięstwie nad polskimi wojskami.

Na Ostrowie Tumskim w pobliżu murów stał stary zamek Piastów Śląskich, a obok niego potężna katedra Świętego Jana Chrzciciela. Jej wieża była pokryta miedzianymi płytami i z daleka błyszczała niczym wielka płonąca świeca. Wyspę łączył z miastem jedynie drewniany most. Po mostach przechodziło się również na przedmieścia po drugiej stronie Odry.

Drużyna Oldrzicha z Chlumu zatrzymała się u wiejskiego kowala w pobliżu murów. W jego stajni zostawiła konie.

– Dobry wybór, pobożny bracie – pochwalił go kowal. – W mieście za trzymanie jednego konia zapłaciłbyś więcej niż za trzy tutaj. A może

chcielibyście pożyczyć osły? Zaniosą wasze bagaże. Pójdzie z wami mój syn i przyprowadzi zwierzęta z powrotem. Za jedynego denara dopłaty.

Chętnie na to przystali. Nie chcieli się zatrzymywać i szybko ruszyli dalej. Droga była jednak zastawiona kupieckimi wozami konnymi i dwukołowymi wózkami, które pchali przed sobą chłopi z okolicy. Między nimi torowali sobie drogę handlarze niosący towary w koszach lub w workach na plecach. Tu i ówdzie przewijały się również kobiety z towarami w płóciennych węzełkach. Ruchliwy i gwarny tłum jeszcze bardziej zgęstniał, kiedy zbliżyli się do reprezentacyjnej Bramy Świdnickiej, wzniesionej z masywnych kamiennych bloków i cegieł. Nad wjazdem wystawały belki, na których opierał się drewniany podest kryty dachem gontowym. Stało na nim kilku zbrojnych z łukami w rękach, pilnujących porządku. U ich stóp na jednej z belek smętnie dyndał wisielec, przed miesiącem powieszony tu za kradzież.

Oldrzich z Chlumu już podczas podróży stwierdził, że szczęście im sprzyja. Jutro we Wrocławiu zaczynał się wielki jarmark. I chociaż musieli przebijać się przez tłum, a przed bramą stracili mnóstwo czasu, było pewne, że w tłoku znikną jak igła w stogu siana. Ponadto chronił ich glejt nuncjusza papieskiego, uprawniający ich jako pokutnych pielgrzymów do swobodnego przejścia. Ludmiła z Vartemberku wiedziała, że podczas tej wyprawy pieczę nad nimi trzyma sam Ojciec Święty, ale wolała nie dociekać, jak jej mąż zdobył ów dokument. Tak było lepiej.

Albowiem glejt napisał Oldrzich własnoręcznie. A jednak nie do końca było to fałszerstwo. Już od dłuższego czasu pieczołowicie przechowywał w swej skrzyni pusty pergamin z pieczęcią nuncjusza, otrzymany przed kilku laty od pewnego mediolańskiego arcybiskupa, który jako wysłannik papieża popadł w Styrii w poważne tarapaty, a prokurator królewski dyskretnie udzielił mu pomocy. Arcybiskup odwdzięczył mu się tym

pergaminem, który Oldrzich przezornie schował sobie na odpowiednią okazję. A ta właśnie się nadarzała.

Tak jak uzgodnili wcześniej, rolę przewodnika ich małej drużyny pełnił giermek Ota. Od opuszczenia Bezdiezu przestał się golić. Na brodzie wyrósł mu słuszny zarost, który każdego dnia farbował, podobnie jak włosy. A na lewym policzku domalował sobie jeszcze wielkie znamię. Wyglądał jak prawdziwy pokutnik, umęczający się w imię wiary. Nie pojmował, jak inni mężczyźni mogą dobrowolnie nosić brodę. Kłuła go i musiał stale chodzić z podniesioną głową, by nie łaskotała go w szyję. Nie miał nawet nastroju na rozsyłanie uśmiechów karczmarkom, choć podczas podróży okazywały mu chyba jeszcze więcej uwagi niż wcześniej.

W bramie zastąpił im drogę rosły, uzbrojony mężczyzna, któremu brakowało kilku zębów i przez to trochę seplenił. Ale tu, zdaniem Oty, seplenili niemal wszyscy, również ci z pełnym uzębieniem. Bez słowa pokazał mu glejt. Strażnik spojrzał na dokument, przez chwilę studiował pieczęć, po czym bezwstydnie wyciągnął rękę po myto.

Ota stanowczo odmówił.

– Jesteśmy pokutnymi pielgrzymami pod ochroną papieża i nie musimy płacić.

Zbrojny wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że na takie *dictum* rzeczywiście nic nie poradzi, i odsunął się na bok. Przeszli pod potężnym sklepieniem i znaleźli się na szerokiej ulicy wiodącej do rynku. Tam rzucił się na nich co najmniej tuzin naganiaczy.

– Panie, znajdę wam nocleg! Najlepszy i najtańszy we Wrocławiu – przekrzykiwali się nawzajem.

– Nie słuchajcie ich – odpędzał ich syn kowala. – Chcą was okraść. Zaprowadzę was do stryja. Też jest kowalem, ale podczas jarmarków wynajmuje dwa pokoje. Sam z rodziną na te dwa tygodnie przenosi się do

izby dla czeladzi. Będziecie mieszkać w mieszczańskim domu. Nie jest drogi. A jego żona doskonale gotuje.

Giermek Ota rzucił krótkie badawcze spojrzenie na swego pana. Oldrzich z Chlumu od razu skinął głową. Ta propozycja bardzo mu odpowiadała. Handlarze i przybysze roili się już wszędzie. Oczywiście już na długo przed rozpoczęciem jarmarku wszystko prócz zapchlonych przytułków i najdroższych zajazdów było zajęte. Dodatkową korzyścią noclegów u kowala była gwarancja, że pozostaną anonimowi. Strażnicy miejscy regularnie kontrolowali zajazdy, szpitale i karczmy, ale do prywatnych domów nie zaglądali. Zgodnie z prawem mieszczanom nie wolno było bowiem kwaterować cudzoziemców, mogli jednak zapewniać schronienie krewnym i przyjaciołom. Podczas jarmarku panowało takie zamieszanie, że nikomu nawet nie przyszło do głowy sprawdzać, czy to rozporządzenie jest przestrzegane. Zresztą nie stosowano się do niego nawet w Pradze.

– Spodoba się wam – przekonywał gorliwie chłopiec, ufając, że nie robi tego za darmo. I oczywiście odwdzięczy mu się również ciotka. Uwielbiał jej kołacze. – Dom leży trochę na uboczu, tuż przy murach miejskich. Będzie tam więcej spokoju niż przy rynku. Poza tym kilka kroków dalej jest Biała Wieża, a za nią furtka, przez którą, czcigodny ojcze, wyjdziecie za mury wprost do klasztoru franciszkanów.

Kowal nazywał się Jacek Młot. Jego dom okazał się trochę zaniedbany, ale podwórko czyste, a właściciel i jego żona porządnie odziani. Chłopiec wniósł bagaże gości i czekał, aż dostanie srebrniaka dla ojca i drugiego dla siebie. Potem chwycił osły za uzdy i zniknął w wąskiej uliczce.

– Wynajmę obie izby – oznajmił giermek Ota. – Pod warunkiem, że cena będzie chrześcijańska. Jesteśmy tylko biednymi pielgrzymami.

– Tuzin denarów dziennie za obie – rzucił od razu kowal. Nie umiał udawać i nie umiał się targować.

– Z wiktem?

– Eee… Wikt płatny osobno.

– Żądasz więcej, niż możemy dać – westchnął ze smutkiem Ota.

– Tańszego mieszkania we Wrocławiu nie znajdziecie. Na jak długo chcecie się zatrzymać?

– Może na dwa tygodnie, może na miesiąc, zależy, jak szybko załatwimy swoją sprawę. Ale z pewnością do końca jarmarku.

– Jeśli zostaniecie do końca jarmarku, to wystarczy mi sześć denarów za dzień. Czyli marne półtorej kopy za całe dwa długie tygodnie, ale co tam, niech stracę!

– Jeśli dobrze liczę, za czternaście dni wychodzi tylko kopa i dwadzieścia cztery denary – zauważył Oldrzich z Chlumu. – Ale zgoda, zapłacimy te półtorej kopy. Tyle że mamy dwa warunki.

– Słucham. – Kowal wydawał się bardzo zadowolony. Nie spodziewał się, że pójdzie mu tak łatwo. Cena była więcej niż dobra.

– Jeść będziemy u ciebie. Twoja żona będzie nam gotować pod nadzorem tej oto cnotliwej niewiasty. Ma na imię Eliszka, dba również o czystość i porządek. Za jadło oczywiście dopłacimy. Jeśli będzie nam smakowało, nie będziemy oszczędzać.

– Nawet w pałacu książęcym nie zjecie tak dobrze jak u mojej żony – rozpływał się w pochwałach kowal. – Cóż za zbieg okoliczności! Ona też ma na imię Eliszka. Będą się rozumieć.

– I drugi warunek – kontynuował Oldrzich z Chlumu. – Jakiś czas temu odwiedził Wrocław mój dawny przyjaciel i omyłkowo zostawił w zajeździe różaniec. Za pośrednictwem przeora poprosił mnie, żebym mu go

przywiózł, ale zapomniał dodać, gdzie się podówczas zatrzymał. Chciałbym odnaleźć ten zajazd.

– Chętnie pomogę – przyrzekł gorliwie kowal. Potem spoważniał i trochę nieśmiało poprosił: – Ja również mam jedną prośbę. Gdyby ktoś pytał, mówcie, że jesteście moimi przyjaciółmi, nie gośćmi.

– Kłamstwo jest grzechem – upomniał go Oldrzich z Chlumu, karcąco unosząc palec – lecz rozumiem, że inaczej się nie da, dlatego z ciężkim sercem wypełnimy twoją wolę. Skąd się znamy?

– Jak to skąd? – trwożliwie zapytał Młot.

– Gdyby ktoś pytał.

– Nie będą pytać. Ale warto ustalić – zgodził się kowal. – Skąd moglibyśmy się znać?

– Czy byłeś kiedy na jarmarku w Królestwie Czeskim?

– Jeżdżę tylko do Nachodu.

– Doskonale. A zatem to stamtąd się znamy. Ojciec tego rodzeństwa, któremu towarzyszę, ma tam kuźnię, zgadza się? – Oldrzich z Chlumu wyciągnął z sakiewki pieniądze za pobyt i położył je na stole. Na znak zawartej umowy mężczyźni podali sobie dłonie, a on jeszcze pobłogosławił rodzinę kowala.

– Nie wygląda to źle – ocenił giermek Ota, obejrzawszy oba pomieszczenia. – W jednej izbie szerokie i wygodne łóżko, w drugiej tylko ława, ale do spania wystarczy. Tylko skoro mamy nie rzucać się w oczy, to czy franciszkanin powinien sypiać w jednym pokoju z moją siostrą?

– Może byłoby lepiej, gdybyś ty z nim sypiał. Oczywiście na ławie. Wygodne łóżko zostanie dla twojej siostry – odwarknęła nieco zirytowana Ludmiła. Nie gniewała się jednak na Otę za tę dość odważną uwagę, tylko na męża. I natychmiast zaczęła prawić mu wyrzuty:

– Co miały znaczyć te twoje słowa, tam na dole? Mam pomagać w kuchni żonie kowala?

– Dlaczego cię to dziwi? – zdumiał się Oldrzich i skrzyżował ręce na piersi na znak czystości swoich myśli. To rozzłościło jego żonę jeszcze bardziej.

– Pochodzę z bardzo szlachetnego rodu. A ona jest zwykłą mieszczką – rzuciła bez namysłu. Jednak od razu miała ochotę dać sobie po głowie, ponieważ to nie był zbyt mądry argument.

Zanim zdążyła się z tego wycofać, głos zabrał Oldrzich z Chlumu. Mówił uprzejmie i z pobłażliwością w głosie. Mało nie wyskoczyła ze skóry, ale musiała go wysłuchać. Uczono ją, że niegrzecznie jest wchodzić innym w słowo. A zwłaszcza własnemu mężowi. Miała więc nadzieję, że to jakoś wytrzyma.

– Droga Ludmiło, oczywiście masz rację. Tyle tylko, że takie zasady obowiązują na Bezdiezie, a nie podczas śledztwa. Wyraziłaś wolę uczestnictwa w nim, więc musisz przestrzegać reguł. Pierwsza polega na tym, że śledczemu nie wolno się zastanawiać nad tym, z jakiego rodu pochodzi. Najważniejsza jest służba sprawiedliwości.

– Ale dlaczego w kuchni? – broniła się.

– O tym traktuje reguła numer dwa – ciągnął nieustępliwie Oldrzich. – Należy przestrzegać zasad niezależnie od miejsca, w którym się znajdujemy.

– Stroisz sobie ze mnie żarty? – W oczach Ludmiły pojawiły się łzy bezradności.

– Wybacz – rzekł i spróbował ją objąć, ale nie pozwoliła mu na to. Wzruszył więc ramionami i kontynuował swój wywód: – Jeśli tego nie wiesz, to boję się o ciebie, bo cię kocham. Kiedy trochę się tu rozejrzę, może zabiorę cię do miasta. Ale dopóki się nie zorientuję, o co tu chodzi,

nie pozwolę ci samotnie chodzić po ulicach. I w dodatku wypytywać ludzi. Czy życie ci niemiłe? Nie jesteś na Bezdiezie, moja droga, tylko w mieście, po którym oprócz porządnych kupców włóczą się prostytutki, oszuści, bandyci, złodzieje, rozbójnicy i mordercy. A jeśli będziesz pomagać w kuchni, będzie to wyglądało zupełnie naturalnie. Przecież chyba nie chcesz wzbudzać podejrzeń już pierwszego dnia?

– Dlaczego dla was, mężczyzn, wszystko jest takie łatwe? – rozpłakała się. Dopiero teraz pozwoliła Oldrzichowi, aby ją objął i przez chwilę uspokajał.

– Przyrzekam, że będziemy ci relacjonować każdy szczegół. I wspólnie podejmować decyzje, zgoda? – zaproponował. – Ale pod warunkiem, że nie zrobisz niczego za moimi plecami. Znam cię, kochana. Obiecujesz?

Trochę się wzbraniała, ale ostatecznie dała mu słowo.

Tuż potem Oldrzich wraz ze swym giermkiem udał się do swoich spraw. Ludmiła pożyczyła miotłę i ceber z wodą i zabrała się do porządków. Następnie wypakowała worki podróżne, wytrzepała odzież i rozłożyła na skrzyni, żeby się trochę przewietrzyła. Uwinęła się z tym nadspodziewanie szybko.

Przysunęła stołek do okna, przysiadła i złożyła ręce na podołku. Z nadzieją wyglądała przez okno, wypatrując czegoś ciekawego. Jednak uliczką wzdłuż murów przechodziło niewielu ludzi, w większości miejscowych. Po kilku chwilach zaczęła się nudzić i znów ogarnął ją żal. W końcu nie wytrzymała, wstała i zbiegła na parter. Żonę kowala zastała w kuchni.

– Czekałam, aż się pojawisz – przywitała ją serdecznie kowalowa. – Nie gniewaj się, panienko, ale nie wyglądasz, jakbyś była przywykła do pracy w kuchni.

– Dlaczego tak myślisz? – zaniepokoiła się Ludmiła z Vartemberku.

– Spójrz na swoje dłonie. Gładkie jak jedwab. Nie, to nie są ręce gospodyni.

– W domu mam pomocnicę. Wydaję jej polecenia – broniła się nieprzekonująco. Żona kowala lekko uniosła brwi. Ludmiła najchętniej znów by sobie dała po głowie. W duchu przeprosiła męża. Praca śledczych okazywała się wcale nie taka łatwa, jak by się mogło zdawać. Nie miała w zwyczaju kłamać. Ale natychmiast uświadomiła sobie, że poszukiwanie prawdy wiąże się czasem z lawirowaniem wokół niej. Lecz tego jej w klasztorze nie uczono.

Ponieważ kowalowa przygotowywała cebulę, Ludmiła chwyciła nóż, szybko ją obrała i zręcznie pokroiła. To, że miała delikatne dłonie, nie oznaczało, że nie umiała sobie radzić w kuchni. Ucieszyło ją, że gospodyni kiwnęła z uznaniem głową.

Przez chwilę pracowały w ciszy, ale Ludmiła nie wytrzymała długo w milczeniu.

– Eliszko, czy tobie mąż także nie pozwala, abyś pomagała mu w jego pracy?

– A jak to sobie niby wyobrażasz? – zdziwiła się kowalowa, która wszak była krzepka i miała silne ręce. – Miałabym mu rozdmuchiwać ogień miechem? Albo zamiast niego kuć młotem żelazo? Niech sobie radzi sam. Mnie on w kuchni nie pomaga, więc dlaczego ja miałabym pomagać jemu? Ale o jakim mężu ty mówisz? Myślałam, że jesteś jeszcze niewiastą.

Ludmiła z Vartemberku z westchnieniem uświadomiła sobie, że powinna oberwać po raz trzeci, tym razem porządnie. Szybko wyjaśniła:

– Ja przecież nie mówiłam o sobie, tylko o rodzicach. Ojciec jest pod tym względem nieustępliwy.

– Wszyscy są tacy – przytaknęła doświadczona żona kowala. – Ale jeśli chłop robi swoje i przynosi do domu pieniądze, to chwała Bogu. No proszę,

jesteś zręczniejsza, niż myślałam!

Tym Ludmiła musiała się zadowolić. Przynajmniej ktoś ją docenił. Po chwili jednak znów zręcznie powróciła do rozmowy o tym, czego żona może oczekiwać od męża. Tym razem była ostrożniejsza. W klasztorze zakonnice ostrzegały ją przede wszystkim przed męską rozwiązłością, w domu zaś nakazywano jej bezwzględne posłuszeństwo wobec męża. Oldrzich z Chlumu wprawdzie traktował ją czule, ale nie pozwalał wtrącać się do swoich spraw. Świat żony kowala wydawał się zupełnie inny.

– W małżeństwie jest tak, jakbyś zaprzęgła do wozu ogiera i klacz – tłumaczyła gospodyni, ocierając zatłuszczoną ręką pot z czoła. W kuchni było gorąco i duszno. – Jeśli jedno ciągnie w lewo, a drugie w prawo, to niedobrze. Źle jest i wtedy, kiedy ogier popisuje się przed klaczą albo jeśli ona go prowokuje. Tylko gdy idą obok siebie spokojnie, z pokornie pochylonymi głowami i zgodnie wytężają siły, wóz jedzie. Moja droga, nie wolno ci oczekiwać od życia zbyt wiele. Dziękuj Bogu, jeśli dostaniesz cokolwiek. Jak wyjdziesz za mąż, przekonasz się, że to nie jest takie złe.

– Czy kobieta jest gorsza od mężczyzny? – Ludmiła jeszcze raz spróbowała słabo zaprotestować.

– A to niby dlaczego? – zdziwiła się żona kowala. – Właśnie na odwrót! Komu Bóg dał możliwość rodzenia dzieci? Nam, kobietom. Obowiązkiem mężczyzn jest utrzymywanie nas. A naszym – dbanie o rodzinę. Z czasem sama do tego dojdziesz.

ROZDZIAŁ IV

Oldrzich z Chlumu w towarzystwie giermka Oty obszedł Białą Wieżę i ruszył do centrum miasta ciasną i brudną uliczką, tak wąską, że z okna po jednej stronie można było niemal dosięgnąć ściany po stronie przeciwnej. Chociaż dzień był letni, jasny, tu panowały mrok i wilgoć. Cuchnęło zepsutym mięsem, w tej okolicy z pewnością mieszkało wielu rzeźników. Jakby na potwierdzenie, chyłkiem pod murem przemknął pies, trzymający w zębach kość, z której jeszcze zwisały krwawe strzępy.

– Dziś tylko obejdziemy miasto, żeby się w nim zorientować – zarządził Oldrzich.

Giermek przytaknął i dodał:

– Nie sądziłem, że Wrocław to tak wielkie miasto. To pierwsza trudność. Poszukiwanie zaginionego rycerza w takim mrowisku nie będzie łatwe. A druga trudność jest taka, że przebywamy tu nielegalnie i bez żadnych uprawnień.

– Gdyby nie ogromny szacunek, jakim darzę naszego króla, dodałbym, że trzecią trudnością jest zatajenie przed nami niektórych faktów –

poskarżył się Oldrzich z Chlumu. W ostatniej chwili uskoczył przed deszczem pomyj, które ktoś wylał z okna na piętrze.

Na szczęście właśnie dotarli do szerokiej, gwarnej ulicy, zastawionej kramami piekarzy, rzeźników i krawców. Panował tam ożywiony ruch, a dwaj przyjezdni z Bezdiezu poczuli się tak, jakby znaleźli się w zupełnie innym świecie.

– Król nigdy nie wyjawi nam całej prawdy – zauważył z lekkim uśmiechem Ota. – Wie bowiem, że jesteś najmądrzejszym człowiekiem w jego królestwie i, tak czy inaczej, sam ją odkryjesz.

– Odważna myśl. Wolałbym wszak wiedzieć, na czym stoję. Czy pojąłeś już, na czym polega główna sprzeczność zadania, które nam powierzono?

– Nie, mój panie.

– Oto, znam cię prawie tak, jakbyś był moim synem. Co ci siedzi w głowie? W innej sytuacji już dawno byś miał mnóstwo pomysłów.

– Przeceniasz mnie – mruknął Ota. Nie mógł przecież powiedzieć, że widział już kilka ładnych dziewcząt i wstydził się do nich uśmiechnąć z racji swego niechlubnie odmienionego wyglądu. Zmarszczył brwi i przez chwilę się zastanawiał. Przy kramie z obwarzankami, ustawionym przed okazałą kamienicą, zauważył zgrabną dziewczynę o długich warkoczach, zwiniętych z tyłu głowy w kok, ozdobiony dodatkowo wiankiem z polnych kwiatów. Właśnie podawała kilka obwarzanków tłustemu prałatowi, który już się oblizywał. Ota westchnął ciężko. Też by się oblizywał, ale cóż począć? Posłał prałatowi nieprzyjazne spojrzenie i w tej samej chwili coś zaświtało mu w głowie.

– Rzeczywiście może w tym być pewna sprzeczność – rzekł ostrożnie i popatrzył z ukosa na swojego pana. – Nasz król posłał tutaj Milicza ze Szvabenic, który podawał się za francuskiego rycerza Rolanda. Rzekomo

miał on sprawdzić, co się dzieje w kapitule biskupa wrocławskiego. Dlaczego więc król nie wysłał tam raczej jakiegoś prałata? Z pewnością ma pod ręką całe zastępy takich, którzy chętnie podjęliby się tego zadania i nadawaliby się do niego dużo bardziej niż rycerz. O, choćby ten pobożny, jak mawia o nim pani Ludmiła.

– Otóż to, drogi Oto. Już myślałem, że ci głowę zamroczył ten chwilowy celibat.

– To nie jest zabawne, mój panie!

– Myślisz, że nie zauważyłem, jak żałośnie wzdychałeś, kiedy mijaliśmy tę ładną piekareczkę? Ale obiecuję, jeśli tylko nadarzy się okazja, powierzę ci przesłuchanie jakiejś karczmarki.

– Jak uważasz. – Ota obojętnie wzruszył ramionami. – Nie wiesz, co się mówi o rudych? Że przynoszą pecha.

– Zmiana koloru włosów to był twój pomysł.

– Tyle że wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Ta jędza powiedziała mi to dopiero po wszystkim – skarżył się giermek Ota.

– Masz na myśli tę uroczą służącą na Bezdiezie, która was farbowała i którą byłeś taki zachwycony?

– Wcale nie byłem nią zachwycony. A poza tym: czy moglibyśmy wrócić do naszego śledztwa? Po próżnicy strzępimy języki. Jeśli Milicz miał zbadać sprawę w kapitule, to zeznania karczmarek raczej nam nie pomogą. A zakonnic nie przesłuchuję!

– Istnieje jeszcze jedna możliwość – zauważył Oldrzich z Chlumu. – Być może Milicz miał szukać czegoś innego. Nie wśród prałatów, ale na książęcym dworze. Dlatego król posłał tu rycerza, a nie księdza. Nie muszę ci tłumaczyć, że w takim przypadku będziemy musieli się zainteresować raczej książęcymi sługami. A oni, jak wiadomo, chętnie odwiedzają karczmy, piją, a potem się przechwalają. Karczmarka, która umie słuchać,

jest cenniejsza niż dziesięciu wójtów. To przecież twoje słowa, drogi Oto! Zawsze mnie przekonywałeś, że najwięcej można się dowiedzieć właśnie w karczmach. Czy coś się zmieniło?

– Nie – musiał przyznać giermek.

Doszli do końca ulicy. Skręcili za róg kamienicy z masywnym wykuszem i znaleźli się na rynku. Wielce ich zadziwił – okazał się o wiele większy niż praski, a nawet czeskobudziejowicki, który Oldrzich z Chlumu uważał za najokazalszy w Królestwie Czeskim. Oczywiście z wyjątkiem rynku w Bielej pod Bezdiezem. Tyle że na razie była to jedynie wielka łąka z rozsianymi tu i tam domami. Miasto dopiero się rodziło.

– To logiczne – rozważał na głos giermek Ota, któremu pomału wracał dobry humor. – Im większy rynek, tym więcej zmieści się kupców i tym większe dochody zyskuje skarb miasta. Akurat tę matematykę znam bardzo dobrze. Kiedyś spotykałem się z córką jednego rajcy. Tak tylko mówię, żebyś nie myślał, że uwodzę tylko dziewczęta z karczm.

– Wiem. Uwiodłeś również kilka szlachcianek. Zresztą z jakiegoż to powodu trafiłeś do więzienia, zanim się poznaliśmy?

– Byłem wtedy młody i naiwny – uśmiechnął się wesoło giermek. Nagle chwycił swego pana za rękaw i wskazał wzrokiem na tłum, kłębiący się wokół wozu stojącego przy pręgierzu. – Wydaje mi się, że widziałem Hynka Berkę z Duby.

– Skąd on by się tu wziął? – zdziwił się Oldrzich z Chlumu. Zatrzymał się i przez chwilę wpatrywał się w skupieniu. Ale wszędzie tłoczyła się nieprzenikniona ciżba.

– Może przyjechał coś kupić – podsunął Ota.

Potrącani przez ludzi zmierzających na rynek ruszyli dalej.

– Gdyby czegoś potrzebował, posłałby po to jednego ze swoich służących. Na jeżdżenie po jarmarkach jest zbyt zajęty. Zatrzymałby się we

Wrocławiu tylko wtedy, gdyby miał tu ważne spotkanie. A król na pewno go tu nie przysłał. Ostatnio mu nie ufa.

– A jeśli Hynek Berka coś knuje? A król dowiedział się o tym i dlatego w tajemnicy wysłał tu Milicza. Gdyby chodziło o panów z Duby, mógłby polegać na Miliczu, ponieważ Benesz z Duby odebrał mu narzeczoną.

– Nie fantazjuj, Ota! W śledztwie trzeba jak w naukach ścisłych. A ty bajdurzysz jak naiwny trubadur, który ujrzał niewiastę z pięknym licem i tworzy wokół niej poetycką legendę o czystości jej duszy i wielkiej miłości. Dopiero później okaże się, że niedawno otruła swojego męża. Pamiętasz historię Adelajdy z Oleszny?

– Ale Hynek Berka z Duby tam był. Ręczę za to swoją grzeszną duszą.

– No dobrze, przyjmijmy to za fakt. Jeden z wielu faktów. Ale stawianie hipotezy tylko na podstawie tego, że spotkaliśmy kogoś na jarmarku, nie licuje z powagą naszej misji.

– Z pewnością – przytaknął giermek z poczuciem winy. Nagle coś przyszło mu do głowy i aby odzyskać dobre imię, jął snuć nowe rozważania. – Milicz podawał się tu za francuskiego rycerza. W tej kwestii król raczej nie kłamał. Jest to zatem pierwszy niepodważalny pewnik, na którym możemy się opierać. Czy miał działać wśród prałatów, czy na książęcym dworze – tego na razie nie ustalimy, ale możemy już określić miejsce, które według mnie musiał tu odwiedzić.

– Interesująca uwaga, ale jeszcze nie wiem, co z tego wynika.

– W Pradze za Tynem stoi Ungelt. Każdy Niemiec, który przybywa w sprawach handlowych lub innych, tam zajeżdża. – Ota zamilkł i spojrzał znacząco na swojego pana.

Oldrzich się zamyślił, ale nadal nie rozumiał, do czego zmierza jego giermek. Swój urząd celny niemieccy kupcy mieli też tutaj, we Wrocławiu. Ale cóż z tego. W końcu wzruszył ramionami na znak, że się poddaje.

– Widać, panie, że nigdy nie spotykałeś się z córką kupca. Błąd! Dobry śledczy powinien doświadczyć wszystkiego, jak sam słusznie mawiasz – wyjaśnił z szelmowskim uśmiechem Ota. Chciał swemu panu odpłacić za żarty ze swego obecnego nieszczęsnego wyglądu. Ponieważ jednak Oldrzich wydawał się zirytowany, giermek szybko przeszedł do sedna. Wiedział, że istnieje granica tego, na co może sobie pozwolić, i że właśnie się do niej zbliża. – Chodzi o to, że podobne miejsca mają również kupcy z innych krajów – kontynuował rzeczowo. – W Pradze ci z Wenecji spotykają się Pod Złotą Wieżą za klasztorem ciotki naszego króla, przeoryszy Aneżki. Polscy kupcy upodobali sobie zajazd pod murami zwany Krakowem. Natomiast francuscy i burgundzcy – karczmę Pod Trzema Kogutami w pobliżu bramy kościoła Świętego Benedykta. I nie wątpię, że tu jest tak samo. Milicz podawał się za francuskiego rycerza, musiał więc pojawić się w takim miejscu, żeby zachować wszelkie pozory. Ponadto doskonale znał francuski.

– Doskonała myśl – zgodził się Oldrzich z Chlumu. – Tylko jest pewien haczyk. Żeby dostać się między tych ludzi, musimy zabrać ze sobą Ludmiłę. Tylko ona zna francuski.

– Jest jeszcze jedna możliwość – podsunął niewinnie giermek Ota. – Z pewnością pracuje tam karczmarka, z którą można się dogadać inaczej.

– Biorąc pod uwagę twój wygląd, stawiałbym raczej na moją żonę – nie darował sobie okazji do przytyku królewski prokurator.

Ota jednak nie dał sobie popsuć humoru. Spostrzegł, że podczas przechadzki po rynku kilka dziewczyn przyglądało mu się z wyraźną zachętą w oku. I ani jedna z nich nie była brzydka.

– Możemy na razie zrobić pierwszy krok – zaproponował Oldrzich z Chlumu po chwili namysłu. – Sprawdzimy, czy taki zajazd rzeczywiście istnieje i zajdziemy tam się rozejrzeć.

Dopiero trzeci kupiec, którego zagadnęli, dał im odpowiednie wskazówki. Francuzi we Wrocławiu zatrzymywali się U Świętego Ludwika. Był to duży zajazd przylegający do murów budowanego właśnie kościoła w klasztorze cysterskim. Z klasztornym szpitalem zajazd miał wspólny browar i piekarnię. A także piwnicę z winem. Kiedy tam dotarli, zorientowali się, że karczma pęka w szwach, jak zresztą wszystkie w mieście. Weszli i czekali przez chwilę przy drzwiach na jakieś wolne miejsce, ale mieli pecha. W końcu zrezygnowani wyszli na ulicę.

– Zauważyłeś? – spytał zupełnie zbytecznie Oldrzich z Chlumu. – Nie obsługiwała tam żadna dziewczyna. Tylko kilku młodzieńców.

– Francuzi zawsze byli dziwnym narodem – wzruszył ramionami giermek Ota. – Ale kiedy jeden z pomocników niósł z kuchni misę z mięsem, ujrzałem przez otwarte drzwi dwie piękne dziewczęta, obracające nad ogniem rożen z kurczakami. Wybacz, mój panie, ale normalnie karczma, w której gości nie obsługiwałoby kilka ładnych dziewcząt, nie utrzymałaby się nawet podczas jarmarku.

– Masz na pewno swoje doświadczenia – odparł trochę chłodno Oldrzich z Chlumu. – Ja z kolei znam przepisy.

– Właśnie dlatego jesteśmy tak dobrymi śledczymi – podsumował przyjaźnie giermek Ota.

Królewski prokurator na chwilę się zawahał, a potem z pełnym rezygnacji uśmiechem podsumował:

– To wprawdzie smutne, ale masz rację.

Wieczerzę podawano dopiero po wieczornej mszy. Jacek Młot nalegał, aby jego goście udali się z nim na nieszpory. Gdyby tego nie uczynili, mogłoby to według niego ściągnąć na domostwo nieszczęście. Kowal miał dwóch synów, krzepkich młodzieńców, którzy pomagali mu w warsztacie.

Ponadto towarzyszyła im chuda dziewczynka z okrągłą piegowatą twarzą i wielkimi ufnymi oczyma. Jej rodzice – wędrowni aktorzy przed rokiem zmarli z powodu zarazy i kowal przygarnął ją do swojego domu jako wychowankę. Jak spostrzegła Ludmiła z Vartemberku, wszyscy troszczyli się o nią bardziej, niż gdyby była ich własnym dzieckiem. Dziewczynka miała na imię Jadwiga, pięknie śpiewała i grała na lirze.

Na początku lata dni były długie, więc Oldrzich, Ludmiła, Ota i rodzina Jacka Młota wrócili z kościoła, zanim zaczęło się ściemniać. Kowal nalegał, aby wieczerzę spożyli wspólnie. Zapowiedział, że za ten posiłek im nie policzy. Powinni się lepiej poznać, skoro mieszkają pod jednym dachem.

Kazał wynieść stół na podwórze przed domem, jego synowie przynieśli z kuźni szerokie ławy, aby wszyscy się zmieścili. Ludmiła z Vartemberku pomagała żonie kowala przy wydawaniu posiłku. W dwóch misach parowała jagnięcina z cebulą w sosie śmietanowym, w koszykach piętrzyły się placki, a obok zieleniła się cięta rukiew. Młodszy syn kowala pobiegł do karczmy franciszkanów po dwa duże dzbanki piwa, ponieważ pod murami ceny były niższe.

Wspólnie pomodlili się przed posiłkiem. Tak jak przystało, kowal jako pan domu wziął pierwszy kęs. Dopiero potem gestem zachęcił gości do jedzenia. Oldrzich z Chlumu, tak jak przywykł w domu, skinął na Ludmiłę, aby skosztowała pierwsza. Ona jednak pokręciła głową, nachyliła się ku niemu i cicho, żeby nikt nie słyszał, szepnęła:

– Najpierw mąż. Jesteś przecież żywicielem rodziny.

Oldrzich, choć bardzo zdziwiony, skąd ta nagła zmiana, usłuchał. Tymczasem Jacek Młot opowiadał:

– Pytałem o tego waszego znajomego, Rolanda. Takie rzadkie imię. Żaden z moich znajomych nie spotkał w mieście nikogo takiego. Po mszy

poprosiłem o pomoc starszego cechu naszej kowalskiej braci. Może on go znajdzie, ma o wiele więcej znajomych niż ja.

– Nie musiałeś tego robić – wzbraniał się trochę zmieszany Oldrzich. Zaginionego Milicza oczywiście musiał odnaleźć, ale nie chciał, żeby po mieście się rozniosło, że ktoś pilnie poszukuje rycerza Rolanda. Jeśli z jego zniknięciem wiązała się intryga polityczna, kto wie, do jakich niepowołanych uszu mogłaby dotrzeć ta wieść.

– Mam swój rozum – uśmiechnął się kowal. – Ostrzegłem go, że sprawa jest poufna. Starszy cechu to człowiek godny zaufania. I umie trzymać język za zębami!

– Jak wpadłeś na to, że to poufna sprawa? – spytał zaskoczony Oldrzich.

– Jakoś tak to sobie wyrozumowałem. Mówiłeś, że musisz załatwić w mieście pewne sprawy, a było dla mnie jasne, że jesteś we Wrocławiu po raz pierwszy. Tymczasem jedyną rzeczą, którą interesowałeś się po przyjeździe, był ten zgubiony różaniec. O nic nie pytam. Jesteście moimi przyjaciółmi z Nachodu i nic więcej mnie nie obchodzi!

Przez chwilę posilali się w milczeniu, ale rozmowny kowal nie odpuścił sobie jeszcze jednego spostrzeżenia:

– Moją uwagę zwróciło również to, że chociaż jesteś franciszkaninem, czcigodny bracie, nie wybierałeś się na wieczorną mszę. A przecież dziś piątek.

– No widzisz – westchnął Oldrzich z Chlumu, gdy po wieczerzy znalazł się sam ze swoją żoną w jej pokoju na piętrze. – Człowiek cały czas się uczy. A zwłaszcza śledczy. Podczas jednego popołudnia popełniłem dwa poważne błędy.

– Ja trzy – przyznała się Ludmiła i opowiedziała mu szczerze o rozmowie z żoną kowala. Tylko wątek małżeński zachowała dla siebie.

– To nie był dobry początek. Powinniśmy wyciągnąć z tego naukę. Wiara w przyjazne słowa ludzi to największy błąd, jaki może popełnić śledczy – powiedział Oldrzich, gdy już spoczęli w łożu. – Dlaczego miałbym wierzyć temu kowalowi? A jeśli dla kogoś pracuje? Albo nas wyda? Nie wiem, czy jeszcze jesteśmy tu bezpieczni. Wyglądało to wprawdzie obiecująco, ale może powinniśmy się rozejrzeć za innym lokum.

– Zrobimy, jak zechcesz. Według mnie żona kowala to porządna i szczera kobieta. Jej mąż chyba również. Bo nie umiem sobie wyobrazić, że mogłaby żyć z nieuczciwym człowiekiem przez tyle lat i tego nie dostrzec.

– Ja umiem to sobie wyobrazić. Rozwiązałem już wiele podobnych spraw. Zdaję się jednak na ciebie, moja droga. Zostaniemy tu, ale musimy mieć się na baczności!

ROZDZIAŁ V

Rano Oldrzich z Chlumu wraz ze swą żoną Ludmiłą i giermkiem Otą wcześnie opuścili kuźnię. Podczas gdy on sam miał na sobie znoszony franciszkański habit, jego towarzysze wydobyli ze skrzyń zdobne szaty z drogich materiałów.

– Nie uszło mojej uwadze to, co nasz gospodarz mówił wczoraj przy wieczerzy – oznajmił Ota, gdy wyszli na ulicę. – Nie dawało mi to spokoju, więc na noc przeniosłem się na stertę siana pod daszkiem na podwórzu. Było ciepło, niebo jasne. Pomyślałem, że warto dopilnować, aby komuś nie przyszło do głowy potajemnie opuścić nocą dom. Na przykład po to, aby donieść o przybyciu dziwnych gości.

– I?

– Ledwo się położyłeś, mój panie, wymknął się z izby czeladnej starszy syn kowala. Ale poszedł tylko dwa domy dalej. Do dziewczyny. Poza tym był spokój.

– Dobrze zrobiłeś, miły Oto – pochwalił go Oldrzich z Chlumu. – I chociaż jedna noc jeszcze nic nie znaczy, możemy być nieco spokojniejsi. Śniadanie zjemy w mieście.

– Domyślam się, że w zajeździe U Świętego Ludwika.

– Jest wcześnie, teraz na pewno znajdziemy tam wolny stół, ale nie udamy się razem – wykładał swój plan Oldrzich. – Najpierw wejdę ja, a wy dopiero po chwili. I oczywiście się nie znamy!

– Co dokładnie mam robić? – spytała Ludmiła z Vartemberku, zachwycona, że może się przyłączyć do śledztwa.

– Z początku nic. Usiądźcie przy stole jak najbliżej mojego i zamówcie coś do jedzenia. Potem pojawi się tam chłopiec i szepnie kilka słów Ocie do ucha. On cię przeprosi, powie, że wzywają go pilne sprawy, i wyjdzie. Zostawi cię samą. Przypuszczam, że któryś z gości zagai z tobą rozmowę. Potem już wszystko będzie w twoich rękach. Jeśli się okaże, że jest to ktoś, kto przyjechał na jarmark i nigdy przedtem nie był we Wrocławiu, szybko go odpraw. Interesują nas tylko ci, którzy mogli spotkać Milicza. Może szczęście się do nas uśmiechnie.

Chłopca, który za srebrniaka przekaże Ocie rzekomą pilną wiadomość, znaleźli szybko. W zajeździe siedzieli wprawdzie goście, ale nie wszystkie ławy były zajęte. Oldrzich zajął miejsce tuż przy drzwiach i zamówił kaszę jaglaną oraz piwo. Przyniósł mu je rosły pomocnik karczmarza. Sprawnie rozstawił naczynia i odszedł. Ota z Ludmiłą pojawili się po chwili. Jedyne wolne miejsce, które dla nich zostało, znajdowało się po przeciwnej stronie izby, pod oknem. Przy stole siedziało już kilku mężczyzn wyglądających na zamożnych. Rozmawiali ze sobą po francusku.

– Dziś przyjechaliście? – spytał ich uprzejmie pomocnik karczmarza, który obsługiwał gości w zajeździe.

– Wczoraj – sprostowała Ludmiła z Vartemberku. – Jesteśmy tylko przejazdem. Możemy dostać zupę i placki?

– Ależ oczywiście – potwierdził młodzieniec. – Mamy bulion z warzywami i grochem. Wybaczcie mi wścibstwo. Jeśli zatrzymaliście się

gdzieś, gdzie wam rano nie dali jeść, przenieście się do nas. Mamy jeszcze jedną izbę wolną.

Otworzyły się drzwi i do środka wbiegł chłopiec, z którym przed chwilą się umówili. Zawahał się na progu i wydawało się, że podejdzie do innego stołu, ale zaraz poznał Otę i ruszył w jego stronę. Giermek wysłuchał go z poważną miną, przeprosił Ludmiłę i wyszedł.

– Jedzenie przynieś tylko dla mnie – zwróciła się Ludmiła do pomocnika karczmarza.

Młodzieniec skłonił się i odszedł.

– Nas również by ucieszyło, gdybyś przeprowadziła się tutaj – zwrócił się do Ludmiły jeden z mężczyzn siedzących przy stole. Mówił poprawną niemczyzną. Ludmiła odpowiedziała mu po francusku z wyraźnym burgundzkim akcentem. Klasztor, w którym się wychowywała, znajdował się niedaleko Lille.

– O co wam chodzi? – spytała ostrożnie. – Ten pomocnik karczmarza chce, żebym się tu zatrzymała, ponieważ, jak mniemam, chodzi mu o zarobek. Ale dlaczego zapraszacie mnie tutaj również i wy, panowie?

– Ponieważ jesteś piękna, czcigodna panno. Czy może już pani?

– Skąd pewność, że odpowiem? I że zechcę z wami rozmawiać, skoro nawet nie wiecie, co to jest uprzejmość? Nie przypominam sobie, abyście się mi przedstawili.

Mężczyźni wymienili krótkie rozbawione spojrzenia. Wprawdzie Ludmiła miała na sobie wykwintny strój, ale to nie musiało jeszcze nic oznaczać. Takie suknie nosiły również niektóre bogate prostytutki. Lecz sposób, w jaki się wypowiadała, świadczył o tym, że zwykła przebywać na rycerskich dworach.

– Oczywiście, właśnie zamierzaliśmy to zrobić – powiedział najstarszy z nich. Miał gęstą białą brodę i pomarszczoną twarz. – Jestem rycerz Jean

d'Angulléme, do usług pani. Przyjechałem tu jako wysłannik francuskiego króla. Ci dwaj rycerze to moi przyjaciele.

Ludmile serce podskoczyło z radości, ponieważ nie natrafiła na zwykłych kupców. Ci trzej z pewnością przebywali we Wrocławiu od dłuższego czasu. Uśmiechnęła się i użyła całego swojego wdzięku i czaru, aby nakłonić ich do dalszej rozmowy. Szczególnie Jean d'Angulléme okazał się szarmanckim mężczyzną i ranek w jego towarzystwie płynął przyjemnie. Wreszcie nadarzyła się stosowna okazja, aby wspomnieć o zaginionym czeskim rycerzu.

– Jakiś czas temu Wrocław odwiedził mój rodak. Może go spotkaliście. Rycerz Roland.

Wszyscy trzej pokręcili głowami, ale nagle jeden z nich uderzył się dłonią w czoło.

– Rzeczywiście, tak. Taki młodzieniec bez wyrazu, szczupły i wysoki.

– Szare oczy i nos jak haczyk – dodała Ludmiła z Vartemberku.

– Pojawiał się tutaj – przypomniał sobie rycerz. – Raz czy dwa widziałem go na podwórzu. I pamiętam, że ktoś nazywał go Rolandem. Ale tutaj, w zajeździe, nie przesiadywał. I z pewnością nie wynajmował tu pokoju, bo spotykalibyśmy go częściej.

W tym momencie do sali szybkim krokiem wszedł giermek Ota. Przywitał się z towarzyszami Ludmiły i od razu wytłumaczył, że musi pilnie załatwić pewną sprawę.

– Sprawy handlowe – rzucił krótko. Połknął zupę Ludmiły, rzucił na stół kilka srebrniaków i zbierał się do odejścia.

– Mam nadzieję, że wam smakowało? – odezwał się za nimi przyjemny kobiecy głos. Giermek Ota szybko się odwrócił. Za nim stała kobieta w powłóczystej zielonej sukni. Jej rude włosy uczesane były w wysoki warkocz. Miała proporcjonalną twarz, nieco blade policzki i duże zielone

oczy. Przekroczyła już na pewno trzydzieści lat, ale wciąż biła od niej wielka uroda.

– Ten zajazd należy do mnie – wyjaśniła. – Pomocnik napomknął, że możecie być zainteresowani noclegiem.

– Już zapłaciliśmy gdzie indziej – wzruszył przepraszająco ramionami giermek Ota. – Jest jarmark, z łatwością znajdziesz innych gości, pani.

– Na pewno, ale ja sama ich sobie wybieram.

Nawet niedoświadczony młokos dostrzegłby w tych słowach niedwuznaczną propozycję.

– Tak czy inaczej, dziękuję za zaproszenie. Zobaczymy, jak się sprawy ułożą – odparł, uprzejmie podał ramię Ludmile i wyprowadził ją na zewnątrz.

Chwilę później od stołu podniósł się również Oldrzich z Chlumu. Zapłacił i pośpieszył za nimi.

– Nie dowiedziałam się niczego godnego uwagi – tłumaczyła się Ludmiła z Vartemberku, kiedy dokładnie zrelacjonowała towarzyszom rozmowę z francuskimi rycerzami.

– Przeciwnie, zrobiłaś to doskonale. Potwierdziłaś, że nasze przypuszczenia były słuszne – pochwalił ją Oldrzich z Chlumu. – Wprawdzie Milicz się tam pojawiał, ale musimy go szukać gdzie indziej. To byłby cud, gdyby udało nam się go znaleźć przy pierwszym podejściu.

– Szkoda – westchnął giermek Ota. – Ta karczmarka była taka miła. Poza tym miała piękne rude włosy. Prawie takie jak ja.

– Mnie wcale się nie podobała – zaprotestowała Ludmiła z Vartemberku. – Karczmarki bywają wulgarne, ale ta udawała kogoś lepszego, niż jest naprawdę. Ponadto miała takie dziwne oczy. Złe. Oto, zaufaj mi, omijaj ją z daleka.

– Też ci to radzę – przyłączył się Oldrzich z Chlumu. – Chociaż z innego powodu niż moja droga Ludmiła. Dla naszego śledztwa byłaby to strata czasu. Do tej karczmy już nie wrócimy. Milicza trzeba szukać gdzie indziej. Jeśli już musisz grzeszyć, to tylko w słusznej sprawie.

– Z wami nie da się rozsądnie rozmawiać. Grzeszyć nie powinno się nigdy. Ale tłumaczenie wam tego jest jak rzucanie grochem o ścianę – denerwowała się Ludmiła.

– Jeśli chrześcijanin odpokutuje za grzechy, Bóg mu je odpuści – zauważył pogodnie Ota. – A poza tym ja nigdy nie grzeszę ze złej woli.

– Gdybyś miał pokutować za swoje wszystkie występki, musiałbyś zostać pustelnikiem – irytowała się Ludmiła. Dostrzegła rozbawienie swojego męża i ze smutkiem powiedziała: – Ja wiem, tylko wam tu przeszkadzam.

– Wybacz, nie o to mi chodzi. Ale my naprawdę nie żyjemy w klasztorze. I, chwała Bogu, ty też nie, moja droga.

– Przyzwyczajam się – skinęła i spróbowała się uśmiechnąć.

Zmierzali powoli ku rzece szeroką ulicą, przy której stały domy z dużymi obejściami, zastawionymi stosami belek. Tu mieszkali bednarze, stolarze, a przede wszystkim wytwarzano tu i naprawiano powozy. Dlatego ulica nosiła nazwę: Kołodziejska.

Nagle Oldrzich z Chlumu chwycił Ludmiłę za rękę i pociągnął ją w podcienie. Ocie nie trzeba było nic mówić. Skoczył za nimi i razem ukryli się za masywnym kamiennym słupem, podpierającym arkadę podcieni.

– Widzisz go? – szepnął Oldrzich i wskazał na przeciwną stronę ulicy.

Szedł tamtędy Hynek Berka z Duby w towarzystwie dwóch kanoników kapituły wrocławskiej i żywo o czymś z nimi dyskutował.

– Śledź go – polecił cicho swemu giermkowi Oldrzich z Chlumu. – Ale ostrożnie! Przede wszystkim dowiedz się, gdzie się zatrzymał. Rozpytaj, kiedy przyjechał do Wrocławia. I czy przypadkiem nie odwiedził miasta przed dwoma miesiącami.

Ota skinął na znak, że to się rozumie samo przez się. Zaczekał chwilę, aż pan z Duby trochę się oddali, po czym ruszył za nimi ukryty w podcieniach.

– A ja wrócę do kuchni – zaproponowała Ludmiła z Vartemberku.

– Czyż nie szkoda marnować na to tak pięknego dnia? – zdziwił się Oldrzich z Chlumu. – Jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, może przeszlibyśmy się trochę po mieście? Wstąpimy gdzieś na obiad.

– A twoje śledztwo?

– Chyba chciałaś powiedzieć: nasze – poprawił ją. Chwycił żonę za rękę i przyciągnął do siebie. Objął ją i pocałował w policzek.

– Co to za zwyczaje! – odezwał się głos za nimi. Jakaś kobieta w słusznym gniewie zaczęła im czynić wyrzuty: – Szanuj swą regułę, bracie! Franciszkanin, a zachowuje się jak pierwszy lepszy chorąży! A ty, bezwstydnico, jak ci nie wstyd uwodzić syna Kościoła!

Ludmiła spojrzała na swojego męża i oboje wybuchli głośnym śmiechem.

Kobieta machnęła ręką i poszła dalej.

– Miała rację – zauważyła Ludmiła, kiedy zostali sami. – Należało nam się. Musimy się bardziej pilnować.

– Kiedy wymyślaliśmy swoje przebrania, nie przyszło mi do głowy, że w twoim towarzystwie tak trudno będzie mi powściągnąć swoje żądze. Co chwila zapominam, że jestem zakonnikiem. Twoja uroda, żono, mąci mi rozum.

– Mówisz jak twój giermek – skarciła go z uśmiechem. – Cieszę się, że mogę z tobą podróżować. Widzę teraz, że do tej pory nie rozumiałam wielu twoich obowiązków. Ale teraz już będzie mi łatwiej je sobie wyobrazić, kiedy znów będę na ciebie czekała w domu na Bezdiezie. Twoja praca nie jest łatwa.

– Szkoda, że jestem franciszkaninem – szczerze westchnął Oldrzich z Chlumu. – Gdyby to było możliwe, dałbym ci całusa.

– Zostaw to na noc – powiedziała trochę wstydliwie.

Giermek Ota nie miał trudnego zadania, ponieważ Hynek Berka z Duby szedł ze swymi towarzyszami powoli i ani razu się nie obejrzał. Zachowywał się z beztroską tych pewnych swej potęgi i nietykalności ludzi, którym nawet nie przyszłoby do głowy, że ktoś może się im przeciwstawić.

Hynek Berka słynął z odwagi. Był niewysoki, ale krępy, więc wyglądał trochę jak niedźwiedź. Poruszał się leniwie i niezgrabnie, ale to były tylko pozory. Wielu rycerzy, którzy dali się im zwieść, słono zapłaciło w walce z panem z Duby. Wyglądał on dobrodusznie, ale to również stanowiło jedynie element udanego kamuflażu.

Niegdyś w północnych Czechach prowadził wojnę przeciw rodowi Vartemberków i poczynał sobie w niej nad wyraz skutecznie. Był rycerzem z krwi i kości i potrafił zaskarbić sobie powszechny szacunek. Przestrzegał rycerskiego kodeksu honorowego i, choć pragnął władzy i majątku, nigdy nie złamał danego słowa. Jednak jego wrodzony spryt pozwalał mu tak lawirować, że działał podług swego interesu bez plamy na honorze.

Chociaż w północnych Czechach panował obecnie pokój, Oldrzich z Chlumu wiedział, że pan z Duby wykorzysta każdy pretekst, aby wszcząć nową wojnę z Vartemberkami. Gdyby do niej doszło, byłoby to dla

Oldrzicha bardzo kłopotliwe, ponieważ jako przedstawiciel władcy musiałby pozostać bezstronny. Wcześniej, dopóki jeszcze był wdowcem, nie stanowiło to problemu, ale teraz miał za żonę siostrę głowy rodu, mającego lwicę w herbie. Marek z Vartemberku to rozumiał i dlatego rozmyślnie unikał konfliktów. Natomiast Hynek Berka z Duby tym chętniej go prowokował.

Giermek Ota dałby wszystko, aby usłyszeć, o czym ci trzej rozmawiają. Mówili dość głośno, ale nie udało mu się podejść na tyle blisko, aby zrozumieć treść rozmowy. Z gestów jednak jasno wynikało, że próbują coś ustalić, ale nijak nie mogą dojść do porozumienia. Zbliżyli się do rzeki i zatrzymali na skraju szerokiego drewnianego mostu, prowadzącego z miasta do pałacu książęcego. Hynek Berka z Duby naciskał na obu prałatów, ich gesty stały się bardziej porywcze, a na koniec najwyraźniej się pokłócili. Pożegnali się chłodno skinieniem głowy. Prałaci podążyli przez most na Odrze, a pan z Duby zawrócił do miasta.

Giermek Ota ukrył się za kupieckim powozem i poczekał, aż potężny wielmoża z północnych Czech przejdzie obok niego. Potem dalej skrycie za nim podążał. Tym razem Hynek Berka z Duby również nie obejrzał się ani razu. Przeszedł przez rynek i skręcił w boczną ulicę za ratuszem. Zrobił jeszcze kilka kroków i wszedł do zajazdu, nad którego drzwiami znajdował się szyld głoszący, że mieści się tu Piwnica Świdnicka.

Ota pozostał za rogiem i czekał. Dopiero kiedy miał pewność, że Hynek Berka z Duby usiadł wewnątrz, wszedł przez bramę na podwórze zajazdu. Panował tam duży ruch, właśnie przyjechali dwaj kupcy, jedni służący wyprzęgali konie, a inni przez tylną bramę przenosili towary z wozów do budynku ratusza, gdzie za niewielką opłatą można było je bezpiecznie składować. Giermek Ota niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę, lecz cały czas zachowywał czujność. Jeśli jest tu Hynek Berka z Duby, jest

tu też jego drużyna. Większość służby czeskiego wielmoży znała Otę. I chociaż teraz był rudy, miał zarost i znamię na twarzy, stale musiał uważać, aby się nie zdradzić.

– Co się tutaj tak kręcisz? – spytał go krzepki mężczyzna z włócznią w ręku. Mimo iż lato było parne, miał na sobie skórzany kaftan, a na głowie hełm. U jego pasa wisiał przytroczony nóż. Do zadań tego jegomościa najwyraźniej należało czuwanie nad porządkiem. W pobliżu ratusza krążyło kilku takich samych zbrojnych.

– Chyba zabłądziłem – tłumaczył pokornie giermek Ota. – Przyjechałem dopiero wczoraj.

Strażnik jeszcze raz zmierzył go wzrokiem, ale stwierdził, że skoro młodzieńca zdobią wytworne szaty, nie jest on żebrakiem. Mruknął coś i oddalił się.

– Potrzebujesz pomocy? – spytała rudowłosa dziewczyna, która podsłuchiwała ich rozmowę. Ukrywała się za wrotami stajni, aby zbrojny jej nie dostrzegł. Dobrze wiedziała, dlaczego nie powinien jej zobaczyć. Prostytutki miały obowiązek noszenia na przedramieniu żółtej chustki. A ona jej nie miała. Tak łatwiej szukało się klientów.

Jednakże giermek Ota już na pierwszy rzut oka zorientował się, kim jest. Była szczupła, młoda, a jej zawód nie odcisnął jeszcze na niej żadnego piętna. Miała spokojne oczy i figlarny wyraz twarzy. Ota wiedział, że za kilka lat w jej oczach pojawią się rezygnacja i zmęczenie, a uśmiech zostanie zastąpiony wulgarnym grymasem. Przyszło mu do głowy, że pani Ludmiła właściwie ma rację. Grzech zniszczy każdego chrześcijanina. Obiecywał sobie, że gdy skończy się śledztwo we Wrocławiu, zastanowi się nad sobą. Ale teraz nie był ku temu właściwy czas.

– Jak masz na imię? – spytał i skłonił się lekko niczym rycerz, proszący szlachetną damę do tańca.

Dziewczyna zachichotała rozbawiona.

– Maryla – odpowiedziała uprzejmie i odwzajemniła ukłon. Miała wdzięczne ruchy.

– Przypuszczam, że chcesz zarobić jakiegoś srebrniaka. Nie, nawet nie musisz odpowiadać. Mogę dać ci ich kilka, ale musisz coś dla mnie zrobić.

– Cokolwiek zechcesz – odparła wyzywająco.

– Ale to będzie coś bardzo szczególnego!

Na chwilę przystanęła i rzuciła mu zaciekawione spojrzenie. Od bardziej doświadczonych towarzyszek wiedziała o różnych zachciankach zdeprawowanych mężczyzn. Ten młodzieniec wydawał się jednak sympatyczny. Ponadto był z pewnością zamożny i poświęcenie mogło się opłacić. Skinęła głową w oczekiwaniu.

– Mogę ci zaufać? – spytał. Ponaglająco chwycił ją za rękę i zaprowadził w cień pod jeden z daszków koło bramy. Stał tam pusty powóz, a za nim pod ścianą leżała sterta słomy.

– Chcesz to zrobić tutaj? – spytała trochę rozczarowana.

Pokręcił głową.

– Chcę tylko, żeby nikt nas tu nie dojrzał. Jeśli się postarasz, zapłacę ci tak, jakbyś dogadzała mi przez całą noc. Posłuchaj – przed chwilą do zajazdu wszedł pewien czeski rycerz.

Opisał go szczegółowo. Maryla słuchała w skupieniu, a potem przyznała, że go zauważyła. Wiedziała, o kim mowa.

– Świetnie. Wejdziesz do środka i zaczniesz z nim rozmawiać. Dziewczyna taka jak ty łatwo go sobie zjedna. Wiem, że lubi kobiety i nie zawraca sobie głowy przysięgą małżeńską. Zarobisz podwójnie, jeśli zaprowadzi cię do pokoju. Z pewnością dobrze ci zapłaci. A ja potem jeszcze lepiej. Chcę wiedzieć, po co przyjechał do Wrocławia.

– To się nie uda – westchnęła zrezygnowana. – Nie wpuszczą mnie do środka. Karczmarz mnie zna, a podczas jarmarku prostytutki mają zakaz wstępu do wszystkich karczm. Ale porozmawiam z siostrą.

– Siostrą? A co nam to da?

– A jak myślisz, dlaczego tu jestem? – uśmiechnęła się. – Dziś służy w tej karczmie jako pomoc. W odróżnieniu ode mnie to porządna dziewczyna. A więc biedna. Będziesz musiał zapłacić i jej!

– A zatem biegnij, poczekam na ciebie – zgodził się ochoczo giermek Ota i dla zachowania pozorów klepnął ją w pośladek.

Nie minęło wiele czasu, gdy pod daszkiem pojawiły się obie dziewczyny. Siostra Maryli była starsza, wysoka, ale i ona miała pewien wdzięk.

– No mów – szturchnęła ją łokciem Maryla.

– Nie wolno – odparła dziewczyna poważnie. – Pan zabronił mówić o naszych gościach. Ale jeśli chodzi o miłość…

Maryla rzuciła Ocie znaczące spojrzenie na znak, żeby niczemu się nie dziwił. Tylko w ten sposób mogła się z nim dyskretnie porozumieć.

– Ten człowiek, który ci uwiódł narzeczoną, nazywa się Hynek Berka z Duby. W mieście jest od tygodnia i zatrzymał się tu, u nas. Zajmuje tylną izbę na piętrze nad schodami. Nie interesuję się sprawami gości, ale jeśli dobrze zrozumiałam, szuka kogoś w mieście. Powiedziałabym, że raczej mężczyzny niż kobiety. Wypytywał o jakiegoś francuskiego rycerza. Więcej nie wiem.

Pośpiesznie się ukłoniła i uciekła.

– Pieniądze dla niej daj mnie – zdecydowała Maryla. – Potem jej przekażę. A co będzie z nami?

Giermek Ota rozwiązał mieszek i włożył dziesięć denarów w jej wyciągniętą dłoń. W oczach dziewczyny mignęło zadowolenie. Podwinęła

spódnicę, pod którą miała przywiązaną sakiewkę, i natychmiast schowała pieniądze.

– Podczas jarmarku w mieście strasznie kradną – wyjaśniła.

Ota zdążył zauważyć, że dziewczyna ma bardzo zgrabne nogi. Z trudem przełknął ślinę, ponieważ od czasu, kiedy opuścił Bezdiez, naprawdę przestrzegał celibatu. Pomyślał, że mu się nie śpieszy. I tak dowiedział się więcej, niż oczekiwał. Przyszło mu do głowy, że może powinien dać swemu panu i Ludmile trochę czasu tylko we dwoje. Tylko by przeszkadzał.

Tymczasem Maryla objęła go, uniosła nogę i oplotła jego biodra. Przywarła do niego i pocałowała. Było to wprawdzie niezgodne z zasadami jej rzemiosła, ale chciała podkreślić, że nie robi tego tylko dla pieniędzy.

– Ale nie tutaj – zaprotestował Ota, gdy zaczęła pośpiesznie unosić spódnicę. – Gdzie tu można wynająć izbę na parę godzin?

Maryla spoważniała. Nie przywykła do takiej uprzejmości. Poczuła nawet nierozsądną chęć, by oddać mu się za darmo. Ale zaraz ją odrzuciła. Skoro tego młodzieńca stać na pokój, to dlaczego miałoby jej coś nie skapnąć?

– Po drugiej stronie rynku jest browar. Stoi tam też karczma. Nazywa się Pod Złotym Dzbanem. Na poddaszu można wynająć pokoik. Za trzy denary, z piwem za siedem.

Miała rację. Giermek Ota zapłacił, dostał dzban z piwem, a Maryla klucz. Piwo było znakomite, młoda dziewczyna również.

ROZDZIAŁ VI

Było już późne popołudnie, gdy Oldrzich z Chlumu wraz z Ludmiłą wrócili do domu kowala pod murami miasta. Ledwie przeszli przez bramę wiodącą na podwórze, podszedł do nich Jacek Młot.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – oznajmił z dumą. – Starszemu cechu naszego bractwa udało się znaleźć zajazd, gdzie zatrzymał się ten twój rycerz. O żadnym różańcu jednak nikt tam nie słyszał. Tylko wiesz, karczmarze to łotry i jeśli gość czegoś zapomni, bez mrugnięcia okiem sprzedają to, potem udają niewiniątka. Może powinieneś sam porozmawiać z tym karczmarzem.

– Oczywiście, chciałbym – zgodził się Oldrzich z Chlumu i rzucił przepraszające spojrzenie swojej żonie.

Ta lekko skinęła głową i się uśmiechnęła. Przeżyła cudowny dzień i zapamięta go na długo. Ochoczo zaproponowała:

– Zajdź tam. Ja w tym czasie pomogę w kuchni.

– Właściwie prawie wszystko gotowe – oznajmiła żona kowala, która stała w drzwiach i ich obserwowała – ale przynajmniej nie będę się nudzić. Chodź, panienko.

– Zajazd również stoi pod murami, ale już blisko rzeki, kawałek od Bramy Opolskiej – objaśniał kowal. W kamiennym korycie szybko opłukał spoconą twarz i ręce czarne od węgla drzewnego. Potem zawołał swoich synów, aby pilnowali ognia w palenisku. Wyszli na ulicę, minęli Białą Wieżę i podążyli wąską uliczką, która okalała miasto wzdłuż murów.

Kowal szedł szybko, nie musieli się przedzierać przez tłumy tak jak w pobliżu rynku, ponieważ ulice na skraju miasta były niemal puste. Zza dachów dobiegał gwar z rynku. Oldrzich z Chlumu milczał. Nie chciał wypytywać, aby nie budzić dodatkowych podejrzeń. Cała sytuacja i tak była dla niego niezręczna i obawiał się kłopotów. Wciąż się zastanawiał, dlaczego król życzył sobie, aby prowadzili śledztwo potajemnie.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł kowal, gdy obeszli bramę i skręcili w szeroką ulicę.

Na rogu stał okazały zajazd. Podwórze znajdowało się z tyłu i prowadziło do niego szerokie przejście przez budynek. Parter postawiono z kamienia, natomiast wystające nad ulicą piętro było zgodnie z niemiecką modą zbudowane z muru pruskiego. Na ścianach widniał czerwony tynk, a belki pomalowano na zielono. Zajazd wyglądał na przyjazne i bezpieczne miejsce. Obok przejścia znajdowały się drzwi do karczmy, nad którymi wisiał szyld z namalowanymi na nim obcęgami i młotkiem.

Oldrzich z Chlumu zatrzymał się i zwrócił się do swojego przewodnika:

– Czy to nie jest przypadkiem gospoda waszego cechu?

– Dlaczego tak myślisz? – Jacek Młot wyglądał na wystraszonego tym pytaniem.

– Na szyldzie widnieją symbole twojego rzemiosła.

– Ach, o to chodzi. Racja, wykorzystujemy ją czasem do naszych spotkań. Mogą się tu też zatrzymywać czeladnicy przejeżdżający przez Wrocław. To tylko przypadek. Chodź dalej, czcigodny bracie Anzelmie.

– Moment, moment – zatrzymał go Oldrzich z Chlumu. – I akurat tu zatrzymał się ten francuski rycerz? Mam w to uwierzyć? Jeśli starszy cechu waszego bractwa chciał ze mną poufnie porozmawiać, powinien był zrobić to mądrzej. I uprzejmiej.

Odwrócił się i bez słowa ruszył z powrotem uliczką wzdłuż murów, uważnie nasłuchując, co dzieje się za jego plecami. Tak jak się spodziewał, ledwo ruszył, z karczmy wybiegło kilku mężczyzn. Wszyscy rośli i krzepcy. Przeszedł jeszcze kilka kroków, aby zniknąć z pola widzenia strażnikom stojącym przy bramie, a potem cofnął się pod mury. Poczekał, aż pościg znajdzie się kilka kroków od niego. Dopiero wtedy sięgnął pod habit i dobył miecza. Mężczyźni zrobili jeszcze dwa czy trzy kroki i zatrzymali się zaskoczeni. Na ich czele stał starszy człowiek z nosem podobnym do ogórka. Odziany był w niebieski strój, a jego szyję zdobił srebrny łańcuch – znak, że jest starszym cechu wrocławskich kowali.

– Czego chcecie? – spytał spokojnie Oldrzich z Chlumu.

– To my będziemy zadawać pytania – odparł ostro mężczyzna.

Jacek Młot stał z boku i wyglądał na zmieszanego. Nie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń.

– Zapominacie o pewnym istotnym argumencie, którym jest miecz w moim ręku!

– My tu jesteśmy u siebie. Spróbuj nas zaatakować, a skończysz na szubienicy! Coś ty za jeden?

– Ktoś, kogo chroni glejt Ojca Świętego z Rzymu – odparł spokojnie Oldrzich z Chlumu i schował miecz. Potem wyjął papier i uniósł go nad głowę, aby było widać pieczęć. – Nawet gdybym wam wszystkim ściął głowy, nie macie prawa mnie tknąć, bo w przeciwnym razie cały Wrocław zostałby obłożony klątwą. Lecz ja nie szukam w was wrogów. Jestem tu tylko przejazdem.

– Dlaczego wszędzie wypytujesz o tego francuskiego rycerza? – nalegał starszy cechu. Krótko się obejrzał i karcącym spojrzeniem zmierzył Jacka Młota. O glejcie wcześniej nie było mowy.

– Ten rycerz zgubił różaniec, wyjaśniłem to mojemu gospodarzowi. Przykro mi, że we Wrocławiu nie umiecie szanować tradycji ojców. Myślałem, że zasada gościnności jest święta. Ale, jak widzę, czasy się zmieniają. Jeszcze coś?

Gromada mężczyzn, nie wiedząc, jak się zachować, z zakłopotaniem przestępowała z nogi na nogę.

– Nie mamy złych zamiarów – mruknął ponuro starszy cechu. – Ale i ty zrozum, że nie mogliśmy tego zlekceważyć. Wójt o niczym nie wie. Chcieliśmy tylko sprawdzić, o co ci tak naprawdę chodzi. Nasze bractwo też nie chce kłopotów. Lecz gdyby się okazało, że jesteś na przykład złodziejem? Albo podpalaczem?

– Cóż za głupie rozumowanie!

– Nie musisz nas obrażać tylko dlatego, że masz glejt. Ten francuski szlachcic, Roland, przed kilkoma miesiącami uciekł z zajazdu. Jest nam winien za trzy tygodnie pobytu. Zapłacisz ten dług za niego?

Oldrzich z Chlumu przez chwilę się zawahał. Wiedział, że zgodnie z prawem wójt może zatrzymać przyjaciół oraz krewnych dłużników i więzić ich tak długo, dopóki dłużnik lub oni sami nie zapłacą należności. Kłopotliwa sytuacja.

– Roland nie jest moim przyjacielem – zauważył. – A glejt mnie chroni.

– To już mówiłeś – skinął chłodno starszy cechu. – Nie zamierzamy cię wydać. Ale chcemy usłyszeć prawdę! Nie chodzi o różaniec, tego nam nie wmówisz. W czym naprawdę jest rzecz?

– Ta sprawa was nie dotyczy.

– Zajazd, w którym ten francuski rycerz ma dług, należy do mojego teścia.

– Czyli Roland pewnego dnia spakował się i zniknął?

– W rzeczy samej. Niektóre łotry tak właśnie robią. Dlatego każdy karczmarz pilnuje, aby gość nie próbował odejść z bagażami. Jeśliby uciekł, jego rzeczy należałyby według prawa do karczmarza. Tyle że Roland pewnego ranka wyszedł. Mówił, że idzie do miasta. W płaszczu, bez bagaży. I już nie wrócił, więc nazajutrz mój teść chciał przejrzeć jego kufer, ale go nie znalazł. Wszystko zniknęło.

Oldrzich z Chlumu słuchał w skupieniu. Gdyby Miliczowi przebranemu za francuskiego rycerza coś się stało, rzeczy niechybnie pozostałyby w zajeździe. Usłyszane przed chwilą informacje świadczyły raczej o tym, że zniknął z własnej woli. Oldrzich wiedział, że jeśli chce dalej prowadzić śledztwo, musi naprawić wyrządzoną szkodę. Zaproponował więc:

– Zaprowadź mnie do tego zajazdu. Porozmawiam z twoim teściem i może zapłacę dług. Mam jednak jeden warunek. Po drodze zatrzymamy się w kościele i wszyscy przysięgniecie przed ołtarzem, że zachowacie milczenie. Przede wszystkim o tym, że w mieście przebywa zakonnik z glejtem od papieskiego nuncjusza. Jacek Młot z pewnością wam powiedział, że towarzyszę dwojgu rodzeństwa. Pochodzą z bardzo szanowanego rodu i Ojciec Święty zadał im pokutę za pewien grzech. Dlatego nie używają własnych nazwisk. Ich rodzice prosili mnie, aby nikt nie dowiedział się o tej pielgrzymce. Ów Roland jest w dużej mierze winien ich grzechowi. Dlatego go szukam.

Starszy cechu spojrzał na pozostałych. Wszyscy skinęli głowami, ponieważ sądzili, że w końcu dowiedzieli się prawdy. To wyjaśnienie brzmiało bardzo przekonująco i logicznie. Ponadto było dla nich oczywiste, że więcej i tak nie wskórają. Nie pokonaliby franciszkanina uzbrojonego

w miecz. Jeśli zwróciliby się do wójta, ich towarzysz, Jacek Młot, musiałby wytłumaczyć, dlaczego przyjął tych ludzi w gościnę. Z pewnością wyszłoby na jaw również to, że zażądał od cudzoziemców zapłaty. To postawiłoby w złym świetle wszystkich kowali. Gdyby przeszukano domy pozostałych członków bractwa, w wielu z nich również znaleziono by lokatorów. A i tak nie zdałoby się to na nic, franciszkanina chronił przecież glejt. Jedynymi ukaranymi byliby oni sami.

– Dobrze – zgodził się starszy cechu wrocławskich kowali. – Mam na imię Bolesław, a mój teść – Hermenegild. Przeprowadziłem się tu z Miśni. Przysięgę złożymy w kościele Świętej Jadwigi. To tuż za rogiem.

W izbie na poddaszu giermek Ota siedział na łóżku i opierał się plecami o ścianę. Maryla leżała obok niego. Oboje byli nadzy. Milcząc, raczyli się piwem z dzbanka.

– Zadowolony? – spytała. Podała mu naczynie, zastrzegając, że jej już wystarczy. Potem wstała i zaczęła zbierać z podłogi swoją odzież.

Ota przyglądał się jej z przyjemnością.

– Na pewno się zatrzymam we Wrocławiu – odparł i odstawił dzbanek na niski trójnóg.

Zanim młoda prostytutka zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli łomotanie w drzwi. Gruby głos wołał:

– Ej, wy dwoje, ruszcie się! Musicie szybko zniknąć!

– Co się stało? – krzyknęła przerażona Maryla i szybko wciągnęła spódnicę. Schyliła się i rzuciła Ocie na łóżko jego ubranie.

– Zamordowano jednego gościa. Za chwilę będzie tu wójt.

Giermek Ota natychmiast zrozumiał: karczmarz nie chce, by wyszło na jaw, że ten pokój wynajmuje prostytutkom. Wyskoczył z łóżka, włożył koszulę i ukrył sakwę z pieniędzmi. Zanim zdążył zapiąć pas z mieczem,

Maryla odsunęła zasuwę. Za drzwiami stał pomocnik karczmarza i ich ponaglał.

– Przez drzwi się nie uda – wyjaśnił. – Tam już stoi straż. Musicie uciekać przez piwnicę.

Maryla uchwyciła zaciekawione spojrzenie Oty. Po chwili zbiegali z poddasza po chwiejnych drewnianych schodach. Przez ramię szybko mu wytłumaczyła, że browar jest połączony podziemnym korytarzem z karczmą przy ratuszu. Tędy przetacza się beczki z piwem, ponieważ rynek często jest pełen ludzi.

– Nie tylko do karczmy, ale też do ratusza – zauważył złośliwie pomocnik.

Przebiegli przez karczmę. Stoły były puste, goście w grupkach omawiali tragiczne zdarzenie. Nikt ich nie zauważył. Drzwi do piwnicy znajdowały się z tyłu. Obok nich na trójnogu stała beczka, z której nalewano piwo, a przy niej czekał gruby kędzierzawy karczmarz w przepoconej koszuli i skórzanym fartuchu. W ręku trzymał zapaloną lampę. Sam otworzył im drzwi, lampę podał swojemu pomocnikowi i po raz kolejny rozejrzał się ostrożnie.

Korytarz łączący karczmę Pod Złotym Dzbanem z ratuszem był szeroki i wyłożony wydeptaną posadzką. Pomocnik odprowadził ich aż do Piwnicy Świdnickiej, gdzie w kilku słowach wyjaśnił karczmarzowi, co się stało. Ten skinął głową, nie był to najwyraźniej pierwszy raz, kiedy prostytutka ze swoim klientem musiała szukać schronienia.

Giermek Ota spostrzegł, że Hynek Berka z Duby siedzi przy stole z jakimś śląskim rycerzem. Odwrócił głowę, aby go nie zauważyli. Była to jednak zbyteczna obawa, obaj bowiem zapalczywie dyskutowali. Ukryty za Marylą Ota przemknął między stołami i zatrzymał się dopiero na podwórzu pod daszkiem, pod którym niedawno się poznali.

– Jeśli znów chciałbyś się ze mną spotkać, daj znać mojej siostrze, pośle po mnie – zaproponowała Maryla, przyciągnęła go do siebie i lekko pocałowała w policzek. Szepnęła: – Dziękuję.

Giermek Ota zapłacił jej już wcześniej, tam na poddaszu. Byli kwita. Tyle że nawet kiedy płacił jakiejś dziewczynie, nie potrafił patrzeć na wspólne przeżycia jedynie jak na transakcję. Zresztą miał wrażenie, że Maryla również nie traktuje tego w ten sposób.

– Nie uciekaj jeszcze – powiedział. – Mam trochę czasu. Chodź, popatrzymy na jarmark.

Spojrzała nań badawczo i ostrzegła, że w takim razie musi sobie zawiązać żółtą chustkę. Strażnicy miejscy byli w tej kwestii bardzo skrupulatni i nie chciałaby skończyć pod pręgierzem.

– Ale ja nie jestem skrupulatny – uśmiechnął się giermek Ota, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Ruszyła za nim. Uwielbiała jarmarki. Wiedziała, że jeśli będzie z nią mężczyzna, zgryźliwe mieszczanki dadzą jej spokój. Zawsze znalazła się jakaś obnosząca się ze swoją pobożnością i głośno ubliżająca prostytutkom. Lecz zimą zdarzyło się, że Anna z domu Pod Kołem obraziła pewną prostytutkę, którą odprowadzał jej klient. Ten się zdenerwował, podwinął Annie spódnicę i kazał zająć się swoimi sprawami. Od tej pory zgorszone mieszczki były ostrożniejsze.

Maryla spróbowała dotknąć dłoni Oty. Ku jej radości chwycił jej rękę i dalej szli razem. Tak, ten dzień naprawdę się udał.

Właśnie myślała o tym, że jej praca nie jest wcale zła, kiedy na jednym z kramów zauważyła czerwoną spódnicę, na którą były naszyte trzy niebieskie wstążki. Oczarowana zatrzymała się, żeby choć z daleka na nią popatrzeć.

Giermek Ota również się zatrzymał i przez chwilę obserwował Marylę. Potem mocniej ujął jej dłoń i pociągnął ją w stronę stoiska. Wskazał na spódnicę i polecił, aby Maryla ją przymierzyła. Kupiec najpierw ocenił Otę. Ubrany był w szaty zdobione brokatem, a do pasa miał przytroczoną wypchaną sakiewkę. Ukłonił mu się więc z szacunkiem, choć było dlań oczywiste, kogo przyprowadził. Jednak w handlu nie jest istotne, kim jest klient, ale to, czy klient płaci.

Obsługiwał więc Marylę jak każdą inną klientkę. Ona wprawdzie broniła się z zakłopotaniem, ale spódnica naprawdę jej się podobała. Usłyszała, że Ota pyta o cenę. Jej towarzyszki czasem dostawały od swoich klientów drobne podarki, jeśli byli z nich zadowoleni, ale nie mieściło jej się w głowie, by ktoś kupił jej spódnicę. W dodatku tak piękną.

– Zostań w niej. – Z uśmiechem poprosił giermek Ota, gdy dostrzegł jej zmieszanie. – Pasuje ci.

Zapłacił kupcowi i kazał mu starą spódnicę Maryli złożyć i przewiązać sznurkiem.

– To przecież nie wypada – protestowała, obawiając się jednocześnie, że młodzieniec się rozmyśli.

– Ależ wypada – uspokajał ją Ota. – Cieszy mnie to tak samo, jakbym kupił coś sobie. Właściwie nie, cieszę się jeszcze bardziej.

– Jak ci się za to odwdzięczę?

– Na pewno będzie jeszcze okazja.

Spacerowali między kramami, powoli zbliżając się do karczmy Pod Złotym Dzbanem. Ota znacząco mrugnął w kierunku małego okienka od pokoju na poddaszu, który przed chwilą musieli tak pośpiesznie opuścić. Z drzwi karczmy wyszło kilku strażników, niosących na noszach ciało zakryte białym płótnem.

Maryla znała jednego z nich. Podeszła do niego i spytała, czy zamordowano któregoś z mieszkańców miasta.

– A gdzież tam – odparł obojętnie rosły mężczyzna. – To rycerz z Czech. Slavibor ze Szvabenic. Znałaś go?

Maryla pokręciła głową. Ucieszyła się, że to nikt z miejscowych. Za to giermek Ota omal nie krzyknął z zaskoczenia. Slavibor był starszym bratem Milicza, którego tak usilnie szukali we Wrocławiu.

ROZDZIAŁ VII

Nie jestem zobowiązany do płacenia rachunków za rycerza, który ci uciekł – zaczął ostro Oldrzich z Chlumu, gdy spotkał się z właścicielem zajazdu, w którym Milicz ze Szvabenic mieszkał jako Roland. – To twój błąd, że pozwoliłeś gościowi uciec bez zapłaty.

Karczmarz był sympatycznym człowiekiem o bystrych oczach. Jego zajazd nazywał się U Króla Wacława i stał na końcu ulicy Kołodziejskiej. Hermenegild wzruszył ramionami i zauważył, że ta informacja nie jest z pewnością powodem, dla którego franciszkanin fatygował się aż tutaj.

– Rzeczywiście. Ten francuski rycerz ma na sumieniu więcej grzechów i nasz zakon się nim interesuje – potwierdził Oldrzich z Chlumu. Powoli przyzwyczajał się do roli mnicha.

– Jeśli wyrządził wam jakąś krzywdę, to wasz błąd – odparł spokojnie karczmarz i założył ręce na piersi. – Podobnie jak moje sprawy to nie twój kłopot.

Oldrzich z Chlumu się uśmiechnął. Było oczywiste, że ta rozmowa zakończy się pomyślnie, ponieważ chodziło wyłącznie o pieniądze. A koszty śledztwa pokrywał czeski król. Wzruszył więc ramionami i obojętnym tonem zaproponował:

– Jeśli mi wystawisz potwierdzenie, połowę tego długu zapłacę ci ze swoich pieniędzy, powodowany chrześcijańską miłością bliźniego. Ale pod warunkiem, że i ty zdejmiesz część kłopotów z barków naszego zakonu.

– Zależy od tego, czego te kłopoty dotyczą.

– Podobno ten francuski rycerz działał tu, we Wrocławiu, wbrew interesom franciszkanów. Staram się sprawdzić, co mógł tu robić.

– Jeśli zapłacisz, pobożny bracie, powiem ci wszystko, co wiem – obiecał karczmarz.

Potem zwrócił się do kowali, którzy towarzyszyli starszemu cechu, i poprosił, by zostawili ich samych. Nie zapomniał im podziękować, a swemu zięciowi uniesionymi brwiami dał znak, że może liczyć na wynagrodzenie za pomoc bractwa.

– Najpierw przysięga – nakazał Oldrzich z Chlumu, gdy tylko zamknęły się drzwi za rosłymi kowalami. Wziął do ręki krzyż, wiszący na szyi, i uniósł go. Karczmarz położył na nim dwa palce i złożył przysięgę. Zaraz potem Oldrzich rozwiązał sakiewkę i wyłożył na stół denary. Karczmarz starannie je przeliczył, następnie przyniósł pergamin, koślawym pismem naniósł nań kwotę i się podpisał. Pieniądze schował do małej szkatułki i dopiero potem oświadczył, że jest do dyspozycji gościa.

– Kiedy dokładnie przebywał u ciebie ten francuski rycerz?

– Przede wszystkim to chyba nie był Francuz. Z początku jeździł z nim służący z Królestwa Czeskiego. Jak zrozumiałem z jego mowy, jego pan również pochodził właśnie stamtąd. Ten służący nazywał się Paleczek i był leniem. A jego pan prawdopodobnie nie miał na imię Roland. Mój służący słyszał, że ów człowiek kilka razy nazwał go Miliczem. Ten, kogo szukasz, był oszustem.

– Dlaczego mu więc ufałeś i nie kazałeś zapłacić z góry jak zwykle?

– Przyjeżdżał do mnie prawie przez rok. Najpierw oczywiście płacił od razu, ale z czasem przyzwyczaiłem się do niego i potem płacił już zawsze przy odjeździe. Tak było poręczniej. Jeśli doliczałem jakieś wydatki, płacił za wszystko razem. Cóż, jak mówię, oszust. Umiał tak okłamać innych, żeby mu ufali. Ale drugi raz nie dam się nabrać, przysięgam.

– Mówisz, że przyjeżdżał tu niemal przez rok. Jak często?

– Na początku co jakiś czas na parę dni. A potem wyjeżdżał, na przykład na miesiąc. Ale zimę spędził tu prawie całą. Wtedy już sam, bez służącego.

– Kiedy uciekł?

– Przed karnawałem.

– Doskonale. I ostatnia ważna kwestia. Z kim się spotykał w mieście?

– Takie rzeczy nigdy mnie nie interesują. Gość płaci i robi, co chce. Ale on pod tym względem był trochę dziwny. Kiedy pojawił się tu po raz pierwszy, służyła u mnie bardzo ładna pomocnica. Umiała zarobić. Z pewnością niemało. Tylko że potem zaszła w ciążę i jeden z gości się z nią ożenił. Teraz mieszka gdzieś na przedmieściach. Ale to nieważne. Zdziwiło mnie, że ten Roland czy Milicz, jak wolisz, wygonił ją, gdy w nocy do niego poszła. I nigdy nie przyprowadził tu żadnej dziewczyny.

– Cóż, nie o takie sprawy pytałem – upomniał go chłodno Oldrzich z Chlumu i pomyślał, że dla wzmocnienia efektu się przeżegna, jakby chciał odpędzić widmo grzechu. Uczynił znak krzyża i kontynuował: – Ciekawi mnie, co go sprowadzało do Wrocławia. Handel? Sprawy rodzinne? Może miał tu krewnych? Procesował się o spadek?

– Nic z tych rzeczy. Większość czasu próżnował. Siedział w karczmie, pił i rozmawiał z gośćmi. O wszystkim. Czasem tylko ot tak włóczył się po mieście. Często miał przed sobą rozłożone karty pergaminu i coś na nich pisał. Widziałem, że miał też liczydło.

– Nie widziałeś może, co pisał?

– Nie. Ale tuż przed zniknięciem kilka razy siedział tu z jakimś Francuzem. Nie wiem oczywiście, o czym rozmawiali, ale kiedy przechodziłem obok, zawsze ściszali głos. Ten Francuz nie był ani rycerzem, ani duchownym. Wyglądał raczej na kupca. Albo budowniczego. A parę dni wcześniej odwiedził go kilkakrotnie pewien grubas z krótkimi włosami, niewzbudzający zbytniego zaufania. Tutejszy, Polak, zapewne rycerz. Usłyszałem, że mówili o sprzedaży. Może jednak Roland przebywał tu w sprawach handlowych? Pewnie chciał kogoś oszukać. Czy mogę spytać, co zawinił waszemu zakonowi?

– Nie chodziło o majątek, ale o haniebne oszczerstwa, które podobno tu o nas roznosi. Jeśli jednak nie spotykał się z duchownymi, to nie wiem, czy jestem na dobrym tropie.

– Tutaj, w karczmie, jeśli mnie pamięć nie myli, naprawdę nigdy nie odwiedził go żaden duchowny. Może to nie ten człowiek, którego szukasz, drogi bracie. Ale był pobożny. Regularnie chodził na msze i się spowiadał. Poza moją karczmą zapewne spotykał się z jakimiś prałatami. Ale o tym nic nie wiem.

– Jeszcze jeden drobiazg. Czy na pewno się nie pomyliłeś? O ile mi wiadomo, był we Wrocławiu jeszcze koło Wielkanocy, czyli przed dwoma miesiącami.

– Jeśli tak, to nie u mnie. Ja umiem liczyć i bez liczydła.

Giermek Ota zawsze się cieszył, gdy mógł sprawić radość komuś innemu. Nie tylko ładnym dziewczynom. Na Bezdiezie nigdy nie zapomniał zabrać ze stołu kilku smacznych kąsków dla kotów, włóczących się po zamku. Jednakże w przypadku Maryli zaczął wkrótce żałować swojej hojności, ponieważ za wszelką cenę chciała mu się odwdzięczyć. A on nie

miał na to czasu. Musiał zająć się wyjaśnianiem okoliczności zabójstwa Slavibora ze Szvabenic. Ale Maryla, wiernie wpatrzona w Otę, trzymała go jak w kleszczach.

– Mogę ci się przydać – broniła się, kiedy wreszcie dość szorstko poprosił ją, aby zostawiła go samego. – Chcę ci pomagać w śledztwie.

Giermek Ota westchnął zrezygnowany. Ta młoda prostytutka naciskała tak samo jak jego pani Ludmiła. Dlaczego wszystkie kobiety miały poczucie, że ich mężowie czy kochankowie nie obejdą się bez ich pomocy? Ota, podobnie jak jego pan, nie potrafił stanowczo odmówić. Po krótkich pertraktacjach zgodził się, aby Maryla mu towarzyszyła, ale miała robić tylko to, o co ją poprosi.

Wejścia do karczmy Pod Złotym Dzbanem strzegli dwaj zbrojni z włóczniami. Nikogo nie wpuszczali do środka. Nikt nie mógł też opuścić karczmy. Wójt wszystkich kolejno przesłuchiwał, ponieważ ciało Slavibora zostało odnalezione niemal zaraz po zabójstwie. Wójt przypuszczał, że morderca nie zdążył zbiec, i chciał jak najszybciej zamknąć sprawę. Morderstwo podczas jarmarku to poważna zbrodnia. Nie tylko dlatego, że noszenie broni podczas trwania jarmarku było przejawem braku szacunku wobec całego miasta, ale mogło też zaszkodzić dobremu imieniu okolicy, a także handlowi. A tego oczywiście nikt nie chciał.

– Chciałbym wiedzieć, jak do tego doszło – westchnął Ota. – Tyle że do środka się nie dostaniemy. Zresztą i tak nikt by tam z nami nie rozmawiał. Musimy zaczekać, aż wójt skończy przesłuchania.

– Niekoniecznie – uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo. Potem tanecznym, wyzywającym krokiem ruszyła ku zbrojnym, którzy pilnowali wejścia.

Między strażnikami miejskimi a prostytutkami panowało ciche porozumienie. Chociaż miejskie prawo karało grzechy cielesne, strażnicy

w większości przymykali na to oko, a dziewczęta zawsze okazywały im wdzięczność. Akurat jednemu z tych, którzy strzegli drzwi, Maryla odwdzięczyła się przed kilkoma dniami.

– Szczęść Boże – z szacunkiem pozdrowiła straże Maryla.

– Daj Boże! – odpowiedział szczupły jasnowłosy strażnik. Opierał się na włóczni i setnie się nudził. W mieście działo się tyle ciekawych rzeczy, a on musiał tkwić właśnie tutaj. Obecność Maryli zapewniała przynajmniej odrobinę rozrywki.

– Podobno tu kogoś wysłano na tamten świat?

Wójt nie wydał strażnikom żadnego zakazu, więc obaj chętnie podjęli rozmowę.

– To prawda, panienko – potwierdził poważnie starszy z nich. – To chyba dzieło złodzieja. Upatrzył sobie jednego z gości, rycerza z Czech. I kiedy on otwierał skrzynię, złodziej podszedł do niego od tyłu i poderżnął mu gardło. Jak prosiakowi. Krwi było pełno dookoła, zgroza!

– W jego pokoju?

– Gdybyś nie myślała tylko o nieprzyzwoitych rzeczach, miła panno, szybko byś pojęła, że nigdzie indziej niż w swoim pokoju nie mógł otwierać własnej skrzyni.

– Kiedy indziej ci nie przeszkadza, że myślę o nieprzyzwoitych rzeczach – odcięła się, udając urażoną.

Obaj strażnicy roześmiali się rozbawieni.

– Nie dąsaj się. Chcesz wiedzieć, co było dalej?

Wzruszyła obojętnie ramionami. Przez chwilę jeszcze milczała, ale potem skinęła głową.

– Ten zabójca miał pecha – zaczął szybko strażnik, żeby jej się przypodobać. – Napadnięty rycerz przed śmiercią jeszcze krzyknął ze strachu lub z bólu. Ktoś akurat przechodził korytarzem i to usłyszał. To on

natychmiast zaalarmował pozostałych. Zabójcy udało się jednak uciec z pokoju. Ale nie z karczmy.

– To ten człowiek w korytarzu nie widział uciekającego zabójcy?

– Może widział. Tyle że wójtowi do tej pory nie udało się ustalić, który z gości wszczął alarm. Nikt nie chce się przyznać.

– Aha – skinęła Maryla. – Dziękuję.

– Nie odchodź, teraz ty nam coś opowiedz. Tu jest tak nudno. Podobno w nocy Gruba Maryśka pobiła się z jakimś służącym i stłukła go tak, że musiano wzywać cyrulika.

– Po co pytasz, skoro wiesz?

– Daj spokój. My o tym wójtowi nie powiemy.

Maryla obejrzała się za siebie. Giermek Ota stał przy jednym z ostatnich kramów, pochłonięty rozmową z krzepkim mężczyzną w skórzanym kaftanie. Było oczywiste, że teraz by mu tylko przeszkadzała, więc zaczęła opowiadać. Z miejskimi strażnikami lepiej żyć w zgodzie. Pozwalała przy tym, aby czasem złapali ją za tę czy inną część ponętnego ciała.

Ota miał szczęście. Było dlań jasne, że Slavibor ze Szvabenic nie przyjechał do Wrocławia sam. Z pewnością miał ze sobą kilku służących. Jednego z nich dostrzegł, stojącego niepewnie obok drzwi do karczmy Pod Złotym Dzbanem i niemającego pojęcia, co ze sobą począć. Poznał go po naszytym na płaszcz herbie rodu ze Szvabenic – czterech złączonych złotych strzałach.

Kiedy Ota podszedł i zagadnął jego właściciela, ten najpierw okazał podejrzliwość, ale na wzmiankę o dowódcy Diviszu zmienił nastawienie. Ota nie miał pojęcia, jak Divisz to robi, ale zna chyba wszystkich zbrojnych większości słynnych wielmożów albo nawet się z nimi przyjaźni.

– Przyjechaliśmy przed tygodniem – rozgadał się służący panów ze Szvabenic. Nazywał się Kojata i kiedyś służył pod rozkazami Divisza. Dowódca załogi na Bezdiezie stał też na czele królewskich łuczników.

– Czy wiesz, po co twój pan tu przybył?

– Nie zwierzał mi się – mruknął Kojata – ale raz wspomniał, że chodzi o jakiś duży dług. Może przyjechał tu, żeby go odebrać.

– O swoim bracie nie wspominał?

– Masz na myśli Milicza? Oczywiście! Wszędzie o niego wypytywał.

– Dowiedział się czegoś?

– Nie wiem. Ale wczoraj wieczorem zamówił mi dzbanek wina. Powiedział, że świętuje. Co świętuje, tego mi nie zdradził. Nie dopytywałem się.

Ota skinął głową. Kojata najwyraźniej był człowiekiem, któremu do zadowolenia wystarczało wino. Ota wiedział, że więcej się raczej nie dowie. Mimo to jeszcze raz spróbował:

– O ile wiem, odwiedził wójta, a także kapitułę wrocławskiego biskupa. A dwór książęcy?

– Nic mi nie wiadomo o tym, by to planował.

– Przychodził ktoś do niego do karczmy?

– Zaprzyjaźnił się z kilkoma miejscowymi rycerzami. Spędzali razem wieczory. Dwa albo trzy razy odwiedziła go prostytutka.

– Jak się nazywa?

– Czy takie bezwstydnice mają jakieś chrześcijańskie imiona? – skrzywił się Kojata i splunął. – Były dwie. Ta pierwsza była ruda jak ty i na górze dobrze wyposażona. Spędziła z nim dwie noce. A wczoraj kręciła się koło niego inna, też ruda. Bardzo ładna. Rano wróciła. Albo może i tu spała, nie wiem.

Ota kiwnął głową i trochę niecierpliwie spojrzał w stronę drzwi zajazdu. Maryla cały czas gawędziła ze strażnikami, a wójt się nie pojawiał. Najwyraźniej jeszcze przesłuchuje gości i sprawa zapewne nie rozwija się po jego myśli, ponieważ w przeciwnym razie już dawno odesłałby kogoś do więzienia.

Młoda prostytutka podchwyciła jego spojrzenie, pożegnała się ze zbrojnymi i ruszyła w jego stronę. Ota szybko opuścił Kojatę i podszedł do najbliższego wozu kupieckiego. Skinieniem głowy dał jej znak, żeby szła za nim. Obszedł wóz i zatrzymał się w jego cieniu.

– Nie wszyscy muszą wiedzieć, że interesujemy się tą samą sprawą – wyjaśnił. – Czego się dowiedziałaś?

Dokładnie powtórzyła mu wszystko, co usłyszała. Giermek Ota słuchał w skupieniu. Kiedy skończyła, skrzywił się:

– Wasz wójt jest głupcem. Jeśli morderca poderżnie komuś gardło, ofiara nie ma szans, by krzyknąć. Z pewnością wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. I niby dlaczego Slavibor miałby pochylać się nad skrzynią, mając za plecami obcego człowieka? To był doświadczony rycerz, nie popełniłby takiego błędu.

– Może o nim nie wiedział.

– Pamiętasz, jak uciekaliśmy z poddasza? Deski na schodach trzeszczały, ponieważ drewno w tym upale jest suche. Niemożliwe, aby ktoś wszedł do pokoju niezauważony. I jeszcze coś. Wiesz, dlaczego wójt nie znajdzie tego człowieka, który wszczął alarm?

– Bo możliwe, że zrobił to morderca – odpowiedziała po chwili zastanowienia Maryla.

– Dokładnie tak! Masz więcej rozumu niż wasz wójt.

– Zabójca spowodował zamieszanie i zniknął – rozważała zachęcona sukcesem. – Wszyscy pobiegli na górę, a on wyszedł na rynek.

– Mniej więcej tak to wyglądało. Teraz już jednak naprawdę się rozstaniemy. Muszę wszystko zrelacjonować swojemu panu.

– Chcesz, żebym w tym czasie jakoś się przydała?

– Mogłabyś – przyznał po chwili wahania. – Ofiarę odwiedziły dwie prostytutki. Obie rude, jedna podobno miała bujny dekolt, a druga była bardzo ładna. Spróbuj je znaleźć i dowiedzieć się więcej.

– Możesz na mnie liczyć. A gdybym tak zdała ci sprawozdanie ze swojego śledztwa dziś w nocy? Chciałabym być z tobą aż do rana. Za tę spódnicę!

– Może się uda. Dokąd mam przyjść?

Posmutniała. Z zakłopotaniem przestąpiła z nogi na nogę i zaczęła się tłumaczyć:

– Nocuję w stajni na przedmieściach. Czy mogłabym raczej przyjść do ciebie?

– To by się z pewnością nie spodobało mojemu panu. On jest zakonnikiem. Franciszkaninem. Zrobimy inaczej. Po wieczornych dzwonach spotkamy się tutaj. Wynajmę gdzieś dla nas pokój.

ROZDZIAŁ VIII

Oldrzich z Chlumu głowił się, do czego mogą być przydatne informacje od karczmarza Hermenegilda. Nie spędził tu jeszcze nawet całego dnia, a już z łatwością ustalił, gdzie przebywał Milicz ze Szvabenic. Właściwie było to zastanawiające, biorąc pod uwagę, że misja Milicza miała tajny charakter. Nawet karczmarz zauważył, że francuskie pochodzenie rycerza to jakaś dziwna sprawa, i ustalił jego prawdziwe imię. Zatem mógł to zrobić każdy, łącznie z członkami kapituły biskupiej i dworu książęcego. Miliczowi widocznie zbywało na doświadczeniu, ale skoro Przemysłowi Ottokarowi II zależało na tym, żeby śledztwo utajnić, dlaczego wybrał właśnie jego? Ta wątpliwość dręczyła Oldrzicha od początku. O co tak naprawdę w tym chodzi?

Podejrzane wydawały się również inne okoliczności. Podczas swego pobytu Milicz nie zrobił nic, co wzbudzałoby podejrzenia, a mimo to nie udało mu się utrzymać w tajemnicy swojego kamuflażu. Przyczyny mogły być dwie. Milicz działał przebiegle, ale ta wersja wydawała się Oldrzichowi z Chlumu mało prawdopodobna. Być może więc podejmował tu jakieś bardzo osobliwe aktywności, co nikomu nie wydawało się szczególnie podejrzane. Karczmarz zauważył, że często rozmawiał z gośćmi. Ponieważ

usłyszał coś o sprzedaży, ostatecznie uznał go za nieuczciwego kupca. Przyczynił się do tego fakt, że Milicz czasem coś zapisywał i miał ze sobą liczydło. To również godne było uwagi.

Ponadto występowały tu jeszcze dwie szczególne okoliczności. Początkowo Miliczowi towarzyszył służący, który potem zniknął. Myśl, że szlachetny rycerz podczas podróży sam troszczy się o swoją odzież, posiłki i porządek, była bardzo dziwna. I wreszcie: ucieczka bez zapłaty. Milicz ze Szvabenic zniknął, dlatego Oldrzich z Chlumu tu przyjechał. Jednak zniknięcia w większości znanych mu przypadków wyglądały inaczej. Oldrzicha zastanawiała zwłaszcza sytuacja ze skrzynią, która zniknęła razem z Miliczem. Jeśli ktoś w mieście go napadł, zabił, okradł, porwał, jak dostałby się do skrzyni, która pozostała w karczmie? Raczej Milicz najpierw sam potajemnie wyniósł skrzynię, potem się wyprowadził i już nie wrócił. Tylko w jakim celu? I dlaczego nie zapłacił? Wydatek był nieznaczny, wziąwszy pod uwagę jego majątek. Ponadto koszty prawdopodobnie pokrywał czeski król, tak jak w przypadku podróży Oldrzicha z Chlumu.

Dziwne było również, że król utrzymywał, iż Milicz zaginął koło Wielkanocy, podczas gdy z karczmy zniknął już przed karnawałem. Gdzie się podziewał przez te sześć tygodni? Nie, to nie trzymało się kupy. Jeśli Oldrzich miałby teraz postawić jakąś hipotezę, skłaniałby się ku koncepcji, że Milicz zniknął dobrowolnie. Powód wydawał się jednak zupełnie niejasny. Swoją dobrowolną ucieczką zaszkodziłby bowiem własnym interesom w Królestwie Czeskim. Porwanie można niemal z pewnością wykluczyć, ponieważ sprawca już by się odezwał z żądaniem okupu. A jeśli ktoś by go zamordował, to czy było to działanie zaplanowane, czy przypadkowe? O co chodziło z tą skrzynią? I gdzie zniknęło ciało?

Oldrzich z Chlumu ostatecznie postanowił, że spróbuje się dowiedzieć, który kościół odwiedzał Milicz. Może tamtejszy proboszcz będzie mógł mu pomóc. Wierzył, że w przebraniu franciszkanina łatwiej coś zdziała.

Nie musiał długo błądzić, już drugi kościół okazał się właściwy. Jego patronem był Święty Marcin, a posługę pełnił tu starszy człowiek, spokojny i najwyraźniej pogodzony z życiem. Miał na imię Ondrzej i pochodził z Górnych Węgier. Przyjął go w zakrystii.

– Nie lubię franciszkanów – zaczął Ondrzej surowo na powitanie. – Na ulicach wygłaszacie kazania, spowiadacie, udzielacie sakramentów. To ma być szacunek dla naszego Pana? Jeszcze trochę i będziecie odprawiać msze w stajniach.

– Chrystus narodził się w stajni – zauważył Oldrzich z Chlumu. Wiedział, jakich argumentów używają franciszkanie w podobnych dyskusjach.

– Msza powinna uszlachetniać. Ale wy, franciszkanie, nigdy tego nie zrozumiecie. A jeszcze gorsze jest to, że żebrzecie i ludzie dają wam szczodre jałmużny. A potem nie zostaje na uczciwe kościoły. Wy nie potrzebujecie pieniędzy, głosicie wszak ubóstwo, ale ja muszę remontować kościół, sprzątać, opłacać kościelnego, chór. Od czasu, kiedy pojawiliście się we Wrocławiu, dochody mojego kościoła spadły i ledwo starcza mi pieniędzy. Nie robicie wiele dobrego. Mimo to wysłucham cię.

– Nie jestem stąd, przybyłem z Czech – zaczął Oldrzich z Chlumu, jakby się tłumaczył. Proboszcz tylko westchnął, ale słuchał. – Interesuje mnie mój rodak, niejaki Milicz. Przebywał tu pod imieniem Roland. Przychodził podobno do tego kościoła.

– Wiem, o kogo chodzi.

– Kiedy widziałeś go ostatnio?

– Jakieś cztery miesiące temu. Potem wyjechał.

– Powiedział ci, że wyjeżdża?

– Nie, ale on zawsze wyjeżdżał, a potem wracał. Choć nigdy nie opuszczał Wrocławia na tak długo jak obecnie.

– Staram się dowiedzieć, czym się tu zajmował.

– Coś mi wspomniał. Na szczęście nie podczas spowiedzi świętej, więc mogę o tym mówić – odparł spokojnie Ondrzej i otarł dłonią pot z czoła. Było jeszcze bardziej duszno niż w południe. Wskazał ławkę przy drzwiach i sam ciężko usiadł. Sposób jego mówienia wskazywał na astmę, a upał źle na niego wpływał.

– Ten rycerz – kontynuował po chwili ksiądz – miał tu jakąś tajną misję. Nie był zbyt rozmowny, ale zauważyłem, że często wypytywał o różne kościelne sprawy, chociaż nie miał o nich pojęcia.

– Dlaczego myślisz, że jego misja była tajna?

– Zmienił imię. Na pozór nic go specjalnie nie interesowało. Ale mnie nie oszukał. Nie myśl wszak o nim nic złego, bracie w Chrystusie. To pobożny i dobry człowiek. Nawet się tu zakochał.

– W kim?

– Tego mi nie powiedział. Mam jednak wrażenie, że chce się przeprowadzić do Wrocławia na stałe.

– Mówił o tym wprost, czy to tylko twoje przypuszczenia?

– Przypuszczenia. Mówił tylko, jak bardzo mu się tu podoba.

Niczego więcej Oldrzich z Chlumu się nie dowiedział. Z Ondrzejem pożegnał się przyjaźnie. Rozmowa, zamiast przynieść rozwiązanie zagadki, jeszcze bardziej wszystko skomplikowała.

Ludmiła z Vartemberku siedziała na kuchennej ławce przy oknie i obracała rożen, na który były nadziane dwie oskubane kury. Kowalowa tymczasem zaczyniała ciasto na placki. Całe popołudnie rozprawiała, jak to

jest w małżeństwie, a Ludmiła słuchała z przyjemnością. Nie tylko dlatego, że gospodyni opowiadała o sprawach, które ją interesowały, ale także dlatego, że ta kobieta miała wnikliwe spostrzeżenia, które umiała dowcipnie przekazać.

Skrzypnęły drzwi i na progu stanął Jacek Młot. Miał gniewnie ściągnięte brwi i nie wyglądał na zadowolonego. Jego żonie wystarczyło jedno spojrzenie.

– Co się stało? – spytała z troską i odstawiła drewnianą dzieżę z ciastem.

– Co się stało, to się nie odstanie – mruknął i rzucił krótkie spojrzenie Ludmile z Vartemberku. Z przepraszającym wyrazem twarzy ciągnął: – I tak byś się o tym dowiedziała, Eliszko. Razem ze starszym cechu naszego bractwa chcieliśmy pomówić z tym waszym franciszkaninem, ale źle zaczęliśmy. Wyciągnął na nas miecz…

– Walczyliście z nim? – zawołała gniewnie jego żona. – Przecież to nasz gość. Postradałeś rozum?

– Do żadnej walki nie doszło, przecież jest jarmark. Tyle że teściowi starszego naszego cechu ten rycerz, o którego wypytywał zakonnik, jest winien pieniądze. Pomyśleliśmy więc…

Tym razem żona również nie dała mu dokończyć. Podskoczyła, umączone dłonie wytarła o spódnicę i zaczęła mu wymyślać. Jacek Młot stał ze zwieszoną głową i milczał. Ludmiła z Vartemberku nie bała się o swojego męża. Wiedziała, że Oldrzich z Chlumu poradzi sobie z groźniejszym nieprzyjacielem niż kilku wrocławskich kowali. Zaskoczona obserwowała rozgrywającą się przed nią scenę.

Dotychczas odnosiła wrażenie, że kowalowa jest cichą i posłuszną żoną, która nie uczyni niczego wbrew woli męża. Lecz gdyby Ludmiła powiedziała w domu choćby niewielką część słów, które właśnie słyszała,

Oldrzich z pewnością by się obraził i przestałby z nią rozmawiać. Jednak kowal stał skruszony ze spuszczoną głową, co jakiś czas próbując wtrącić coś na swoje wytłumaczenie, ale żona mu na to nie pozwoliła. Dopiero kiedy powiedziała, co miała do powiedzenia, wróciła po dzieżę z ciastem, nie przestając wszak go łajać:

– Mam ochotę zostawić cię dziś bez kolacji. Ale nasi szczwani synowie i tak by ci coś po kryjomu podrzucili. Wy, mężczyźni, jesteście straszni. Dlaczego biedna kobieta musi się przez was ciągle denerwować?!

– To się nie denerwuj – zaproponował ostrożnie Jacek Młot.

Machnęła tylko ręką, chwyciła łyżkę i zaczęła z furią mieszać ciasto. Dopiero teraz kowal zwrócił się do Ludmiły z Vartemberku i jął ją pocieszać:

– Nie bój się, panienko, naprawdę nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nasz starszy cechu odprowadził go do karczmy, do której chadzał ten rycerz. Twój franciszkanin na pewno dowiedział się tam tego, czego chciał. I zaraz tu będzie. – Na chwilę zamilkł, po czym rzucił ostro: – Obracaj tym rożnem porządnie, bo mięso się spali. – Odwrócił się i opuścił kuchnię, trzaskając drzwiami.

– Dureń! – rzuciła gospodyni, wstała i zaczęła zręcznie zagniatać z ciasta placki, które układała na ceglanym obramowaniu paleniska, żeby się upiekły. Mówiła przy tym:

– Nasz ksiądz niedawno prawił na kazaniu, że męski rozum jest lepszy niż niewieści. No, co byś na to powiedziała?

– Że ksiądz to też tylko mężczyzna – odparła rozbawiona Ludmiła.

Żona kowala roześmiała się głośno i dodała przyjaźnie:

– Wydaje się, miła panno, że też przeszłaś już dobrą szkołę.

Na zewnątrz powoli cichł gwar, niosący się z rynku. Potem odezwały się dzwony wzywające na wieczorne nabożeństwo. Na mszę rodzina kowala udała się bez Oldrzicha z Chlumu. Nie poszedł z nimi również giermek Ota, kiedy bowiem zorientował się, że jego pana nie ma w domu, wymknął się pod pretekstem załatwienia pilnej sprawy.

– Kiedy przyjdziemy z kościoła, franciszkanin będzie siedział przy stole i krzyczał, że jest głodny – uspokajała Ludmiłę gospodyni.

Ale gdy wrócili do domu, nikt na nich nie czekał. Zaczęło się ściemniać.

– Może odwiedził swoich braci w klasztorze i tam przenocuje – zasugerował kowal, aby ukryć poczucie winy.

– Nigdy by tego nie zrobił – odrzuciła tę możliwość Ludmiła.

– Coś mi się wydaje, że na tym zakonniku zależy ci bardziej niż na własnym bracie. Jego też tu nie ma, ale nim się nie przejmujesz.

– Bo dokładnie wiem, gdzie jest – odparła gniewnie. – Znalazł sobie jakąś dziewczynę.

– No widzisz! – ciągnęła triumfalnie kowalowa. – Może franciszkanin też to zrobił. To przystojniak, z tego co widziałam. A zdziwiłabyś się, ilu duchownych łamie przysięgę celibatu. Nie myśl sobie, we Wrocławiu mieszka mnóstwo pięknych dziewcząt. Jesteśmy miastem chrześcijańskim, ale kiedy trwa jarmark, również te zazwyczaj cnotliwe chętnie zarobią parę denarów. I na pewno tak właśnie było. Został u którejś z nich.

Ludmiła z Vartemberku czuła, że napływają jej do oczu łzy. Nie potrafiła określić, czego się bardziej bała: że gospodyni ma rację czy że jej mężowi coś się stało.

Tuż po zmroku przybył giermek Ota, lecz po Oldrzichu wciąż nie było ani widu, ani słychu. I choć Ota miał początkowo inne plany na noc,

natychmiast je zmienił. Wyruszył na pogrążone w ciemnościach ulice, aby odszukać swojego pana. Dołączyli do niego obaj synowie kowala.

Oldrzich z Chlumu opuścił zakrystię kościoła Świętego Marcina. Szedł zamyślony, próbując porównać w głowie sprzeczne zeznania. Nagle poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu. Jednocześnie inne silne ręce chwyciły go od tyłu. Chciał się wyrwać, ale o jego plecy oparło się ostrze halabardy. Zatrzymał się, na znak posłuszeństwa opuścił dłonie i ostrożnie zerknął za siebie. Stali tam trzej strażnicy, stary franciszkanin w brudnych łachmanach oraz postawny mężczyzna w niebieskim płaszczu i eleganckim berecie. Ten ostatni energicznym krokiem obszedł Oldrzicha, aby spojrzeć mu w twarz. Palce wsunął za pas i uważnie mierzył go wzrokiem.

– A więc mamy cię – oznajmił z zadowoleniem. Zwrócił się do franciszkanina, a ten uniósł rękę i wykonał przed Oldrzichem znak krzyża. Nieprzyjemnym piskliwym głosem powiedział:

– Będę się za ciebie modlił, aby Bóg odpuścił ci grzechy.

Następnie odwrócił się i odszedł bez słowa.

– Co to ma znaczyć? – rozzłościł się Oldrzich z Chlumu.

Wokół natychmiast zebrał się tłumek ciekawskich.

– Porozmawiamy sobie u mnie, nie tutaj – oświadczył człowiek w berecie.

Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął laskę, symbolizującą jego wójtowską władzę.

– Pójdziesz ze mną dobrowolnie? Jestem wrocławskim wójtem. Nazywam się Przech. A ty?

– Anzelm – zamruczał gniewnie Oldrzich z Chlumu. – Jeśli twoi strażnicy mnie puszczą, pokażę ci glejt, który dostałem od nuncjusza samego papieża. Nie masz prawa mnie zatrzymywać.

– To kwestia interpretacji prawa. Wrocław ma prawo zatrzymać podczas jarmarku każdego, kto popełni przestępstwo zagrożone karą śmierci. Podkreślam: każdego!

– A jakież to przestępstwo zagrożone karą śmierci popełniłem?

– Dziś przed obiadem zamordowałeś pewnego czeskiego rycerza – Slavibora ze Szvabenic.

– Ktoś zamordował Slavibora?

– Widzę, że bardzo dobrze wiesz, o kim mówię. Idziemy!

Wójt, nie zwracając uwagi na protesty zatrzymanego, ruszył ulicą wzdłuż okazałych podcieni. Jeden ze strażników brutalnie popychał Oldrzicha z Chlumu. Nie dało się nic zrobić.

W drodze do siedziby wójta minęli parę ulic, obeszli ratusz i podążyli w kierunku rzeki. Weszli na niewielki plac otoczony kilkoma starymi domami. Przed bramą największego z nich rosły trzy lipy. Właśnie tam zmierzała grupa zbrojnych. Przemaszerowali przez starannie posprzątane podwórze i weszli do przestronnej, sklepionej izby. Wójt Przech z zadowoleniem rozparł się na szerokiej ławie przy stole. Zawołał na służącą, aby przyniosła mu dzban piwa. Było duszno jak przed burzą. Straże doprowadziły Oldrzicha z Chlumu przed stół. Tam musiał stać i czekać, aż wójt napije się do woli. Każdym swoim gestem Przech dawał wyraz swojej wyższości i pogardzie dla pochwyconego zakonnika.

Długą chwilę trwało, zanim wójt wrócił do obowiązków służbowych. W końcu skinął na strażników, aby zdjęli kaptur franciszkaninowi, ponieważ chciał mu spojrzeć w twarz. Zaledwie to zrobili, wójt z zaskoczeniem zlustrował oblicze Oldrzicha, ale potem lekko pokręcił głową.

– W imieniu miasta Wrocławia wnoszę przeciwko tobie oskarżenie w sprawie umyślnego zabójstwa. Rano odwiedziłeś Slavibora ze Szvabenic,

kilku gości potwierdziło, że widzieli w karczmie franciszkanina. Ojciec przełożony naszych franciszkanów zaświadczył jednak, że nie mógł to być nikt z ich klasztoru, ponieważ wtedy odbywało się posiedzenie kapituły generalnej. Ciebie nie znają i sam przeor bardzo się dziwił, że po przybyciu do miasta nie zaszedłeś do klasztoru, jak nakazują ci przepisy zakonne. Podejrzane, nieprawdaż? W mieście nie ma innego obcego franciszkanina. To zatem oznacza, że w karczmie Pod Złotym Dzbanem musiałeś być ty. Rozmawiałeś z ofiarą. Zabiłeś Slavibora i udało ci się zbiec, zanim przybyłem tam ze strażnikami. Żaden z gości, którzy pozostali wewnątrz, nie mógł go zabić, ponieważ wszyscy siedzieli razem w karczmie przy stole. Oprócz nich i ciebie nikogo tam nie było. Dlaczego zamordowałeś tego czeskiego rycerza?

– Kiedy doszło do zabójstwa?

– W porze obiadu. Karczmarz twierdzi, że zapewne tuż przed południowym biciem w dzwony.

– Gdy dzwony wybijały południe, jadłem obiad z pewną cnotliwą panną, której towarzyszę w pielgrzymce pokutnej. Właśnie dlatego dostałem glejt, którego respektowania odmawiasz, całkowicie wbrew prawu – zauważył ostro Oldrzich z Chlumu. – W czasie morderstwa siedziałem przy stole w karczmie o nazwie Baszta Rybacka. Jadłem wędzonego węgorza, a owa panna pieczonego szczupaka.

– Sprawdzę to. A zatem: dlaczego zabiłeś tego rycerza?

– Jesteś chyba głuchy, człowieku – zirytował się Oldrzich z Chlumu.

Jeden ze strażników natychmiast wbił mu w brzuch rękojeść halabardy. Oldrzich krzyknął z bólu i zgiął się w pasie.

– Będziesz mówił? – ciągnął swoje wójt.

– Żądam postawienia przed sądem – bronił się Oldrzich z Chlumu. – Nic nie zrobiłem. Podczas zabójstwa byłem w innym miejscu i mogę to

udowodnić. Niech mądrzy ludzie zdecydują, kto z nas dwóch jest tępym głupcem.

– Na co ty sobie pozwalasz?! – wrzasnął purpurowy ze złości wójt i wyskoczył zza stołu.

Jeden ze strażników chciał znów uderzyć Oldrzicha, ale ten zręcznie chwycił koniec rękojeści i wyrwał mu broń. Pozostali dwaj zbrojni na chwilę osłupieli i dopiero gdy halabarda brzęknęła o podłogę, chcieli się rzucić na więźnia, lecz wójt ich powstrzymał. Wyglądał na zaskoczonego i nad czymś się zastanawiał. Znów usiadł na ławie i zupełnie spokojnym głosem rozkazał strażnikom:

– Odprowadźcie go do piwnicy i zamknijcie w lochu. Ty, Macieju, pobiegnij do Baszty Rybackiej i sprawdź, czy franciszkanin nie kłamie. I dajcie mu trochę piwa.

ROZDZIAŁ IX

Ślad Oldrzicha z Chlumu giermek Ota zgubił pod kościołem Świętego Marcina. Chociaż zapadł już zmrok, ulice wciąż były pełne ludzi. Przed wieczorem, gdy królewski prokurator zaginął, tłum z pewnością kłębił się jeszcze większy, więc poszukiwania były niemal skazane na klęskę.

– Co teraz zrobimy? – spytał starszy syn kowala. Po ojcu miał na imię Jacek, a wołali na niego Młotek.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu szerokich ulic. Nad ich głowami po pociemniałym niebie płynęły ciężkie chmury, zakrywając księżyc i gwiazdy. Było duszno i wiał silny, porywisty wiatr. W oddali zagrzmiało.

– Gdybym to ja wiedział – westchnął Ota. Śledztwo w towarzystwie tych mężczyzn nie wydawało mu się zbyt kuszące. – Czy któryś z was zna wójta? Jeśli tak, moglibyście do niego pójść i dyskretnie podpytać, czy coś nie obiło mu się o uszy.

Obaj młodzieńcy pokręcili głowami.

– Ale jeden ze strażników jest naszym dalekim krewnym – przypomniał sobie Jacek Młotek. – Pójdę do niego.

– A ja zapytam starszego bractwa żebraków – zaproponował młodszy. – Niedawno dałem mu garść gwoździ. Żebracy w mieście często wiedzą więcej niż przedstawiciele prawa.

– Dobry pomysł. Spotkamy się na rynku. Przed wejściem do Piwnicy Świdnickiej – zgodził się giermek Ota. Rozstali się, a on pośpieszył w stronę ratusza. Tam już jakiś czas temu miał się spotkać z Marylą. Obawiał się, że straciła cierpliwość i sobie poszła. Ale ona czekała. Siedziała na niskim kamiennym słupku. Kiedy do niej podszedł, nie czyniła mu wyrzutów. Zwróciła ku niemu swoje wielkie oczy i spytała, czy udało się wynająć pokój.

– Nawet nie próbowałem – odparł Ota i zwięźle wyjaśnił, że jego pan zaginął. – Tutaj, w mieście, podaje się za franciszkanina, ale w rzeczywistości ja mu służę. To skomplikowane, nie mam teraz czasu na wyjaśnienia.

– Jakiegoś franciszkanina prowadził wójt. Widziałam, jak szli przez rynek.

– Jak wyglądał?

– Jak każdy franciszkanin. Szary habit, w pasie przewiązany sznurem. Na szyi krzyż. Był dobrze zbudowany. Wyższy niż nasz wójt, a to nie zdarza się często. Całkiem przystojny.

– To on! – zawołał z radością giermek Ota. – To znaczy, że nic mu się nie stało. Może razem coś omawiają.

– Nie wydaje mi się. Tego franciszkanina prowadzili trzej strażnicy, jeden z wyciągniętą halabardą. Prowadzili go na przesłuchanie.

– I tak nie grozi mu niebezpieczeństwo – uspokoił się giermek Ota. – W takich sytuacjach mój pan zawsze umiał sobie poradzić. Ale na pewno by się ucieszył, gdybym mógł jakoś z nim porozmawiać. Umiałabyś to załatwić?

– Jestem zwykłą prostytutką. A ty oczekujesz ode mnie cudów jak od świętej.

– Przecież świetnie radzisz sobie ze strażnikami.

– Ale wszystko ma swoje granice. Jeśli uwięził go wójt, to żaden z nich nie będzie się narażał. Bardzo chętnie bym ci pomogła, ale tego nie załatwię. Gniewasz się?

– Nie – pokręcił głową Ota.

Z ciemności wyłonił się starszy syn kowala. Jeszcze zanim do nich podszedł, wołał:

– Tego franciszkanina oskarżyli o zabójstwo jakiegoś czeskiego rycerza. Wójt go uwięził już przed wieczornymi dzwonami.

– Wiesz jeszcze coś?

– Między strażnikami mówi się, że ten zakonnik chyba tego nie zrobił. Podczas przesłuchania podobno powiedział, że w czasie morderstwa był gdzie indziej. A jeden z karczmarzy to potwierdził.

– Więc dlaczego wójt go nie wypuścił?

– Podobno to jakaś zagmatwana sprawa – odparł Jacek Młotek i ziewnął. – Będę jeszcze potrzebny?

– Idź do domu. – Ota z radością zwolnił go z dalszych działań.

– Czyli wszystko jest na dobrej drodze – stwierdziła Maryla i pogłaskała go kusząco. Według niej mogliby wreszcie zająć się czymś innym.

– Owszem, ale jeszcze chwilę wytrzymaj.

Wkrótce podbiegł do nich drugi syn kowala. On również oznajmił, że franciszkanina zabrał wójt.

– Ale wójt się myli – ciągnął młodzieniec.

– Wiem, zakonnik był w tym czasie gdzie indziej.

– Najprawdopodobniej tak. A jakiś żebrak zauważył, że z karczmy Pod Złotym Dzbanem, gdzie doszło do morderstwa, wybiegł pewien franciszkanin. Tyle że był o głowę niższy niż brat Anzelm.

– Jest skłonny to potwierdzić?

– Musiałby na głowę upaść! Ale nawet jeśli, to wójt takie zeznanie odrzuci. Do zobaczenia! – Syn kowala dotknął palcami skroni, jakby chciał musnąć rondo kapelusza, chociaż paradował z gołą głową. Odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

– I tak chciałbym pomówić z moim panem – wahał się giermek Ota, kiedy młoda prostytutka chwyciła go za rękę. Pozwolił jej na to, ale nie odwzajemnił intymnego gestu. Roztargniony spytał: – Posłuchaj, znasz więzienie miejskie?

– Co ty sobie wyobrażasz? Nie robię niczego wbrew prawu, nigdy mnie nie zamknęli.

– Interesuje mnie tylko, czy cele mają okna. I czy udałoby się do nich dostać z ulicy.

– Już ci na mnie nie zależy?

– Wiesz, dlaczego mogłem ci kupić spódnicę? Bo wypełniam swoje obowiązki. Za to dostaję pieniądze, dzięki którym mogę sprawiać przyjemność ładnym dziewczynom, takim jak ty. Jeślibym zapominał o obowiązkach, byłbym biedny.

– To wszystko jest dla mnie za trudne – potrząsnęła głową. – Ale wierzę ci. Więzienie… Hmm… Z tego, co pamiętam, niektóre cele mają małe okienka. Zamknięto tam raz jedną prostytutkę, a jej koleżanka podsyłała jej przez kraty jedzenie. Chodź!

Przeszli wąską uliczką obok ratusza, minęli siedzibę wójta i, podążając jakimś zaśmieconym rowem, dotarli wzdłuż murów do kamiennej ściany.

Była to podmurówka tylnego skrzydła siedziby wójta. Przy ziemi dostrzegli małe prostokątne okienka, w większości zarośnięte uschłą trawą.

Giermek Ota pochylił się w stronę pierwszego z nich i półgłosem zawołał:

– Mój panie, jesteś tam?

Nikt się nie odezwał. W drugiej celi również nikogo nie było. Dopiero z trzeciego okienka dobiegł gruby głos z wyraźnym polskim akcentem:

– Nie przeszkadzaj, głupcze!

– Zostało już tylko jedno – stwierdziła Maryla.

Ota schylił się ku niemu i powtórzył swoje pytanie.

– Nie przyniósłbyś mi piwa? Jak mnie wypuszczą, odwdzięczę ci się – odparł mu wysoki kobiecy głosik.

Rozczarowany giermek wyprostował się.

– Marylo, czy tam na dole mogą być jeszcze inne cele bez okien?

– Może i tak, ale ja nic o tym nie wiem.

– Więc gdzie, do diabła, jest mój pan?

– A jeśli już go wypuścili?

Ota skinął głową, chwycił ją za rękę i pobiegli przez miasto w stronę murów. Oldrzich z Chlumu jednak nie pojawił się w domu. Giermek jął uspokajać Ludmiłę z Vartemberku, aby się nie trwożyła, bo zaszło nieporozumienie. Jego doświadczenie podpowiadało mu, iż ważne jest przede wszystkim to, że jej mężowi nic się nie stało. Czego więcej mogliby sobie obecnie życzyć?

– Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać – westchnęła jego pani. W jej oczach pojawiły się łzy. – Mam jakieś dziwne przeczucie.

Ota wrócił na ulicę i poprosił Marylę, aby zostawiła go dziś samego. Spotkają się znów nazajutrz.

– Bramy są już zamknięte – zauważyła markotnie. Tak się cieszyła na tę noc. – Nie mam gdzie się podziać.

Giermek dał jej kilka srebrniaków, aby gdzieś wynajęła łóżko i tam się przespała. Potem wrócił do swojej pani.

Maryla w duchu się ucieszyła. Brała życie takim, jakim było, i zły humor nigdy się jej nie trzymał zbyt długo. A dziś przecież miała właściwie szczęśliwy dzień! Ruszyła ku furtce, z której korzystał miejski kat. Wiedziała, że obok znajduje się liche zadaszenie, pod którym mistrz ostrego miecza chowa na noc wóz. Żaden porządny człowiek nie odważyłby się tam wejść.

Wóz stał na swoim miejscu, a na nim leżała nawet sterta siana. Na zewnątrz właśnie zaczął padać deszcz i nadciągnęła burza. Maryla weszła na wóz, zagrzebała się w sianie i niemal natychmiast zasnęła z błogą świadomością, ile pieniędzy dziś zarobiła.

Oldrzich z Chlumu siedział na chwiejnej ławie w podziemnej celi i z pękatego dzbanka popijał słabe jęczmienne piwo. Miał wygodnie wyciągnięte nogi, opierał się o ścianę i czekał na rozwój sytuacji. Wkrótce usłyszał kroki i szczęk zasuwy. Drzwi się otworzyły i na chwilę oślepiło go światło pochodni.

– Chodź! – rozkazał niecierpliwie strażnik więzienny. Tego dnia schodził do podziemia już co najmniej po raz dwudziesty. Wciąż biegał w dół i w górę po wydeptanych schodach.

Odprowadził więźnia do izby wójta, ukłonił się i odszedł.

– Siadaj – rzekł Przech uprzejmie. Do kielicha nalał z dzbanka czerwone wino i przysunął się do więźnia.

Oldrzich z Chlumu rozsiadł się wygodnie na ławie, upił łyk, ale przy tym uważnie obserwował wójta i zastanawiał się, co też może się kryć za

zmianą jego zachowania. Z pewnością nie chodziło tu tylko o zeznanie karczmarza z Baszty Rybackiej. Jeśli wójt zorientowałby się, że jego więzień jest niewinny, wypuściłby go, ale na pewno nie gościłby go na pożegnanie.

– To ta broda mnie zmyliła – kontynuował wrocławski wójt. – Skąd miało mi przyjść do głowy, że królewski prokurator Oldrzich z Chlumu pozbędzie się ozdoby swej twarzy. Tłumaczy mnie chyba tylko to, że widziałem cię jedynie dwa razy. Ostatnio w zeszłym roku, kiedy prowadziłeś śledztwo w Nachodzie. Pamiętasz, niesłusznie oskarżono tam jednego wrocławskiego kupca. Wypowiedziałeś wtedy to samo zdanie: Niech mądrzy ludzie zdecydują, kto z nas dwóch jest tępym głupcem. Kiedy tylko powtórzyłeś je tutaj, uświadomiłem sobie, kim jesteś.

– Dobrze – skinął Oldrzich z Chlumu. – Nie zaprzeczam. I odwołuję, jakobyś był głupcem. Wręcz przeciwnie, jesteś bardzo bystry. Zrozumiałeś z pewnością, że czegoś tu szukam, bo w przeciwnym razie nie podszywałbym się pod franciszkanina. Bardzo bym docenił, gdybyś moją obecność zachował w ścisłej tajemnicy.

– Jeśli nie naruszę tym prawa i nie zaszkodzę Wrocławiowi, mogę to obiecać. Ale w życiu nie ma nic za darmo.

Oldrzich z Chlumu skinął głową. Wójt również milczał. Napił się z kielicha i czekał. Oldrzich zrozumiał, że bada jego zachowanie. Musiał pokazać, co potrafi. Ostrożnie zaczął:

– Morderstwo podczas jarmarku to niewątpliwie trudna sprawa. Zwłaszcza jeśli dojdzie do niego na rynku, a ofiarą jest wysoko postawiony rycerz. Nie znam okoliczności, ale z pewnością nie chodziło o bójkę, podczas której jeden po prostu dźgnąłby drugiego. Każda dziwna śmierć wywołuje różne domysły. Do pewnego stopnia rozumiem, dlaczego chciałeś za wszelką cenę zrzucić winę na mnie, skoro przypadkiem miałem

na sobie franciszkański habit. Ponieważ jednak okazał się to mylny trop, musisz jak najszybciej znaleźć prawdziwego zabójcę. Czeka cię niełatwa praca, miasto pełne ludzi, a habit mógł zdobyć ktokolwiek. Oczywiście przy założeniu, że zbrodni nie popełnił któryś z waszych franciszkanów. Przeor mógł kłamać. Może przydałby ci się ktoś doświadczony.

– Widzę, że zrozumiałeś – skinął z zadowoleniem Przech. – Ja będę milczał na twój temat, a ty znajdziesz mi mordercę.

Oldrzich z Chlumu uświadomił sobie, jakie ma szczęście. Jeśli będzie pracował dla wójta, zyska pośredni dostęp do miejsc, do których sam nigdy by się nie dostał. A ponadto będzie badał sprawę zabójstwa, które może mieć związek ze zniknięciem Milicza. Do morderstwa jego brata z pewnością nie doszło przypadkowo. Byłoby to wbrew logice, którą kierował się jako śledczy. Udawał jednak, że jeszcze się zastanawia.

– Skomplikuje to moją misję. Szukam francuskiego rycerza. Nazywa się Roland i zniknął w okolicach karnawału – wyjaśnił i dopił zawartość kielicha.

Wójt natychmiast uprzejmie dolał wina, ale nie skomentował tych słów.

– Poza tym rozwiązywanie sprawy morderstwa w mieście, w którym nie mam żadnych praw, to sytuacja dość nietypowa. Właściwie naruszałoby to niezawisłość twojego urzędu – kontynuował, jakby się wahał.

Przech zaśmiał się krótko i sucho.

– Szlachetny panie, o niektórych zbrodniach, które wyjaśniłeś, krążą we Wrocławiu legendy. I chyba rzadko przejmujesz się tym, czy podczas śledztwa naruszasz prawa innych urzędów. Prawdopodobnie mówisz w takich sytuacjach swojemu królowi, że sprawiedliwość jest tylko jedna i nie może oglądać się na to, że urzędów jest tak wiele.

– Dosłownie tak bym tego nie ujął, ale rzeczywiście, masz rację. Uznaję zasadę, że prawda stoi wyżej niż nieistotny podział władzy. Dobrze,

pomówmy o kwestiach praktycznych. Jak wyobrażasz sobie mój udział w śledztwie?

Zanim jednak wójt zdążył odpowiedzieć, rozległo się stukanie do drzwi i do środka wszedł mężczyzna z czarną opaską na oku. U pasa miał miecz, najprawdopodobniej więc był dowódcą miejskich strażników, oni bowiem nosili tylko noże. Uprzejmie przeprosił, że przeszkadza.

– Dotarła do mnie niepokojąca wieść – mówił z troską w głosie. – Jakiś rudowłosy młodzian kręcił się pod oknami cel więziennych. Kobieta z tylnej piwnicy powiedziała, że zagadywał do niej przez okienko. Ale nie żadne nieprzyzwoitości, jak to bywa, tylko podobno o kogoś wypytywał. Zauważył go również wartownik.

– Czy ten młodzieniec był sam?

– Nie, towarzyszyła mu miejska prostytutka.

– A czy nie poszedł z nią po prostu w jakieś ustronne miejsce, żeby skorzystać z jej usług? – wahał się jeszcze wójt. Potem zwrócił się do Oldrzicha z Chlumu. – Nie szukał przypadkiem ciebie?

– Mój pomocnik z pewnością nie prowadzałby się po mieście z dziewczyną lekkich obyczajów – odparł z godnością królewski prokurator. Nie zamierzał zdradzać wójtowi więcej, niż było to konieczne. Szybko przemyślał swoje plany i dodał: – A ponadto ma dotrzeć do miasta dopiero jutro.

Mężczyzna stojący przy drzwiach wzruszył ramionami i zniknął.

– Dobrze, wróćmy do naszych spraw – zaproponował Przech. – Mógłbyś zdjąć habit i jako bakałarz, który nie ukończył studiów, poprosić mnie o posadę. Ja cię przyjmę i powierzę ci śledztwo. Możesz się nazywać na przykład Gelasius.

– Moglibyśmy tak zrobić. Tylko w takim razie chcę mieć od ciebie glejt na wypadek, gdyby ktoś mnie rozpoznał i zechciał oskarżyć o bezprawne

wdarcie się na teren Wrocławia i wykonywanie czynności nienależących do moich obowiązków.

– Jaki glejt?

– Pismo, w którym potwierdzisz, że królewskiemu prokuratorowi Oldrzichowi z Chlumu, występującemu pod innym imieniem, powierzyłeś śledztwo we Wrocławiu. A zrobiłeś to dlatego, że ofiarą był czeski wielmoża i możliwe jest, iż przyczyny zbrodni prowadzą raczej do Królestwa Czeskiego niż na Śląsk. Nie skorzystam z niego, jeśli nie będzie takiej potrzeby. I zwrócę przed odjazdem.

Przez chwilę się targowali, ale Przech w końcu przystał na ten warunek. Zaraz potem razem opuścili siedzibę wójta, ponieważ Oldrzich z Chlumu chciał zobaczyć miejsce, w którym doszło do zabójstwa. Po drodze wójt referował prokuratorowi, czego się dotychczas dowiedział.

ROZDZIAŁ X

Kiedy Oldrzich z Chlumu wrócił do domu kowala, Ludmiła spała skulona na łóżku. Giermek Ota siedział na krześle z mieczem na kolanach i drzemał. Gdy skrzypnęły drzwi, poderwał się i stanął przed łóżkiem, aby chronić swą panią. Kiedy jednak w świetle lampy rozpoznał Oldrzicha, z ulgą schował miecz do pochwy. Ludmiła z Vartemberku obudziła się i tak jak spała, tylko w długiej płóciennej koszuli, podbiegła do drzwi. Aż dziw, że nie przewróciła Oty, stojącego jej na drodze. Rzuciła się mężowi na szyję i zaczęła czynić mu wyrzuty, że tak długo pozostawił ją bez żadnych wieści.

– Moja droga, z więzienia trudno jest posyłać wiadomości – tłumaczył rozbawiony. Wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem do łóżka. Sam usiadł u wezgłowia.

– Nie byłeś w więzieniu. Ota to sprawdził – protestowała. W duchu ciągle trapiły ją pogłoski o uczynności wrocławskich prostytutek.

– Ota rzadko się myli, to prawda. Ale to była właśnie jedna z owych nielicznych chwil, kiedy nie miał racji. Ale wybacz mu, bo wszystko tak się zagmatwało, że ja też prawie się w tym gubię. Zmieniłem plan. Oto, pobiegnij po dzbanek piwa, a ty, Ludmiło, w tym czasie się ubierz.

– Za jak długo mam wrócić? – spytał giermek z niewinnym wyrazem twarzy.

Ludmiła trochę się zarumieniła i nakazała, aby wrócił najszybciej, jak się da. Ledwie za Otą zamknęły się drzwi, objęła męża i zaczęła go całować. Oldrzich z Chlumu z rozkoszą odwzajemniał pocałunki, ale po chwili wysunął się z jej objęć i przypomniał, że zaraz wróci giermek, zgodnie z jej rozkazem.

– A co niby miałam mu powiedzieć? – westchnęła nieco urażona. Podbiegła do skrzyni i szybko przyodziała suknię z brązowego płótna. Potem zapaliła świecę stojącą na stole i przygotowała trzy kubki.

– Mam zamknąć okno?

– Wprawdzie jest gorąco, ale może tak będzie lepiej. Kowal bywa zbyt ciekawski – zgodził się Oldrzich z Chlumu. – Z podwórza mógłby nas usłyszeć.

Ludmiła z Vartemberku skinęła głową i zatrzasnęła okiennice. Podeszła do łóżka, usiadła i spytała troskliwie:

– Jak się sprawy mają?

– Nad wyraz dobrze, moja miła. Nie musisz się o nic martwić – uspokajał ją Oldrzich z Chlumu. Uważał, że jedyne dozwolone kłamstwo to takie, które mąż mówi swojej żonie, by chronić ją przed złem świata. Dusza niewieścia była o wiele bardziej krucha niż męska. Beztroskie te słowa wypowiedział jednak jeszcze z jednego powodu. Musiał jak najszybciej wyprawić żonę z Wrocławia. Albowiem gdyby miała choć cień przeczucia, że grozi mu niebezpieczeństwo, byłoby to prawie niemożliwe.

Dało się słyszeć ostrożne pukanie do drzwi. Ludmiła z Vartemberku od razu zawołała, aby Ota wszedł, bo drzwi przecież są otwarte.

– Ja tylko tak na wszelki wypadek – tłumaczył, ale jego pokerowa mina nie zdradzała nic więcej. Postawił na stole dzbanek z piwem, a potem

podszedł do skrzyni i rozsiadł się wygodnie na jej wieku. Podczas narad z panem było to jego ulubione miejsce.

– A nalewać mam ja? – upomniał go dobrodusznie Oldrzich z Chlumu.

– Och, zapomniałem, że nie ma z nami Divisza – rzucił giermek Ota. Tym razem ze szczerym poczuciem winy. Nalał piwo, z ukłonem podał kubek swojej pani i wrócił na skrzynię.

– Wydarzenia nabrały tempa – zaczął Oldrzich z Chlumu i usiadł na ławie tak, aby widzieć oboje swoich towarzyszy. Potem szybko im opowiedział o rozwoju wypadków i udziale w nich Jacka Młota.

– Przyznał się nam – wtrąciła jego żona.

– I tak zasłużył na cięgi – dodał mściwie giermek Ota.

– Już dostał – zaśmiała się Ludmiła z Vartemberku. – Żona zwymyślała go tak, że według mnie wolałby dostać kilka kijów. Gospodyni ma rację, jeszcze dużo muszę się nauczyć o małżeństwie.

– Chyba żartujesz? Jak by to wyglądało, gdyby szlachetna dama przejmowała zwyczaje prostego ludu? – zdziwił się Oldrzich z Chlumu, ale zaraz wrócił do tego, czego dowiedział się od karczmarza Hermenegilda i proboszcza Ondrzeja. – Właśnie wtedy, kiedy zastanawiałem się nad ich słowami, zostałem oskarżony o zabójstwo Slavibora ze Szvabenic. Nie wiem jak, ale na szczęście dowiedzieliście się o tym szybko.

– Mam w mieście kilka godnych zaufania dusz, które mówią mi o wszystkim – przyznał skromnie giermek Ota.

Oldrzich z Chlumu rzucił mu krótkie rozbawione spojrzenie, ponieważ potrafił sobie wyobrazić, kim są owi pomocnicy, ale nie zamierzał tego roztrząsać. Gdy śledztwo zaczynało się komplikować, nie lubił tracić czasu na głupie żarty. Interesowało go coś innego.

– A czy te godne zaufania dusze, drogi Oto, nie dowiedziały się przypadkiem czegoś również o dzisiejszym morderstwie?

– Oczywiście, że tak – skinął giermek. Następnie szybko opowiedział, co odkrył w sprawie Hynka Berki i zabójstwa Slavibora ze Szvabenic. Przyznał nawet, że był w karczmie Pod Złotym Dzbanem, kiedy doszło do zbrodni, i wyjaśnił, jak stamtąd uciekł.

Oldrzich z Chlumu słuchał w skupieniu. Jego żona wprawdzie chętnie skomentowałaby tę część opowieści Oty, ale znała swego męża. Kiedy miał taką minę, najprawdopodobniej nie byłby z tego zadowolony. I właściwie miałby rację, ponieważ moralizatorskie pouczenia nic by tu nie wniosły. Ludmiła powoli przywykała do tego, że podczas śledztwa niektóre wydarzenia lepiej przemilczeć. I z pewnością nie chwalić się nimi w klasztorze.

Kiedy giermek Ota skończył swoją relację, królewski prokurator najpierw ugasił pragnienie. W pomieszczeniu robiło się coraz duszniej. Na zewnątrz padało, ale teraz dodatkowo nasilił się wiatr i rozległo się głośne uderzenie pioruna. Zaraz potem niebo zaczęły przecinać ogniste błyskawice.

– Nareszcie – mruknął Oldrzich z Chlumu w stronę okna. – Powietrze się oczyści. Ale wróćmy do meritum. Wrocławski wójt jest mądrym człowiekiem. A ściślej mówiąc: sprytnym. Rozpoznał mój kamuflaż. Zawarliśmy umowę. On przemilczy moją obecność, ale w zamian za to ja znajdę zabójcę pana Slavibora. Będę występować znów pod innym imieniem. Za chwilę nie będę wiedział, jak się naprawdę nazywam. Teraz jestem bakałarzem Gelasiusem. Dostanę nawet pismo, które to potwierdza. Tego habitu i tak już miałem dość. Jak franciszkanie mogą w tym chodzić przez okrągły rok? I mogę znowu zapuścić brodę.

– Takiemu to dobrze – westchnął giermek i przesunął dłonią po zaroście na twarzy. To była jedyna rzecz, która go w tej sytuacji naprawdę irytowała.

– Okoliczności są wszak łaskawe również dla ciebie. Chociaż ty, miły Oto, wcale na to nie zasługujesz – ciągnął z rozbawieniem jego pan, który dostrzegł gest swojego giermka. – Możesz się ogolić.

– Naprawdę? Nie będzie to podejrzane?

– I oboje umyjecie włosy. Nie musicie już udawać rudzielców.

– To wspaniale – skinęła Ludmiła z Vartemberku. Lecz ona również zachowała czujność. – Chyba nie zamierzasz odesłać nas do domu?

– Nawet do głowy by mi to nie przyszło – zaprzeczył Oldrzich z Chlumu. – Mam dla was bardzo ważne zadanie.

– Oczywiście poza Wrocławiem – natychmiast weszła mu w słowo żona. – Chcesz się nas pozbyć.

– Moja droga, śledztwo prowadzi się tak, jak wymagają tego okoliczności. Czy mam rację, Oto?

Giermek wiedział, że za tę odpowiedź dostanie mu się od pani, ale gorliwie przytaknął.

– Muszę dowiedzieć się jak najwięcej od panów ze Szvabenic. Tam według mnie znajduje się klucz do tego morderstwa.

– Mamy jechać aż na Morawy?

– Ależ skąd! Ludmiło, przecież to ty mi opowiadałaś, że panowie ze Szvabenic postawili tuż przy granicy ze Śląskiem dwa zamki. W jednym z nich, który nazywa się Rechenburg i leży kilka kroków od Trutnova, mieszkał Slavibor ze swoją żoną. Odwiedzisz wdowę, opowiesz jej o tym tragicznym zdarzeniu i dowiesz się, dlaczego jej mąż tu przyjechał. I co się w rodzinie mówi o jej szwagrze Miliczu.

– Zgoda. – Zadowolona Ludmiła skinęła głową. To zadanie wydało jej się poważne. – Ale dlaczego ma ze mną jechać Ota? Nie byłoby z niego więcej pożytku tutaj?

– Może i tak, ale nie pozwolę, żebyś podróżowała sama – odparł Oldrzich z Chlumu. – A poza tym gdyby tu został, nie mógłby się golić. Przyznaj, że na taką karę nie zasługuje, mimo swoich wszetecznych grzechów.

Wszyscy troje zaśmiali się swobodnie. Dobry humor szybko im powrócił po pełnych napięcia chwilach.

– Muszę wam jeszcze powiedzieć, czego dowiedziałem się na miejscu zbrodni – ciągnął rzeczowo Oldrzich z Chlumu. – Wójt Przech mi towarzyszył. Wydaje się, że zrobi wszystko, żebym jak najszybciej pozbawił go tego kłopotu. A to bardzo sprzyja naszemu zadaniu.

– Wciąż uważasz, mój panie, że dzisiejsze morderstwo ma związek ze zniknięciem Milicza?

– Skłaniam się ku temu. Ale posłuchajcie! Zabójca podciął gardło Slaviborowi. Od tyłu, w chwili kiedy ten otwierał skrzynię. Świadkowie widzieli, jak z zajazdu uciekał jakiś franciszkanin. Ale według mnie on nie mógł się tego dopuścić.

– Oczywiście – podchwycił zaintrygowany giermek Ota. – Poderżnięte gardło oznacza mnóstwo krwi. Tryska na wszystkie strony. Musiałby mieć habit poplamiony krwią. A to musiałby ktoś zauważyć.

– W rzeczy samej! Ponadto świadkowie powiedzieli, że tuż po zabójstwie ktoś szedł korytarzem i wołał o pomoc. Jednak tego mężczyzny też nie udało się odnaleźć wśród gości. To oznacza, że morderców mogło być dwóch.

– Dlaczego dwóch? Zabójca podciął gardło Slaviborowi, na zakrwawione ubranie założył habit i uciekł – rozważała na głos Ludmiła z Vartemberku.

– Z pierwszą częścią mógłbym się chyba zgodzić – skinął Oldrzich z Chlumu – ale z tą drugą w żadnym razie. Co by się stało, gdyby nie udało

mu się zniknąć, a na jego odzieży pod habitem znajdowałaby się krew? Zabić, mieć na sobie ślady krwi, wzywać pomocy i jednocześnie zniknąć – wszystko naraz byłoby zbyt ryzykowne. A jeśli było inaczej? Jeden człowiek dokonał morderstwa. Musiał to być ktoś, komu Slavibor ufał. Dlatego odwrócił się do niego plecami i przyklęknął przed skrzynią. Zabójca podciął mu gardło, szybko przebrał się we franciszkański habit i spokojnie odszedł. Dopiero kiedy znalazł się na zewnątrz, czyli był bezpieczny, jego pomocnik zaczął krzyczeć, że doszło do morderstwa. Zabójca nic nie ryzykował. Gdyby nie udało mu się zniknąć, nie wzbudzałby swoim wyglądem żadnych podejrzeń.

– Mądrze mówisz – zgodziła się Ludmiła z Vartemberku. – Na pewno zaplanowali to właśnie tak.

– Ja też mam pewien pomysł – włączył się giermek Ota. – Prawdziwy morderca mógł wyjść przez drzwi na rynek, ponieważ jeszcze nikt o niczym nie wiedział. Jego pomocnik, gdy tylko wybuchło zamieszanie, uciekł korytarzem przez piwnicę tak samo jak ja.

– To możliwe. A nawet prawdopodobne, ponieważ zaraz, kiedy odezwał się krzyk, pod drzwiami stanęli dwaj zbrojni, którzy akurat znajdowali się kilka kroków od karczmy. Przysięgają, że nikogo nie wypuścili na zewnątrz, chociaż kilku gości prosiło ich, by pozwolono im odejść.

– Czegoś jednak nie rozumiem – zdziwił się giermek Ota. – Jak to możliwe, że wójt nie zainteresował się tym korytarzem w piwnicy? Skoro wie o nim zwykła prostytutka, to on z pewnością również.

Tym razem Ludmiła z Vartemberku nie dała nic po sobie poznać. Dopiero teraz Ota otwarcie przyznał, że był tam z dziewczyną o wątpliwej reputacji. I ze zdumieniem uświadomiła sobie, że wcale jej to nie gorszy.

– Ja tak nie uważam. – Oldrzich z Chlumu odrzucił te wątpliwości. – Jest mnóstwo tajemnic, które zna półświatek, ale nie władze miejskie.

A nawet jeśli wójt wie o tym korytarzu, nie zastanawiał się nad nim, ponieważ z pewnością tamtędy nie chodzi. W odróżnieniu od sprzedajnych wrocławskich dziewcząt. Ów korytarz nasuwa nam jednak pewną hipotezę. W Piwnicy Świdnickiej, do której prowadzi przejście, siedział w tym czasie Hynek Berka z Duby. Muszę z nim koniecznie pomówić. Ale jednocześnie zastrzegę pełną poufność. A on nie pozwoli sobie na działania wbrew interesom naszego władcy.

– Obyś miał rację! Po panach z Duby można się spodziewać podłości – ostrzegła go z przekonaniem żona. Wciąż nie potrafiła zapomnieć o niegodziwości młodego Benesza.

– To oczywiste – zgodził się giermek Ota. – Tylko jaki jest ich związek z panami ze Szvabenic? I jeśli to Hynek, dlaczego nie zabił Slavibora po prostu w jego domu?

– Ponieważ tu nikt nie będzie go łączyć z tą śmiercią – zaczęła snuć przypuszczenia Ludmiła z Vartemberku. – To był on! Co mówił ten żebrak? Oddalający się franciszkanin był niski. Tak jak Hynek Berka z Duby. Jakiś jego pomocnik wywołał potem zamieszanie wśród gości i podziemnym korytarzem wrócił do karczmy, gdzie się zatrzymali.

– Co by nie powiedzieć o panu z Duby, jest on rycerzem. – Oldrzich z Chlumu stanowczo odrzucił tę myśl. – Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby poderżnął komuś od tyłu gardło jak prosiakowi. Nie postępuje aż tak haniebnie. Kiedy w swojej hipotezie połączyłem go z tą zbrodnią, miałem na myśli to, iż nie jest możliwe, aby zaledwie o kilka kroków od siebie przebywało dwóch tak znanych czeskich wielmożów, niewiedzących nawzajem o swej obecności.

– Jeśli Hynek Berka maczał w tym palce, to na pewno się tego dowiemy od panów ze Szvabenic – kontynuowała żona. – Na pewno mu tego nie odpuszczę.

– Moja miła, rozumiem, ale podczas śledztwa nie daj się ponieść nienawiści. Gniew jest złym doradcą – ostrzegł ją.

– Dowiedziałeś się w karczmie Pod Złotym Dzbanem jeszcze czegoś, mój panie? – spytał giermek Ota, aby skierować rozmowę na inne tory. Postanowił jednak, że kiedy będzie sam ze swoją panią, wyjawi jej swoje własne zdanie na ten temat. Nie zamierzał wprawdzie umniejszać autorytetu swego pana, ale akurat jemu własny gniew pomógł wiele razy.

– Odkryłem jeszcze dwa szczegóły. Być może bez znaczenia – odrzekł Oldrzich z Chlumu. – Dziś rano Slavibora odwiedziła jakaś rudowłosa dziewczyna.

– Prostytutka. Wiem już, że podczas pobytu we Wrocławiu były u niego dwie. Dowiem się, jak mają na imię – zaoferował giermek Ota. Zaraz jednak przerwał i dodał: – Właściwie już chyba nie zdążę, skoro muszę wyjechać. Ale zapoznam was z moją pomocnicą. Ona na pewno ustali imiona obu tych dziewcząt.

– Dobrze – skinął Oldrzich z Chlumu. – I jeszcze drugi szczegół. Podobno wczoraj Slavibor ze Szvabenic powiedział karczmarzowi, że dziś załatwi swoją sprawę i jutro wyjedzie. Wygląda na to, że zabił go właśnie ów człowiek, z którym miał spotkanie. Podejrzewam, że szukał swojego brata i natknął się na kogoś, kto o nim coś wiedział.

– Co stało się potem?

– To tylko moje domysły. Gdybym snuł je dalej, byłoby to już bajdurzenie – uśmiechnął się Oldrzich z Chlumu. – Dlatego pojedziecie odwiedzić rodzinę Slavibora na Rechenburgu. Może Milicz spędził tam czas do Wielkanocy. Jeśli naprawdę zniknął dopiero dwa miesiące temu, ale z karczmy U Króla Wacława uciekł już podczas karnawału, nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie indziej mógłby spędzić cały ten czas. Rano się wymkniecie, gdy tylko otworzą bramy miejskie.

– Chyba powinniśmy się przespać przed podróżą – zaproponował giermek Ota i wstał ze skrzyni. Zabrał pusty dzbanek i z ukłonem odszedł.

– Też tak myślę – szepnęła pieszczotliwie Ludmiła z Vartemberku i wyciągnęła ręce do swojego męża.

ROZDZIAŁ XI

Rano, jeszcze nim zaczęło świtać, Ota przyniósł z miejskiej studni dwa wiadra wody. Jedno postawił pod drzwiami pokoju swojego pana i cicho zapukał, a drugie zaniósł do swojej izby. Tam zmył ziołową farbę z włosów, a potem – zadowolony – starannie się ogolił. Przez chwilę pocierał dłonią gładką brodę i po tych kilku długich dniach znów poczuł się sobą. Dopiero teraz szybko się spakował. Po szmerach za ścianą poznał, że jego pani robi to samo.

Wszyscy troje ostrożnie wymknęli się z domu kowala. Giermek Ota niósł worek ze swoimi rzeczami oraz worek swojego pana, a Oldrzich z Chlumu nieco większy bagaż swojej żony. Nadal miał na sobie franciszkański habit, ponieważ tę maskaradę należało odegrać do końca. Po wczorajszej burzy niebo było bezchmurne. Na ziemi pozostały jeszcze kałuże, powietrze pachniało, panował przyjemny chłód. Do bramy dotarli akurat w chwili, gdy strażnicy ją otwierali. Pod murami stali już wieśniacy, którzy zjechali się na jarmark. Od jednego z nich Oldrzich z Chlumu kupił całą marchew ułożoną na dwukołowym wozie. Postawił jednak warunek, że na pusty wóz właściciel załaduje dwa worki podróżne i zawiezie je do pobliskiej wsi do tamtejszego kowala.

– Ale co z tą marchwią? – zapytał chłop, gdy dostał zapłatę.

– Jeśli dobrze zauważyłem, przy sąsiedniej ulicy znajduje się szpital. Zawieź ją tam i zostaw. Powiedz, że jest to dar od pewnego pobożnego franciszkanina, który właśnie opuszcza Wrocław. I pospiesz się!

Ludmiła z Vartemberku dostrzegła, że przyglądają się jej strażnicy stojący przy bramie. Wiedziała, że jest ładna, i cieszyło ją to powodzenie. I to wbrew klasztornemu wychowaniu, według którego kobieta czerpiąca przyjemność z pożądliwych spojrzeń skończy w piekle. Na szczęście nie trwało to zbyt długo.

Wieśniak powrócił po kilku minutach, załadował worki Oty i Ludmiły na wóz i jął się przepychać przez bramę w tłumie kupców, którzy napływali do miasta. Cieszył się, że wcześnie dotrze do domu i zdąży jeszcze skosić łąkę. Królewski prokurator wraz ze swymi pomocnikami szedł tuż za nim. Chłop śpieszył się i nawet się nie obejrzał. Jego wóz, skrzypiąc kołami, powoli się oddalał. Strażnikom stojącym przy bramie Oldrzich z Chlumu pokazał glejt z pieczęcią nuncjusza papieskiego i oznajmił, że opuszcza miasto.

Minęli ciemną bramę, potem drewniany most nad fosą i znaleźli się za murami. Odeszli nieco na bok i Oldrzich z Chlumu zaczął się żegnać ze swoją żoną. Nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Uważaj na siebie, moja droga. Przede wszystkim pilnuj, żebyś nie usnęła w siodle. Wiesz, że dziś w nocy się nie wyspałaś.

– A czy to moja wina? – odparła z udawanym wyrzutem. Uśmiechała się i była szczęśliwa. Czekało ją pierwsze samodzielne śledztwo. I tylko jedna rzecz mąciła jej radość. Uścisnęła dłoń swego męża i szepnęła prosząco: – Będziesz mi tu wierny?

– Czy takie pytanie nie wydaje ci się trochę głupie? – odparł nieco urażony. Na chwilę się zamyślił, po czym dodał czulej: – Poza tym gdyby

ktoś z nas miał się obawiać, to ja. Czyż nie towarzyszy ci najgrzeszniejszy giermek chrześcijańskiego świata?

– No też mi coś! – Ludmiła niemal się obraziła.

– No widzisz. – Oldrzich z Chlumu pokiwał głową. – Jeśli wierzysz w siebie, to dlaczego wątpisz we mnie?

– Wybacz, oczywiście, że ci wierzę – rzekła szybko, objęła go i spróbowała pocałować na zgodę. Pozwolił jednak tylko na przelotny, prawie siostrzany pocałunek.

– Wciąż jestem franciszkaninem – wytłumaczył. Potem przypomniał giermkowi Ocie, że będzie na niego czekał tuż za bramą. Podniósł swój worek i ruszył wzdłuż fosy. Po kilku krokach zatrzymał się, odwrócił i pomachał im na pożegnanie.

Za najbliższym krzakiem zrzucił z siebie habit, zrolował go i ukrył pod dużym kamieniem. Włożył skórzane spodnie, płócienną koszulę i studencki beret, który wczoraj kupił na jarmarku. Przypasał miecz i udał się z powrotem w stronę bramy. Strażnikom przedstawił się jako bakałarz Gelasius. Przeszedł bez najmniejszych trudności.

Za bramą stało kilka drewnianych ław, na których mogli czekać ci, którzy chcieli opuścić miasto, jeśli był tłok. Usiadł na jednej z nich, nasunął beret na twarz, wyprostował nogi i zamknął oczy. Usnął niemal natychmiast.

Giermek Ota i Ludmiła z Vartemberku nie śpieszyli się zanadto. Kiedy dotarli do domu kowala, worki już na nich czekały. Wieśniak z wozem zdążył odjechać. Zamienili z gospodarzem kilka przyjaznych słów, wyprowadzili konie, do siodła trzeciego z nich przytroczyli worki, zapłacili i opuścili wieś. Nie odjechali jednak daleko. Tuż za pierwszym zakrętem znajdował się zagajnik i tam się zatrzymali. Giermek Ota, który prowadził za wodze trzeciego konia niosącego worki, zeskoczył i oba konie uwiązał

do wysokiej brzozy. Następnie pomógł zsiąść Ludmile i uwiązał również jej konia. Odpasał miecz i podał swej pani. Wiedział, że włada nim całkiem dobrze.

– Wrócę najszybciej, jak się da – obiecał i szybkim krokiem ruszył z powrotem w kierunku Wrocławia.

Przy bramie nie czekał razem z innymi. Nie zważając na protesty kupców, przeciskał się między wozami tłoczącymi się przed wjazdem i już po chwili wraz ze swoim panem szedł szeroką ulicą w stronę rynku. Żywo rozprawiali o prowadzonym śledztwie. Ponownie rozważali dotychczas odkryte fakty. Ku ich zmartwieniu nie było ich wiele.

Maryla czekała w bocznej uliczce za Piwnicą Świdnicką, tak jak się umówili. Była wyspana i bardzo ładnie wyglądała w nowej spódnicy. Kiedy spostrzegła Otę, radośnie mu pomachała.

– Miła panno – zaczął Ota, gdy podszedł do niej ze swoim panem. – Muszę zaraz wyjechać z miasta. Wrócę za jakieś cztery dni. Potem wszystko ci wynagrodzę. To jednak nie oznacza, że masz wolne. Pozostaniesz na moim żołdzie również w czasie, kiedy mnie tu nie będzie. Za każdy dzień służby dostaniesz pięć denarów.

– Za wczoraj dostałam dziesięć – zauważyła rzeczowo.

– To prawda, ale połowa była przecież dla twojej siostry, która pracuje tu w karczmie.

– Może znów będę jej potrzebować.

– Dobrze, dostaniesz osiem, zgoda?

– Za każdy dzień, kiedy cię nie będzie? – upewniła się i chciało jej się śpiewać i tańczyć z radości.

Giermek Ota skinął i wskazał na Oldrzicha z Chlumu.

– Wszystko, czego się dowiesz, przekażesz temu człowiekowi. Traktuj go z szacunkiem i zapomnij o nieprzyzwoitościach, które rodzą grzech

cielesny, ponieważ jest to mąż niezwykle wykształcony. Studiował na uniwersytecie i jest żonaty. Jeśli nie będziesz się zachowywać należycie, o wszystkim mi powie.

– Nie jestem twoją narzeczoną, żebyś mi coś nakazywał – odcięła się trochę urażona.

– Jestem kimś o wiele ważniejszym niż mąż – drażnił się z nią giermek Ota. – Zatrudniłem cię i będę ci płacił. Myślę, że dość szczodrze. Więc nie sprzeciwiaj się albo zamiast ciebie znajdę inną.

– Chyba nie powiedziałam nic złego – odparła szybko Maryla. Z ukosa przyglądała się swemu nowemu panu i bardzo się jej podobał. Właściwie wyglądał jeszcze bardziej interesująco niż Ota. Dopiero teraz zauważyła, że giermek nie ma rudych włosów jak wczoraj, ale piękne, jasne. Wyglądał tak dużo lepiej, ale z jego towarzysza emanowała przyciągająca męska siła.

Giermek Ota pocałował Marylę i pobiegł z powrotem w stronę bramy. Tłum kupców jeszcze bardziej zgęstniał. Dopiero srebrniak wsunięty do ręki jednego ze strażników umożliwił mu szybkie przejście.

Aby ominąć wozy, szedł łąką wzdłuż drogi. Biegł, na chwilę zwolnił, by złapać oddech, a potem znów puścił się pędem. Na bezchmurnym niebie wschodziło słońce, zapowiadające kolejny piękny letni dzień. Czuł swoją siłę i był szczęśliwy. Ludmiłę z Vartemberku zastał śpiącą twardo w trawie i obejmującą miecz, jakby był to jej kochanek.

– Naprawdę jesteś tak uczony? – spytała zaciekawiona Maryla Oldrzicha z Chlumu.

– Nazywam się Gelasius – odparł wymijająco. – Będę ci wypłacał pieniądze. Każdego wieczoru za poprzedni dzień.

– Nie ufasz mi?

– Nie znam cię.

– Mam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby poznać mnie lepiej. A ja zrobię wszystko, co zechcesz – odparła kusząco i uniosła spódnicę, aby mógł zobaczyć jej zgrabne łydki.

– Podam ci trzy zasady, których będziesz przestrzegać. W przeciwnym razie nie dostaniesz nic – ostrzegł ją surowo, chociaż nie odwrócił oczu od uniesionej spódnicy. – Po pierwsze, będziesz się zachowywać skromniej i przestaniesz mi się narzucać. Po drugie, będziesz dokładnie wypełniać zadania, które ci powierzę. A po trzecie, będziesz trzymać język za zębami.

– Chcesz więcej, niż mogę obiecać. Jestem prostytutką i nie umiem się zachowywać skromnie – broniła się. W duchu już liczyła dodatkowe srebrniaki za to, że spędzi z nim noc. Był to naprawdę przystojny mężczyzna i wiele by za to nie chciała.

– Zachowuj się, jak chcesz, ale przede wszystkim przestrzegaj zasad. Teraz sprawdź, które prostytutki odwiedzały zamordowanego Slavibora. Chcę znać ich imiona i ustalić, czego się odeń dowiedziały. Interesuje mnie głównie to, dlaczego ten czeski rycerz przyjechał do Wrocławia. I czy te dziewczęta nie zauważyły czegoś podejrzanego. Spotkamy się tu, gdy dzwony będą wybijać południe.

Skinęła i bez słowa się oddaliła. Nie traciła nadziei. Niektórzy mężczyźni potrzebują czasu, by nabrać ochoty.

Oldrzich z Chlumu zaczekał, aż Maryla zniknie mu z oczu, i udał się w stronę Piwnicy Świdnickiej. Nadszedł czas, by porozmawiać z Hynkiem z Duby. I podkreślić, że chodzi o interesy czeskiego króla.

– Mówisz, panie bakałarzu, że szukasz czeskiego wielmoży – pokiwał łysą głową karczmarz. – Ale przychodzisz za późno. Wcześnie rano wyjechał.

– Dlaczego tak nagle, skoro jarmark dopiero się rozpoczął?

– Miał zapłacone jeszcze za pięć dni – wyjaśniał rozmowny karczmarz. – Ponieważ jestem uczciwym człowiekiem, połowę mu oddałem. Chyba wystraszyło go to wczorajsze morderstwo. Wcześniej w ogóle nie mówił o wyjeździe. Ale wczoraj po południu, kiedy dotarła tu wiadomość o tej strasznej zbrodni, przywołał mnie do stołu i oznajmił, że rano wyjeżdża. Ze współczuciem zapytałem, czy on też wpadł w jakieś tarapaty, ale posłał mnie do wszystkich diabłów.

– A czy zauważyłeś wczoraj w karczmie jakiegoś franciszkanina? Albo może widziałeś, że rozmawia z twoim szlachetnym gościem?

– Owszem. Wczoraj odwiedził mnie szafarz od franciszkanów i zamówił trzy beczki piwa. Około południa.

– W czasie, kiedy doszło do morderstwa?

– Nie, na pewno wcześniej. Wyszedł jeszcze przed południowymi dzwonami.

– Czy ten szafarz jest niższego wzrostu?

– A skąd. Jest wprawdzie bardzo szczupły, ale wysoki jak ty.

– Nie wiesz, dokąd się udał?

– Wybacz, panie bakałarzu, ale gdybyś spróbował choć przez jeden dzień popracować w karczmie podczas jarmarku, zrozumiałbyś, że jest tyle pracy, że człowiek nie zdąży nawet zjeść. Dogadałem z nim, co trzeba, a potem znów zająłem się gośćmi. On wyszedł na podwórze i zniknął.

– Ilu służących miał ze sobą ten czeski wielmoża, który dziś rano wyjechał?

– Trzech. Dwóch prostych chłopów, chyba stajennych. Trzeci to młody rycerz. Z tym wielmożą rozmawiał bardzo poufnie. Przynajmniej o ile zdążyłem zauważyć.

– Jak się nazywał?

Z głębi karczmy dobiegło niecierpliwe wołanie. Gospodarz dopiero teraz uświadomił sobie, że zaniedbuje swoją pracę. Ofuknął Oldrzicha:

– A właściwie co ci do tego?

– Wasz wójt poprosił mnie, abym wszczął śledztwo w tej sprawie. Wolisz porozmawiać z nim?

– To chyba strata czasu. Sam widzisz, mam pełną karczmę – odparł ze znacznie większym szacunkiem karczmarz. Na chwilę się zamyślił, a potem mruknął półgłosem: – Jak się nazywał? Mam to na końcu języka. Benedykt? Nie. Bernard! Tak. Tak się do niego zwracał.

Oldrzich z Chlumu pokiwał głową i polecił, aby w południe zarezerwowano mu stół i dwa miejsca, ponieważ wróci tu na obiad. Już wychodził, kiedy coś przyszło mu do głowy. Zatrzymał karczmarza i powiedział:

– Znalezienie dobrego mieszkania podczas jarmarku jest prawie niemożliwe. Rano niespodziewanie wyjechał ten czeski wielmoża. Czy jego pokój jest jeszcze wolny? Wynająłbym go. Zarobisz na tym podwójnie.

– Nie jest tani – uprzedził karczmarz i wyczekująco zmrużył oczy. – Znajduje się z tyłu, od podwórza, na poddaszu. Okno nie wychodzi na rynek, goście mają tam spokój. Ale poza tym to nie jest zwykła izba. Za drzwiami znajduje się sień z małym oknem i dopiero za nią właściwy pokój. Może tam spać więcej ludzi, dlatego jest dwa razy droższy niż inne.

Przez chwilę się targowali, ale ponieważ dla Oldrzicha z Chlumu było oczywiste, że nic lepszego we Wrocławiu nie znajdzie, w końcu zgodził się na proponowaną cenę. Zaraz potem opuścił karczmę i mijając ratusz, udał się w stronę rzeki. Przech już na niego czekał, a na stole przed nim leżało pismo, które obiecał przygotować. Oldrzich z Chlumu szybko przebiegł je wzrokiem, a potem zwinął i schował.

– Mogę spytać, panie wójcie, czy tej nocy nie wydarzyło się nic, co miałoby związek ze śledztwem?

– Podczas jarmarku dzieje się mnóstwo rzeczy. Ale jedna sprawa jest niepokojąca – przyznał wójt i gestem zaprosił Oldrzicha do zajęcia miejsca. Na przekór okolicznościom Przech wydawał mu się coraz sympatyczniejszy. Nie gadał po próżnicy i miał nosa do szczegółów.

– Dziś w nocy doszło do kolejnego zabójstwa – kontynuował wrocławski wójt i uśmiech zniknął z jego twarzy. – Dowódca drużyny naszego księcia już robił mi wyrzuty z powodu niedbalstwa. Jest jarmark i podczas jednego dnia doszło do dwóch występków zagrożonych karą śmierci. Zamordowany to służący Slavibora ze Szvabenic. Mówili na niego Młynek, ponieważ jego ojciec był młynarzem. W nocy ktoś go zadźgał na ulicy i okradł.

– Ile mógł mieć przy sobie? Dlaczego złodziej nie napadł na jakiegoś kupca?

– Z pewnością nie chodziło o sakiewkę. Zdradzę ci jeszcze dwie okoliczności – kontynuował Przech. – Ze skrzyni Slavibora ze Szvabenic zniknęły pieniądze. Drugi służący, Kojata, o świcie opuścił Wrocław. Podobno bardzo się śpieszył. Może ukradł pieniądze swego pana, zabił towarzysza i uciekł? W takim przypadku mógł zabić również pana, nie sądzisz?

– Nie, raczej nie.

– Moją sytuację by to jednak rozwiązało – zauważył wójt. – Przynajmniej do czasu, kiedy znajdziesz prawdziwego mordercę. Muszę jakoś uspokoić naszego księcia. Co myślisz o tym pomyśle?

– Nie będę dawać ci rozgrzeszenia. Mam jednak dwa pytania. Czy Kojata zabrał też szaty i zbroję swojego pana?

– Oczywiście. Zniknęło wszystko, co da się dobrze spieniężyć.

– A zanim opuścił Wrocław, uiścił wszystkie koszty?

– Musiał. Karczmarz jest ostrożny i skrupulatny. Kazał swemu służącemu go pilnować, żeby nie uciekł bez zapłaty.

– Sługa nie ma obowiązku spłacać długów swojego pana. Ja całą sprawę widzę inaczej. Kojata śpieszył się, żeby przekazać swej pani wiadomość o tragedii. Logiczne jest, że zabrał rzeczy swojego pana ze sobą.

– A ten zabity? Ciało Młynka zostało znalezione już po odjeździe Kojaty. Jeśli na niego nie czekał, to wiedział o jego śmierci. A to oznacza, że go zamordował.

– Mogli się umówić, że odjadą o świcie. Kiedy Młynek się nie pojawił, Kojata wyruszył sam. Tak jak powiedziałem, śpieszył się do swojej pani. Jego obowiązkiem nie było pilnowanie Młynka. Ponadto obaj z pewnością znali drogę. Młynek mógłby go dogonić, gdyby żył.

– To wszystko oczywiście jest prawdą. Jednak wiedz, że dowódca naszego księcia nie będzie tego rozważał. Jemu wystarczy proste wyjaśnienie. Myślisz, że te dwa zabójstwa mają ze sobą jakiś związek?

– Nie jestem jasnowidzem. Nie mam pewności. Ale doświadczenie mi podpowiada, że gdyby nie były ze sobą powiązane, byłby to nadzwyczajny zbieg okoliczności.

– Dobrze – skinął głową Przech. – W takim razie powiem dowódcy, że Młynka zabił jego towarzysz i uciekł. Tym trochę go uspokoję. Jednocześnie jednak będę utrzymywać, że Slavibora zamordował kto inny. Możesz więc legalnie kontynuować śledztwo.

– Czy wasz dowódca się tym zadowoli?

– Wierzę, że przynajmniej na jakiś czas. Zaproponuję mu, żeby posłał za Kojatą swoich zbrojnych. Z pewnością spyta, w jakim kierunku mógł udać się zabójca. Powiem, że najprawdopodobniej do Miśni. Tylko głupiec

zostałby na Śląsku albo wracał do Królestwa Czeskiego – odparł z niewzruszonym wyrazem twarzy wrocławski wójt.

– To rozwiązanie jest wprawdzie chrześcijańskie, ale komplikuje nasze śledztwo – przyznał Oldrzich z Chlumu. – Powinniśmy z tym Kojatą porozmawiać.

– Liczyłem się z tym. Wysłałem za nim dwóch strażników, na których mogę polegać. Pojechali do Trutnova, bo to najbardziej prawdopodobny kierunek jego ucieczki. Lecz nie skrzywdzą go, jak by to z pewnością uczynili ludzie naszego dowódcy. Oni prawdopodobnie powiesiliby go na miejscu jak przestępcę, który dopuścił się haniebnego czynu.

ROZDZIAŁ XII

Tu zamordowano tego Młynka – wskazał wójt Oldrzichowi z Chlumu.

Teraz, w słoneczny dzień, ulica wyglądała spokojnie i miło. W podcieniach kryły się kramy rzemieślników, sprzedających garnki i noże. Na rogu okazale prezentował się dom z dużą, otwartą sienią, w której podkuwano konie. Należał do starszego cechu kowali. W warsztacie pracowali jedynie dwaj czeladnicy. Mistrza nie było w domu. Po przeciwnej stronie długiej ulicy stały rusztowania kościoła budowanego w klasztorze cystersów, a obok niego znajdował się zajazd U Świętego Ludwika.

– Dokładnie w tym miejscu. – Przech wskazał ziemię. – Jeszcze widać ślad krwi. Ale zabójca, żeby nocna straż nie znalazła ciała, zaciągnął je do tego domu z wysokim szczytem. Pod wykuszem jest głęboka nisza, w której ukrył zwłoki. Dlatego odkryto je dopiero rano.

– To potwierdza hipotezę, że Kojata nie jest mordercą – zauważył Oldrzich z Chlumu. – Musiał to zrobić ktoś, kto dobrze znał miasto i wiedział o tej niszy. Jakim cudem on, jako cudzoziemiec, miałby tak szybko się na nią natknąć? Była deszczowa noc i padało.

– Właśnie dlatego nikt niczego nie zauważył. Ludzie byli zamknięci w domach i spali. Albo się modlili. Szalała burza i grzmiało. Nawet jeśli ofiara wołałaby o pomoc, nikt by go nie usłyszał. Ulice były zupełnie opustoszałe. Czy mogę spytać, prokuratorze, jakie podejmiesz działania?

– Przykro mi, nie możesz.

– Dlaczego? – ostro sprzeciwił się wójt. Mimo że był bystry, wszyscy w mieście wiedzieli, że jest też niezmiernie próżny.

– Ponieważ jeszcze tego nie wiem – odparł dobrodusznie Oldrzich z Chlumu. – Potrzebuję teraz chwili spokoju, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie. Ty jednak mógłbyś zrobić coś dla śledztwa. Po drodze do waszego dowódcy wstąp do kapituły. Spróbuj się dowiedzieć, czy któryś z kanoników spotkał się ze Slaviborem ze Szvabenic. Albo czy przynajmniej ktoś z nich coś o nim wie.

– A co kapituła ma z tym wspólnego?

– To na razie tylko taki pomysł – wyjaśnił niewinnie Oldrzich z Chlumu. – Ja w tym czasie spróbuję popytać w mieście. I może zajdę do klasztoru franciszkanów. Właściwie mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Ciekawi mnie, czy dowódca wiedział, że w mieście gości Hynek Berka z Duby. I chociaż prawdopodobnie nie powie ci prawdy, byłoby dobrze dowiedzieć się, czego pan z Duby tutaj szukał.

– Dlaczego po prostu go o to nie spytasz?

– Dziś wczesnym rankiem niespodziewanie wyjechał. Według karczmarza pośpiesznie, a pokój miał opłacony jeszcze na kilka dni. Może to ma związek z tym morderstwem? Przyjdę do ciebie po południu.

– Lepiej wieczorem. Kto wie, jak długo dowódca mnie zatrzyma – odparł ponuro wójt i pożegnał się lekkim ukłonem.

Oldrzich z Chlumu szedł powoli przez miasto w stronę Baszty Rybackiej. Wczoraj spędził w niej miło czas, więc postanowił zajść tam

znowu. Musiał zebrać myśli. Ponadto w karczmie podawali wyborny miód pitny, jego ulubiony napój.

Usiadł przy tym samym stole na tarasie. Rozciągał się stąd widok na rzekę oraz pobliski port. Podobnie jak na ulicach, nad brzegiem rzeki panował zgiełk, wśród którego dominowały nawoływania woźniców, rozładowujących towary.

Ponieważ Oldrzich z Chlumu nie zdążył rano zjeść śniadania, zamówił kilka placków, wędzonego śledzia i mały dzbanek piwa.

– Ta piękna dama, która była tu z tobą wczoraj, nie przyjdzie? – zagadnął karczmarz.

Pokręcił głową, ale nie odpowiedział. Nie miał ochoty nawiązywać rozmowy z jowialnym właścicielem karczmy. Uświadomił sobie jednak interesującą rzecz, którą zachował w pamięci: pomimo tłumów karczmarze pamiętali swoich gości lepiej, niż mogłoby się wydawać.

Kiedy przed Oldrzichem znalazły się miska z rybą i koszyk z plackami, zaczął łapczywie się posilać. W myślach porządkował wszystkie znane fakty. Nie było to jednak łatwe, ponieważ miał do dyspozycji jedynie strzępki zdarzeń, między którymi wprawdzie z pewną dozą fantazji dałoby się znaleźć związek, ale on potrzebował niepodważalnych dowodów. Mimo to powoli wyłaniał mu się pewien obraz, który na razie miał niewyraźne kontury – na początku każdego śledztwa całość klaruje się stopniowo.

Milicz ze Szvabenic dostał od króla zadanie. Poufne, ale – jak się wydawało – najprawdopodobniej bez kontekstu politycznego. Zapewne chodziło o sprawy osobiste lub pieniądze. Zapewne dlatego król Przemysł Ottokar II nie chciał, aby o całej sprawie dowiedział się jego krewny, arcybiskup salzburski i obecnie jeden z najbardziej znaczących przedstawicieli rodu wrocławskich Piastów. Milicz ze Szvabenic jednak zniknął. Oldrzich z Chlumu coraz bardziej skłaniał się ku tezie, że nie

uciekł bez zapłaty, tylko ktoś go zabił i tę sprawę w karczmie jedynie zręcznie zaaranżował. To był początek historii. Nie miał wszak najmniejszego pojęcia, jaki mógłby być motyw tego zabójstwa.

Drugim wątkiem był przyjazd Slavibora do Wrocławia. Niewątpliwie szukał swego brata. To oznaczało, że Milicz naprawdę zniknął. Należało bowiem jeszcze wziąć pod uwagę, że z jakiegoś niejasnego na razie powodu mógł się ukrywać przed królem. Tyle że niemal na pewno jego rodzina by o tym wiedziała, a Slavibor by tu nie przyjeżdżał. Najprawdopodobniej natrafił na jakiś ślad. W końcu sam mówił karczmarzowi, że zaraz po załatwieniu swoich spraw chce wyjechać. Jeśli ta hipoteza była prawdziwa, znaczyłoby to, że zabił go ten sam morderca, który zlikwidował również jego brata Milicza. I ten sam człowiek zamordował służącego panów ze Szvabenic – Młynka, ponieważ prawdopodobnie coś wiedział lub zauważył, być może przypadkiem.

Jedyną osobą, która być może pomogłaby wyjaśnić tę kwestię, był drugi służący zamordowanego Slavibora – Kojata, który właśnie zmierzał do Czech. Wiele mogło tu wnieść oczywiście przesłuchanie wdowy po Slaviborze. Powinna wiedzieć, czego jej mąż szukał we Wrocławiu, a zatem mogłaby również się domyślać, co przydarzyło się zaginionemu Miliczowi.

Zapewne z czasem wszystko samo by się wyjaśniło, jednak to nie odpowiadałoby naturze Oldrzicha z Chlumu. Dobrze wiedział, że do prawdy można dotrzeć różnymi drogami. On sam nie zwykł polegać na innych. Ponadto nie miał pewności, że przesłuchanie rodziny Slavibora ujawni prawdziwego mordercę. Istniały bowiem również inne okoliczności, które należało wyjaśnić. Być może nieistotne, ale także mogące zarysować zupełnie inny scenariusz popełnionych zbrodni.

Główną zagadką była rola odegrana w tych wydarzeniach przez Hynka Berkę z Duby. Postawa wójta Przecha też mogła się okazać mistyfikacją.

Wszystko zależało od okoliczności poprzedzających morderstwa. Według Oldrzicha w tej sprawie pojawiało się zbyt wielu franciszkanów. Natknął się również na wzmianki o członkach wrocławskiej kapituły. Udział cechu kowali w morderstwie był mało prawdopodobny, ale karczmarzy nie mógł spuszczać z oczu. Ich zawód, jeśli chcieli mieć powodzenie i zbijać majątek, wykluczał przestrzeganie wszystkich zasad, co prowadziło do tego, że niektórzy posuwali się zdecydowanie za daleko. Którykolwiek z nich mógł kryć mordercę lub za sowitą opłatą mu pomagać.

Oldrzich skończył posiłek i otarł usta płócienną chustką. Karczma Baszta Rybacka należała do najdroższych w mieście i jadło się tu równie wybornie i po pańsku jak na dworach największych wielmożów. Dopił resztę piwa i przeciągnął się z zadowoleniem. Świeciło słońce, a od rzeki dobiegał cichy plusk wody. Krzesło, na którym siedział, było wygodne i czuł, że zamykają mu się oczy. W nocy prawie nie spał. Nie tylko dlatego, że żegnał się ze swoją żoną, ale gdy Ludmiłę z Vartemberku w końcu zmorzył sen, Oldrzich wciąż nie zmrużył oka. W głowie kotłowały mu się urywki zdarzeń z minionych godzin. Właśnie w nocy zaplanował wyjazd swojej żony. A teraz mógłby się spokojnie chwilę zdrzemnąć – w karczmie nie było to nic niezwykłego – ale praca czekała. Przetarł dłonią oczy i wziął kilka głębokich oddechów. Wstał, zapłacił i wyszedł na ulicę. Przed spotkaniem z młodą prostytutką chciał porozmawiać z miejscowymi franciszkanami.

Franciszkanie byli zakonem otwartym na ludzi. Nie zamykali się w klauzurze jak na przykład benedyktyni albo cystersi. Założyciel zgromadzenia, Święty Franciszek z Asyżu, życzył sobie, aby jego naśladowcy wychodzili do wiernych, umacniali ich w wierze i uczyli pokory oraz pobożności. Oldrzicha z Chlumu nie zaskoczyło, że większość zakonników w ciągu dnia przebywa poza klasztorem. Podczas jarmarku ich

miejsce było na ulicach, wśród wiernych. To dlatego przestępca przebrał się właśnie we franciszkański habit.

Oldrzicha przyjął leciwy zakonnik, który tego dnia sprawował służbę. Zamiatał podwórze, pomrukując jakiś psalm. W zakonie nosił imię Robert.

– Tak, wczoraj przed południem wszyscy byliśmy tutaj. – Stary zakonnik potwierdził to, co podczas aresztowania Oldrzicha oświadczył chudy przeor. – Oczywiście oprócz naszego szafarza. Ja wprawdzie uważam, że to nie jest właściwe, aby piecza nad kuchnią i piwnicą miała pierwszeństwo przed posiedzeniem kapituły, ale tak to już jest. Przeor go zwolnił, ponieważ trzeba było zamówić piwo.

– Wiem, że w mieście są też franciszkanie, którzy nie mieszkają w waszym klasztorze – zagadnął przyjaźnie Oldrzich. Chwycił drugą miotłę, żeby pomóc bratu Robertowi.

– Wiem tylko o jednym. Gościł go kowal Młot. Ale on rano wyjechał.

– Wczoraj na rynku ktoś widział innego franciszkanina, a było to w tym czasie, kiedy odbywało się posiedzenie waszej kapituły. Interesuje mnie ta sprawa, ponieważ wójt powierzył mi pewne śledztwo.

– Cóż, to możliwe – zgodził się zakonnik. – Mógł tędy przejeżdżać jeszcze inny brat, o którym w klasztorze nie wiemy. Liczba naszych braci rośnie z każdym dniem, dzięki Bogu. Lecz ktoś mógł się też przebrać za franciszkanina. Niedawno w Krakowie został pojmany człowiek, który w imieniu naszego zakonu pobierał jałmużnę, ale był to oszust.

– Jak taki niegodziwiec mógł zdobyć wasz habit zakonny?

– Ukradł go, jakżeby inaczej. My nigdy nie zamykamy bram. Każdy potrzebujący może do nas przyjść, kiedykolwiek zechce.

– A czy i wam nie zginął habit w ostatnim czasie?

– Przed trzema dniami – potwierdził brat Robert. – Może ten człowiek, o którym mówisz, miał na sobie właśnie ten nasz. Powiedz o tym wójtowi.

– Przeor nie zgłosił kradzieży?

– A niby dlaczego miałby to zrobić? Habit zniknął, ale to jeszcze nie oznacza, że ktoś go ukradł. Rzeczy giną również z innych powodów. A jeśli naprawdę ktoś go ukradł, Bóg sam ukarze tego grzesznika.

– Skąd zniknął ten habit?

– Widzisz ten drewniany drążek, tam, koło koryta? Na nim suszy się pranie. Zgodnie z nakazem reguły pierzemy habity dwa razy w roku. Po Świętym Janie Chrzcicielu i przed Świętym Marcinem. Wieczorem wisiało tam dziewięć habitów, ale rano było ich tylko osiem.

– Czy tej nocy nikt z was nie zauważył na podwórzu obcego człowieka?

– Podczas posiedzenia kapituły mówiliśmy i o tym zdarzeniu. Kilku braci podobno widziało kogoś na podwórzu, ale ponieważ nie wszedł do naszego domu zakonnego, było oczywiste, że nie potrzebuje naszej pomocy, więc przestali się nim interesować.

– Był wysoki czy niski?

– Najlepiej opisał tego człowieka brat Jan, który widział go przelotnie, kiedy przechodził przez bramę. Uważa, że był raczej niski, a na głowie miał duży czarny kapelusz. Więcej nie pamięta.

– Jednak nie zgłosiliście kradzieży?

– Może nie zabrał habitu ze złej woli. Jak powiedziałem, wierzymy, że wszyscy chrześcijanie mają w sercu dobro.

Oldrzich z Chlumu trochę pozazdrościł zakonnikowi spokoju i równowagi. Jego łagodny wyraz twarzy wynikał nie z głoszonych poglądów, lecz z wiary, że są pobożne i właściwe. Na pożegnanie franciszkanin życzliwie go pobłogosławił i wrócił do zamiatania podwórza.

Oldrzich wyszedł z klasztoru na zakurzoną drogę, która wznosiła się lekko ku wrocławskim murom. Nad miastem rozpościerało się jasne niebo. Słychać było śpiew ptaków. Spokój i równowaga, rozlewające się w duszy

starego zakonnika, otaczały go również tutaj. Jakby znalazł się w świecie aniołów. Ale dobrze wiedział, że za pobliskimi murami żyją wilki. Chyba po raz pierwszy w życiu zadał sobie pytanie, dlaczego miałby między nie wracać. Dlaczego nadstawiać gardło ich zębom? Dlaczego człowiek nie może przez całe życie iść pod jasnym niebem? Dlaczego niektórzy ludzie są gorsi niż drapieżniki? Nie znał odpowiedzi na te pytania.

Wiedział jednak, że doczesnym przeznaczeniem chrześcijan nie są marzenia, tylko walka o lepszy los. I w tym tkwił problem, nie wszyscy bowiem byli skłonni walczyć uczciwie. Wielu nie zadowalało się tym, co wystarczyło do przeżycia, i chcieli więcej, nic nie robiąc sobie z tego, że przez ich samolubstwo inni głodują i umierają. Dziwny świat stworzył Bóg. To wszak nie oznacza, że Boży plan jest zły. Obowiązkiem wszystkich, którzy wierzyli w przesłanie Chrystusa, była walka ze złem.

Przeżegnał się i choć nie miał tego w zwyczaju, ukląkł w pyle drogi i szybko się pomodlił. Za swoją Ludmiłę, za giermka Otę, za wszystkich przyjaciół i dobrych ludzi. A także za to, aby jak najszybciej rozwiązać tę dziwną sprawę, która jak kamień ciągnęła go w dół, do piekła zwątpienia i niewiary. Ta krótka chwila, kiedy ze złożonymi rękami klęczał w pobliżu nieprzyjaznych, kamiennych murów, jakby go oczyściła. Słabość minęła.

Wstał, otrzepał kurz z kolan i mocniej ścisnął miecz. Nigdy nie wątpił, że jego obowiązkiem jest obrona sprawiedliwości. Energicznym krokiem ruszył w stronę furtki obok Białej Wieży.

Maryla siedziała na kamiennym słupku niedaleko ratusza. Przymknęła oczy, a twarz zwróciła w stronę słońca. Ubrana była w nową spódnicę i czystą płócienną koszulę. Przedramię obwiązała sobie żółtą chustką, a na głowę, jakby to była kpina z oznaczenia prostytutki, założyła wianek z kolorowych kwiatów. Jedną nogą kiwała w powietrzu i prezentowała się

wspaniale. Przez krótką chwilę oczekiwania odmówiła dwóm mężczyznom pragnącym dotrzymać jej towarzystwa.

– Spóźniłem się, przepraszam – powiedział Oldrzich z Chlumu, gdy dotarł na rynek.

– Nie szkodzi. – Przeciągnęła się i wstała. – Udało mi się czegoś dowiedzieć, ale wiele tego nie ma. Gniewasz się?

– Zależy od tego, czy naprawdę się starałaś – odparł ostrożnie. – Wszystko mi opowiesz. Jesteś głodna?

– Dziś jeszcze nic nie jadłam – wyznała. Wprawdzie przed chwilą wyłudziła kawałek placka, ale cóż to było? Ponadto z pytania tego człowieka zrozumiała, że kupi jej coś do jedzenia. Byłaby głupia, gdyby udawała, że nie jest głodna.

– Chodź – rzekł Oldrzich z Chlumu i ruszył do Piwnicy Świdnickiej.

Maryla na moment się zatrzymała. Przecież tam jadali tylko najbogatsi. A prostytutkom wstęp był zabroniony. Szybko go dogoniła i chwyciła za rękę. Trochę zakłopotana ostrzegła:

– Chodźmy gdzie indziej. Stąd nas wyrzucą.

– Nie wyrzucą. Ale zdejmij tę żółtą chustkę. Na moją odpowiedzialność.

Westchnęła żałośnie, ponieważ obawiała się, że skończy za to pod pręgierzem. Lecz ten człowiek zachowywał taką pewność siebie, że nie potrafiła mu odmówić.

Ledwie weszli do środka, podbiegł do nich karczmarz, który ku jej zdziwieniu uprzejmie się ukłonił i zaprowadził ich do stołu. Znajdowały się przy nim tylko dwa wolne miejsca, wszystkie pozostałe w całej sali były zajęte. Obrzucił Marylę krzywym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

– Co byś nam polecił? – spytał Oldrzich z Chlumu.

– Może cielęcinę szpikowaną słoniną, a do tego młody groszek z wody? – szczebiotał karczmarz. Oczywiście proponował najdroższe potrawy, jakie miał w swej kuchni.

– Przynieś to dla nas dwojga. I dzbanek jakiegoś lekkiego wina.

Maryla wytrzeszczyła oczy. Młodzieniec, którego poznała wczoraj, poczynał sobie bardzo pewnie, ale jego pan wyraźnie go w tym przewyższał. Zastanawiała się, co może się za tym kryć.

– Zaprosiłem cię tu, ponieważ będziemy razem pracować przez kilka kolejnych dni – zaczął uprzejmie Oldrzich z Chlumu. Nadal nie potrafił pozbyć się uczucia, które przed chwilą dopadło go pod murami miasta.

– Naprawdę robiłam wszystko, co w mojej mocy – wydusiła z siebie zmieszana.

– Przypuszczam, że mówisz o poszukiwaniu tych dwóch prostytutek – uśmiechnął się do niej.

Rumiana, dobrze zbudowana kucharka przyniosła dla nich dużą miskę z gorącym grochem, na którym rozpuszczała się grudka masła. Obok postawiła dzbanek i szybko odeszła. Wróciła z drewnianą tacą, na której leżał upieczony na rożnie kawałek cielęcego udźca, obłożony zielonymi liśćmi sałaty. Życzyła im smacznego i zaraz pobiegła z powrotem do kuchni.

– Tak, mówię o tym, czego miałam się dowiedzieć – potwierdziła Maryla i aż się oblizała.

Oldrzich z Chlumu odkroił duży kawałek mięsa i położył go przed nią na małym płaskim talerzu. Zaproponował łagodnie:

– Najpierw zjedzmy, a resztą zajmiemy się później.

W duchu trochę się na siebie złościł. Był ciekaw, czego dowiedziała się Maryla. Podczas śledztwa nie lubił przestojów, poza tym interesowało go,

czy ta dziewczyna jest przydatna do tego rodzaju pracy. Nie potrafił jednak zachowywać się bezdusznie.

„Mój Boże! – przyszło mu do głowy i owa myśl go przestraszyła tak, że utkwił mu w gardle kęs jedzenia i zaczął się krztusić. – Zachowuję się teraz jak mój giermek Ota!".

ROZDZIAŁ XIII

Tego zabitego rycerza odwiedziły podobno dwie prostytutki. Obie rude – zaczęła Maryla, gdy skończyła posiłek. Cicho czknęła i grzbietem dłoni otarła zatłuszczone usta. Dopiero potem zauważyła, że inni goście używają serwet. Zakłopotana wzięła serwetę do ręki, ale potem buntowniczo potrząsnęła głową i kontynuowała: – Jedna była u niego chyba trzy razy, ta druga tylko raz, ale widzieli ją właśnie tego ranka, w którym popełniono morderstwo. To powiedział twojemu słudze…

– Ma tytuł giermka – przerwał jej Oldrzich z Chlumu. – Nazywaj go tak, jestem do tego przyzwyczajony.

– Nie jest już za stary na giermka? – zdziwiła się prostytutka. Znała kilku giermków i zawsze byli to chłopcy z mlekiem pod nosem.

– Po prostu tak na niego mówimy, ale to nieistotne – upomniał ją niecierpliwie. – Wróć do rzeczy.

Wzruszyła ramionami i spokojnie powtórzyła:

– Służący tego zamordowanego powiedział to twojemu giermkowi. Ale nie wiem, czy nie kłamał, bo ja odnalazłam tylko tę pierwszą. To było łatwe. Ma na imię Agnieszka, a wołają na nią Rudzielec.

– Powiedziała ci coś ciekawego?

– Nie rozmawiałam z nią. Ja nigdy z nią nie rozmawiam. W zeszłym roku zabrała mi jednego bogatego klienta. To żmija!

– Musisz! To może być ważny trop. – Oldrzich z Chlumu westchnął. Prowadzenie śledztwa wśród kobiet trudniących się tym rzemiosłem było dlań jak włożenie ręki między kamienie młyńskie. Dlatego powierzył to giermkowi. On radził sobie z tym doskonale.

– Zrobiłabym to dla ciebie, ale ona i tak nie będzie ze mną rozmawiać.

– Czy możesz przynajmniej załatwić, żebym ja z nią pomówił?

Maryla przez moment się wahała. Potem westchnęła zatroskana:

– Jak już wspomniałam, to prawdziwa żmija. Jednego dobrego klienta już mi zabrała.

– Nie jestem twoim klientem – upomniał ją na wpół surowo, na wpół z rozbawieniem Oldrzich z Chlumu. – A zatem umowa stoi.

– Jak chcesz. Ale uważaj na nią!

– A co z tą drugą?

– To jest właśnie dziwna sprawa – ciągnęła Maryla, jakby jej ulżyło. – Nie znalazłam jej. A to znaczy, że nie istnieje. My się wszystkie między sobą znamy. Gdyby była tam któraś z nas, powiedziałaby mi o tym. Ponadto rudych nie ma aż tak wiele. A to oznacza, że dziewczyna, która go odwiedziła, nie była z naszego cechu.

– Czy w mieście mogą być prostytutki spoza waszego cechu?

– Zdarza się, że jakaś tak zwana porządna niewiasta odwiedzi mężczyznę i zgodzi się przyjąć za to zapłatę, ale na pewno nie publicznie. Te sprawy odbywają się w domach, nie w karczmach. Wiesz, co by się stało, gdyby ktoś ją na tym przyłapał? Nie, to wykluczone.

– A jeśli odwiedziła go przyzwoita kobieta o przyzwoitych zamiarach?

– Sama w karczmie? Z przyzwoitymi zamiarami? – roześmiała się rozbawiona młoda prostytutka. – Wydaje mi się, że twój giermek by o to nie spytał.

– Popełnił pod tym względem więcej grzechów niż ja, ma większe doświadczenie – skrzywił się Oldrzich z Chlumu. – Zatem co myślisz o tej drugiej kobiecie?

– Myślę, że nie istnieje.

– A po co ten człowiek miałby ją zmyślić? Nic nie dostał za swoje zeznanie, tortury mu nie groziły, nie miał przecież powodu, by kłamać.

– Rozmawiał z nim twój giermek – odparła, aby podkreślić, że trudno oczekiwać od niej jakiegoś zdania na ten temat.

– Wiesz, w czym tkwi problem? O istnieniu tych dwóch kobiet mówił mi też wasz wójt. To zeznanie uzyskał od kogoś innego, więc jest prawdziwe. Ta druga rudowłosa dziewczyna istnieje.

– Pomogłoby nam, gdybyśmy mogli porozmawiać z karczmarzem spod Złotego Dzbana. On przecież wie, co się u niego dzieje.

– Przesłucham go w twojej obecności.

– Naprawdę? – rozpromieniła się. Uznała to za wielki zaszczyt.

– Tak będzie łatwiej, bo nie będę musiał ci potem relacjonować jego zeznań. Albo tego, co próbował mi wmówić – wyjaśniał Oldrzich z Chlumu swoje zasady prowadzenia śledztwa. Zaraz jednak zrozumiał, że tę młodą prostytutkę tak naprawdę to nie interesuje. Trochę urażony zamilkł. Przez chwilę panowała cisza, a Maryla spytała przestraszona:

– Czy coś się stało?

– Ależ nic – odparł, wciąż naburmuszony.

Maryla pochyliła się nad stołem i nieoczekiwanie pogłaskała go po policzku. Zbladł, jakby się przeraził.

– Nie zasępiaj się tak. Rozwikłamy to! – powiedziała czule. Chociaż czasem za dużo gadał, był bardzo pięknym mężczyzną. Ogólne wrażenie psuł jedynie dwu- czy trzydniowy zarost. Kobieta zastanawiała się, czy powinna mu o tym powiedzieć, ale ostatecznie postanowiła to przemilczeć.

– Inne zagadki też – odparł pojednawczo. – Przecież jesteś mądrą dziewczyną.

Zarumieniła się. Ponadto zauważyła, że z sąsiedniego stołu przyglądają jej się dwaj kupcy. Wydawało się jej, że podczas ubiegłorocznego jarmarku jeden z nich był jej klientem. Nie miała jednak pewności, ponieważ, nie licząc wyjątków, wszyscy mężczyźni byli tacy sami. Kochali się, płacili i znikali z jej życia. Lecz giermka Oty i jego pana z pewnością nie zapomni.

– Wróćmy jeszcze do tej zagadkowej kobiety – zaproponował Oldrzich z Chlumu i zamówił koszyk miodowych ciastek.

– Mam przynieść jeszcze jeden dzbanek wina? – spytała pomocnica karczmarza, przechodząc obok nich.

Królewski prokurator jednak odmówił.

– Czeka nas mnóstwo pracy.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Od pierwszego spojrzenia odgadła, kim jest jego towarzyszka, i sarkastycznie pomyślała, że wie, o jaką pracę chodzi.

– Marylo, zapewne masz w takich sprawach więcej doświadczenia niż ja – zaczął Oldrzich cicho. – Czy przychodzi ci do głowy jakiś rozsądny powód, dla którego kobieta poszłaby odwiedzić w karczmie tego zamordowanego człowieka, jeśli nie byłaby prostytutką?

– Istnieje tylko jeden – odparła spokojnie i z przyjemnością ugryzła ciastko. Było kruche z wierzchu i miękkie w środku.

– Wybacz, ale to zbyt proste spojrzenie na życie – pokręcił głową z dezaprobatą. Nie gniewał się, rozumiał, że nic innego nie może jej przyjść

do głowy, ale trochę go to drażniło. Właśnie teraz potrzebowałby u swego boku kobiety, z którą mógłby tę kwestię poważnie przedyskutować. Podświadomie bowiem czuł, że może się okazać kluczowa.

Podczas śledztwa skrupulatnie analizował fakty i snuł racjonalne hipotezy, ale nigdy nikomu by nie przyznał, że on również czasem kieruje się intuicją. A to był właśnie przypadek wymagający intuicji. Obawiał się jednak, że Maryla mu nie pomoże. Nie pomogłaby mu chyba nawet jego żona Ludmiła, która znała inne życie niż to toczące się na ulicach miast. Tymczasem ludzie nie są wyłącznie albo pobożni, albo grzeszni. A Oldrzich poszukiwał rozwiązania dręczących go kwestii pomiędzy tymi skrajnościami.

– Mylisz się – zaprzeczyła tymczasem Maryla z pełnymi ustami. – Przynajmniej u nas we Wrocławiu tak jest. Paru łajdaków mówiło mi, jak to mnie niby kochają. A tak naprawdę chcieli się tylko ze mną za darmo przespać. I jeszcze wyciągnąć trochę forsy.

– Tu masz najprawdopodobniej rację – przyznał Oldrzich z Chlumu. – O pieniądze chodzi prawie zawsze.

– Wam, mężczyznom – zauważyła znacząco.

– A czy ty od swoich klientów nie chcesz pieniędzy?

– To co innego. Z czegoś muszę żyć. Ale wystarczy mi to, co mam. Większość mężczyzn tu, w mieście, goni jednak za bogactwem, którego nie potrzebuje. Na tym polega różnica.

– Jeśli masz rację, to nie znajdziemy powodu, dla którego ta nieznajoma odwiedziła zabitego Slavibora.

– A czy to aż takie ważne? Widziano ją przecież rano przed morderstwem. Potem już jej tam nie było. Ona go nie zabiła. Chyba że… – przerwała i zaskoczona spojrzała na Oldrzicha z Chlumu. – Chyba że

przyszła tam wieczorem i została u niego na noc. Wtedy, owszem, mogłaby mieć powód. Na przykład odmówił jej zapłaty za usługę.

– Mówiłaś, że nie była prostytutką.

– Może pojawiła się jakaś nowa. Podczas jarmarku do Wrocławia zjeżdżają się dziewczęta z okolicy. My tego wprawdzie pilnujemy i jeśli taką złapiemy, wyrzucamy z miasta – tłumaczyła oburzona Maryla. – Ale jakaś mogła nam umknąć. To mi nie przyszło do głowy. Spróbuję jej poszukać, zadowolony?

– Oczywiście. Najpierw jednak zatrzymamy się u karczmarza Pod Złotym Dzbanem. Może wie więcej, niż zeznał podczas przesłuchania. A potem zaprowadzisz mnie do tej pierwszej, która odwiedziła Slavibora. Tej, z którą nie rozmawiasz.

– Do Rudzielca? – westchnęła niechętnie. – Umiesz zepsuć człowiekowi nastrój. – Szybko włożyła do ust ostatnie ciastko. Chciała otrzeć ręce w spódnicę, ale przypomniała sobie, że ma na sobie tę nową. Wzięła ze stołu serwetę i wytarła w nią dłonie. Przyszło jej do głowy, że to nie jest zły zwyczaj. Potem szybko wstała.

Kiedy karczmarz Pod Złotym Dzbanem dowiedział się, w jakiej sprawie przybywa Oldrzich z Chlumu, uprzejmie mu się pokłonił. Wszyscy trudniący się jego zawodem chcieli mieć jak najlepsze stosunki z przedstawicielami prawa miejskiego, to zawsze popłacało. Rzucił krótkie spojrzenie i spytał:

– Nie byłeś tu przypadkiem wczoraj? Razem z naszym panem wójtem, ale miałeś na sobie franciszkański habit.

– Przebrałem się tak z uwagi na dobro śledztwa. Ponoć widziano, jak tuż przed zabójstwem uciekał stąd franciszkanin – odparł spokojnie

Oldrzich z Chlumu. Z punktu widzenia logiki był to nonsens, ale wiedział, że karczmarzowi takie wyjaśnienie wystarczy.

– Ten franciszkanin jest zagadką – odparł ponuro karczmarz. Zeznawał już na ten temat przynajmniej dziesięciokrotnie. – Sam widzisz, ile osób się tu przewija. Nie mogę pilnować wszystkich. Ale na niektórych klientów zwracam uwagę i wyrzucam ich, żeby nie przeszkadzali gościom. To dotyczy przede wszystkim żebraków i prostytutek. Ale również franciszkanów. Żebrzą, a do tego jeszcze wygłaszają pobożne kazania i psują ludziom nastrój. Przez to mam mniejszy zysk.

– Innymi słowy, żadnego franciszkanina byś tu nie wpuścił?

– Na pewno nie. Nie wiem, jak tamten mógł się tu dostać. Może się przemknął, kiedy byłem w kuchni. Nie zdarzyło się jeszcze jednak, żeby ktoś taki wszedł na górę i niepokoił gości w ich pokojach. Zawsze obchodzą stoły tu, na dole. Ale nie ten. Widziałem go dopiero, kiedy wychodził. Szedł dość pośpiesznie, więc dałem mu spokój. Najważniejsze, żeby trzymał się ode mnie z daleka.

– Jak długo przed zabójstwem go tu widziałeś?

– Niedługo, ale to nie on zabił. Tego morderstwa dokonano chwilę później. Wcześniej na pewno nie.

– Czy ten franciszkanin był młody, czy stary?

– Widziałem tylko jego plecy. Na głowie miał kaptur i był zwrócony twarzą w stronę drzwi. Nie interesował mnie. Szedł jednak energicznym krokiem, więc z pewnością nie był to starzec.

– I był niski – raczej stwierdził, niż spytał Oldrzich z Chlumu. – Wyjaśnij mi jeszcze coś. Powiedziałeś, że nie wpuściłbyś tu żadnej prostytutki. Czy to prawda?

– Mam gości, muszę roznosić piwo – bronił się nieprzekonująco karczmarz i posłał krótkie spojrzenie Maryli, która w milczeniu stała krok

za Oldrzichem i przysłuchiwała się rozmowie.

– Wpuściłbyś czy nie?

– Przestrzegam przepisów miejskich. Wyrzucam je – odpowiedział szybko karczmarz, ukłonił się i chciał wrócić do swoich obowiązków, ale Oldrzich chwycił go za rękę.

– Jak zatem wyjaśnisz, że wynająłeś pokój na poddaszu mojemu służącemu i tej dziewczynie?

– Myślałem, że są narzeczonymi – mruknął posępnie karczmarz i znów zerknął na Marylę.

– Chyba będzie musiał porozmawiać o tym z tobą wójt Przech. Jest mi naprawdę przykro, ale rozumiesz, że nie mogę postąpić inaczej – tłumaczył Oldrzich. – Tu chodzi o morderstwo! A ty mi opowiadasz bajki. Myślisz, że jestem głupcem?

– Mam serce – zmienił natychmiast ton karczmarz. – Też byliśmy młodzi, prawda? Z chrześcijańskiej miłości czasem idę młodzieńcom na rękę. Wiem, że ratusz tego zabronił, ale zawsze lepiej, żeby te rzeczy odbywały się w porządnym domu zamiast w zamtuzie czy gdzieś na śmietniku.

– Masz rację, to jest różnica. A co z gośćmi? Im też z chrześcijańskiej miłości pozwalasz, żeby przyprowadzali tu prostytutki?

– Jeśli ktoś wynajmuje pokój, zwykle nie jest sam. Każdy kupiec czy rycerz ma towarzystwo. Pozostawiam im decyzję, czy ich służące śpią z nimi w izbie, czy osobno w czeladnej. Nie szpieguję moich gości.

– Czy to zwyczajne, żeby rycerzowi towarzyszyły wyzywająco ubrane kobiety? A nawet kilka, tak że każdej nocy zostaje u niego inna? – uśmiechnął się znacząco Oldrzich z Chlumu. – Zadam ci ostatnie pytanie. A jeśli twoja odpowiedź mnie nie zadowoli, idę od razu do wójta. Które

z tutejszych prostytutek odwiedzały tego zamordowanego czeskiego rycerza?

– Rudzielec – odparł niemal natychmiast szynkarz. – Była tu, chyba nawet trzy razy. A potem jeszcze jedna, którą widział służący. Ale tylko z daleka. To było tego ranka przed zabójstwem. Widział tylko, że dziewczyna ma rude włosy. Akurat przyjechał kupiec z Opola, a on biegł odprowadzić jego konie do stajni, więc jej się nie przypatrywał.

– Gdzie ją widział?

– No przecież na podwórzu.

– Zatem skąd wiesz, że była akurat u Slavibora?

– Ja też ją widziałem – westchnął zrezygnowany karczmarz. – Poprzedniego wieczora. Wychodziłem z piwnicy z cebrem wina, a ona szła w stronę schodów, więc pobiegłem za nią. Najpierw jednak musiałem odnieść ceber i to mnie zatrzymało. Kiedy wbiegłem na piętro, zobaczyłem, jak zamykają się drzwi pokoju tego czeskiego rycerza. Zapukałem, otworzył niemal natychmiast i powiedział, że ta dama jest u niego z wizytą. Oczywiście w przyzwoitym celu. Więc wróciłem na dół.

– Czyli ona naprawdę spędziła tu noc? – zawołała triumfalnie Maryla. – Miałam rację? Jak ta dziewczyna wyglądała?

– Przecież mówię, że widziałem ją tylko na schodach. Kiedy potem rozmawiałem z tym rycerzem, była w środku, a on przytrzymywał drzwi tak, że jej nie widziałem. Ja tam go rozumiem. Chociaż wydawała mi się jakoś znajoma, nie wiem, która z waszego cechu to była. Przykro mi.

ROZDZIAŁ XIV

Posłuchaj, Rudzielcu, to jest uczciwy człowiek i mój klient. Wydrapię ci oczy, jeśli będziesz chciała przed nim podciągać kieckę. Chce cię tylko o coś spytać. Radzę ci, mów prawdę, ma dobre stosunki z naszym wójtem i nie lubi wykrętów. Jest wystarczająco mądry, żeby poznać, gdy kłamiesz. A jeśli złapie cię na łganiu, trafisz pod pręgierz. Przyznam, że taka wizja bardzo mi się podoba! Ale jeśli się tak stanie, nie będzie w tym mojej winy i żadna z naszego cechu nie będzie mogła mi robić wyrzutów. Wszystko zależy od ciebie. – Maryla surowym głosem przedstawiła Oldrzicha z Chlumu swojej znajomej. Potem odwróciła się i odeszła bez pożegnania.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – uśmiechnęła się wyzywająco prostytutka, dłonią poprawiła piersi w dekolcie i zakołysała biodrami. Opis, który dostał giermek Ota, okazał się ani trochę nieprzesadzony. Była trochę przy kości, wulgarnie umalowana. Wokół oczu miała drobne zmarszczki, wydawała się o wiele starsza niż Maryla.

– Ta panna wszystko ci jasno wytłumaczyła – ostrzegł ją Oldrzich z Chlumu. – Twoim klientem był czeski rycerz, którego zamordowano w karczmie na rynku.

– Ja go nie zabiłam – odcięła się urażona. – Tego dnia miałam innego klienta, może poświadczyć.

– Przecież cię nie podejrzewam. Tylko muszę znaleźć mordercę i pomyślałem, że ten rycerz mógł ci powiedzieć coś, co naprowadziłoby mnie na odpowiedni trop.

– Mówią, że gardło poderżnął mu diabeł – rzuciła przestraszona i przeżegnała się. Chwyciła go za rękę i próbowała położyć ją na swych wydatnych piersiach. – Zobacz, jak ze strachu wali mi serce.

Cofnął dłoń i spokojnie kontynuował:

– Mówił ci, po co przyjechał do Wrocławia?

– Ale ty jesteś nudny – westchnęła. – Kupiłbyś mi chociaż piwo. Jest strasznie gorąco i język przykleja mi się do podniebienia, zdania nie mogę sklecić.

Stali kilka kroków od niezbyt zachęcającej z wyglądu karczmy, która – jak głosił szyld – nazywała się Brzuch Węża. Już sama nazwa świadczyła o tym, że raczej nie jest to porządny lokal. Kilku ludzi popijało piwo na ulicy przed budynkiem. Oldrzich z Chlumu krzyknął do pomocnika karczmarza w brudnym fartuchu, żeby przyniósł im dwa dzbanki. Ruda prostytutka z zadowoleniem skinęła głową i łapczywie się napiła.

– Dziękuję – uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Więc wróćmy do tego rycerza. Co dokładnie cię interesuje?

– Po co przyjechał do Wrocławia?

– Podobno po pieniądze. Mówił, że chodzi o wielki majątek.

– Odziedziczył coś? Czy przyjechał odzyskać dług?

– Raczej to drugie. Na temat spadku nie padło ani jedno słowo. Ale o długu też nie mówił. Tylko raz powiedział coś w tym sensie, że dostanie swoje pieniądze, nawet gdyby miała się polać krew. Za bardzo go nie

słuchałam, mężczyźni wciąż mielą ozorami. Gdybym miała ci opowiedzieć wszystko, co w życiu słyszałam, zdziwiłbyś się.

– Padło jakieś imię?

– Oczywiście. Pytał mnie o jakiegoś francuskiego rycerza. Poczekaj, nazywał się tak dziwnie... Roland, tak, to o niego pytał.

– Co chciał wiedzieć?

– Czy go znałam.

– A znałaś?

– Nie, ale przypadkiem o nim słyszałam. Kilka miesięcy temu Marion…

– Kto?

– Marion. To dobra dziewczyna, nie taka jak ta twoja towarzyszka. Popatrz na tę swoją, jaka jest chuda. Jeśli chcesz coś porządnego, weź mnie. Kiedy zechcesz…

– Jeszcze raz i skończysz pod pręgierzem za te nieprzyzwoitości, które tu tak bezwstydnie wygadujesz na ulicy – upomniał ją surowo. – Co mówiła Marion?

– Nie mogę ci tego wyjawić, bo to jest bezwstydne. Na ulicy nie mówi się takich rzeczy, byłoby to z mojej strony haniebne, a ja przestrzegam dziesięciorga przykazań i przepisów. Możemy to omówić gdzieś indziej. Mam tu za rogiem mały pokój.

Oldrzich z Chlumu jął bezwiednie pocierać dłonią twarz, ale zamiast brody wyczuł tylko twardą szczecinę. Westchnął i spojrzał na rudą prostytutkę nieco łaskawiej.

– Dobrze, wygrałaś. Zezwalam ci na mówienie nieprzyzwoitych rzeczy na ulicy. Ale jedynie pod warunkiem, że przestaniesz mi się już narzucać i że to, co powiesz, będzie miało związek ze śledztwem.

– W pokoju poszłoby nam lepiej. Tam bym się tak nie wstydziła. A może nawet coś bym zarobiła. Nie jestem droga.

Oldrzich z Chlumu wyjął z sakiewki srebrniaka, podał jej i nakazał mówić.

– Szkoda cię dla tej chudej zdziry. No więc Marion mówiła, że raz zaprosił ją do siebie młody rycerz.

– Jak dawno to było?

– Ładnych parę miesięcy temu. Na pewno jeszcze w zimie. Leżał śnieg i…

– Do rzeczy!

– Ten rycerz podobno był całkiem przystojny. Przedstawił się jako Roland i powiedział, że chce się kochać. Zgodziła się, bo to jej praca. Zdjęła z siebie ubranie, on też, tylko okazało się, że ten rycerz nie za bardzo wiedział, jak zabrać się do dzieła. Wyobraź sobie, on jeszcze nigdy nie miał kobiety! W tym wieku! Marion się nim zajęła i sumiennie go uczyła. To trwało chyba tydzień. Potem jej podziękował i powiedział, że to koniec. Była ciekawa, czy wyjeżdża, ale on zaczął się głupio wykręcać, tak jak to robią mężczyźni i myślą, że kobieta niczego się nie domyśli. Ale wszystko było jasne jak słońce. Miał inną. Wykorzystał Marion tylko do tego, żeby się dowiedzieć, jak i co. Nie myśl sobie, my zwykle nie opowiadamy o tym, czego chcą od nas klienci. Ale sam przyznaj: jak często w naszym fachu poszczęści się uczyć prawiczka?

– Opowiedziałaś o tym też temu rycerzowi, którego wczoraj zamordowano?

– Oczywiście. Odpowiedział, że był już najwyższy czas. To było podczas ostatniej naszej wspólnej nocy. Następnego wieczoru już go nie zastałam. Jego służący twierdzili, że ma pracę w mieście. Ale dla mnie było jasne, że kazał powiedzieć, że go nie ma. Potem już nie próbowałam.

– Rozmawialiście jeszcze o kimś? Na przykład o jakimś prałacie?

– Na pewno nie. Pytał tylko, gdzie znajdzie Marion. Powiedziałam mu to, choć niechętnie. Poza tym nie był zbyt gadatliwy.

– Gdybym chciał porozmawiać z tą Marion, co powinienem zrobić?

– Dasz jeszcze srebrniaka? Niełatwo ją znaleźć.

Dla Oldrzicha z Chlumu było jasne, że od Rudzielca niczego więcej się nie dowie, ale znalazł kolejny trop. Rozwiązał sakiewkę i wyjął denara. Wzięła go, po czym podeszła do drzwi karczmy, otworzyła je i krzyknęła do środka:

– Marion, chodź tu!

W drzwiach Brzucha Węża natychmiast pojawiła się śniada dziewczyna z ciemnymi włosami splecionymi na węgierski sposób w wiele cienkich warkoczyków. Miała lekko skośne oczy, co świadczyło o tym, że płynie w niej krew Tatarów, którzy jakiś czas temu plądrowali te ziemie. Matka powiedziała jej tylko, że kiedyś przemocą wziął ją najeźdźca ze spiczastą futrzaną czapką na głowie. Nawet jej przy tym nie zdjął. Zabawił się, ale był dość łaskawy, bo po wszystkim kobiety nie zabił. Dzięki temu urodziła się Marion.

– To prawda – potwierdziła, gdy ruda towarzyszka krótko wyłożyła jej, o co chodzi. Chwilę się wahała, a potem zwróciła się do niej: – Rudzielcu, zostaw nas samych.

– Jak chcesz – odparła zirytowana pulchna prostytutka i teatralnie kołysząc biodrami, opuściła ich.

– Wszystko rozgada – wyjaśniła Marion. I pewna siebie kontynuowała: – Jeśli chcesz się kochać, biorę dwa denary. Jeśli jednak chcesz moich zeznań, dasz mi cztery. Przypominanie sobie i mówienie jest bardziej męczące.

– Dostaniesz tyle, ile będzie warte twoje zeznanie. Jak słusznie powiedziała ta ruda, uważaj albo skończysz pod pręgierzem.

– Wielkie rzeczy! Stałam tam już dwa razy. I zawsze miałam potem więcej klientów – uśmiechnęła się. – Dam ci zniżkę. Zeznanie za dwa denary. Namyśl się szybko, inaczej nie pisnę ani słowa.

Jeszcze chwilę się targowali, ale potem Oldrzich z Chlumu zapłacił, ponieważ zauważył, że włóczędzy stojący z piwem przed karczmą przyglądają mu się zaciekawieni. Najwyraźniej Marion była znaną postacią.

Dziewczyna schowała pieniądze, a potem w zasadzie powtórzyła to, co Oldrzich usłyszał już od Rudzielca. Marion potwierdziła, że działo się to jakoś po Trzech Królach.

– Do tego jeszcze wrócimy – przerwał jej. – Najpierw jednak przypomnij sobie, czy w ostatnich dniach nie wypytywał cię o tego Rolanda jakiś czeski rycerz.

– Nie! – rzuciła natychmiast. Było oczywiste, że kłamie.

– Więc chodź – rzekł Oldrzich z Chlumu i mocno chwycił ją za rękę. – Sprawię, że znów będziesz miała więcej klientów, skoro pręgierz przynosi ci tyle szczęścia.

– Ale dlaczego? – jęknęła, próbując się uwolnić z uścisku, lecz bezskutecznie.

– Pomijając nawet to, że za twoje zeznanie zapłaciłem, kłamstwo jest grzechem. Rozmawiałaś o tym z rycerzem, którego zamordowali, prawda?

– Po co pytasz, skoro już to wiesz? Pytał, gdzie odwiedzałam tego Rolanda. W którym zajeździe. Potem jeszcze, czy wiem, gdzie się teraz podziewa. Oczywiście nie mam pojęcia, nie widziałam go od przynajmniej czterech miesięcy.

– A ten zajazd w zimie, tylko się upewniam, to była karczma U Króla Wacława.

– Była. Coś jeszcze?

– Jak widzisz, wiem dużo. Na razie nie powiedziałaś mi nic, co byłoby warte złamanego grosza. Czy nic w tym Rolandzie nie wydawało ci się podejrzane? Albo dziwne? Poza tym, że był prawiczkiem.

– Wydawało. Twierdził, że jest Francuzem, ale chyba kłamał. Kiedy mężczyzna się kocha, często się zapomina i zaczyna mówić w swoim języku. On mówił po czesku. A mówił bardzo ładne rzeczy.

– Nie wspominał o tutejszej kapitule?

– O tym nie padło ani słowo. Ale poczekaj, teraz sobie przypominam, wspominał o jakimś proboszczu. Ale nie o naszym, tylko o jakimś Adamie, tak mi się wydaje. Podobno niedawno odwiedził Wrocław. Ale nie wiem, o co chodziło. Nie słuchałam go.

– Wszystkie to mówicie – westchnął Oldrzich z Chlumu. Przyszło mu do głowy, jak sprytny musi być jego giermek, skoro udaje mu się od tych dziewcząt uzyskać ważne informacje.

– Nie jesteśmy księżmi, żebyśmy spowiadały klientów – skrzywiła się. – Nam płaci się za co innego.

– No dobrze. Możliwe, że ten Francuz rzeczywiście był Czechem. Czy zauważyłaś coś jeszcze?

– Potem, kiedy już się mnie pozbył, kilka razy spotkałam go na ulicy. Raz szedł z jakąś rudą kobietą. Odwrócił wzrok, jakby mnie nie widział.

– To interesujące. Znasz ją?

– Widziałam ją potem jeszcze ze dwa razy, ale nie wiem, jak ma na imię. Na pewno jest porządna, bo nie nosi żółtej chustki. Szła bardzo dumnie.

– Jeśli się dowiesz, jak się nazywa i gdzie mieszka, dam ci pięć denarów – obiecał Oldrzich z Chlumu.

– Gdzie cię znajdę?

Tego nie zamierzał zdradzać pierwszej lepszej prostytutce.

– Powiedz Maryli, ona mnie przyprowadzi – odparł i udał się z powrotem na rynek.

Było już późne popołudnie, panował jeszcze większy upał niż poprzedniego dnia. W oddali znów zagrzmiało. Oldrzich z Chlumu powoli szedł tłumną ulicą, wymijając przechodniów, i rozmyślał. Czuł się, jakby nabierał sitem wodę z cebra. Nie znalazł nic, czego mógłby się uchwycić. Tylko poszlaki i gromada dziewcząt. I jeszcze fałszywy franciszkanin. Ale przecież w tym franciszkańskim habicie również mogła się ukrywać prostytutka. Według Oldrzicha wokół całej tej sprawy kręciło się podejrzanie wiele rudych kobiet. Rudowłosym nie ufał. Nagle przypomniał sobie, że jedną piękną kobietę o rudych włosach spotkali w zajeździe U Świętego Ludwika. Roland podawał się za francuskiego rycerza i kilka razy odwiedził tę karczmę, wszak spotykali się tam Francuzi. A jeśli nieznajomą kobietą, z którą Milicz szedł ulicą, była właśnie ta karczmarka? A jeśli to ona zabiła Slavibora?

Zawrócił i szybko ruszył z powrotem w stronę Brzucha Węża. Do włóczęgów, którzy kręcili się na ulicy przed karczmą, krzyknął:

– Gdzie jest Marion?

Zachichotali. Nie umknęło im, że przed chwilą się z nią rozstał, nawet sobie nie używszy. To było coś nietypowego. Ponadto wiedzieli, że ma pieniądze, więc nie w tym leżał problem. Właśnie dyskutowali, czy ten człowiek w berecie i z mieczem u pasa nie poszedł z Marion dlatego, że mu się nie podobała, czy że po prostu woli chłopców.

– Nie jestem w nastroju do żartów! – wrzasnął zirytowany Oldrzich. Chwycił jednego z mężczyzn za szyję i powtórzył pytanie.

Ten tylko uniósł rękę i machnął gdzieś przed siebie. Wycharczał:

– Zabrał ją klient.

– Ale za chwilę będzie z powrotem – dodał gorliwie jego towarzysz. – To była jakaś oferma. A sakiewkę miał prawie pustą. Marion nie poświęci mu zbyt wiele czasu.

Oldrzich z Chlumu puścił żebraka, a ten obrażony pocierał szyję. Szybko wycofał się w bezpieczne miejsce. Mężczyzna z mieczem wzbudził w nim respekt, ponieważ był silny i odważny.

Oldrzich zastanawiał się, co robić. Miał poczucie, że w końcu trafił na właściwy trop. Dlatego postanowił poczekać. Idąc za przykładem włóczęgów, otworzył drzwi karczmy i zawołał do wnętrza, żeby przyniesiono mu piwo. Prawie natychmiast pojawił się brudny pomocnik karczmarza. Oldrzich zapłacił i wziął od niego obtłuczony dzbanek. Było gorąco, piwo mu smakowało. Oparł się w cieniu o ścianę domu po drugiej stronie ulicy. Popijał i czekał.

Burze na początku lata przychodzą nagle. W kilka minut niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, rozległ się dudniący huk pioruna, a z nieba popłynęły potoki deszczu. Oldrzich z Chlumu nie miał ochoty wchodzić do Brzucha Węża między włóczęgów. Dlatego pobiegł ulicą w stronę klasztoru, gdzie stał zajazd U Świętego Ludwika. Postanowił wykorzystać ulewę do rozejrzenia się w tym lokalu.

W drzwiach niemal zderzył się z tęgim cystersem, również biegnącym, aby się tam schronić. Wewnątrz jak zwykle kłębiło się mnóstwo ludzi, a jedyne dwa wolne miejsca znajdowały się przy małym stoliku w rogu. Zakonnik wpadł pierwszy i oczywiście wybrał lepsze, z widokiem na karczmę.

Niemal od razu pojawił się przy nich wysoki pomocnik karczmarza. Ukłonił się uprzejmie cystersowi i zapytał, czy brat Augustyn życzy sobie to samo co zwykle. Ten skinął i mruknął coś o przeklętej pogodzie. Dopiero

teraz pomocnik zwrócił się do Oldrzicha, który zamówił jedynie gorący miód pitny. Był to jego ulubiony napój.

– Też lubisz miód? – rozpoczął rozmowę zakonnik, gdy tylko zostali sami. – To chyba jedyna dobra rzecz, jaką tu znajdziesz. Skąd jesteś? Z Burgundii?

– Z Królestwa Czeskiego.

– Naprawdę? – ucieszył się mnich. Miał na sobie biały habit z czarnym szkaplerzem. Jego strój zakonny był starannie uszyty z dobrego materiału. Cystersi, w odróżnieniu od franciszkanów, dbali o wygląd. – Kiedyś mieszkałem tam przez kilka lat. W Sedlcu, niedaleko Kutnej Hory. Tyle że jeszcze nie wydobywano tam srebra i było spokojnie. Ale ja zawsze mam pecha. Gdy gdzieś mi się podoba, przenoszą mnie gdzie indziej, gdzie panują hałas i zgiełk. I jak się tu poświęcać posłudze duchowej?

Pomocnik karczmarza postawił przed nim miskę z całym pieczonym kurczęciem i duży dzban miodu. Oldrzich z Chlumu musiał zadowolić się znacznie mniejszym napitkiem. Cysters łakomo oderwał udko i wgryzł się w mięso, aż tłuszcz pociekł mu po brodzie.

– Często tu przychodzisz? – spytał Oldrzich z Chlumu.

– Owszem, nasz klasztor stoi tuż obok, a mnie powierzono nadzór nad kamieniarzami. Rozbudowujemy kościół i mamy szczodrych poplecznków: czeskiego króla i jego kuzyna, naszego biskupa Władysława. Właściwie on oficjalnie nie jest biskupem, wprawdzie kapituła go wybrała, ale papież nie zatwierdził, więc ma tylko tytuł administratora. W ten sposób prawdopodobnie chce pokazać, że chodzi mu o dobro Kościoła na Śląsku. Dla naszego zakonu jest to błogosławieństwo, ale dla mnie mnóstwo pracy. Muszę od rana do wieczora dozorować prace na budowie, a to męczy.

Oldrzich z Chlumu przytaknął roztargniony. O darze dla cystersów już słyszał, ale z jego śledztwem nie miało to związku. Dlatego spróbował

skierować uwagę swojego współbiesiadnika na inny temat.

– Kilka miesięcy temu był tu mój przyjaciel, rycerz Roland. Nie spotkałeś go przypadkiem?

– A wiesz, że go sobie przypominam. – Zakonnik pokiwał łysiejącą głową i odgryzł kolejny kęs mięsa. Jadł szybko i z apetytem. – Pamiętam go, bo rozmawialiśmy o Kutnej Horze. Od niego wiem, jak tam teraz jest.

– Górnictwo zawsze go interesowało – zgodził się Oldrzich z Chlumu i na próbę napomknął: – Myślę, że się na nim znał.

– Nie powiedziałbym. Za to na budownictwie znał się dobrze. Kilka razy wspólnie odwiedzaliśmy budowę i zawsze zadawał celne pytania.

– Francuzi mają talent do tych rzeczy, to powszechnie wiadomo. Czyli interesowało go, jak się buduje świątynię? Rozmawialiście o sklepieniu czy o nośności filarów?

– Ty też się na tym znasz? – ucieszył się cysters. – Jak skończy się ulewa, zaprowadzę cię tam. Właśnie budujemy prezbiterium. Z Rolandem raczej dyskutowaliśmy o cenach.

– To go interesowało? – zdziwił się Oldrzich z Chlumu. W żaden sposób nie pasowało mu to do obrazu nieśmiałego młodzieńca.

– Wyobraź sobie, że tak. Liczyć umiał dobrze. Raz mi nawet pomógł, gdy mistrz kamieniarski próbował mnie oszukać o parę denarów. Ale to było dawno, jakoś pod koniec roku. Ostatni raz widziałem go po Trzech Królach.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, lecz Oldrzich z Chlumu nie dowiedział się już nic nowego. Ponieważ ulewa ustała tak samo szybko, jak się zaczęła, z uprzejmości poszedł z najedzonym już cystersem zobaczyć budowę. Ściany wznosiły się wysoko nad ich głowami, jako że kościół był już niemal gotowy. Brakowało jedynie części sklepienia i dachu. Na wzór

francuskich klasztorów cysterskich świątynia miała wysokie wąskie okna zwieńczone ostrołukami. Była wyniosła i majestatyczna.

Rozmowny brat Augustyn nie chciał uwolnić Oldrzicha z Chlumu od swego towarzystwa. Prokurator królewski musiał się tłumaczyć, że ma inne obowiązki, i niemal uciekł.

– Jeśli będziesz w pobliżu, zajdź do nas – wołał za nim brat Augustyn.

Mokrą ulicą Oldrzich z Chlumu podążył w stronę Brzucha Węża. Marion już wróciła.

– Długo beze mnie nie wytrzymałeś – powitała go. Na jej twarzy malowało się zmęczenie.

– Czy ta ruda mieszczanka, co to uwiodła ci młodego rycerza, o którym przed chwilą mówiliśmy, nie była przypadkiem karczmarką ze Świętego Ludwika?

– Myślisz, że jestem głupia? – odburknęła nieuprzejmie. – Proponujesz mi pieniądze, a mnie nie przyszłoby do głowy, że mogła to być kobieta, która mieszka kilka kroków stąd i którą spotykam co drugi dzień? Była trochę podobna, przyznaję. Ale to nie była ona, ręczę głową.

– Więc szukaj jej dalej – odparł posępnie i tym razem nawet się nie pożegnał. Odwrócił się i pośpieszył w stronę rynku. Zaczynało się ściemniać.

Maryla siedziała na tym samym słupku co zawsze, niedaleko ratusza. Pozostali kupcy, którzy nie uciekli przed popołudniowym deszczem, pakowali towary. Przed chwilą dzwoniono na wieczorną mszę, a to był czas, kiedy zamykano jarmark. Gdy tylko dziewczyna dostrzegła Oldrzicha z Chlumu, wstała i mu pomachała.

– Dowiedziałaś się, czy do miasta przybyła jakaś obca, rudowłosa prostytutka? – spytał, kiedy do niej podszedł.

Stanowczo pokręciła głową. Usiadła z powrotem na słupku, zwróciła ku niemu twarz, złożyła usta w dzióbek i spytała:

– Nie zaprosisz mnie na kolację?

Oldrzich z Chlumu zmrużył oczy, potem otworzył sakiewkę i dał jej osiem srebrniaków.

– Twoja dzienna zapłata. Na to się umówiliśmy. O tym, że będziesz mi dotrzymywać towarzystwa, nie było mowy. – Wyjął jeszcze dwa srebrniaki, podał jej i dorzucił: – Idź coś zjeść. Ja chcę mieć spokój.

Nie wzięła pieniędzy. Wzruszyła ramionami i dopiero teraz wstała, przeciągając się, jakby była obolała. Ale chyba raczej chciała pokazać, jaka jest ponętna. Rozprawiała jednak rzeczowo:

– Byłoby dobrze, gdybym jeszcze chwilę z tobą została. Możliwe, że dowiedziałam się czegoś ciekawego.

– Powiedz mi to tutaj.

– To temat na dłuższą rozmowę. A poza tym znowu zaczyna padać.

Miała rację, na ziemię spadały pierwsze krople deszczu i rozpryskiwały się w kałużach. Oldrzich z Chlumu westchnął, schował pieniądze, które chciał jej dać na posiłek, i skinął, aby poszła za nim.

Stół, przy którym jedli wieczerzę, był jako jedyny w karczmie cały zarezerwowany tylko dla nich. Karczmarz, który w południe otrzymał sowity napiwek, trzymał te miejsca dla swojego nowego gościa. Skłonił się usłużnie. W przestronnej izbie pod ciemnym belkowanym stropem unosiły się intensywne zapachy mięsa i sosów. Maryla bezwiednie się oblizała. Zawsze żyła teraźniejszością.

Ledwie usiedli, pojawił się przy nich pomocnik karczmarza i bez pytania postawił na stole duży dzban z winem.

– To nasze najlepsze – powiedział z szacunkiem i nalał Oldrzichowi z Chlumu.

Maryla uniosła swój kielich i podsunęła mu, ale pogardliwie ją zignorował. Postawił dzbanek na stole i z ukłonem się oddalił. Dziewczyna westchnęła, odstawiła kielich na grubą deskę stołu i wyciągnęła rękę w stronę dzbanka, ale Oldrzich z Chlumu był szybszy. Podniósł go i nalał jej.

To naprawdę wzruszyło młodą prostytutkę. Spuściła oczy i cicho podziękowała. Czuła do tego mężczyzny coraz większy szacunek, ponieważ nie zachowywał się jak inni klienci. Chwilami nawet to jej wyzywające zachowanie wydawało się jej nieodpowiednie. Kiedy wyobraziła sobie, że ją obejmuje, zadrżała z podniecenia. To było uczucie, którego w obecności mężczyzn doświadczała jedynie w wyjątkowych sytuacjach. Dzięki temu mogła większość z nich traktować wyłącznie jak klientów.

Oldrzich z Chlumu zamówił udziec wołowy z sosem żurawinowym i plackami korzennymi. To było jego ulubione danie. Ledwie karczmarz zostawił ich samych i pobiegł do kuchni, Oldrzich spytał Marylę, czego się dowiedziała.

– Bardzo byś się gniewał, gdybym przyznała, że tylko to wymyśliłam? – spytała i wygięła usta w podkówkę jak dziecko przyłapane na kłamstwie.

Oldrzich z Chlumu wiedział, że powinien ją surowo ukarać, ale nie potrafił. Sam siebie nie rozumiał, ale pokręcił głową i spokojnie odparł:

– A wiesz, że nawet brałem taką możliwość pod uwagę?

– I mimo to mnie zaprosiłeś? – złagodniała. Potem nagle uśmiechnęła się szelmowsko i dopiero po chwili zaczęła wyjaśniać: – Chciałam tylko wiedzieć, jak się zachowasz. Sprawdzałam cię. Nie zmyślam, naprawdę na coś natrafiłam.

– Tę możliwość też uznałem za prawdopodobną – odparł i również się zaśmiał.

– Nieprawda – zaczęła protestować z miłym uśmiechem. Naturalne zachowanie pasowało jej o wiele bardziej niż wyzywające gesty.

– Może trochę – przyznał.

Kiedy karczmarz postawił na stole miskę z sosem, w którym pływały kawałki mięsa, Oldrzich uprzejmie poczekał, aż Maryla nałoży sobie pierwsza. Dopiero potem również on przystąpił do posiłku. Nie ponaglał jej, wiedział, że najpierw musi się najeść. Na biesiadach podczas jedzenia zwyczajowo toczono rozmowy, ponieważ rycerze wiedzieli, że na stole pojawią się kolejne dania. Lecz prosty lud nie znał tego sposobu spożywania posiłków. Gdy tylko miska pojawiała się na stole, stołownicy rzucali się na nią, żeby złapać dla siebie jak najsolidniejszą porcję, ponieważ nic więcej zwykle ich nie czekało. Tak jedli prawie wszyscy goście siedzący wokół. Maryla w odróżnieniu od nich przynajmniej nie mlaskała.

– Dobre to było – oblizała się, kiedy miska była już pusta. Podniosła kieliszek i wypiła spory łyk wina. Lekko czknęła, a potem wytarła usta i ręce w serwetę, tak jak to widziała przy obiedzie. Potem zaczęła opowiadać: – Nie myliłam się. W mieście nie ma żadnej nowej prostytutki. Ani rudej, ani czarnowłosej. Mogę na to przysiąc przed ołtarzem, wypytywałam wszędzie. Zaczęłam się więc zastanawiać, co za kobieta mogła zachowywać się jak prostytutka, choć nią nie była.

– I do czego doszłaś? – spytał ciekawie. O dziwo, chociaż wciąż nie mógł się zorientować w całej sprawie, miał dobry nastrój.

– Jeśli jakaś porządna kobieta spotyka się z obcym mężczyzną w cztery oczy, to niekoniecznie po to, aby iść z nim do łóżka. Może przyniosła poufną wiadomość od męża. W takim wypadku mąż oczywiście nie robiłby

jej wyrzutów, nawet gdyby ktoś oskarżył ją o nieprawość. Jedynie w takiej sytuacji uczciwa kobieta pozwoliłaby sobie na taką wizytę. Jeśli mąż nie wniósłby oskarżenia, nikt inny nie mógłby tego zrobić.

– Zgadzam się. Mów dalej.

– Może spędziła z nim noc. Najprawdopodobniej za pozwoleniem męża. To znaczy, że musiało chodzić o duże pieniądze. Ale tuż po tym, jak opuściła rycerza, ktoś go zabił. Możliwe, że mąż albo wspólnik tej rudej bał się, żeby ich nie zdradził, a może nie spełnił jakiejś obietnicy. Myśl sobie o moim zawodzie, co chcesz, ale my zawsze postępujemy uczciwie. Zapłać, a dostaniesz, czego pragniesz. Ale prawdziwi złoczyńcy nie są uczciwi.

– Masz rację – przyznał niepewnie Oldrzich. Wprawdzie z początku zganił Otę za wyjawienie tej prostytutce celu ich poszukiwań, chociaż przecież giermek nie wyznał jej, że robią to na polecenie czeskiego króla. Oldrzich i tak uważał to za lekkomyślne i nie przekonały go słowa Oty, że jedynymi osobami, którym można wierzyć, są ulicznice i pomocnice karczmarzy pod warunkiem, że człowiek wie, jak z nimi rozmawiać. Teraz prokurator przeprosił w duchu swego giermka. Zauważył jednak rzeczowo: – Twoja opowieść ma istotny słaby punkt. Jest jedynie hipotezą.

– Wprawdzie nie wiem, co to jest hipoteza, ale moja opowieść nie ma słabego punktu – odparła i zmarszczyła brwi w skupieniu. – Od pewnego kościelnego dowiedziałam się, że ten zamordowany rycerz interesował się klasztorem cystersów. Dwa dni temu w nocy ktoś się tam włamał. Co zabrał, tego kościelny nie wie, ale przyszła mi do głowy jedna rzecz. Może zrobił to pan Slavibor!

– A jaki miałoby to związek ze zniknięciem jego brata?

– W okolicach karnawału podobno też ktoś próbował okraść cystersów – odpowiedziała niby od niechcenia, ale na jej ustach pojawił się triumfalny uśmiech.

Ktoś energicznie otworzył drzwi karczmy i wszedł do środka. Przemoczony płaszcz wisiał na nim jak połamane skrzydła. Przez otwarte drzwi wpadł do izby powiew zimnego wiatru, gnający przed sobą strugi deszczu. Na zewnątrz trwała ulewa. Tym razem nie był to przelotny opad. Niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, co oznaczało, że będzie padać bardzo długo.

– Zamknij te drzwi, do diabła! – krzyknął kupiec, który siedział przy pierwszym stole.

Przybysz szybko zatrzasnął drzwi i jął trochę niezdarnie zdejmować mokry płaszcz. Pomocnik karczmarza wziął od niego okrycie i zaniósł do kuchni, by wyschło przy palenisku.

– Dowiedziałam się jeszcze czegoś – dodała Maryla, kiedy zamieszanie ucichło. – Tego Slavibora pamięta kilka dziewcząt z naszego cechu. Jak już wiesz, często się zatrzymujemy w Brzuchu Węża. A co znajduje się na końcu ulicy? Klasztor cystersów. Ten zamordowany rycerz podobno w ostatnich dniach kręcił się w pobliżu i nawet wypytywał o klasztor.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

– Nie myślałam, że ma to znaczenie. Chciałeś przecież wiedzieć tylko, które rude prostytutki go odwiedzały – broniła się Maryla, ale nie wydawała się ani trochę zirytowana. – Dopiero dziś po rozmowie z tym kościelnym to sobie uświadomiłam, choć nie takie zadanie mi zleciłeś.

– Nie dowiedziałaś się też przypadkiem, czy cystersom zginęło coś, za co warto byłoby zabić?

– Nawet nie próbowałam. Ze mną by nie rozmawiali – odparła i zatroskana spojrzała w okno, w które uderzały strumienie deszczu.

Oldrzich z Chlumu też to widział, ale trapiło go coś zupełnie innego niż pogoda. Myśli wirowały mu w głowie. Ta młoda prostytutka mogła mieć rację. Król Przemysł Ottokar II twierdził, że Milicz ze Szvabenic miał

pewną misję, która dotyczyła tutejszej kapituły. Wprawdzie cystersi byli od niej niezależni, podlegali generalnej kapitule swojego zakonu w Burgundii, ale z kanonikami z pewnością się spotykali. Jeśli ta tajemnicza sprawa dotyczyła cystersów i kuzyna króla, Władysława, którego urząd reprezentuje kapituła, cystersi mogli maczać w tym palce. Wówczas wydawałoby się logiczne, że jeśli Slavibor wiedział, po co jego brat przybył do Wrocławia, szukał go między innymi w klasztorze cystersów.

Oldrzich z Chlumu nigdy nie ulegał bezkrytycznemu entuzjazmowi, gdy odkrywał ślad nieopierający się na potwierdzonych zeznaniach. Ten wyglądał jednak bardzo obiecująco, ponieważ ukazywał pierwszy logiczny, choć na razie tylko hipotetyczny, związek między tym, po co tu przyjechał, a wczorajszą zbrodnią. Z pewnością wydawało się to bardziej intersujące niż informacja o kradzieżach u cystersów. Nieco uważniej spojrzał na Marylę. Nie wyglądała na tak zadowoloną, jak się spodziewał.

– Stało się coś?

– Muszę już iść, Gelasiusie, żeby znaleźć jakieś suche miejsce do spania – wyjaśniła ze spokojną rezygnacją. Niczego nie udawała, mówiła to szczerze. Zrozumiała bowiem, że ten mężczyzna nie chce jej mieć u siebie w nocy i odmówi jej, nawet gdyby nalegała. Musiała więc jak najszybciej sama się o siebie zatroszczyć.

Oldrzich z Chlumu jednak ją zaskoczył. Przez chwilę się zawahał, po czym rzekł:

– Na taką ulewę cię nie wyrzucę. Jeśli obiecasz, że będziesz się zachowywać przyzwoicie i nie będziesz mi proponować swojego ciała, możesz przenocować u mnie.

Maryli na moment serce zamarło z radości. Znała mężczyzn i wiedziała, że wcześniej czy później każdy odłoży na bok swój honor. Dlatego od razu się zgodziła.

Oldrzich z Chlumu zamówił jeszcze jeden mniejszy dzbanek wina i zapłacił. Potem w towarzystwie dziewczyny udał się po schodach na piętro do swojego pokoju. Dzbanek niósł w ręku. Maryla wzięła od pomocnika karczmarza zapaloną lampkę, ponieważ zapadła już ciemna noc.

Przeszli przez piętro i zatrzymali się dopiero przed ostatnimi drzwiami. Oldrzich z Chlumu otworzył je i przepuścił Marylę przodem, ponieważ niosła światło. Dzbanek postawił na niskim stołku. Potem wziął od niej lampkę i od jej płomienia zapalił łuczywo na ścianie.

– Dobranoc – powiedział łagodnie i skierował się ku drzwiom po przeciwnej stronie niewielkiej sieni. Wszedł do sąsiedniego pokoju, starannie zamknął za sobą drzwi i zasunął skobel. Maryla zrozumiała, że na razie ten mężczyzna nie zamierza odrzucić swego honoru. Jednak dobry nastrój, który towarzyszył jej dzisiejszego wieczoru, jej nie opuszczał.

Pod ścianą stało puste wiadro. Wybiegła na zewnątrz i napełniła je wodą. Umyła się, dzień był gorący, a ona czuła, że lepi się od potu. Potem zrzuciła ubranie i starannie złożyła spódnicę na niskim stołku, z którego zabrała pełny dzbanek. Zgasiła łuczywo i wzięła wino do łóżka. Leżała w ciemnościach i wyobrażała sobie, że pokój należy do niej i może w nim spać każdego dnia. Czuła już trochę trunek w głowie, ale wypiła go do końca. Grzechem byłoby tego nie zrobić. Postawiła dzbanek na podłodze obok łóżka i zamknęła oczy. Usnęła niemal natychmiast.

Maryla już dłuższy czas przewracała się na łóżku. Wieczorem wypiła zbyt wiele. Znajdowała się w tym stanie między czuwaniem a snem, kiedy człowiek próbuje się zmusić do wstania, ale jednocześnie rozpaczliwie tego nie chce. Do jej bezładnie kłębiących się myśli naraz przeniknął cichy skrzypiący dźwięk. Dotarło do niej, że to odgłos zawiasów. Zadowolona pomyślała, że to jej towarzysz jednak nie wytrzymał. Lekko uniosła

powieki, a przez jej ciało przeszedł dreszcz rozkoszy, ale choć czuła to wszystko, nadal nie mogła się całkiem przebudzić.

Słyszała ciche szurające kroki, a potem ktoś kopnął dzbanek, który przed snem postawiła na podłodze przy łóżku. Naczynie potoczyło się w stronę ściany i rozbiło się na niej. Głośny trzask ostatecznie wyrwał ją ze snu. Prawie natychmiast uświadomiła sobie, że dzbanek stał tam, którędy Gelasius nie mógłby iść. Prędko otworzyła oczy. Pomieszczenie niewyraźnie oświetlał stłumiony płomień woskowej świecy, którą przybysz osłaniał dłonią. Znajdował się już niemal nad nią. Drzwi do pokoju jej towarzysza były jednak zamknięte.

Gwałtownie usiadła. Tuż przy łóżku stał ktoś w ciemnym płaszczu. Bardziej wyczuła, niż rozpoznała uniesioną rękę, w której błysnęło ostrze sztyletu. Krzyknęła, odrzuciła kołdrę i próbowała wyskoczyć z łóżka, ale już było za późno. Nieznajomy zaatakował. Dopiero w ostatniej chwili chyba się zorientował, że ma przed sobą nie mężczyznę, lecz nagą kobietę. Zawahał się i to uratowało Maryli życie. Udało jej się obrócić tak, że ostrze nie wbiło jej się w pierś, a dosięgło tylko prawego ramienia.

Poczuła palący ból i zaczęła wołać o pomoc. Nieznajomy wyciągnął sztylet i próbował ją uciszyć. Tym razem już się nie wahał i dźgał z większą zaciekłością. Jednakże Maryla, której już kilkakrotnie przyszło walczyć o własne życie, nie zamierzała się poddać tak łatwo. Była zwinna, a dzięki swojej pracy również silna. Przetoczyła się na drugą stronę łóżka i kopnęła mężczyznę w brzuch. Zaskoczony napastnik upuścił świecę, a ona upadła na podłogę i rozpryskując wosk, zgasła. Zranił przy tym dziewczynę lekko w łydkę. Oparła się plecami o ścianę i wyprostowała się. Przed kolejnym atakiem wyciągnęła ręce. Tym razem również ostrze drasnęło ją tylko nieznacznie. W ciemności napastnik nie mógł zadać celnego ciosu. Maryla

bez namysłu kopnęła na ślepo i udało jej się boleśnie trafić nieznajomego w pierś.

Upadł na plecy, ale zaraz się poderwał i z gniewnym okrzykiem ruszył w stronę łóżka. Wcisnął Marylę w kąt i szybko odzyskał utraconą przewagę. Miał broń, był wyższy i silniejszy. Młodą prostytutkę ponadto boleśnie paliło ramię, po jej ciele spływała krew i czuła, że kręci jej się w głowie, jakby miała lada chwila stracić przytomność.

Kolejne zdarzenia przybrały błyskawiczny obrót. Napastnik lewą ręką namacał w ciemności jej szyję. Maryla znów spróbowała go kopnąć, ale nie trafiła. Pięściami biła wokół siebie, ale to nie wystarczyło. Rozległ się huk, rozwarły się drzwi tylnej izby i do sieni wpadł nagi Oldrzich z Chlumu z mieczem w dłoni.

W mroku bardziej wyczuł niż widział rękę ze sztyletem. Bez wahania machnął pięścią i zbił w dół rękę napastnika. Uratował życie Maryli, ale jeszcze nie wygrał. Nieznajomy szybko ześlizgnął się z łóżka na ziemię i próbował zaatakować nowego rywala od dołu. Oldrzich z Chlumu był jednak doświadczonym rycerzem. Chociaż panowała ciemność i widział tylko niewyraźną sylwetkę, zdołał ocenić, gdzie się cofnąć i jak uderzyć. Trafił celnie i ostrze miecza utkwiło w ciele napastnika. Ten krzyknął boleśnie i znieruchomiał.

Oldrzich z Chlumu najpierw pochylił się ku niemu, aby sprawdzić, czy napastnik już nie stanowi zagrożenia, a potem wrócił do swojego pokoju. We wnęce przy drzwiach miał krzesiwo i świecę. Zapalił ją i pośpieszył z powrotem do Maryli. Siedziała na łóżku, blada, i próbowała dłonią zatamować krwotok.

Na podłodze leżał człowiek w skromnym odzieniu. Jego pierś obficie broczyła krwią. Umierał. Oldrzich z Chlumu pochylił się nad nim.

– Boże, odpuść mi moje grzechy – prosił nieznajomy słabym głosem. Potem targnęły nim konwulsje i skonał.

Oldrzich z Chlumu zostawił go i podszedł do łóżka. Skłonił się nad dziewczyną, oboje byli nadzy. Maryla oddychała ciężko, jej czoło perliło się potem. Skaleczenia na przedramieniu i łydce okazały się niegroźne, zaledwie draśnięcia, ale rana w ramieniu był głęboka i wciąż krwawiła. Z kupki jej odzieży Oldrzich z Chlumu wyciągnął koszulkę z cienkiego płótna, rozerwał ją i wprawnie opatrzył ranę.

Objęła go i drżącym głosem zaczęła mu dziękować. Jednak zanim wypowiedziała ostatnie słowa, straciła przytomność. Prokurator królewski ułożył ją ostrożnie i pobiegł do siebie, żeby przynajmniej założyć spodnie. Kiedy wrócił do sieni, stał tam już karczmarz z nożem w ręku, za nim któryś z gości z mieczem, a z korytarza lękliwie zaglądał do środka służący. Wysoko nad głową trzymał lampę, aby jego pan dobrze widział.

– Skandal. – Oldrzich z Chlumu był wściekły. – Niech ktoś pobiegnie po cyrulika. I oczywiście po wójta.

ROZDZIAŁ XV

Jako pierwszy do Piwnicy Świdnickiej dotarł wójt Przech. Oldrzich z Chlumu jednak nie chciał zeznawać od razu.

– Później. Najpierw muszę się zająć tą dziewczyną. Jestem jej to winien, ponieważ w pewien sposób ocaliła mi życie.

– Cyrulik za chwilę tu będzie, niepotrzebnie się fatygujesz – uspokajał go Przech. Spojrzeniem ocenił Marylę i dodał: – Chociaż trochę cię rozumiem, jest bardzo ładna.

– To przecież nie ma żadnego znaczenia – odwarknął trochę urażony Oldrzich, ponieważ umiał sobie wyobrazić, co przyszło do głowy wrocławskiemu wójtowi. – Powód jest inny, niż myślisz. Studiowałem nauki medyczne i wiem, co trzeba zrobić. Nie mam tylko potrzebnych leków. Chcę dopilnować, żeby cyrulik niczego nie zaniedbał.

– Twoja wola. Ale nie może tu zostać z tym trupem – zabrał się do swojej pracy wójt. – Musimy wszystko obejrzeć.

– Zaniesiemy dziewczynę na dół, za kuchnią jest izba, w której sypia czeladź – zaproponował skwapliwie karczmarz. – Mam tam pryczę, nawet jeśli ją zakrwawi, nie szkodzi.

– Nie – odparł bez wahania Oldrzich. – Ostrożnie przeniesiecie ją do tylnej izby, do mojego łóżka. Tam będzie jej wygodnie.

– Jak sobie życzysz. – Karczmarz obojętnie wzruszył ramionami. – Ostrzegam tylko, że krew zniszczy kołdry i zapłacisz mi za nie.

– Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o życie chrześcijanki. Jestem rycerzem i umiem być wdzięczny. Wobec ciebie też, karczmarzu – jeśli wszystko będzie z nią dobrze, zapłacę za wszystkie straty.

Razem przenieśli Marylę i położyli ją na łóżku. Niemal w tej samej chwili na progu pojawił się cyrulik – starszy człowiek z długą białą brodą. Z pochodzenia był Żydem i studiował na mauretańskich uniwersytetach w Andaluzji. Jednak od wielu lat służył wrocławskiemu rodowi książęcemu oraz zamożnym mieszczanom i przyjął chrzest. Pierwotnie miał na imię Jakob, ale teraz mówiono na niego Jakub. Cieszył się powszechnym respektem, ponieważ doskonale opanował swe rzemiosło.

Oldrzich z Chlumu szybko opowiedział mu, jakie rany odniosła dziewczyna i co doradza. Stary cyrulik słuchał uważnie, gładząc dłonią białą brodę. Potem skinął na znak, że się zgadza, i wszystkich oprócz Oldrzicha wyrzucił z pokoju, żeby nie przeszkadzali. Zamknął za nimi drzwi.

– Nie lubię gapiów – wyjaśnił spokojnie. – Szczególnie gdy opatruję ładną dziewczynę. Jesteś lekarzem?

– Prokuratorem królewskim – wyrwało się Oldrzichowi z Chlumu.

Cyrulik uśmiechnął się zaskoczony i powiedział, że w takim razie chyli czoła przed jego umiejętnościami. Było jednak jasne, że natychmiast wyrzucił tę informację z głowy. Już bowiem wyjmował z drewnianej skrzynki różne kolorowe pudełka z maściami i dwie butelki z tynkturami. Wspólnie opatrzyli Marylę. Jeszcze zanim skończyli, odzyskała świadomość.

– Umrę? – spytała przestraszona. Była blada i miała gorączkę.

– Do tego masz jeszcze bardzo daleko – uspokajał ją czule cyrulik. Miał głęboki przyjemny głos, któremu każdy pacjent od razu zawierzał.

– Zimno mi – szepnęła. Potem spytała Oldrzicha z Chlumu, czy położy się przy niej na chwilę, żeby ją ogrzać. Szczękała zębami i wstrząsały nią dreszcze.

– Tak byłoby najlepiej – zgodził się cyrulik.

Oldrzich z Chlumu wiedział, że arabscy lekarze często doradzają podobne praktyki. A Awerroes w swoich pismach twierdził nawet, że z ciała zdrowego człowieka chory może czerpać siłę, aby szybciej wyzdrowieć. Chrześcijańskie autorytety odrzucały podobny pogląd i doradzały pokorną modlitwę.

Maryla kuliła się, żeby się zagrzać pod kołdrą. Oldrzich postanowił natychmiast:

– Zgoda, ale tylko na chwilę. Dobrze zapłacę, mistrzu Jakubie. Przyprowadź któregoś ze swoich pomocników, żeby się tego podjął. Mnie musi przesłuchać wójt.

– Spokojnie może to zrobić też tutaj – powiedział cyrulik, zbierając swoje rzeczy do skrzynki. – Nie mam pomocników, pracuję tylko ze swoją rodziną. Przyślę wnuka. Lecz cenę musisz z nim uzgodnić sam. – Ukłonił się i dodał jeszcze, że wróci jutro rano, tuż po mszy. Wiedział, że musi nieustannie udowadniać trwanie w wierze chrześcijańskiej. To ocaliło go podczas niedawnych pogromów Żydów.

Oldrzich z Chlumu wsunął się pod kołdrę, młoda prostytutka przylgnęła do niego i dreszcze niemal od razu ustały. Wtuliła się w jego ramiona i prawie natychmiast zasnęła, ponieważ cyrulik podał jej napój uspokajający.

Odpoczywała w ciszy, gdy drzwi się rozwarły i wszedł wrocławski wójt. Mimo iż wyglądał poważnie, jego oczy się śmiały. Rozbawiony zauważył:

– Jeszcze nigdy nie przesłuchiwałem królewskiego prokuratora, leżącego w łóżku i trzymającego w objęciach młodą dziewczynę.

– Nie irytuj mnie – ostrzegł go chłodno Oldrzich z Chlumu. Wcale nie wydawało się mu to dowcipne. Zwłaszcza gdyby dowiedziała się o tym jego żona. Na swoją obronę dodał: – Jestem chrześcijaninem i wypełniam zalecenia waszego cyrulika.

Przech pokiwał głową i przysunął sobie spod okna krzesło, ale ostrożnie, żeby nie obudzić rannej. Usiadł i zaczął cicho mówić.

– Najpierw muszę spełnić swój obowiązek. Na mocy mojego urzędu powinienem ukarać każdego, kto podczas jarmarku nosi broń. To dotyczy wszystkich, bez wyjątku. Miejskie rozporządzenie mówi, że ten, kto czuje się zagrożony, ma poprosić o pomoc wójta, ale nie przelewać krwi. Jednakowoż w tym przypadku stwierdzam, że nie mogłeś tak uczynić, ponieważ ten człowiek postępował w taki sposób, że nie miałeś wyboru. Uwalniam cię więc od winy, a rano sporządzę pismo z tą decyzją. To tylko dla porządku.

– Kim był ten trup? – spytał równie cicho Oldrzich z Chlumu. Znał przepis, na który powoływał się wójt. W Królestwie Czeskim również obowiązywał i wszyscy urzędnicy postąpiliby w taki sam sposób.

– Przyznam, że na razie nie wiem – odparł ponuro Przech. – W mieście przebywa zbyt wielu cudzoziemców. Ten człowiek z pewnością nie jest z Wrocławia. Już posłałem po karczmarza ze Złotego Dzbana. Zakładam, że zabiłeś mordercę Slavibora ze Szvabenic. Sprawa jest zamknięta.

– Chyba nie mówisz poważnie? Możliwe, że zamordował Slavibora. Ale nie wiemy dlaczego! A jeśli ktoś mu to zlecił? Może dla kogoś

pracował?

– Tego chyba już nigdy nie uda się nam wyjaśnić – tłumaczył cierpliwie wrocławski wójt. – Bądź rozsądny, szlachetny panie. Wiesz równie dobrze jak ja, że to on najprawdopodobniej popełnił tę zbrodnię. Dlatego przed chwilą próbował zabić również ciebie. Bał się, że jesteś na jego tropie.

– Ale skąd się o mnie dowiedział? Ja do tej chwili nie miałem pojęcia o jego istnieniu. Czego się więc obawiał, że tak ryzykował? A poza tym niemal na pewno zabójstwo Slavibora to sprawka dwóch osób. Gdzie jest jego wspólnik?

– Zapewne masz rację – zgodził się Przech – ale wczoraj, aresztując cię, wyjaśniałem, jak delikatna jest to sprawa. Dowódca chce głowy mordercy, żeby uspokoić naszego księcia. Teraz więc ją ma. Nie myśl o mnie źle, ale naprawdę nie mogę z tym zrobić nic więcej. Obiecuję jednak, że pozwolę ci kontynuować śledztwo, jeśli chcesz. A jeśli będzie to leżało w moich możliwościach, chętnie pomogę. Pod jednym warunkiem: nie będziesz rozgłaszać, że szukasz mordercy czeskiego rycerza. Morderca leży tu i własnoręcznie go uśmierciłeś. A ja nie wniosłem przeciwko tobie oskarżenia, pomimo że trwa jarmark.

– Rozumiem – mruknął ponuro Oldrzich z Chlumu, któremu nie umknęła sugestia groźby.

– Zawsze chwalono cię jako mądrego i roztropnego człowieka – stwierdził wójt i wstał. W drzwiach niemal zderzył się z około dwudziestoletnim młodzieńcem o zmierzwionych włosach.

– Przysyła mnie dziadek, mam na imię Piotr – oznajmił z szacunkiem, lekko zdyszanym głosem. Podszedł do łóżka i z zaciekawieniem spojrzał na twarz młodej prostytutki. W blasku świec wyglądała delikatniej niż w rzeczywistości. Miała rozchylone usta i ciężko oddychała.

Oldrzich z Chlumu ostrożnie wysunął się z jej objęć i wstał.

– Ile chcesz? – spytał.

– Najpierw myślałem o siedmiu denarach za dzień, ale ta dziewczyna jest tak ładna, że zadowolę się sześcioma.

Oczywiście i to było zbyt wygórowane żądanie, ale Oldrzich z Chlumu przystał na to. Młodzieniec skinął głową na znak zawarcia umowy. Zrzucił z siebie ubranie i wślizgnął się do łóżka. Ostrożnie podłożył rękę pod głowę Maryli. Dziewczyna przytuliła się do niego, ale nie otworzyła oczu.

Oldrzich z Chlumu w końcu mógł się ubrać. Zapiął pas i przytroczył do niego miecz. Na szczęście kiedy sypiał w obcych miejscach, zabierał go ze sobą do łóżka. Starannie zamknął skrzynię, ponieważ miał w niej nie tylko rzeczy osobiste, ale także kilka sakiewek z pieniędzmi. Potem na palcach wyszedł z pokoju.

Tymczasem wrocławski wójt w przedniej izbie kończył swoją pracę. Czterej zbrojni położyli na noszach ciało nieboszczyka i wynieśli je. Z boku stał karczmarz, który był właścicielem zajazdu po przeciwnej stronie rynku.

– Jest dokładnie tak, jak sądziłem – oznajmił z zadowoleniem Przech. Potem wezwał karczmarza, żeby powtórzył swoje zeznanie.

– Tak, znam tego martwego. Tylko nie mam pewności, czy mówił mi prawdę. Przedstawił się jako Kasper, podobno jest mieszczaninem z Opola – mówił ponuro. Dopiero przed chwilą skończył sprzątać i właśnie zamierzał iść spać. – Już wcześniej kilka razy odwiedzał moją karczmę. Chyba był tam, kiedy zabito tego czeskiego rycerza, ale nie dam sobie głowy uciąć. Wczoraj wieczorem mnie uprosił, żebym pozwolił mu się u nas przespać. Była straszna ulewa, więc użyczyłem mu izby na poddaszu. Co robił potem, nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej przedostał się tu podziemnym korytarzem. Gdybym wiedział, że to taki łotr, to…

– Wystarczy – powstrzymał go wójt. – Możesz odejść.

Karczmarz ukłonił się i nadzwyczaj chętnie się ulotnił.

– Na jarmarku są kupcy z Opola – zauważył Przech, również podchodząc do drzwi. – Pokażę im tego nieboszczyka, może go znają. Nie zmienia to faktu, że jest zabójcą, który otrzymał to, na co zasłużył. Dobranoc! I nie zapomnij, będę milczeć tylko wtedy, jeśli nie będziesz przysparzać mi kłopotów! – Energicznie musnął rondo kapelusza i zniknął.

Oldrzich z Chlumu nie zamierzał się spierać. Poczekał, aż umilkną jego kroki, a potem poszedł obejrzeć drzwi wiodące z sieni na korytarz. Był bowiem pewien, że wczoraj je zamknął, gdy przyszedł tu z Marylą. Od zewnątrz w zamku tkwił ciężki klucz. Sięgnął do sakiewki u pasa. W niej znajdował się jego klucz. Morderca miał drugi. Oldrzich wyjął go, zamknął zasuwę od środka i poszedł się położyć. Karczmarz już zdążył wymienić zakrwawione prześcieradło i kołdrę. Oldrzich położył się w czystej pościeli, ale chociaż odczuwał senność, nie mógł zasnąć. Nie bał się, czuł się tylko bardzo samotny.

Rano Oldrzich z Chlumu obudził się wcześnie. Wyjrzał przez okno. Niebo było wciąż pochmurne. Ochłodziło się. Wyszedł w spodniach na podwórze, umył się przy korycie i przyniósł w wiadrze czystą wodę do swojego pokoju. Postawił je obok drzwi do sąsiedniej izby, włożył płócienną koszulę i zawiązał ją pod szyją. Starannie związał końce tasiemek, jego żona Ludmiła z Vartemberku często go strofowała, gdy to zaniedbywał. Potem zszedł na dół do karczmy.

Młoda służąca roznosiła jedzenie gościom, zanim ci udadzą się do swych codziennych obowiązków. W większości byli to kupcy, którzy śpieszyli się, żeby jak najprędzej wyłożyć towary na swoich kramach. Jedli łapczywie i półgłosem dzielili się doświadczeniami z jarmarku. Wszyscy byli zadowoleni, ponieważ dotychczas nieźle im się powodziło.

– Przynieś mi jajka na słoninie i trochę białego chleba – polecił Oldrzich z Chlumu.

Dziewczyna obojętnie skinęła głową i chciała odejść, żeby przekazać zamówienie kuchni, ale prokurator królewski ją zatrzymał. Coś mu nie pasowało. Kiedy połączył klucz, znaleziony w swoich drzwiach, z faktem, że spocona i zmęczona dziewczyna biegała sama między stołami, nasunęła mu się pewna myśl.

– Posłuchaj, wczoraj roznosił tu piwo taki sympatyczny młodzieniec, a jedzenie podawał karczmarz. Dlaczego dziś ich tu nie ma?

Dziewczyna odburknęła coś niezrozumiale. Chwycił ją za rękę i stanowczo powtórzył pytanie.

– Skąd mam wiedzieć? – próbowała się wykręcić od odpowiedzi.

– Więc ja ci powiem – rzekł, cały czas mocno ściskając jej rękę. Teraz już był pewien, że intuicja go nie zawodzi. – Karczmarz pobiegł do wójta, aby mu powiedzieć, że ktoś zabił jego pomocnika. Najprawdopodobniej na dole w piwnicy.

– Skąd wiesz? – wytrzeszczyła oczy. – O tym nie wolno mówić! Gdyby dowiedzieli się o tym goście, natychmiast by nas opuścili. Dwóch nieboszczyków jednej nocy – to przynosi pecha.

– Nie bój się, nikomu nie powiem. Ale będę coś za to chciał.

– Mam przyjść do ciebie w nocy? – spytała posłusznie.

– Chcę czegoś o wiele prostszego. Powiedz mi, gdzie trzymacie zapasowe klucze do drzwi pokoi gości.

– Nie mamy kluczy zapasowych – zaczęła się natychmiast zarzekać.

Gościom nie podobał się taki zwyczaj i dlatego większość właścicieli zajazdów twierdziła, że klucz jest jeden i dostaje go do ręki gość. Jednak giermek Ota dowiedział się kiedyś od córki pewnego karczmarza, że właściciele dla pewności mają zapasowe klucze, ale nie chcą się do tego przyznać.

– Czy mam wstać i powiedzieć wszystkim, że w nocy zostało tu zamordowanych dwoje ludzi? – zagroził jej.

Ten naiwny szantaż poskutkował. Rozejrzała się, potem nachyliła się do jego ucha i szepnęła, że są w brązowym pękatym garnku, stojącym na półce w kuchennej wnęce. Z sąsiedniego stołu odezwał się niecierpliwy głos jednego z gości, napominający dziewczynę, żeby nie gadała, tylko ruszyła tyłek, bo nie bawi go już to czekanie. Przestraszona wyprostowała się i tym razem Oldrzich z Chlumu ją puścił. Szybko ruszyła do drzwi, widocznych z tyłu za ostatnimi stołami. Ale jeszcze się obejrzała i o mało co nie wpadła na jednego z gości, który właśnie wstał i zamierzał wyjść.

Oldrzich z Chlumu odprowadzał ją niewidzącym, zamyślonym wzrokiem. Pomocnika z pewnością zabił ten, na którego wołali Kasper. Nie miał wątpliwości, że to nie jest jego prawdziwe imię, i był gotów się założyć, że kupcy z Opola go nie rozpoznają. Do piwnicy dostał się korytarzem wiodącym z karczmy Pod Złotym Dzbanem, żeby zamordować jego, Oldrzicha z Chlumu. Aż do tego momentu wszystko było jasne i logiczne. Ale już kolejne pytania nie znajdowały tak łatwego wyjaśnienia. Jaką rolę odgrywał w tej sprawie tutejszy pomocnik karczmarza? Wydawało się bowiem niewątpliwe, że to on dostarczył mordercy klucz i wyjawił, gdzie ma szukać gościa. Potem Kasper z czystym sumieniem się go pozbył. Tak to wyglądało na pierwszy rzut oka i może nawet naprawdę taki był przebieg wypadków, ale wydawało się to pozbawione logiki.

Jeśli Kasper nie był tutejszy i nie znał się dobrze z pomocnikiem, jest dość mało prawdopodobne, że ów mu pomagał. Ale wójt twierdził, że zabójca nie jest z Wrocławia i tu nie mógł się mylić. Dziwne wydawało się również to, że ci dwaj spotkali się w nocy, tak jakby pomocnik karczmarza czekał na tego drugiego na dole. W tak skomplikowane przypadkowe spotkanie Oldrzich z Chlumu nie wierzył. Nawet gdyby wrocławski książę

albo członkowie kapituły dowiedzieli się, że prokurator królewski jest w mieście i prowadzi śledztwo na polecenie czeskiego króla, postąpiliby inaczej. Prawdopodobnie wzięto by go jako zakładnika, żeby móc pertraktować z Przemysłem Ottokarem II. Chyba że chodziłoby o coś nad wyraz haniebnego, co chcieliby za wszelką cenę zataić. Tylko cóż mogłoby być na tyle ważne, by ryzykować gniewem czeskiego króla? Nie, to nie miało sensu.

Jeśli Kasper działałby z polecenia kogoś potężnego, mógł się pozbyć Oldrzicha z Chlumu inaczej, wygodniej. Tymczasem całe to zajście wskazywało na duży pośpiech. Kasper podjął duże ryzyko, a – jak się okazało – nie był wyszkolonym rycerzem, dlatego nie potrafił wygrać nawet z Marylą. Im głębiej Oldrzich z Chlumu się nad tym zastanawiał, tym bardziej skłaniał się ku przekonaniu, że mordercę nasłał ktoś z wrocławskiego półświatka. Ale jak mogłoby to być powiązane ze zniknięciem Milicza? Miał ochotę zakląć.

– Masz tu swoje śniadanie. – Z zamyślenia wyrwał go głos młodej służącej. – Kucharka dała ci dwa jajka więcej, żebyś nas nie zdradził. – Ukłoniła się i pobiegła z powrotem do kuchni, żeby przynieść jedzenie kolejnym gościom.

Karczma szybko się zapełniała. Do stołu, przy którym siedział Oldrzich z Chlumu, przysiadło się dwóch kupców z Górnych Węgier. Handlowali żelazem i miodem. Mieli potężne, masywne sylwetki i imponujące czarne wąsy. Od obu czuć było piwem.

Oldrzich z Chlumu prędko skończył posiłek i bez pożegnania wstał od stołu. Ruszył do drzwi. Na rynku panował już tłok, a nad dachami domów rozlegał się naglący dźwięk dzwonów, zwołujących wiernych do kościoła.

Niebo się zachmurzyło i mżył drobny deszcz, nie było jednak zimno. Oldrzich z Chlumu narzucił na ramiona płaszcz, ale go nie zapiął. Powoli przechadzał się między stoiskami na rynku, jakby oglądał wystawione towary, ale przez cały czas pozostawał czujny. Trzymając rękę na rękojeści sztyletu, pogrążył się w myślach, ale nie aż tak, by nie zważać na to, co się dzieje dookoła. Podejrzewał, że ktoś może go śledzić. Właściwie niemal tego pragnął.

Tłum, przez który się przedzierał, dawał idealną sposobność, by dźgnąć go od tyłu i zniknąć. Dlatego na plecach pod płaszczem przymocował sobie wąską blaszaną płytkę, którą woził ze sobą. Już raz uratowała mu życie i w podobnych sytuacjach okazywała się bezcenna. Jednak teraz nic się nie wydarzyło. Dwukrotnie obszedł cały rynek, kilkakrotnie zatrzymał się w gęstej ciżbie, ale nikt go nie zaatakował. W końcu zrezygnował i udał się na swoje ulubione miejsce nad rzeką: na taras Baszty Rybackiej.

Usiadł przy stole i zamówił dzbanek miodu. Wiedział, że musi uporządkować w głowie fakty, żeby wreszcie móc pójść w dobrym kierunku. Przestępca popełnił błąd, kiedy go zaatakował. Ale tak było zawsze. Nawet najbardziej przebiegły zbrodniarz w końcu zaczynał odczuwać strach i działać pochopnie. To był pierwszy krok do tego, żeby się zdradził.

Z portu dobiegały odgłosy zwykłej krzątaniny. Uspokajały go. Przynależały do harmonii świata. Zbrodnie nie były jej częścią.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że wszystkie wydarzenia niedawnych dni mają swój początek w losach Milicza ze Szvabenic. Oldrzich odkrył kilka faktów, które całkiem dobrze do siebie pasowały. A to otwierało dalszą drogę.

Król Przemysł Ottokar II powierzył mu zadanie odnalezienia zaginionego Milicza. Zgodnie z królewskim poleceniem prokurator musiał

działać tak, aby nie dowiedzieli się o tym miejscowi prałaci. To oznaczało, że nie mógł się o tym dowiedzieć również kuzyn króla, wpływowy Piast Władysław, arcybiskup salzburski i zarazem administrator biskupstwa wrocławskiego.

Oldrzich z Chlumu pojął nagle, że – rozważając tak usilnie, co Milicza ze Szvabenic mogło interesować w tutejszej kapitule – miał klapki na oczach. Teraz, kiedy wreszcie opadły, zrozumiał, iż nie chodziło o kanoników, ale o administratora. Ponadto ta sprawa najwyraźniej nie dotyczyła kwestii kościelnych, bo w przeciwnym razie czeski król nie posłałby rycerza, tylko prałata. Dopiero wczoraj ów rozmowny cysters otworzył mu oczy. Chodziło o pieniądze!

Fundatorami kościoła byli Przemysł Ottokar II i jego kuzyn Władysław. Milicz wyraźnie interesował się kosztami budowy. Ów cysters zauważył, jak sprawnie potrafił liczyć. Dlatego czeski król wybrał właśnie jego. Nie potrzebował prałata, ale arytmetyka. Milicz ze Szvabenic miał najprawdopodobniej dyskretnie się wywiedzieć, jak wyglądają rozliczenia wydatków. Kwestia, dlaczego interesowało to władcę, wydawała się oczywista. Jego kuzyn Władysław widocznie zawyżył cenę przedsięwzięcia, przez co za większość prac budowlanych płacił czeski król, ale zasługi przed papieżem mieli obaj równe. Dlatego Przemysł Ottokar II nalegał na to, żeby śledztwo było tajne. Jeśli bowiem okazałoby się, że jego podejrzenie jest niesłuszne, rozgniewałby swego kuzyna. A na to nie mógł sobie pozwolić, ponieważ Władysław jako arcybiskup salzburski popierał interesy czeskiego króla w Karyntii i w Księstwie Austriackim.

Ta hipoteza prawdopodobnie tłumaczyła sprzeczność w informacjach dotyczących czasu zniknięcia Milicza. W okolicach karnawału uciekł z karczmy i wrócił do Czech, ale jeszcze około Wielkanocy musiał wysłać

wiadomość o swoim śledztwie czeskiemu królowi. Potem kontakt się urwał. Dlatego Przemysł Ottokar II mówił o dwóch miesiącach, ale we Wrocławiu widziano Milicza po raz ostatni przed czterema miesiącami. I chociaż Oldrzich z Chlumu nie lubił hipotez, dla których brakowało wiarygodnych dowodów, tym razem nie miał wątpliwości, że w ogólnym zarysie domyślił się, o co w tym wszystkim chodzi.

Zniknięcie Milicza stanowiło początek, który uruchomił łańcuch kolejnych zbrodni. Jeśli jednak naprawdę tak było, wydawało się niemal pewne, że już od dwóch miesięcy Milicza ze Szvabenic nie ma wśród żywych. Lecz dalszy ciąg wydarzeń pozostawał dość niejasny.

Przed kilkoma dniami w grze pojawił się starszy brat Milicza, Slavibor. Karczmarz usłyszał, że i jemu chodziło o jakieś pieniądze. Nie było wprawdzie wiadomo, od kogo miał je dostać i za co, ale możliwe, że Milicz coś mu wyjawił. Jego brat, miast zwrócić się do czeskiego króla, przyjechał tutaj i być może zażądał od zbrodniarza zapłaty za milczenie. W ten sposób wprawdzie pomagałby zabójcom swojego brata, ale Oldrzich z Chlumu widział już bardziej haniebne postępki członków tego samego rodu. Jeśli te przypuszczenia są prawdziwe, to logiczne byłoby również to, że morderca Milicza musiał pozbyć się także jego brata, ponieważ nie chciał polegać na słowach szantażysty.

Aż do tego momentu cała ta rekonstrukcja miała jakiś sens. Wszystko toczyło się wokół pieniędzy. Jednak fakt, że człowiek przedstawiający się jako Kasper podjął bardzo ryzykowną próbę zgładzenia również Oldrzicha z Chlumu, nie miał logicznego uzasadnienia. Przecież prokurator niczego istotnego nie odkrył. Jedynie rozmawiał z cystersem. Jeśli zbrodniarz obawiałby się ujawnienia, zabiłby raczej tego zakonnika. Nie, tu kryło się jeszcze coś, czego Oldrzich z Chlumu nie rozumiał. Ale i tak miał poczucie, że zrobił duży krok naprzód. Spokojnie dopił miód. Sądził, że wkrótce

zakończy swoją misję. Nie wiedział, jak bardzo się myli w swoich przypuszczeniach.

ROZDZIAŁ XVI

Ota wiedział, że Ludmiła jest bardzo dobrym jeźdźcem, ale nie spodziewał się, że jeździ konno aż tak dobrze, a przede wszystkim, że jest tak wytrzymała. Jednak tylko ona sama wiedziała, ile kosztuje ją to wysiłku i jak potem w nocy boli całe ciało. Nie znosiła wszak narzekania i własnej słabości. Gardziła płaczliwymi szlachciankami, które nieustannie na coś się uskarżały.

Trzy razy zmieniali konie i już nazajutrz po południu ich oczom ukazał się Rechenburg. Stał na wzniesieniu nad niewielkim potokiem głęboko w lesie, rzut kamieniem od granicy państwa. Ponieważ został założony przed niespełna dziesięcioma laty, dopiero teraz kończono budowę podgrodzia. Gród wewnętrzny był jednak gotowy i wielce urokliwy. Parter palatium zbudowano z kamienia, a piętro – z potężnych, grubo ciosanych bali. Podobnie została wykonana brama wjazdowa. Stawiając umocnienia, umiejętnie wykorzystano okoliczne skały, dzięki czemu w wielu miejscach – zamiast murów – zamku broniły bloki skalne. Jeden z nich, w którym wyciosano przejście, pełnił funkcję barbakanu broniącego dostępu do bramy.

Była zamknięta i chwilę musieli pertraktować, zanim żylasty strażnik w starej rozdartej kolczudze zechciał im otworzyć. W ręku trzymał topór o długim trzonku. Bramę uchylił tylko na tyle, by mogli przejść. Zatrzasnął ją za nimi z głośnym hukiem i przesunął ciężką zasuwę. Warknął przy tym do przybyszy, żeby się zatrzymali i zachowywali spokojnie.

– Jestem kobietą. Z rodu Vartemberków. I żoną prokuratora królewskiego – poinformowała surowo Ludmiła. – Boisz się mnie?

– Nikogo się nie boję – odparł ponuro strażnik. – To rozkaz szlachetnej pani Adelajdy.

– Rozbójnicy czy nieprzyjaciele? – spytał rzeczowo giermek Ota. Zauważył, że na chodniku obronnym stoją dwaj zbrojni z łukami, a u pasów mają kołczany pełne strzał.

– Nigdy nie wiadomo – mruknął strażnik i ruchem głowy wskazał gościom, żeby ruszyli w stronę pałacu. Sam szedł dwa kroki za nimi.

Pani Adelajda przyjęła ich w sali reprezentacyjnej palatium. Było to wąskie pomieszczenie ze stropem z potężnych belek, podpartych czterema środkowymi słupami z obrobionych okrąglaków, które dzieliły wnętrze na dwie części. W lewej stał długi stół z ławami, natomiast w prawej przybysze ujrzeli wygasły kominek, a przy nim trzy krzesła z ciemnego drewna przykryte niedźwiedzimi skórami. Na jednym z nich siedziała pani Adelajda.

Była to kobieta w średnim wieku, z pewnością starsza niż jej zmarły mąż Slavibor. Miała energiczny wyraz twarzy, a jej oczy okalały drobne zmarszczki. Nosiła proste szaty z niebieskiego sukna, ściągnięte w talii srebrnym paskiem. Pomimo iż była nieco przy kości, miała ładną figurę. W dłoni trzymała kielich z zielonkawego szkła. Kiedy giermek Ota wraz z Ludmiłą z Vartemberku weszli, odstawiła go na niski stolik, wstała i ruszyła im naprzeciw. Było widać, że odebrała staranne wychowanie.

– Przepraszam za kłopoty przy bramie – powiedziała spokojnie. – Podobno przybywacie z Wrocławia?

– Tak – potwierdziła Ludmiła z Vartemberku. – I niestety nie przywozimy dobrych wieści.

– Wiem – skinęła spokojnie pani Adelajda. – Zabili mi tam męża. Przed kilkoma godzinami wrócił Kojata. Wszystko mi już opowiedział. Przebyliście szmat drogi niepotrzebnie. Wskazała na wolne krzesła i podeszła z powrotem do kominka. Poprosiła służącego, który stał przy drzwiach, o jeszcze dwa kielichy i dzban wina.

Giermek Ota rzucił swojej pani znaczące spojrzenie. Adelajda zachowywała się tak, jakby nic ważnego nie zaszło. Ludmiła z Vartemberku nieznacznie pokręciła głową na znak, że to nie musi jeszcze o niczym świadczyć.

Usiedli, a gdy służący podał im napełnione kielichy, wypili z panią zamku, by uczcić pamięć jej zmarłego męża.

– Chociaż znasz już tę smutną wiadomość, na pewno nie przyjechaliśmy daremnie – zabrał głos giermek Ota. – Mój pan, prokurator królewski Oldrzich z Chlumu, przebywa właśnie we Wrocławiu. Powierzono mu zadanie zbadania śmierci twojego szlachetnego męża. Chyba nie wiesz, że wrocławski wójt chciał oskarżyć o popełnienie tej zbrodni Kojatę. Zamordowany został bowiem również Młynek, twój drugi służący.

– Tak przeczuwałam – przytaknęła rzeczowo Adelajda. – Gdy zobaczyłam, że nie wrócił z Kojatą… Jak to się stało?

– Na ulicy. Może go okradli – odpowiedział niepewnie giermek Ota.

Adelajda pokiwała głową, upiła łyk wina, a potem spojrzała na niego pytająco:

– Co z pieniędzmi mojego męża?

– Zniknęły. Morderca z pewnością je zabrał.

– Szkoda – westchnęła.

Zapadła cisza.

– Czy mogę zapytać, kogo się boisz? – włączyła się Ludmiła z Vartemberku. Zauważyła, że Adelajda podczas rozmowy dwukrotnie bezwiednie spojrzała w stronę okna. Ponieważ trwało lato, było otwarte. Roztaczał się z niego wspaniały widok na dolinę, a nad wierzchołkami drzew aż na wieś Libecz, gdzie ścieżka wiodąca od zamku łączyła się z krajowym szlakiem ze Śląska do Czech.

– Zginął mój mąż, więc to logiczne, że się obawiam – odparła pani zamku. Przez moment się zawahała, a potem dodała twardo: – Jeśli jednak mój szwagier, pan Idik, myśli, że uda mu się wygnać mnie stąd, to się bardzo myli. Wniosłam przyzwoity posag i zgodnie z intercyzą Rechenburg ma mi przypaść jako oprawa wdowia, gdyby Slavibor zmarł wcześniej niż ja. Gdy wychodziłam za mąż, Idik ze spokojnym sumieniem to potwierdził, ponieważ jestem starsza niż jego brat. Wtedy nic nie ryzykował. Ale ja go znam. Teraz nie będzie chciał dotrzymać słowa. Tyle że ja nie ustąpię!

Giermek Ota kiwał głową. Podobne kłótnie o majątek w rodzinach szlacheckich rozstrzygano nieustannie. Gdyby to było w północnych Czechach, z pewnością spór trafiłby do jego pana. Ale tu jego uprawnienia nie sięgały. Nic mu więc po tym. Chyba że się okaże, iż ma to związek z morderstwami we Wrocławiu.

– Nie obawiaj się, gdyby do tego doszło, nasz pan na pewno by wkroczył – uspokajała ją kojącym głosem Ludmiła z Vartemberku. – W Królestwie Czeskim obowiązują zasady.

Pani Adelajda nie odpowiedziała, ale z wyrazu jej twarzy można było wyczytać, że myśli swoje. Wolała wrócić do zdarzeń we Wrocławiu.

– Czyli pieniądze z jego skrzyni zniknęły?

– Niestety. Prawdopodobnie zabrał je morderca. Czy twój mąż miał przy sobie dużą kwotę?

– Nie. On był dość oszczędny. Brał tylko tyle, ile potrzebował. Dwie, może trzy sakiewki srebrniaków. Nie więcej.

– Ale właścicielowi zajazdu wspomniał, że ma dostać jakieś pieniądze – przypomniał sobie giermek Ota. – Początkowo myśleliśmy, że przyjechał w sprawach handlowych. Ale wówczas wziąłby więcej pieniędzy. Co tak właściwie tam robił?

– Nie chodziło o handel – odparła Adelajda i znów zamilkła. Przez chwilę panowała cisza. Wdowa nie chciała mówić zbyt wiele.

– Czy prowadził tam poufne rozmowy z Hynkiem Berką z Duby? – podsunęła Ludmiła z Vartemberku. Nie zapominała o obecności tego wielmoży, ponieważ według niej należał do grona podejrzanych.

– Możliwe.

– Wystarczy! – odezwał się ostro giermek Ota. – Jechaliśmy niemal bez przerwy przez prawie dwa dni, żebyś pomogła nam ustalić, kto jest zabójcą twojego męża. Ale dotychczas powiedziałaś nam jedynie to, że zamierzasz prowadzić spór ze swoim szlachetnym i wpływowym szwagrem. Zachowujesz się tak, jakbyśmy ci przeszkadzali. Czy naprawdę jest ci obojętne to, że morderca mógłby pozostać bezkarny?

– Na co sobie pozwalasz? – zaprotestowała ostro. – Wypraszam sobie!

– Wybacz, mój przewodnik jest niezwykle bezpośredni – włączyła się Ludmiła z Vartemberku. – Niemniej ja także odnoszę wrażenie, że myślisz o zupełnie innych sprawach. Rozumiem cię, boisz się o swoją przyszłość. Ale sprawiedliwość jest tylko jedna. Nie możesz chcieć sprawiedliwości dla siebie, odmawiając jej jednocześnie zmarłemu mężowi. Ma prawo do tego, aby morderca został pojmany i ukarany. Tak jak ty masz prawo do

podtrzymywania postanowień intercyzy. Przed Bogiem nie ma żadnej różnicy.

– To prawda – przyznała ostrożnie pani zamku. – Rzecz nie w tym, że nie chcę wam pomóc. Po prostu o tych wydarzeniach wiem bardzo mało. Nie chodziło bowiem o moją rodzinę, dotyczyło to szwagra Milicza. Nasz król przed rokiem wysłał go do Wrocławia. Miał coś sprawdzić i z tego, co wiem, po kilku miesiącach zakończył swoją misję i przyjechał tutaj.

– Nie domyślasz się, o co chodziło we Wrocławiu?

– Jeśli dobrze zrozumiałam, miał skontrolować wydatki na budowę jakiegoś kościoła. Oczywiście, Milicz był bardzo pobożny, ale jedyne, na czym się naprawdę znał, to liczenie. Dlatego nasz król wybrał właśnie jego.

– Liczenie? – powtórzył z niedowierzeniem giermek Ota. – Nie wydaje mi się.

– Bóg dał mu ten talent. Dlatego Idik jako głowa rodu powierzał mu kontrolę wszystkich rachunków. Nikt nie oszukał Milicza nawet na miedziaka.

– I czego się dowiedział?

– Tego naprawdę nie wiem. Powiedział tylko, że załatwił swoje sprawy. To było podczas karnawału. Zatrzymał się tu chyba przez miesiąc i około Wielkanocy powrócił na Śląsk. Potem już go nie widziałam. Po jakimś czasie mój mąż zaczął się niepokoić, ponieważ wcześniej jego brat regularnie przysyłał wiadomości przez różnych kupców, ale tym razem milczał. W końcu posłał w ślad za nim Młynka, ale ten po tygodniu poszukiwań wrócił bez wieści. Milicz po prostu zniknął. Potem pojawił się u nas pan z Duby.

– Dlaczego? – spytała od razu Ludmiła z Vartemberku.

– Nie darzysz go sympatią, prawda? – uśmiechnęła się Adelajda. – Słyszałam, jak to było z twoim ślubem. Ale nie jesteś jedyna. Milicz go

wręcz nienawidził, ponieważ przez niego stracił ciebie. Przecież byliście już zaręczeni.

– Nie byliśmy. Tylko tak się o tym mówiło. A Milicz nie przejawiał najmniejszego zainteresowania moją osobą.

– On nigdy nie umiał postępować z kobietami. Ale ty mu się podobałaś, sam mi to kiedyś wyznał – wspominała nieco poufale Adelajda. Potem gwałtownie pokręciła głową, żeby odegnać wspomnienia, i uśmiech zniknął jej z twarzy. – Wróćmy do waszego śledztwa. Kiedy pojawił się tu Hynek Berka z Duby, twierdził, że Milicz dał mu w zastaw swój zamek Bolkov i całą ziemię, jaką dostał od Idika. Miał w ręce pismo dotyczące pożyczki. Mój mąż oczywiście nie dał temu wiary. Jednak Hynek Berka z Duby twierdził, że umowę zawarł przy wiarygodnych świadkach, a jeśli nam się to nie podoba, wniesie skargę do króla.

– Na co Milicz potrzebował pieniędzy?

– Tego właśnie nie wiem. Nie wiedział tego również mój mąż. Ale jak się okazało, pan z Duby nie kłamał. Wypłacił Miliczowi pięćset kop denarów. Wyobraźcie sobie, taki majątek! Jednym ze świadków przy zawieraniu umowy był zarządca Bolkova. Zamek ten znajduje się dwie godziny drogi stąd.

– Kiedy Milicz pożyczył pieniądze?

– Tuż przed Wielkanocą. A zaraz potem wyjechał z nimi do Wrocławia. Gdzie, jak już wiecie, zniknął. Dlatego udał się tam mój mąż. Chciał odnaleźć brata i oczywiście te pieniądze.

– Jaką rolę odgrywał w tym Hynek Berka z Duby? Dlaczego on również pojechał do Wrocławia?

– Tego dokładnie nie wiem. Jakoś uzgodnił to z moim mężem. Kiedy od nas wyjeżdżał, pokłócili się nie na żarty. Pan z Duby chciał odzyskać pieniądze, mój mąż odmówił i zaproponował, żeby wziął Bolkov, skoro

Milicz dał mu go w zastaw. Ale, po prawdzie, ta ziemia nie ma takiej wartości. Wokół tylko głębokie lasy i wsie kolonistów przybyłych ze Śląska. Osiedlili się tu niedawno, więc ich dobra na całe lata zwolniono z wszelkich opłat. Dochody z Bolkova są niewielkie i myślę, że pan z Duby odkrył to dopiero wtedy, gdy już pożyczył pieniądze. W pewnym sensie dał się oszukać. Cóż, szwagier Milicz naprawdę umiał liczyć.

– Doceniam twoją szczerość. Pomoże nam w śledztwie – wyraziła swoje uznanie Ludmiła z Vartemberku. – Jeśli Milicz zarobił na tym zastawie, logiczne jest, że Hynek Berka z Duby go szukał. Gdyby dostał go w swoje ręce, umiałby odzyskać pożyczkę. To nie jest potulny baranek.

– Z pewnością. Ale mój mąż też nie był potulny. Kto wie, co wydarzyło się między nimi dwoma we Wrocławiu – zauważyła rzeczowo Adelajda.

– Czy to możliwe, że Milicz chciał potajemnie osiąść na Śląsku? – spytał giermek Ota. Wszystko, co Adelajda wyjawiła, było niewątpliwie prawdą. A jednak zupełnie to do siebie nie pasowało.

– Poznałaś mojego szwagra. – Adelajda zwróciła się do Ludmiły z Vartemberku. – Czy Milicz sprawił na tobie wrażenie człowieka, który potrafiłby się na coś takiego zdecydować?

– Na pewno nie – przyznała zagadnięta. – Ale mógł potrzebować pieniędzy z innego powodu. A jeśli się tam zadłużył? Może grał w kości? Albo popełnił przestępstwo i musiał zapłacić karę za przelaną krew? Albo…

– Możliwości jest naprawdę wiele – przerwała jej trochę zniecierpliwiona Adelajda. – Ale mój niegodziwy szwagier Idik ma na dworze śląskich książąt wielu przyjaciół. Sprawdził, czy jego brat coś załatwiał we Wrocławiu. Nikt o niczym nie wie. A nawet nikt nie miał pojęcia, że Milicz przebywał we Wrocławiu. Dopiero potem mój mąż odkrył, że Milicz podawał się tam za kogoś innego.

– Owszem, za francuskiego rycerza Rolanda.

– Czyli to też już wiecie. Dobrze wykonujecie swoją pracę. To daje mi nadzieję, że znajdziecie mordercę. Czy mogę wam jeszcze jakoś pomóc?

– Naprawdę nic więcej nie wiesz? Czy w zachowaniu Milicza podczas jego ostatniej wizyty nie zauważyłaś czegoś niezwykłego?

– Chyba nie… A właściwie tak – rzuciła nagle zaskoczona. – Kiedy tak o tym mówimy, coś mi się przypomniało. Spędzał u nas karnawał. Ja unikam takich zabaw, ale czeladź je uwielbia. Mąż każe wtedy wytoczyć z piwnicy beczkę piwa i zabić prosię. Kucharz robi kiełbasy, piecze mięso i przygotowuje stosy placków. Z Trutnova przyjeżdża paru muzykantów. Mój mąż zawsze się bawił z czeladzią. A mówiąc ściślej, z dziewkami. Dlatego tam nie chodziłam. Teraz jednak przyszło mi do głowy, że ze służącymi tańczył również Milicz. Wcześniej tego nie robił.

– Ludzie się zmieniają, a chłopcy dorastają – skomentował lekceważąco giermek Ota. Pomyślał, że to może być istotne, więc postanowił nie ujawniać zaintrygowania. Na zewnątrz zaczęło się ściemniać. Niebo się zachmurzyło i zaczął padać drobny deszcz.

– Spodziewam się, że przenocujecie na Rechenburgu – powiedziała gospodyni i wstała z krzesła. – Niedaleko Libecza jest wprawdzie zajazd, tuż przy szlaku krajowym, ale w tym deszczu zbytecznie byście się kłopotali. Zarządca wskaże wam pokój. Są tam dwa wygodne łóżka. Odpocznijcie chwilę po podróży, kolacja będzie niebawem.

– Czy nie mógłbym raczej spać w czeladnej? – spytał szybko giermek Ota.

– Nie ma zwyczaju, aby rycerz spał z czeladzią. – Adelajda odmówiła zdecydowanie. Zaklaskała, a w drzwiach stanął tęgi mężczyzna w podniszczonym niebieskim płaszczu, który zapewne dostał od swego

pana, kiedy ten nie chciał go już nosić. Strój był wyraźnie za długi i za ciasny na zarządcę.

Mężczyzna usłużnie zaprowadził gości na poddasze. Palatium nie wydawało się zbyt okazałe, ale Ludmiła z Vartemberku była pewna, że dwie wolne izby by się znalazły. Kiedy zostali sami, westchnęła:

– Zrobiła to specjalnie.

– Nie wydaje mi się – zaprzeczył giermek Ota. – Raczej chce nas mieć na oku. Jednych drzwi pilnuje się łatwiej niż dwojga.

– Cóż to, czy bierze nas za przestępców?

– Mógł nas na przykład przysłać Idik ze Szvabenic. Jest nieufna, ale myślę, że postępuje właściwie, jeśli chce utrzymać majątek.

– To wprawdzie rozsądne, ale dla mnie ta sytuacja jest wyjątkowo nieprzyjemna – broniła się Ludmiła z Vartemberku.

– Dlaczego, moja pani? Wczoraj przecież spaliśmy w wiejskiej karczmie, w brudnej czeladnej z pięcioma obcymi mężczyznami. Tu jest przynajmniej czysto i nikt chyba nie będzie chrapać jak ten gbur, który leżał obok mnie.

– Tak, ale tu jesteśmy sami. A to jest o wiele gorsze!

– W takim razie w nocy spróbuj się modlić, żeby Bóg odwrócił od ciebie grzeszne myśli – rzekł z poważnym wyrazem twarzy.

Ludmiła z Vartemberku zarumieniła się i chciała się obrazić, ale nagle cała ta sytuacja wydała się jej zabawna. Roześmiała się. Dopiero po chwili dodała:

– Wziąwszy pod uwagę twoje grzechy, to raczej ty powinieneś się modlić od zmroku do świtu.

– Coś ci zdradzę. My, doświadczeni grzesznicy, umiemy nad sobą panować. Nieustanne grzeszenie bowiem bardzo męczy. Tylko niedoświadczonym prawiczkom pożądanie może zaćmić rozum

i potem… – Giermek Ota przerwał i począł się zastanawiać. Ludmiła z Vartemberku z ciekawością obserwowała go i czekała. Dopiero po chwili giermek Ota zawołał triumfalnie: – Przecież właśnie o to chodzi! Milicz ze Szvabenic z pewnością znalazł we Wrocławiu kobietę, która zrobiła z niego mężczyznę. I jak każdy prawiczek, on też od tego zgłupiał. Dlatego podczas karnawału zachowywał się tu inaczej niż zwykle. Nagle stał się mężczyzną. Zastawił majątek, zabrał pieniądze i pojechał z powrotem do niej, do Wrocławia.

– Żeby się z nią ożenić?

– Wątpię. Raczej była to oszustka, która wszystko od niego wyłudziła. Obawiam się, że jednocześnie się go pozbyła. Najprawdopodobniej Milicz już nie żyje.

– A co z misją, którą powierzył mu czeski król?

– Najpewniej nie miała żadnego związku z jego zniknięciem. To po prostu zbieg okoliczności.

– W takim razie musimy jak najszybciej wracać. Mój szlachetny mąż bez nas błądzi. A wiesz, jak tego nie lubi.

– O niego się nie obawiam. Jeśli my to odkryliśmy, z pewnością udało się to również jemu. Pośpiech nie jest wskazany. Dostaliśmy zadanie i je wypełnimy. Przesłuchamy Kojatę, a potem odwiedzimy Bolkov i porozmawiamy z kimś, kto towarzyszył Miliczowi podczas jego wyjazdów do Wrocławia. Na pewno nie podróżował tam sam.

Wieczerza minęła szybko i całkiem przyjemnie. Zarządca okazał się dobrym gawędziarzem, a jego żona – znakomitą kucharką. Po posiłku goście udali się do swojego pokoju. Po dwóch dniach w siodle Ludmiła z Vartemberku czuła się tak obolała, że usnęła, zanim zdążyła się dobrze umościć pod kołdrą.

Giermek Ota obserwował ją przez chwilę z dobrodusznym uśmiechem. Dopiero kiedy już zapadła w głębszy sen, po cichu przysunął swoje łóżko do drzwi i zastawił je. Ostrożności nigdy za wiele. Położył się na nim, ale nie usnął od razu. Rozmyślał o sprawie, którą właśnie prowadzili. Starał się postawić jakąś hipotezę, ostatecznie dał za wygraną. Nie rozumiał wielu rzeczy, inne nie były zgodne z jego wyobrażeniami, a co więcej, nawet teoria o nieznajomej kobiecie nie musiała być słuszna.

Cały czas bowiem nie udało się wyjaśnić, czego właściwie dowiedział się we Wrocławiu Milicz ze Szvabenic. A to było kluczem do całej sprawy. Jeśli doszedłby do wniosku, że obawy czeskiego króla są nieuzasadnione, śledczy nie mieli nic więcej do roboty. Gdyby jednak Milicz odkrył, że ktoś oszukuje czeskiego króla (a to, biorąc pod uwagę jego wyjątkowe zdolności, z pewnością by potrafił), mógł zginąć z ręki tego, kto chciał napełnić swój skarbiec królewskimi zasobami. Jako pierwszy nasuwał się na myśl oczywiście kuzyn króla, Władysław. To dlatego Przemysł Ottokar II nalegał, aby ich śledztwo pozostało tajne. Wrocławski kler umiałby sobie poradzić nawet z bardziej doświadczonym rywalem niż młody Milicz. Może znalazłoby się też logiczne wyjaśnienie, dlaczego Milicz pożyczył pieniądze. Nie musiało to koniecznie wiązać się z wpływem kobiety. Ota ciężko westchnął i w końcu usnął.

ROZDZIAŁ XVII

Gdy giermek Ota zbudził się wczesnym rankiem, jego pani – Ludmiła z Vartemberku jeszcze spała. Wyjrzał przez okno. Niebo było zachmurzone i kropił deszcz. Westchnął. Taka pogoda latem była jak kara. Kochał słońce i jasne kolory. Zbiegł na dziedziniec, gdzie obok masztali stało koryto, przy którym myła się cała załoga zamku. Tłoczyło się tam kilku mężczyzn rozebranych do pasa. Na nagich piersiach błyszczały im krople wody, pokrzykiwali do siebie i żartowali.

Ota zrzucił koszulę i szybko się opłukał. Wiedział, że jest dobrze zbudowany, co podobało się nie tylko dziewczętom, umieli to docenić również mężczyźni. Wyrzeźbione miał szczególnie mięśnie ramion i chętnie się nimi chwalił. Zauważył, że pozostali mu się przyglądają. Kojaty jednak między nimi nie było.

– To ten nowy – oznajmił człowiek, który wczoraj trzymał straż przy bramie.

Giermek Ota wiedział, jak na to zareagować. Trochę szorstko odparł:

– A co ja jestem, jakaś dziewka, że się na mnie tak gapicie?

Dwóch zaśmiało się głośno, pozostali też się uśmiechnęli. Strażnik bramy był najprawdopodobniej ich rzecznikiem.

– Podobno byłeś przy tym, jak zabili naszego pana?

– Niezupełnie. Akurat spędzałem czas z pewną piękną dziewczyną. Przyszedłem tam dopiero później. Leżał już na ziemi z poderżniętym gardłem. Jaki był? Karczmarz twierdzi, że lubił kobiety.

– Jak każdy – potwierdził roztropnie strażnik. – Owszem, chętnie korzystał, ale nic więcej. Ty pewnie nie jesteś ani trochę lepszy.

– I był podobno oszczędny. We Wrocławiu karczmarz mi mówił, że targował się o każdego miedziaka.

– Nie do końca! Gdy był zadowolony, umiał sięgnąć do sakiewki – bronił swojego pana strażnik.

– Jakoś nigdy tego nie zauważyłem – zaprotestował natychmiast inny. – Lubił pieniądze! Bardziej niż dziewczyny.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – upierał się strażnik.

– Właśnie że tak, ma rację – bronił swojego towarzysza pachołek od koni. – Już zapomniałeś, ile razy wyjeżdżaliśmy…

– Zamknij się! – wrzasnął zbrojny i opędził się od parobka. Potem huknął na pozostałych: – Czego się gapicie? Do roboty. A ty, młody, nie zajmuj się rzeczami, które do ciebie nie należą! Nasz pan był hojny, ale to nie znaczy, że pozwoliłby się okradać, rozumiesz?

– Dziękuję za uprzejme wyjaśnienie – odparł spokojnie Ota. Umył jeszcze twarz, potem nabrał wody do wiadra i zaniósł je do palatium.

Ludmiła jeszcze spała. Postawił wiadro na podłodze i przez chwilę się wahał. Potem podszedł do łóżka i cicho powiedział:

– Pani, już rano.

– Wiem – westchnęła z zamkniętymi oczami i się przeciągnęła.

Giermek Ota kolejny raz przekonał się, że ma piękną panią, i z serca winszował Oldrzichowi z Chlumu.

– Pójdę tymczasem do sali, żebyś miała chwilę spokoju – zaproponował. Starannie zamknął za sobą drzwi i zbiegł na dół po drewnianych schodach.

Pani Adelajda już tam była i właśnie strofowała kucharza, że zupa wciąż niegotowa. Gdy tylko Ota się pojawił, odprawiła służącego niecierpliwym gestem. Potem zwróciła się do niego surowym tonem:

– Co to miało znaczyć, tam na dziedzińcu? W niestosowny sposób wypytywałeś o mojego zmarłego męża.

– Jeśli skarżył się na mnie ktoś z załogi, to z pewnością powiedział ci również, że to twoja służba pierwsza spytała, co się właściwie stało, ja tylko odpowiadałem. Ale skoro już o tym rozmawiamy, wyjaśnij mi jedną rzecz. Karczmarz, u którego we Wrocławiu zatrzymał się twój mąż, zdradził mi bardzo interesującą rzecz. Pan Slavibor dzień przed swoją śmiercią cieszył się, że dostanie pieniądze i będzie mógł odjechać. Wiesz coś o tym?

– A dlaczego miałabym wiedzieć? Mówiłam, że wiem bardzo mało.

– Przyszło mi do głowy pewne wyjaśnienie. – Ota nie dał się zbić z tropu. – Twój szwagier Milicz we Wrocławiu się zakochał i chciał z tą kobietą zacząć nowe życie. Dlatego zawiózł tam cały swój majątek. Ale z jakiegoś powodu to nie wyszło. Twój mąż pojechał tam po to, by odzyskać pieniądze. Lecz nie zamierzał ich oddawać panu z Duby, bo w takim wypadku nie cieszyłby się z nich przecież. On chciał je zachować dla siebie, prawda?

– Cóż mogę ci odpowiedzieć? – skrzywiła się. – Nie było mnie przy tym.

– Ale możliwe, że przed wyjazdem wyjawił ci swój plan. Po cóż innego miałby szukać brata? Z twoich słów wywnioskowałem, że nie byli sobie bliscy. A jeśli chodziło o pieniądze, z którymi Milicz wyjechał, to powinien ich szukać raczej pan z Duby, ponieważ były jego własnością. Dla naszego

śledztwa ten szczegół jest ważny. Jeśli mamy rację, to Hynek Berka z Duby miał bardzo uzasadniony powód, żeby pozbyć się twojego męża.

– To prawda – odparła zaskoczona. Na chwilę się zamyśliła, a potem niezbyt życzliwie kontynuowała: – Jesteś odpychający i zuchwały, ale w wielu sprawach masz rację. Na pewno właśnie to planował mój mąż, wyjeżdżając do Wrocławia. Ale dość już o tym!

– Dziękuję za szczerość, bardzo ją doceniam – skłonił się uprzejmie giermek Ota i wyczarował jeden ze swoich rozbrajających uśmiechów.

Adelajda potrząsnęła głową, ale nie wyglądała już tak nieprzystępnie i surowo. Wskazała na stół, ponieważ zaczęli się schodzić członkowie załogi, którzy mieli prawo spożywać posiłki z państwem. W drzwiach pojawił się także Kojata.

Ota wskazał na niego i poprosił pokornie:

– Czy mógłby usiąść obok mnie i mojej pani? Chcielibyśmy podczas jedzenia spytać go o kilka rzeczy, żeby później nie odrywać go od pracy.

– Przynależy mu miejsce z tyłu, ale zgoda – potwierdziła pani zamku i zaczęła wydawać polecenia zarządcy, jak poprzesadzać obecnych, żeby spełnić prośbę Oty. Kobiecie tak energicznej jak Adelajda kierowanie życiem na zamku przychodziło bez najmniejszego trudu.

Ludmiła z Vartemberku wyszykowała się, jak mogła, ale nie opuszczało jej przeświadczenie, że nie wygląda odpowiednio. Do stołu biesiadnego pasowałby inny strój niż ten, w którym przyjechała. Był zakurzony i pomięty, jednak nie miała ze sobą innego. Jej włosy wymagały mycia i ułożenia, lecz na to z kolei nie było czasu. Przez chwilę przekonywała samą siebie, że próżność to grzech, ale wcale jej to nie uspokoiło. W końcu dała sobie spokój i zbiegła na dół. Przy stole zjawiła się jako ostatnia.

Kucharz roznosił miski z gęstą zupą, do której każdy biesiadnik dostał kromkę ciemnego chleba. Jedynie przed panią zamku stał koszyk z białym

pszenicznym pieczywem, którym mogli się częstować siedzący u szczytu stołu.

– Pamiętam cię – powiedział Kojata, kiedy Ota wyjaśnił, o co chodzi. – Rozmawialiśmy we Wrocławiu. Ty jesteś służącym zarządcy Divisza z Bezdiezu, tak?

Ludmiła z Vartemberku starała się zachowywać poważnie, ale nie odmówiła sobie rozbawionego spojrzenia w stronę Oty. Ten jednak bez mrugnięcia okiem przytaknął.

– Chcemy się dowiedzieć, kto zabił twojego pana. Dlaczego zaraz rano opuściłeś miasto? Jakoś wcześnie, czyż nie?

– Mojego pana przecież zabito i zabrano jego wszystkie pieniądze. Karczmarz przyszedł do mnie i powiedział, że muszę natychmiast opuścić zajazd, jeśli nie mam czym zapłacić. W końcu uprosiłem go, żeby pozwolił mi zostać jeszcze jedną noc. Rano wyjechałem, bo niby co miałem tam robić? Młynek miał jechać ze mną, ale gdzieś się zatrzymał, ale dla mnie stało się jasne, że im później wrócę na Rechenburg, tym później się najem. Oczywiście jeśli czegoś nie wyproszę po drodze. Byłem zupełnie bez pieniędzy, rozumiesz? Dlatego poganiałem konie, jak tylko się dało.

Ota pokiwał głową ze zrozumieniem. Zatem to dlatego Kojata przybył tak szybko. Jechał cwałem, ponieważ popędzał go głód. Giermek nie wątpił, że to prawda, i wiele to tłumaczyło. Dlatego zmienił temat:

– We Wrocławiu mówiłeś, że pana Slavibora kilka razy odwiedziła jakaś ruda prostytutka. Ale ja się dowiedziałem, że wieczorem przed jego śmiercią odwiedziła go jeszcze inna ruda kobieta. To był ten wieczór, kiedy świętował i zamówił ci dzbanek wina.

– Dlatego nic o niej nie wiem – wyjaśniał trochę prostodusznie Kojata. – Siedziałem przecież w karczmie i piłem to wino.

– Aha – skinął Ota. Slavibor niewątpliwie nie kupił swemu służącemu wina dla jego zadowolenia, ale chciał go usunąć na bok. – A Młynek? Jemu twój pan też kupił wino?

– Nie, Młynek był gdzieś w mieście. Wrócił, kiedy już byłem w karczmie sam. Zamówił sobie wino i za nie zapłacił.

– Robił to często?

– Nie, skąd niby wytrzasnąłby na to pieniądze? Czy wiesz, jak drogo jest we Wrocławiu? Karczmarze na rynku chyba poupadali na głowy, żeby tyle żądać za te swoje cienkusze – oburzył się Kojata. – Jeśli kupowaliśmy z Młynkiem coś do picia, to na przedmieściu. I tylko piwo. Tam jest o wiele taniej.

– Nie zastanawiałeś się, skąd wziął tamtego wieczoru pieniądze na wino?

– Nie – pokręcił głową Kojata. – Młynek był przedsiębiorczy. Czasem potrafił sobie dorobić na boku. Ja nie. Ja zawsze i wszędzie służę uczciwie i wiernie.

– To oznacza, że Młynek był skłonny dorobić również nieuczciwie – przerwał jego samochwalstwo giermek Ota.

Kojata natychmiast zamilkł. Wyglądał na zdenerwowanego. Wyraźnie nie chciał odpowiadać, ale włączyła się jego pani, która oczywiście przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Młynek nie był dobrym człowiekiem – rzekła Adelajda tak, aby wszyscy przy stole ją usłyszeli. – Takich jak on Bóg zawsze karze według uczynków. Pamiętajcie o tym! – Następnie ściszyła głos i mówiła już tylko do Oty i Ludmiły. – Młynka posłał tu mój niegodziwy szwagier Idik. Początkowo myślałam, że ma pilnować mojego męża i donosić nań, ale potem zrozumiałam, że Idik po prostu chciał się go pozbyć. Był to typ fałszywego pochlebcy. Każdemu się kłaniał, ale za denara sprzedałby

własną matkę. Jednak kiedy powiedziałam o tym mężowi, krzyknął na mnie, że jestem głupią gęsią. Rozmawiam z wami otwarcie, żebyście mieli prawdziwy obraz tego, jak się sprawy miały. Może przyda się to wam w śledztwie.

– Dziękuję za szczerość, szlachetna pani. Z pewnością nam to pomoże. Jesteś doprawdy wyjątkową kobietą – pokiwał głową Ota i mimo iż wygłosił zgoła wyświechtany komplement, zrobił to tak miło, że Adelajda nieznacznie się zarumieniła i nawet na chwilę spuściła rzęsy, jakby się zawstydziła. Tego Ludmiła z Vartemberku już nie wytrzymała i lekko kopnęła Otę pod stołem, żeby zachowywał się bardziej powściągliwie. On najwyraźniej nic sobie z tego nie robił i jął dyskutować z panią Adelajdą o nowym burgundzkim fasonie sukien z długim trenem. Ludmiła słuchała go z zainteresowaniem, ponieważ takiej wiedzy nie miała nawet ona.

Sala powoli opustoszała. Służący skończyli jeść, podziękowali z szacunkiem pani zamku i poszli do swojej pracy.

– No cóż, i my musimy ruszać w drogę – rzekł z żalem giermek Ota. – Chcemy jednak jeszcze zatrzymać się na Bolkovie. Chętnie porozmawialibyśmy z kimś, kto towarzyszył panu Miliczowi w drodze do Wrocławia. Ale teraz, kiedy zamkiem zarządza właściwie pan z Duby, chyba nikt nie będzie chciał z nami rozmawiać o panach ze Szvabenic. A taka rozmowa ogromnie by się nam przydała.

– W tym mogę ci pomóc, panie Oto – zaproponowała natychmiast Adelajda. Oczy błyszczały jej z zadowolenia, dawno nie czuła się tak dobrze. Teraz mówiła tylko do niego, Ludmiła z Vartemberku przestała ją interesować. – We wsi, która prowadzi od szlaku krajowego tu, na Rechenburg, mieszka niejaki Paleczek. Jest naszym poddanym, ale mój mąż pożyczał go Miliczowi, ponieważ jego ojciec był z Miśni, a matka z Budy.

Umie się bić i dogada się naprawdę wszędzie. Milicz jeździł z nim prawie zawsze. O ile wiem, byli razem również we Wrocławiu.

Paleczek okazał się wysokim śniadym mężczyzną z ciemnymi kędzierzawymi włosami i bystrym spojrzeniem. Chociaż mógł sobie już liczyć nawet czterdzieści wiosen, pozostał kawalerem. Mieszkał jako komornik u jednego z miejscowych wieśniaków, ale nie wykonywał zbyt wielu obowiązków w gospodarstwie. Ponieważ nie bawiła go praca w polu, najmował się raczej jako woźnica i często towarzyszył kupcom podróżującym ze Śląska do Pragi. Ze swoim gospodarzem miał jednak dobre stosunki, ponieważ wszystko, co zarobił, oddawał jego rodzinie. Był to bowiem człowiek łagodny i dobroduszny.

Zastali go w sadzie za domem. Siedział na spróchniałym pniu, w ręku trzymał piłę, ale do pracy za bardzo się nie garnął. Kiedy giermek Ota wyjaśnił mu, że posyła ich pani Adelajda i że ma być do ich dyspozycji, rozjaśnił się, odłożył piłę i zaprowadził ich nad pobliski potok. Tam pod rozłożystą lipą stała wygodna ławka.

– To ja ją zrobiłem – powiedział dumnie, kiedy wszyscy na niej usiedli. – Owszem, towarzyszyłem młodemu panu Miliczowi we wszystkich podróżach. Tylko w tę ostatnią mnie nie zabrał. Wyjechał, nic nikomu nie mówiąc. Gdyby pan Slavibor o tym wiedział, nie pozwoliłby mu na to. Trochę chronił swojego młodszego brata. Wiecie, pan Milicz był bardzo niepraktyczny i on się o niego zawsze bał.

– Czy można powiedzieć, że decydował o jego sprawach? – spytała Ludmiła z Vartemberku. Potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądały relacje między tymi braćmi. Między potomkami Havla z Lemberku było tak samo i jej brat Marek jako głowa vartemberskiego rodu musiał nieustannie rozwiązywać błahe rodzinne spory.

– Jestem tylko prostym sługą – tłumaczył się Paleczek. – Ale nie powiedziałbym, że decydował. Pan Milicz był wprawdzie łagodny i dobry, ale bardzo uparty. Dogadać się z nim nie szło łatwo. Pan Slavibor był z innej gliny. Nie był wprawdzie tak ugodowy, lecz za to rozsądniejszy. Przynajmniej tak mi się wydawało. Sam widziałem, jak kiedyś przyznał rację swojemu służącemu.

– Kiedy jeździłeś z panem Miliczem do Wrocławia, co tam robiliście? – wrócił szybko do tematu giermek Ota. Zainteresowanie Ludmiły tym, jacy byli obaj bracia, wydało mu się w tej chwili zbędne.

– Pan Milicz próbował się dowiedzieć, ile kosztuje budowa kościoła cystersów.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem. Ale żeby nie rzucać się w oczy, udawał francuskiego rycerza. Wypełniał swoje zadanie z przyjemnością. Wieczorami często zapraszał mnie do swojego stołu i opowiadał, czego się dowiedział tego dnia: ile kosztuje kamień, ile wapno, ile płaci się kamieniarzom i za ile można postawić rusztowanie. Nic z tego nie rozumiałem, ale on potrzebował się wygadać. Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego jak wtedy, kiedy tym się zajmował.

– Nie powiedział ci przynajmniej, czego się dowiedział podczas obliczania tych kosztów?

– Cały czas o czymś mówił, ale naprawdę tego nie pojmowałem – tłumaczył łagodnym głosem Paleczek. – Lecz kiedy ostatnim razem wracaliśmy z Wrocławia, powiedział mi, że król na pewno będzie zadowolony. Tylko że na razie nie powie mu wszystkiego, bo musi jeszcze coś załatwić.

– A zatem wyniki swojego śledztwa zabrał do grobu – stwierdziła smutno Ludmiła. – Jak się jednak wydaje, potwierdził tylko to, czego

spodziewał się nasz król.

– Nie wiemy jedynie, czego właściwie Przemysł Ottokar II chciał się dowiedzieć. I jaki rezultat by go zadowolił – zauważył giermek Ota. – Ale nawet gdybyśmy to wiedzieli, na co nam takie zeznanie? Szkoda, że nie polecił spisać swojego odkrycia.

– Mylisz się – rzekł dobrodusznie Paleczek. – Młody pan Milicz kazał to spisać. On sam nie potrafił pisać, znał tylko liczby i umiał liczyć. Wszystko notował mu pisarz z Bolkova.

– Mówisz, że na razie nie chciał przekazać królowi informacji. To oznacza, że jego pismo tam zostało? – spytał z nadzieją w głosie giermek Ota.

– Nie, ponieważ zamek przejął Hynek Berka z Duby. Milicz to przeczuwał i przed ostatnim wyjazdem odwiedził mnie. Powiedział, że tylko mi może zaufać – wyjaśnił powoli Paleczek i uśmiechnął się na to wspomnienie. – Wręczył mi zapieczętowany pakunek i powiedział, żebym nikomu go nie przekazywał. Chyba że coś by się stało.

– Pan Milicz zniknął – zauważyła Ludmiła z Vartemberku. – Nie przyszło ci do głowy, że te pisma mogą być ważne?

– Przyszło, ale nikt o nie mnie nie pytał – tłumaczył cierpliwie Paleczek.

– My je zabierzemy.

– To niemożliwe, pan Milicz powiedział, że…

– Jeśli mamy mu pomóc, musimy je zobaczyć – zaczął go przekonywać giermek Ota i wzrokiem dał swojej pani znać, żeby milczała. Wobec tego człowieka nie mogli się zachowywać władczo ani mu rozkazywać. Był bowiem taki sam jak Milicz ze Szvabenic. Niezdecydowany i uparty. Ota kontynuował łagodnym tonem: – Chyba chcesz pomóc swojemu panu?

Powierzył ci te pisma, żebyś mu pomógł, kiedy będzie źle. A to jest właśnie ten moment.

Jeszcze chwilę pertraktowali, ale potem Paleczek wstał i uklęknął przed lipą, pod którą siedzieli. Przy ziemi pień był spróchniały i tam, w zagłębieniu ukrył pakunek. Został zawinięty w woskowane płótno, przewiązany tasiemką i zapieczętowany.

Ludmiła z Vartemberku złamała pieczęć i otworzyła zawiniątko. Wewnątrz znajdowało się kilka zwiniętych kart pergaminu. Na większości z nich widniały liczby i obliczenia. Na ostatnim znajdował się list do czeskiego króla. Było w nim napisane, że według obecnych cen i poniesionych wydatków, które Miliczowi udało się ustalić, nie ulega żadnej wątpliwości, że kuzyn władcy, arcybiskup salzburski i administrator biskupstwa wrocławskiego, Władysław, dotrzymuje wszelkich umów i wnosi odpowiedni wkład w budowę kościoła cysterskiego.

– Wynika z tego, że Milicz ze Szvabenic nie zniknął z powodu prowadzonego śledztwa – stwierdził sucho giermek Ota.

– To było jasne od początku – pokiwała głową Ludmiła z Vartemberku. – To sprawka Hynka Berki z Duby. Zemścił się za to, że Milicz go oszukał.

– To nie ma sensu. Dlaczego miałby go zabijać? Raczej próbowałby odzyskać od niego pieniądze. Martwy nie płaci długów, to znana prawda. A poza tym: gdyby to zrobił, po co miałby wracać i mordować jego brata Slavibora? Wybacz, pani, ale tu się mylisz.

Ludmiła z Vartemberku obraziła się i postanowiła, że do wieczora nie zamieni z Otą ani słowa. Długo jednak nie wytrzymała.

ROZDZIAŁ XVIII

Powoli jechali z Libecza w stronę drogi krajowej na Śląsk.

– Może powinniśmy na chwilę odłożyć powrót do Wrocławia – rozważał giermek Ota.

Ludmiła z Vartemberku milczała i uparcie patrzyła przed siebie. Ota tego nie zauważył i głośno się zastanawiał:

– Milicz ze Szvabenic nikomu ze swoich bliskich nie powiedział, że zamierza wrócić do Wrocławia. Wszyscy myślą, że pojechał tam sam, bez żadnego towarzystwa. Ale to przecież nonsens! Od Hynka Berki z Duby dostał pięćset kop denarów. To jest diabelnie dużo pieniędzy, do pasa się ich nie przywiąże, moja pani. Zajmują z pewnością kilka worków. Nieść musiałyby to dwa konie, prowadzone za lejce. Tyle że Milicz raczej nie był taki głupi. Srebro dzwoniłoby przy każdym kroku. Równie dobrze mógłby po prostu powiedzieć rabusiom, czyhającym na samotnych podróżnych: „Tu jestem, zabijcie mnie i okradnijcie!". Nie, to srebro musiał przewieźć w skrzyni. I na pewno ktoś mu towarzyszył.

– Czy nie słyszałeś, że nikogo ze sobą nie zabrał? – odparła wciąż trochę zirytowana Ludmiła z Vartemberku. Żeby odpłacić się za pozbawioną szacunku uwagę, którą wcześniej Ota wygłosił w odpowiedzi

na jej opinię, dodała jeszcze: – To nie ma sensu. Wybacz, miły Oto, ale się mylisz.

– Wręcz przeciwnie, to się rozumie samo przez się i z pewnością wydedukował to również twój dostojny mąż. Tylko na pewno szybciej niż ja, bo nie znam światlejszego człowieka niż on – mówił giermek Ota, jakby się tłumaczył. – Zastanów się! Milicz nikomu nie powiedział o swoim wyjeździe. Jest jednak logiczne, że potrzebował towarzysza. Nie musiał to być żaden z jego służących, mógł przecież kogoś nająć. Popytałbym o to w Trutnovie. To parę kroków stąd, a ta osada ma prawo targu. Mieszka tam na pewno mnóstwo ludzi, którzy żyją z handlu i przewoźnictwa.

– Nawet gdyby to była prawda, na co się nam zda taka informacja? – przekornie dopytywała Ludmiła z Vartemberku. – Znajdziemy kogoś, kto mu towarzyszył i przewiózł jego skrzynię z pieniędzmi. Jeśli nic istotnego nie zdradził swoim sługom, to dlaczego miałby się zwierzać obcemu człowiekowi?

– To prawda. Zapominasz jednak o pewnym ważnym szczególe – wyjaśniał giermek Ota. – We Wrocławiu pan Milicz zatrzymał się w zajeździe U Króla Wacława. A co o jego zniknięciu powiedział nam karczmarz Hermenegild? Że pewnego dnia jego gość wyszedł bez rzeczy, jakby zamierzał szybko wrócić. Ale już się nie pojawił. Jeśliby Hermenegild znalazł w jego izbie skrzynię pełną pieniędzy, nie robiłby scen, że Milicz jest mu winny za pobyt. Przeciwnie, milczałby, żeby nikt u niego nie szukał tych srebrniaków. Co z tego wynika?

Ludmiła zamyśliła się jedynie na moment, a potem po raz pierwszy od opuszczenia Rechenburgu spojrzała na Otę i się uśmiechnęła. Postanowiła wybaczyć mu jego zuchwałość.

– To oznacza, że Milicz nie wrócił, bo ukrył skrzynię z pieniędzmi gdzie indziej. Musimy się dowiedzieć gdzie.

– Doskonale, moja pani. Otóż to! – pochwalił ją giermek Ota i mrugnął do niej łobuzersko.

Na skrzyżowaniu zboczyli ze szlaku krajowego i pogalopowali szeroką, wygodną drogą wzdłuż Upy w kierunku Trutnova.

Osada targowa Trutnov, otoczona glinianym wałem i drewnianą palisadą, została założona dopiero przed kilku laty. Stała na miejscu dawnego dworu książęcego, który od nazwy pobliskiej rzeki nosił miano Upa. Okoliczny lud nazywał tak również Trutnov. Przekonał się o tym giermek Ota, gdy na pierwszych rozstajach spytał o drogę niezbyt urodziwą, kościstą wieśniaczkę.

Trutnov czerpał zyski ze słynnego szlaku handlowego oraz prawa targu, przyznanego mu przez króla Przemysła Ottokara II. Szybko się rozrastał. Wokół rynku, ale także w pobliżu murów, stało już kilkadziesiąt domów. Kiedy w bramie giermek Ota zagadnął strażnika, pobierającego myto, w których domach może znaleźć woźniców, ten z rozmachem zatoczył ręką i z rozbawieniem odparł:

– We wszystkich!

– Chyba nie byłoby rozsądnie chodzić od domu do domu – zauważyła Ludmiła z Vartemberku, kiedy znów zostali tylko we dwoje. – Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

– To prawda – zgodził się giermek Ota. – Ale około Wielkanocy, kiedy Milicz umawiał się z woźnicą, kończyła się zima i handel dopiero raczkował. Z pewnością nie wszyscy jeździli stąd na Śląsk. Wystarczy spytać, kto był przed dwoma miesiącami we Wrocławiu. Wielu takich się nie znajdzie.

– Może tutejszy wójt okaże się pomocny – przyszło do głowy Ludmile z Vartemberku. – Już chyba mówiłam, że niedaleko stąd mieszka jedna

z moich zamężnych ciotek. Jej mąż jest wpływowym w tej okolicy rycerzem. Do wójta udamy się w jej imieniu. Chyba mi to ciotka wybaczy.

Szybko się okazało, że to był dobry pomysł. Trutnowski wójt Francek okazał się rozsądnym i doświadczonym człowiekiem. Najpierw wypytał Ludmiłę z Vartemberku o jej ciotkę, najprawdopodobniej po to, żeby się upewnić, czy aby nie kłamie. Otrzymał zadowalające odpowiedzi i uprzejmie zgodził się im pomóc.

– Oczywiście, że wiem dokładnie, dokąd wyjeżdżają gospodarze – rzekł, kiedy dowiedział się, o co im chodzi. – Mają obowiązek mi to zgłaszać, ale wymagam tego również dla ich bezpieczeństwa. Wprawdzie ostatnią bandę rabusiów powiesiliśmy w zeszłym roku i od tamtej pory jest spokój, ale... Mówicie, że na Wielkanoc… Hmm… – zmrużył oczy i próbował sobie coś przypomnieć. Potem zdecydowanie pokręcił głową. – Nie, nikt nie wyjeżdżał stąd do Wrocławia podczas Wielkanocy.

– A gdzie indziej na Śląsk?

– Tylko dziobaty Matej do Świdnicy. Pojechał tam ze słodem. I jeszcze Stach. On jeździł do Nachodu, a potem do Kłodzka. Nic więcej mi nie wiadomo.

Ludmiła trochę niepewnie spojrzała na giermka Otę. Nie odczuwała już satysfakcji z tego, że jej przewodnik mógł się pomylić w swojej hipotezie. Była szczerze rozczarowana.

– A może jeszcze gdzie indziej? – spytał roztropnie Ota. – Czy ktoś nie jeździł w dalszą podróż, na przykład do Czech albo na Morawy? Ale również w okolicach Wielkanocy.

– Barta. Wynajął go jakiś ołomuniecki wielmoża – przypomniał sobie nagle wójt. – Coś tu w okolicy kupił i chciał to odwieźć do Litovela.

– Porozmawiamy z nim. Tak na wszelki wypadek. I dziękujemy za pomoc – pożegnał się uprzejmie giermek Ota. – Gdzie możemy go znaleźć?

– Jego dom to ten narożny, z wykuszem, po drugiej stronie rynku – wskazał ręką przez okno trutnowski wójt. – Ale teraz go nie zastaniecie. Rano pojechał wozem do Jiczyna. Będzie tam jarmark.

– I co zrobimy? – westchnęła zasmucona Ludmiła, gdy już opuścili okazałą siedzibę wójta.

– Pan Oldrzich z Chlumu zawsze twierdzi, że człowiek powinien się kierować rozumem i faktami, a nie przeczuciami. Ten Barta prawdopodobnie kłamał, pewnie Milicz mu za to zapłacił. Nie mam na to żadnego dowodu, ale czuję, że mam rację. Choćby dlatego, że tu, w okolicy, Miliczowi trudno byłoby znaleźć woźnicę do Wrocławia. A wszyscy twierdzą, że nie wykazywał się zmysłem praktycznym. Na pewno nie przyszło mu do głowy szukać gdzie indziej. Chociaż to tylko domysły, nie odrzucałbym ich. Zgadzasz się?

– Mój mąż często powołuje się na racje rozumu i logiki – zgodziła się delikatnie Ludmiła. – Ale zdradzę ci w zaufaniu, że nawet on sam czasami się nimi nie kieruje.

– Też to zauważyłem – uśmiechnął się giermek Ota. – Za wszelką cenę musimy porozmawiać z tym Bartą. Wóz jedzie o wiele wolniej niż jeździec na koniu. Jeszcze nie minęło południe, ma zatem przewagę najwyżej kilku godzin. Jeśli wyruszę od razu, przed wieczorem go dogonię.

– To doskonale – uśmiechnęła się kąśliwie. – Ty wyruszysz i ty go dogonisz. A ja?

Giermek Ota natychmiast przybrał swój niezawodny, pokorny wyraz twarzy.

– Pojadę cwałem, moja pani. Mogłoby to być dla ciebie niebezpieczne. Niektóre drogi tu, na podgórzu, nie są najlepsze. Pomyślałem, że w tym czasie mogłabyś się zatrzymać w karczmie tutaj, na rynku. Odpoczniesz,

a jak wrócę, od razu ruszymy do Wrocławia. Pojedziemy szybko i nie będziemy się nigdzie zatrzymywać.

– Na koniu jeżdżę równie dobrze jak ty – zaoponowała zdecydowanie Ludmiła. – Jeśli drogi są niebezpieczne, jak sam mówisz, to zdecydowanie powinniśmy jechać oboje. Gdyby coś ci się stało, przynajmniej ja będę mogła przekazać mężowi ważne informacje, które zdobyliśmy. Albo może uratuję ci życie.

– A jeśli to zły trop? – bronił się giermek Ota. – Może ten Barta naprawdę był w Litovelu? A ty będziesz niepotrzebnie się trudzić.

– Przekonujesz mnie daremnie. Jestem kobietą, a one, jak wiadomo, nie kierują się logiką. Dlaczego miałabym być wyjątkiem? A ponadto jeśli się okaże, że twoja hipoteza naprawdę była błędna, zobaczę w końcu, jak przyznajesz się do błędu – ciągnęła, a w jej oczach igrały wesołe ogniki.

– Zatem zgoda. – Ota skinął głową bez wielkiego entuzjazmu. – Tam według szyldu mieszka piekarz. Kupimy prowiant na drogę i wyruszamy. Jeszcze tylko wstąpimy do domu Barty i sprawdzimy, którędy zazwyczaj jeździ do Jiczyna.

Giermek Ota wraz z Ludmiłą z Vartemberku ruszyli tradycyjnym szlakiem na Hostinne i Pakę. Wiódł przez lesiste, niemal bezludne tereny, doliną między wzgórzami, ale był wygodny i solidny. Przez jeden z potoków prowadził nawet nowy mostek z potężnych kamieni.

We Vlczicach, jedynej większej wsi, którą napotkali, stary pasterz powiedział im, że od rana drogą przejechały tylko dwa wozy. Ale oba już dłuższy czas temu.

– Śpieszył się – westchnęła Ludmiła z Vartemberku.

Jechali naprawdę szybko, a ponieważ Ludmiła siedziała w siodle właściwie już trzeci dzień, odczuwała każdy większy wstrząs. Ale za nic

w świecie by się nie poskarżyła i nie zwolniłaby tempa. Nie znosiła myśli, że jest dla kogoś ciężarem.

– Droga jest dobrze utrzymana, więc dlaczego miałby jechać powoli? Ponadto dookoła są głębokie lasy i chociaż z pewnością jest tu bezpiecznie, nigdy nic nie wiadomo.

Pierwszy wóz kupiecki dogonili dopiero na wzgórzu, z którego zjeżdżało się w stronę zamku w Hostinnem. Król kazał go wybudować dopiero niedawno, aby chronił dawniejszą osadę targową.

– Nazywasz się Barta? – huknął na woźnicę Ota z siodła, ledwo go dogonili.

– Nie, Pliszek. Ale widziałem go – odparł z szacunkiem mężczyzna. – Wyprzedziłem go kawałek za Vlczicami. Przy brodzie.

– Zmyślasz, nikogo nie spotkaliśmy.

– Więc pewnie zboczył z drogi – odpowiedział z filuternym uśmiechem. Ukłonił się i trzasnął z bicza. Zaczął ostrożnie zjeżdżać ze wzgórza w stronę Hostinnego.

– Może napadli go zbójcy – podsunęła zaniepokojona Ludmiła.

– Nic z tych rzeczy. Jest z jakąś kobietą – odparł beztrosko giermek Ota.

– Nie zaczynaj – zachmurzyła się. – Ty zawsze myślisz o jednym.

– To nie moja wina, że dzisiejsi chrześcijanie postępują inaczej niż ci z legend, o których uczą w klasztorach. Ale to oczywiste. Barty nikt nie napadł, bo widzielibyśmy na drodze ślady walki, a może nawet zwłoki. Jeśli Pliszek go wyprzedził, a my go nie spotkaliśmy, musiał zboczyć ze szlaku. Gdzieś w lesie mieszka węglarz czy drwal, który szczęśliwym trafem ma ładną córkę. Albo żonę. I tak sobie dorabia.

– A skąd wiesz, że nie zboczył do lasu po towar? Może pojechał po węgiel drzewny?

– Zauważyłaś, jak Pliszek się uśmiechnął, mówiąc, że Barta chyba zboczył z drogi?

– Jesteś okropny – zirytowała się Ludmiła. Zawróciła konia i ruszyła z powrotem. Giermek Ota szybko ją dogonił. Ponieważ droga była szeroka, jechał obok niej.

– Nie chmurz się, moja pani – przekonywał ją dobrodusznie. – Grzechy świadków są dla śledczych prawdziwym błogosławieństwem.

– Nie pogarszaj sytuacji – ostrzegła go surowo.

Wzruszył ramionami i zajął się obserwacją śladów na piasku. Objechali skaliste urwisko, gdzie z drogi prowadziła w las szeroka przesieka. Giermek wskazał ręką młodniak i bardziej do siebie niż do swej towarzyszki mruknął:

– Jestem głupcem, że nie zauważyłem tych śladów, kiedy jechaliśmy tędy po raz pierwszy.

Ludmile z Vartemberku tymczasem powrócił dobry humor. Właściwie nie rozumiała, dlaczego wciąż irytuje się nic nieznaczącymi szczegółami. Przecież marzyła o udziale w śledztwie. Giermek Ota odnosił się do niej z szacunkiem. A że chrześcijanie grzeszą? Gdyby nie grzeszyli, na ziemi żyliby tylko aniołowie. Kiedy to sobie wyobraziła, musiała przyznać, choć niechętnie, że obecny stan jest o wiele bardziej interesujący.

Zjechali z drogi i podążali przez wysoką, płożącą się trawę, w której były widoczne całkiem wyraźne ślady kół wozu. Giermek wciągnął powietrze. Poczuł gryzący dym, jaki wydziela tylko płonące surowe drewno.

– A zatem węglarz – stwierdził z zadowoleniem.

Objechali leśny występ i zobaczyli dymiący mielerz, nieco dalej, na brzegu potoku, dwie chałupiny, a przy nich wóz kupiecki. Konie były wyprzęgnięte i pasły się opodal. Koło mielerza uwijali się dwaj mężczyźni

w brudnych kaftanach i uszczelniali darnią miejsca, którymi wydostawał się dym. Gdy tylko dostrzegli jeźdźców, porzucili pracę, podnieśli z ziemi wielkie siekiery i stali, patrząc wyczekująco.

– Szukamy Barty – zawołał giermek Ota, kiedy zatrzymali konie jakieś trzy kroki przed nimi.

– Coście za jedni? – odburknął starszy z nich. Sądząc po wieku, był najprawdopodobniej ojcem tego drugiego.

– Nie bądź zuchwały i odpowiedz! – pouczyła go ostro Ludmiła z Vartemberku. Nie lubiła, kiedy poddani nie spełniali natychmiast jej żądań.

Węglarz najpierw obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. Jednak z Ludmiły, mimo jej niewielkiego wzrostu, emanowała taka estyma, że opuścił ramiona i zwiesił głowę. Półgłosem przyznał:

– Jest z moją synową w tej chacie z tyłu. Proszę, zaczekajcie chwilę, moja synowa to wrażliwa kobieta. Nie chcę, żebyście ją przestraszyli.

– Pójdę po tego kupca – zaproponował ochoczo jego syn. – I tak jest tam zbyt długo.

Giermek Ota zeskoczył na ziemię i pomógł zsiąść swojej pani. Zaprowadził konie nad potok, żeby się napiły.

Z chałupy odezwały się stłumione głosy i dopiero po chwili wyszedł z niej mężczyzna w średnim wieku. Ubrany był w długi brązowy kaftan przewiązany szerokim skórzanym pasem. Miał okrągłą czerwoną twarz i ściągnięte ze złości wargi. Rękę położył na rękojeści noża, zwisającego mu u pasa.

– Czego chcecie? – spytał ponuro.

– Pozdrawia cię Milicz ze Szvabenic – odparł spokojnie giermek Ota i również oparł dłoń na rękojeści swojego miecza.

Kupiec natychmiast zrozumiał ten ruch. Ukłonił się nieznacznie i starał się zachowywać uprzejmiej, choć niezbyt mu to wychodziło. Z wahaniem rzekł:

– To miło z jego strony.

– Jeszcze milej byłoby, gdybyś powiedział, dokąd z nim jechałeś. I nie próbuj powtarzać nam tej bajki o Litovelu, którą uraczyłeś trutnowskiego wójta!

– Byłem w Litovelu. Z pewnym rycerzem z Brna. Panu Miliczowi nigdy nie służyłem.

– Zamierzasz się przy tym upierać? – spytał spokojnie giermek Ota.

– Jestem wolnym człowiekiem i nie stoję przed sądem – odciął się chłodno Barta. – Coś jeszcze?

– Oczywiście. Najpierw przyszło mi do głowy, że powieszę cię na drzewie głową w dół i obetnę ci uszy – tłumaczył przyjaznym głosem Ota. – Ale potem pomyślałem: po co mam brać na swoją duszę taki grzech? Zrobię coś innego. Wrócę do Trutnova, pójdę do twojej żony i powiem jej, gdzie się spotkaliśmy. – Zanim kupiec zdążył zaprotestować, giermek Ota mówił dalej, teraz już ostro i z pogardą: – Jak ci nie wstyd? W domu masz taką piękną kobietę, a zadajesz się z jakąś węglarką. Czyżbyś nie wiedział, że złamanie przysięgi wierności małżeńskiej to brama do piekieł? Jak chcesz spojrzeć w oczy swojej żonie, gdy wrócisz do Trutnova i w nocy będziecie w łóżku cieszyć się zasłużonymi chwilami rozkoszy? Ona, wierna i czysta, a ty grzeszny i nikczemny z powodu swojej żądzy. Pamiętaj, małżeństwo to świętość, a ten, kto ją narusza, zachowuje się równie ohydnie jak lubieżny knur tarzający się w błocie!

– Czemu się tak burzysz? – spytał ponuro kupiec. – Nigdy nie zgrzeszyłeś w ten sposób?

– Przysięgam, że nigdy – potwierdził zdecydowanie giermek Ota. – Jestem bowiem wolny, ale gdybym miał żonę tak ładną jak twoja, nigdy w życiu bym jej nie zdradził. A ponieważ oburza mnie twoje zachowanie, powiem jej o twojej nieprawości!

– Nie zrobisz tego! – zawołał Barta i sięgnął po nóż.

– Kościół sprzedaje odpusty. Świecka sprawiedliwość również może ci je zaoferować. Ale musiałbyś jej pomóc.

– Rozumiem – skrzywił się trutnowski kupiec. – Chcesz wiedzieć, jak to było z Miliczem.

– Oczywiście, to przynajmniej częściowo uspokoiłoby nasze oburzenie wywołane twoimi grzechami.

– Przysięgałem na święty krzyż.

– Ja cię do niczego nie zmuszam. Sam rozważ, czy Bóg wybaczy ci raczej to, że pomogłeś świeckiej sprawiedliwości za cenę naruszenia bardzo wątpliwej przysięgi, czy odpuści ci cudzołóstwo, którym obrażasz cześć i serce swojej żony.

– Do diabła, co ty mi tu wygadujesz! – zirytował się Barta. – Idźcie precz!

– Nie lubię nieuprzejmych ludzi – ostrzegł go spokojnie Ota. Chociaż stał dwa kroki od niego, nagle znalazł się tuż przy nim i chwycił go za szyję. Zrobił to tak szybko, że kupiec nawet nie zdążył dobyć noża. – Ty głupcze! Rozpustniku bez czci i serca, mam cię już powyżej uszu – krzyczał Ota, wymachując mu przed twarzą mieczem. – Dlaczego miałbym łamać serce kobiety tak pobożnej jak twoja żona? Raczej cię obiję. Nie protestuj, jestem pomocnikiem prokuratora królewskiego, a mój pan ma prawo karania na miejscu tych, którzy naruszają prawo krajowe. A jeśli jeszcze się nie zorientowałeś, ty właśnie je naruszyłeś!

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu, kim jesteś? – Przerażony kupiec zaczął prosić o litość. – Teraz rozumiem, że troszczyć się mam przede wszystkim o swoją rodzinę. Powiem, jak było.

Giermek Ota skinął głową, puścił go i cofnął się o krok, ale nadal trzymał miecz groźnie wyciągnięty, gotów do ataku.

– Masz rację – rzekł kupiec. – Nie byłem w Litovelu, pojechałem z panem Miliczem na Śląsk. Kupował tam dobra. Było to niedaleko Wrocławia. Ta posiadłość nazywała się Szczepanów. Piękny zamek z podgrodziem. Wiozłem jego skrzynię i tam ją zostawiłem. Zapłacił mi, a ja wróciłem do domu. To wszystko.

– Kogo widziałeś w tym Szczepanowie?

– Tylko jednego służącego. Razem zanieśliśmy skrzynię do domu, napoiliśmy konie, a potem wyruszyłem w drogę powrotną.

– Pytałem raczej o narzeczoną Milicza.

– Czyli ta ruda dziewczyna to jego narzeczona? – zdziwił się szczerze Barta. – Powinno mi to było przyjść do głowy, skoro tak się z nim witała.

– Jak wyglądała?

– Nie przyglądałem się. Miała na sobie kosztowne szaty, ale zachowywała się jak dziewka z czeladnej. Nie wyglądała wulgarnie ani się nie narzucała, nic z tych rzeczy. Ale po prostu coś mi w niej nie pasowało. Ale włosy miała naprawdę piękne.

– Słyszałeś, jak pan Milicz się do niej zwracał?

– Tak dziwnie, Oleksa czy Aleksa. Naprawdę się nią nie interesowałem. Wykonałem swoją pracę, dostałem zapłatę i szybko wróciłem do domu. Do swojej żony, gdybyś chciał wiedzieć.

– Gorzko pożałujesz, jeśli coś przemilczałeś – ostrzegł go giermek Ota i schował miecz do pochwy. Przyprowadził konie, najpierw pomógł wsiąść

Ludmile, a potem sam wskoczył na siodło. – Zapamiętaj tę lekcję – zawołał przez ramię. – I bądź wierny swojej żonie!

Ledwie oddalili się z zasięgu głosu, Ludmiła spojrzała nań zdumiona i oznajmiła:

– Zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że masz inny pogląd na małżeństwo. A to, jak go usadziłeś, było bardzo trafne. Jak na to wpadłeś?

– Wyobraziłem sobie, co byś mi powiedziała, gdybyś chciała ukarać mnie za moje grzechy – odparł swawolnie i cmoknął na swego konia. Ruszył cwałem przez trawiastą równinę w stronę szlaku.

Ludmiła tylko pokręciła głową. Nie wiedziała, czy się złościć, czy śmiać. Musiała jednak przyznać, że świetnie się bawi. Ponagliła konia i bez większego wysiłku pognała za Otą.

ROZDZIAŁ XIX

Z Baszty Rybackiej Oldrzich z Chlumu podążył szeroką ulicą w stronę rynku. W głowie miał kilka pomysłów, które musiał jak najszybciej sprawdzić. Wciąż błądził, więc postanowił obrać inną metodę śledztwa. Zamiast badać wydarzenia od początku, zacznie od końca. Przynajmniej na chwilę przestanie się zamęczać tym, kto stoi za zbrodniami i jakie właściwie ma powody, ale zacznie postępować jak rybak ze splątaną siecią. Musi znaleźć ostatnie oko i od niego będzie zmierzał dalej. Ponadto miał nadzieję, że Ota wyjaśni w Czechach sprawy, o które daremnie byłoby pytać we Wrocławiu. Postanowił zacząć od nocnego ataku. Od razu nasuwały mu się cztery pytania. Dlaczego nieznajomemu, który kazał się nazywać Kasprem, pomagał karczmarz z Piwnicy Świdnickiej? Z tym wiązała się również kwestia: dlaczego Kasper zabił swojego pomocnika? Kolejną zagadką było to, jak morderca dowiedział się o miejscu pobytu Oldrzicha. Znali je tylko Maryla i wójt Przech, Oldrzich nie wyjawił go nikomu więcej. Natomiast czwarte pytanie dotyczyło roli, jaką w całej sprawie odegrał ten cysters, ponieważ obaj panowie ze Szvabenic interesowali się klasztorem. Wypytywał go również Oldrzich, choć strzelał

trochę na oślep. A kilka godzin później do jego izby zakradł się morderca. Czy te zdarzenia były ze sobą powiązane?

Na rynku panował taki sam ruch jak uprzednio. Doroczny jarmark trwał w najlepsze. Wokół kramów tłoczyli się ludzie, przekupnie wykrzykiwali swoje oferty, klienci targowali się zawzięcie. Po wczorajszej burzy niebo znów się rozjaśniło. Oldrzich z Chlumu zatrzymał się przy stoisku, na którym jakiś andaluzyjski kupiec sprzedawał srebrne klejnoty mauretańskie. Po chwili wahania prokurator królewski wskazał szeroki pierścień, ozdobiony misternie czarnymi inkrustacjami. Krótko się targowali, ale kupiec okazał się rozsądny i ostatecznie zaproponował przyzwoitą cenę. Oldrzich z Chlumu zapłacił i schował pierścień do skórzanej sakwy przytroczonej do paska. Maryla bez wątpienia na niego zasłużyła.

Udał się do Piwnicy Świdnickiej. Nie tylko po to, żeby wręczyć pierścień, ale chciał też sprawdzić, czy Maryla nie wyjawiła miejsca ich pobytu którejś ze swoich towarzyszek.

Kiedy wszedł do izby, Maryla leżała obok syna cyrulika. Przytulała się do niego i poważnie o czymś rozmawiali.

– Zostaw nas na chwilę samych – polecił mu Oldrzich z Chlumu.

Młodzieniec ochoczo wstał. Na nagie ciało wciągnął spodnie i wybiegł z izby. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Oldrzich z Chlumu usiadł na skraju łóżka i wydobył pierścień z sakiewki.

– Daj mi rękę – powiedział i wsunął go na palec zdumionej Maryli.

– To chyba nie mają być zaręczyny? – odparła wesoło. Było już jasne, że jej rana nie okazała się tak poważna, na jaką początkowo wyglądała. Młoda dziewczyna szybko wracała do sił. O prostytutkach mawiało się, że tak jak koty mają dziewięć żywotów. Wsparła się na ramieniu i spróbowała pocałować Oldrzicha.

– Coś mi się wydaje, że już nie potrzebujesz tego łóżka – stwierdził, zadowolony z jej powrotu do zdrowia.

Natychmiast opadła z powrotem na poduszki i jęknęła, jakby cierpiała z bólu. Potem spojrzała na niego i poprosiła cicho:

– Pozwól mi tu jeszcze trochę zostać. Ja wiem, że nie chcesz się kochać, a niczym innym zapłacić ci nie mogę, ale to dla mnie bardzo ważne. Wydaje mi się, że podobam się temu młodzieńcowi. Chociaż wie, kim jestem i jak do tej pory żyłam, nie przeszkadza mu to. Daj mi, proszę, szansę, żebyśmy mogli jeszcze chwilę być razem.

– Niech ci się uda – odparł nieco roztargniony. Zazwyczaj, gdy prowadził śledztwo, nie musiał się zajmować niczym innym. Jednak tutaj ciągle stawały mu na drodze zupełnie nieistotne przeszkody. Pomyślał, że być może właśnie dlatego tym razem idzie mu jak po grudzie. – Przyszedłem właściwie z innego powodu – rzekł ostrzej, niż zamierzał. – Marylo, to bardzo ważne! Czy powiedziałaś komuś, że zatrzymałem się w Piwnicy Świdnickiej?

Młoda prostytutka na moment się zamyśliła. Bez wątpienia wnikliwie próbowała sobie przypomnieć. Potem pokręciła głową.

– Nie mam zwyczaju rozpowiadania takich rzeczy.

– Wierzę ci. Jednak to naprawdę bardzo istotne. Czy mogło ci się to niechcący wyrwać?

– Na pewno nie. A poza tym nawet nie wiedziałam, że będziesz tu spał. Po prostu wcale się nad tym nie zastanawiałam. Dopiero wczoraj wieczorem, kiedy zaczęło padać. Wiesz, ja nigdy nie rozmyślałam zbytnio o przyszłości. Aż do teraz. Myślisz, że byłabym dobrą żoną?

– Dlaczego nie? – odparł trochę nieuważnie. Jeśli o jego pobycie w tej karczmie Maryla nikomu nie powiedziała, musiał go zdradzić wrocławski wójt. Oldrzich z Chlumu nie podejrzewał, że wójt ma coś wspólnego ze

złoczyńcami, mimo tych jego usilnych prób szybkiego zamknięcia śledztwa. Był to jednak człowiek gadatliwy i zarozumiały, a z takich sprytny przestępca łatwo wyciągnie to, czego potrzebuje. Szybko rozważył, czy powinien spróbować porozmawiać o tym z wójtem, ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Podczas jarmarku wójt z pewnością rozmawiał z setkami ludzi dziennie. Ten trop musi poczekać. – Jeszcze o coś chciałem spytać – rzekł po krótkim milczeniu. – W nocy ten człowiek zabił tutejszego pomocnika karczmarza. Znałaś go.

– Mateusz nie żyje? – rzuciła zaskoczona i szybko się przeżegnała. Zrobiła to lewą ręką, ponieważ prawe ramię miała mocno obwiązane pasem płótna. – Oczywiście, że go znałam. Jak większość z nas. Nie zapominaj, że korytarzem z karczmy Pod Złotym Dzbanem można uciec właśnie tutaj.

– Jakim był człowiekiem?

– Lubił pieniądze. Jeśli wśród naszych klientów wypatrzył kogoś tutejszego i szanowanego, zwykle kazał sobie płacić za milczenie. Szantażował go, rozumiesz?

– A wasi klienci na to pozwalali?

– Rzeźnik Zieliński raz stłukł go tak, że dawali mu ostatnie namaszczenie. Potem działał już ostrożniej. Nie był dobrym człowiekiem.

– Pochodził z Wrocławia?

– Nigdy się tym nie interesowałam. Ale myślę, że nie. Ktoś mówił, że urodził się gdzieś na wsi. I podobno dlatego miał sposób bycia bezdomnego psa. Ja myślę, że nie był znów taki straszny, znam gorszych, ale prawdą jest, że nikt za nim nie przepadał.

– Miał przyjaciół?

– Dużo ode mnie oczekujesz. Na pewno spotykał się z pomocnikami z innych karczm. Mają swój cech tak samo jak my. Ale to nie jest przyjaźń. Im też chodzi o pieniądze i o to, kto będzie służył w lepszej karczmie. Co

robił poza tym, naprawdę nie wiem. Jeśli jednak miał przyjaciół, to na pewno nie do grzechu sodomskiego. Większość z nas za pomoc musiała przed nim za darmo podnosić kiecki.

– Czyli ty o tej karczmie naprawdę nikomu nie powiedziałaś? – upewnił się jeszcze raz Oldrzich z Chlumu.

– Wiem, że prostytutkom nikt nie wierzy – westchnęła. – Ale wiem też, co mówię i robię. Dlatego wybacz mi tę uwagę, nie chcę być zuchwała, ale spróbuj i ty sobie przypomnieć, czy aby się komuś nie wygadałeś.

– Nie gniewam się, ale i ja wiem, co mówię i robię. Oprócz ciebie wiedział o tym tylko wójt. A on mógł powiedzieć komukolwiek. Nie ruszę więc dalej.

Zmarszczyła brwi. Robiła to zawsze, kiedy zaczynała się usilnie zastanawiać. Oldrzich z Chlumu z przyjemnością ją obserwował. Maryla była naprawdę piękną panną.

– Wiesz, kto jeszcze o tym wiedział? – odezwała się nagle. – Przecież karczmarz i ta dziewczyna, która służy w kuchni. Jest gadatliwa, że aż strach, znam ją. W nocy zabiera nam klientów, ale nic z tym nie zrobimy, bo karczmarz ją chroni.

– Tyle że to równie bezwartościowa informacja jak w przypadku wójta. Tych dwoje mogło niechcący zdradzić to komukolwiek. Jak się dowiedzieć, kto nas dziś w nocy napadł? – westchnął szczerze. – Wójt tego łotra nie zna, ale Mateusz, tutejszy pomocnik, najprawdopodobniej go znał. Co może ich łączyć?

– Może ten drugi też był pomocnikiem karczmarza.

– Przecież mówiłem, że w mieście go nie znają.

– To nic nie znaczy. Podczas jarmarku karczmarze mają tyle pracy, że prawie wszyscy przyjmują kogoś do pomocy. A ponieważ miejscowi są drodzy, biorą mężczyzn i kobiety ze wsi. Oczywiście w tajemnicy,

ponieważ wójt niechętnie na to patrzy, miejskie przepisy pozwalają bowiem na zatrudnianie tylko członków cechu. Dobry pomocnik w karczmie jest cenniejszy niż złoto. Jeśli któryś się sprawdzi, karczmarz zrobi wszystko, żeby go zatrzymać. Znam takich, którzy i dziesięć lat wracają ciągle do tej samej karczmy. Pracują wprawdzie tylko wtedy, kiedy jest dużo gości, czyli podczas jarmarków oraz w czasie karnawału i odpustów. A potem znów znikają z miasta. Ci dorywczy pomocnicy oczywiście znają się z pozostałymi pomocnikami. A przynajmniej z niektórymi. Tak to po prostu jest. Ale nikt nie będzie donosił wójtowi, jeśli tego zabitego ktoś zatrudniał nielegalnie. Ty może na takie rzeczy patrzysz inaczej, ale dla nas donosicielstwo to niegodziwość.

– Dziękuję za szczerość. – Oldrzich z Chlumu skinął głową. – Jeśli masz rację i ten człowiek gdzieś nielegalnie pracował, to i tak nie pomoże mi to w śledztwie, ponieważ, tak jak mówisz, wszyscy będą milczeć.

– Przy tobie tak – zgodziła się spokojnie. – Tylko że on próbował zabić również mnie. A to zniewaga dla mojego cechu.

– Czy to oznacza, że jest nadzieja?

– Muszę najpierw porozmawiać z jedną kobietą – odpowiedziała ostrożnie.

– Przyprowadzę ci ją tutaj – zaoferował się Oldrzich z Chlumu.

– W żadnym wypadku! Nie mogę wyjawić ci jej imienia. Muszę to załatwić sama.

– Tyle że nie możesz wstawać. Zaszkodziłabyś sobie. Studiowałem nauki medyczne. Uwierz mi, proszę.

– A ty uwierz mi. I wróć po obiedzie.

Oldrzich z Chlumu znów udał się na rynek. Słońce tymczasem przesuwało się po niebie, obiecując kolejny piękny letni dzień. Tłum

między kramami jeszcze zgęstniał. Przypadkiem usłyszał, że wszystkie bramy są zapełnione odwiedzającymi i czeka się tam aż godzinę. W duchu podsumowywał, czego właściwie się dowiedział. Pierwszy problem: jak morderca się o nim dowiedział, musiał na razie odłożyć. Uświadomił sobie jednak, dlaczego ów nieznajomy zabił pomocnika. Jeśli Mateusz naprawdę był szantażystą, w jego ręce dobrowolnie nie oddałby się żaden przestępca. Ponadto możliwe, że nie wyjawił Mateuszowi prawdziwego powodu swej wizyty w pokoju jednego z gości. Był skrupulatny i pozbył się niewygodnego świadka jeszcze przed popełnieniem zaplanowanego morderstwa. To by wszak oznaczało, że człowiek zwany Kasprem nie był nowicjuszem w popełnianiu zbrodni. Jednocześnie nie był też doświadczonym zabójcą. Ktoś wpadł na Oldrzicha z Chlumu i z zamyślenia wyrwał go męski głos.

– Wybacz.

Mimo iż myśli miał zajęte innymi sprawami, w mgnieniu oka przesunął rękę na pas. Znał tę sztuczkę. Zdążył w ostatniej chwili uchwycić swoją sakiewkę, którą ów człowiek zręcznie odciął i próbował zabrać. Kiedy jednak się zorientował, że mu się nie udało, puścił mieszek, odwrócił się i zniknął w tłumie. Oldrzich z Chlumu nie chciał zwracać na siebie uwagi, dlatego nie zaczął krzyczeć, tak jak czyniło się w podobnych sytuacjach, aby zaalarmować straże miejskie. Spokojnie skierował się w stronę stoisk, gdzie swoje towary wystawiali białoskórnicy, i kupił nowy rzemień, którym zastąpił ten przecięty. Potem na powrót przywiązał sakiewkę do pasa.

Zrozumiał, że Maryla ma rację. Podczas jarmarku w mieście przebywało mnóstwo ludzi, którzy utrzymywali się na wszystkie możliwe sposoby, tylko nie te uczciwe. Dla kogoś, kto trochę znał półświatek, nie było oczywiście problemem wynajęcie człowieka, który za pieniądze nie zawaha się nawet zabić. Było to smutne świadectwo o stanie

chrześcijańskiego społeczeństwa, ale stanowiło niezaprzeczalny fakt. Dowodziło również pewnego istotnego szczegółu. Ten, kto stał za tymi wszystkimi zbrodniami, musiał mieć do czynienia z półświatkiem. A to niemal wykluczało wysoko postawionego prałata czy członka książęcego dworu.

Bezwiednie skręcił w szeroką ulicę, która wiodła do klasztoru cystersów. Już z daleka było widać rusztowania budowanego kościoła. Przeszedł obok Brzucha Węża i zajazdu U Świętego Ludwika. Kłębił się w nich tłum, a z otwartych okien na ulicę wylewał się gwar. Brata Augustyna zastał kłócącego się z mistrzem warsztatu kamieniarskiego.

Oldrzich z Chlumu stanął w przyzwoitej odległości obok niedokończonego portalu ozdobionego postaciami patronów Śląska, wśród których wyróżniał się święty Wojciech. Oparł się o kamienną, przyjemnie chłodną ścianę i cierpliwie czekał.

Brat Augustyn zauważył go dopiero po chwili. Jeszcze zaczerwieniony ze złości, wrzasnął coś lekceważącego pod adresem wszystkich kamieniarzy i ruszył mu naprzeciw.

– Mówiłeś, żebym zajrzał, gdy będę przechodził – przywitał się z nim przyjaźnie Oldrzich z Chlumu. – Zdaje się, że przychodzę w samą porę. Czy mogę cię zaprosić na miód? Spłuczemy gorycz, która cię trapi.

– Wszyscy rzemieślnicy są łotrami. Jeden kielich nie wystarczy – poskarżył się cysters, ale ochoczo przeszedł pod wspaniałym portalem i ruszył w stronę zajazdu.

Wewnątrz panowała ciżba, niemniej mały stolik w rogu, gdzie siedzieli wczoraj, okazał się wolny.

Zakonnik od razu się ku niemu skierował.

– Trzyma go dla mnie – wyjaśnił z dobroduszną pychą. – Karczmarka jest pobożną kobietą, a ja jestem dobrym klientem.

– Miodu, ale najlepszego, jaki tu macie – polecił Oldrzich z Chlumu. Poczekał, aż cysters usiądzie, po czym wygodnie usadowił się naprzeciwko niego.

– Wczoraj wieczorem lało tak, że aż dziw, że nie musiałem tu spać – poskarżył się brat Augustyn. Mimo iż było dopiero przedpołudnie, wydawał się wyraźnie podpity. – Nie uwierzyłbyś, jakim brzemieniem obarcza nasz Pan swoje wierne sługi. Na zdrowie!

Miód miał złotawą barwę i słodko-gorzki zapach. Oldrzich z Chlumu musiał przyznać, że jest naprawdę wyborny. Poznał to od razu, ponieważ był to jego ulubiony napój. W przeciwieństwie do wina, na którym z kolei znała się jego żona, ponieważ podczas swojego pobytu w klasztorze we Francji pijała je codziennie. Przy stole za bratem Augustynem dostrzegł wysłannika francuskiego króla – Jeana d'Angulléme'a i jego dwóch przyjaciół, z którymi przedwczoraj dyskutowała tu Ludmiła. Pochyleni ku sobie, poważnie o czymś rozprawiali.

– Bywałeś tu również z moim przyjacielem Rolandem? – spytał zakonnika jak gdyby nigdy nic. Potrafił rozmawiać z udawaną obojętnością, aby nie budzić podejrzeń.

– Nawet nie pamiętam – pokręcił głową cysters. – Jego interesowała bardziej budowa niż karczma. Byłby z niego dobry zakonnik. Ale ty podobasz mi się o wiele bardziej. – Dopił i poczekał, aż pomocnik karczmarza mu doleje.

– Dziwne, że się tutaj nie zatrzymał – ciągnął Oldrzich z Chlumu, jakby właśnie teraz przyszło mu to do głowy. – Przecież tu mieszkają sami Francuzi. Byłby między swoimi.

– Widzisz, nie pomyślałem o tym. Może było dla niego za drogo.

– To możliwe. On jest wprawdzie zamożny, ale oszczędny. Nie wiesz, czy miał tu jakichś przyjaciół?

– Raz wspomniał, że chętnie by zamieszkał na Śląsku. Podobno kupił małą posiadłość niedaleko stąd. Potem jednak przestał do mnie przychodzić.

– Nie powiedział ci gdzie? Chętnie bym go odwiedził.

– Owszem, powiedział. Nawet pomyślałem wówczas, że to wcale nie taka mała posiadłość. Piękna, okazała twierdza. Albo raczej mały zamek. Szczepanów, konno pół dnia drogi z Wrocławia. Akurat trochę znam te okolice. Nasz klasztor posiada tam kilka wsi. Kierowałem tam budową kościoła.

– Nie wiesz, do kogo ten Szczepanów należał wcześniej? I czy Roland go kupił? Nie chciałbym się tam tłuc, żeby się przekonać, że go tam nie ma.

– W tym ci nie pomogę. Weźmiemy jeszcze jeden dzbanek? – spytał nieco ociężale cysters. Większość miodu wypił on. Oldrzich z Chlumu natychmiast przywołał pomocnika.

– Cieszysz się tu uznaniem – pokiwał głową brat Augustyn, ponieważ dzbanka tym razem nie przyniósł pomocnik. Karczmarka pofatygowała się osobiście.

Giermek Ota miał rację. Była to kobieta o wybitnej urodzie, chociaż chyba starsza, niż wskazywałby na to jej wygląd. Piękne rude włosy miała splecione w wysoki warkocz, do którego srebrną spinką był przymocowany mały biały czepek na znak, że karczmarka jest mężatką.

– Wczoraj też cię tu spostrzegłam – zwróciła się do Oldrzicha. Nalała im i uprzejmie spytała, czy i ona mogłaby wypić z nimi kieliszek.

– Ależ oczywiście, słoneczko – rozpromienił się zakonnik. Wstał, trochę się zachwiał i musiał przytrzymać się stołu. Walnął w plecy młodzieńca, siedzącego naprzeciwko, i głosem niecierpiącym sprzeciwu nakazał mu wstać. Jego stołek przysunął do swego stołu. Młody człowiek, mrucząc coś pod nosem, wcisnął się na ławkę obok swoich towarzyszy. – O czym to

mówiliśmy? – spytał brat Augustyn, gdy trochę zdyszany wrócił na swoje miejsce.

– Że mają tu wyborny miód – przypomniał Oldrzich z Chlumu i uprzejmie przepił do karczmarki, aby Bóg trzymał swą rękę nad jej lokalem.

Podziękowała mu po francusku.

Również Augustyn przeszedł na swój ojczysty język. Oldrzich z Chlumu wprawdzie trochę rozumiał, ale udawał, że w ogóle nie wie, o co chodzi.

– Przepraszam – rzekł pokornie – ale nie władam tym językiem.

– A jak się dogadujesz ze swoim przyjacielem Rolandem? – spytał ciekawie cysters. – On nie zna niemieckiego.

– Mówi przecież po czesku. Czyż nie bywał w Kutnej Horze? – zdziwił się Oldrzich z Chlumu i obrzucił krótkim badawczym spojrzeniem twarz karczmarki. Wydawało mu się, że w jej oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– To prawda – przytaknął z zadowoleniem mnich i znów się napił.

– Ja cię tu wczoraj nie widziałem, czcigodna pani, i bardzo mnie to zasmuciło, ponieważ brat Augustyn opowiadał mi o twej urodzie – szybko zmienił temat Oldrzich z Chlumu. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że możemy razem wypić kieliszek miodu?

– Oczywiście nie temu, dlaczego kobiety siedzą razem z mężczyznami – odparła chłodno. – Właściwie chciałam ci tylko coś doradzić. Wczoraj, kiedy szłam na targ, zobaczyłam cię przypadkiem przed Brzuchem Węża z jedną wymalowaną ladacznicą. Omijaj to miejsce. To jaskinia łotrów. Bogatego tam okradną, a mogą i zabić. Chciałam cię ostrzec, bo wydajesz się porządnym człowiekiem. – Wychyliła kieliszek

miodu niczym doświadczony pijak. Potem wstała, lekko się ukłoniła i eleganckim krokiem ruszyła z powrotem w stronę drzwi do kuchni.

– Podobasz się jej – mówił brat Augustyn, a język nieco mu się plątał. – Zazwyczaj nie przysiada się do gości. Wyciągnął rękę z pustym kieliszkiem, ale Oldrzich z Chlumu położył na dzbanku swoją potężną dłoń.

– Nie, pobożny bracie. Najpierw dokończymy naszą rozmowę. Pytałem, co wiesz o Szczepanowie.

– No tak, ten przeklęty Roland – pokiwał głową i zmarszczył czoło w skupieniu. – O ile mi wiadomo, to majątek należał do pewnego bardzo leciwego rycerza. Jakiegoś Radowicza. Chyba umarł i może to dlatego twój przyjaciel mógł kupić tę posiadłość.

– To powinno być zapisane w księgach ziemskich, nie wydaje ci się?

– Na pewno tam jest. I nalej mi albo umrę z pragnienia.

Oldrzich z Chlumu podał mu cały dzbanek i wytłumaczył się, że ma jeszcze do załatwienia pilną sprawę. Zakonnik wstał chwiejnie, przeżegnał go, po czym objął i ucałował prokuratora królewskiego jak swego najlepszego przyjaciela. Zaraz potem na powrót ciężko opadł na krzesło.

ROZDZIAŁ XX

To jest delikatna kwestia. – Wójt podrapał się po głowie z zakłopotaniem, kiedy Oldrzich z Chlumu przedstawił mu swoją prośbę o sprawdzenie w księgach ziemskich wszystkiego, co zapisano o majątku Szczepanów. A przede wszystkim tego, kto jest jego obecnym właścicielem.

– Dostęp do zapisów mają tylko starosta i notariusz. A poza tym oczywiście szlachetny pan Władysław, administrator biskupstwa, ponieważ jest synem naszego księcia. Ale jak ja miałbym się do nich dostać?

– Nie opowiadaj bajek – zirytował się Oldrzich z Chlumu. – Gdybyś prowadził śledztwo, starosta udostępniłby ci potrzebne informacje. Tak to działa wszędzie.

– To prawda, ale ja teraz nie prowadzę żadnego ważnego śledztwa. Sprawa zabójstwa pana Slavibora jest przecież zamknięta. Jeślibym się zwrócił z taką prośbą, musiałbym to jakoś wiarygodnie umotywować.

– Mam kogoś zabić, żebyś miał powód?

– Czego ode mnie chcesz? – zdenerwował się wójt Przech. – Ciesz się, że dotrzymuję umowy. Nikomu nie powiedziałem o tobie ani słowa, to nie wystarczy?

Oldrzich z Chlumu skinął głową i zaczął się zastanawiać. Chociaż Przech miał wiele wad, spośród których za najgorszą uważał swobodne interpretowanie sprawiedliwości, to nie można mu było odmówić mądrości i sprytu. Jeśli teraz zaklinał się, że nikomu nie pisnął ani słowa, to Oldrzich mu wierzył. To jednak oznaczało, że i od niego zabójca nie mógł się dowiedzieć, w której karczmie Oldrzich się zatrzymał. Prokurator zmienił ton.

– Ja to wszystko rozumiem, panie wójcie, ale i ty mnie zrozum. Według mojego śledztwa Szczepanów kupił ów zaginiony rycerz, którego szukam. A potem zniknął. Muszę się tylko dowiedzieć, czy doszło do kupna.

– A niby skąd wziąłby tyle pieniędzy? Wypytywałem o niego, żeby ci pomóc. To zwykły rycerz, jakich znajdziesz na pęczki. I z pewnością nie bogaty.

– Nie wiem, skąd wziął te pieniądze – przyznał Oldrzich z Chlumu. – Ale tymi dobrami naprawdę się interesował. Chciał tam zamieszkać. Czy waszemu staroście nie wystarczyłoby wyjaśnienie, że natrafiłeś na pewną dziwną okoliczność? Pozornie ubogi rycerz rozgłasza, że kupił posiadłość. Może chodzi o podstęp. Mógł kupić majątek pod fałszywym imieniem. A może nawet na koniec nie zapłacił. Z pewnością będziesz potrafił wymyślić odpowiedni powód. To przecież logiczne, że jako sumienny strażnik prawa chcesz zbadać tę sprawę.

– Twoja perswazja jest naprawdę bardziej niebezpieczna niż tatarskie wojsko. – Wójt rozłożył ręce w bezradnym geście. – Dobrze, spróbuję, ale niczego nie obiecuję. Gdzie cię znajdę?

– W Piwnicy Świdnickiej.

– Jak się ma ta prostytutka?

– Lepiej niż na ulicy.

– Zasługuje na nagrodę – zauważył wójt. – Doszły mnie słuchy, że zbliżyli się do siebie z tym młodzieńcem, który się nią opiekuje.

– Skąd tyle wiesz?

– Był u mnie cyrulik Jakub. Minęliście się tylko o chwilę. Powiedział, że jego wnuk zakochał się w tej dziewczynie. Tak, dokładnie tak powiedział. Ty oczywiście wiesz, że w młodości był wyznania żydowskiego. Ci ludzie są przywiązani do swojej rodziny o wiele bardziej niż my. Czują się nieustannie zagrożeni, chociaż tu, we Wrocławiu, naprawdę nic im nie grozi. Ale nie o tym chciałem mówić. On pragnie uszczęśliwić wnuka i przyszedł się poradzić, czy da się to jakoś zorganizować. Jest cyrulikiem książęcego rodu, więc nie może sobie pozwolić na skandal i wprowadzenie do rodziny prostytutki.

– Rozumiem. Z drugiej strony rozumiem też jednak, dlaczego jest skłonny spełnić prośbę wnuka. Żydowi, choć przyjął wiarę chrześcijańską, trudno byłoby znaleźć mieszczankę. Do jakiego wniosku doszliście?

– Nasz książę może wydać dokument, w którym ogłosi, że Maryla jest osobą prawą. Taki przywilej nadaje się wszak tylko jako wyjątkową nagrodę. Albo za mnóstwo denarów. Jakub jest wprawdzie bogaty, ale nie chce trwonić pieniędzy. Ta prostytutka zapobiegła morderstwu podczas jarmarku. Została ranna. Oczywiście nie zdradziłem Jakubowi, kim jesteś. Ale jeśli książę by się dowiedział, że Maryla ocaliła życie ulubieńcowi czeskiego króla Przemysła, niewątpliwie by ją nagrodził. I mógłby się odbyć porządny ślub.

– To nie jest takie proste, jak sobie wyobrażasz – pokręcił głową Oldrzich z Chlumu. – Ale pomyślę o tym. Czekam na ciebie w Piwnicy Świdnickiej. – Skinął na pożegnanie, wstał od stołu i opuścił siedzibę wójta.

Zbliżała się pora obiadu. W nocy Oldrzich nie wyspał się i choć rano zjadł słuszną porcję jajecznicy, teraz czuł się zmęczony i burczało mu w brzuchu. Od strony rynku dobiegał go zwyczajny gwar. Jednak teraz nie miał nastroju na towarzystwo. Chciał być przez chwilę sam. Niemal bezwiednie skręcił w wąską uliczkę, która według jego rozeznania powinna go doprowadzić nad rzekę. Liczył na to, że w Baszcie Rybackiej znajdzie się miejsce.

Uliczka wiła się, rozgałęziała i odchodziły od niej mroczne przejścia, prowadzące nie wiadomo dokąd. Kiedy dotarł do kolejnego skrzyżowania, gdzie czuć było ługiem garbarskim, zrozumiał, że zabłądził na skraj miasta. Przez chwilę się zastanawiał, czy powinien kontynuować wędrówkę, ale ostatecznie postanowił zawrócić. Było to z pewnością bezpieczniejsze niż szwendanie się krętymi uliczkami, które mogły go zaprowadzić Bóg wie gdzie. Szybko ruszył z powrotem. Jednak już po paru krokach ujrzał przed sobą trzech włóczęgów, którzy w mgnieniu oka uskoczyli do otwartej bramy, aby się ukryć. Zdążył zauważyć, że wszyscy trzej są uzbrojeni. Zatrzymał się i położył dłoń na rękojeści miecza. Te boczne uliczki miejscami były tak wąskie, że, rozłożywszy ręce, można było dosięgnąć domów stojących po obu stronach. W tak ciasnej przestrzeni każda walka wiązała się z dużym ryzykiem, ponieważ w tych warunkach nie można się porządnie zamachnąć ani uskakiwać na boki. Napastnicy, będący w przewadze, mogliby go zaskoczyć, a w takich sytuacjach włócznie, sztylety i kamienie bywają bardzo niebezpieczne.

Wyciągnął miecz, chwycił go oburącz i zaczął iść tyłem. Nie chciał odwracać się plecami do nieznajomych włóczęgów. Jeśli miał z nimi walczyć, wolałby kilka kroków dalej, na skrzyżowaniu, gdzie było nieco więcej miejsca.

Jeden z tych, którzy go śledzili, ostrożnie wyjrzał z bramy. Kiedy się zorientował, że Oldrzich się cofa i jest przygotowany do walki, natychmiast znów zniknął. Rozległy się odgłosy jakichś zwięzłych ustaleń. Oldrzich z Chlumu miał nadzieję, że mężczyźni się rozmyślą, skoro nie udało im się go zaskoczyć. Nie docenił ich jednak. W chwili, gdy dotarł do skrzyżowania, wybiegli z bramy i ruszyli w jego stronę. Jeden miał włócznię z zardzewiałym grotem i sztylet u pasa, pozostali dwaj – stare topory na długich trzonkach.

Oldrzich z Chlumu wycofał się pod ścianę domu, aby chronić plecy. Stanął w lekkim rozkroku i czekał na atak. Włóczędzy z pewnością nie byli doświadczonymi wojownikami. Zamiast zaatakować go pojedynczo, podczas gdy pozostali próbowaliby się dostać do niego z boku, rzucili się na niego wszyscy razem. Głośno zagrzewali się do walki i dało się wyczuć ich zdenerwowanie.

Największe niebezpieczeństwo groziło ze strony mężczyzny z włócznią, dlatego skupił się na nim. Napastnik próbował go dosięgnąć, ale Oldrzich zręcznie uskoczył w bok i szybkim uderzeniem złamał drzewiec broni. Jednocześnie musiał się schylić, a tuż nad głową świsnęło mu ostrze topora, trzymanego w ręku przez drugiego z włóczęgów. Trzeci musiał poczekać, aż jego towarzysze się rozstąpią, a potem również on zaatakował. Okazało się to fatalnym posunięciem, ponieważ Oldrzichowi z Chlumu chwilowo nie groziło inne niebezpieczeństwo i mógł sobie pozwolić na kontratak. Odsunął się, ominął ostrze topora i ciął. Dosięgnął szyi napastnika. Ten krzyknął z bólu, na jego koszulę trysnęła krew. Wypuścił broń, uniósł ręce i dłońmi próbował zatamować krwawienie. Cofnął się o kilka kroków, a potem runął na ziemię. Na jego ustach pojawiła się czerwona piana.

– On go zabił! – krzyknął gniewnie ten, któremu przed chwilą Oldrzich z Chlumu złamał kopię. Pochylił się i podniósł z ziemi broń swojego

towarzysza. Zważył ją w dłoni, a potem rzucił się do ataku.

Wspomógł go kompan. Tym razem jednak działali ostrożniej. Spojrzeniami ustalali, jak zaatakują. Nagle jeden z nich zawołał:

– Na niego!

Razem ruszyli na Oldrzicha z Chlumu. Topory na długich trzonkach byłyby we wprawnych dłoniach bronią śmiertelną. Na szczęście ci dwaj nie mieli zbyt wiele doświadczenia, ale i tak zepchnęli Oldrzicha pod ścianę. Z wysiłkiem odpierał ich ataki. Ponadto przeciwnicy tym razem obrali lepszą strategię walki. Jeden atakował, podczas gdy drugi był przygotowany do zadania ciosu. Gdy tylko Oldrzich z Chlumu odparł napaść pierwszego z nich, natychmiast nacierał drugi. Było to wyczerpujące, ponieważ mógł się tylko bronić, na kontratak nie miał szans. Oddychał szybko, a po twarzy spływał mu lepki pot.

Nagle z bocznej uliczki dał się słyszeć odgłos kroków i wnet na skrzyżowaniu pojawili się dwaj mężczyźni w szerokich kapeluszach, ozdobionych zabarwionymi na czarno kogucimi piórami. Mieli na sobie długie płaszcze, pod którymi skrywali topory.

– A, Koguciarze przyszli – burknął jeden z napastników i ustąpił o krok. To samo zrobił jego towarzysz.

Oldrzich z Chlumu ponuro obserwował, co się wydarzy. Mężczyźni najwyraźniej się znali.

Ci w płaszczach wyciągnęli topory. Starszy z nich wskazał ostrzem swej broni na Oldrzicha z Chlumu i spytał, co tu się dzieje i czy przypadkiem nie potrzebują pomocy.

– Idźcie precz – odwarknął zirytowany napastnik, który na początku był uzbrojony w kopię. Zapewne był przywódcą bandy.

– Ale nas to interesuje. – Mężczyzna z kogucim piórem u kapelusza pokręcił głową z dezaprobatą. – Też chcemy zarobić parę denarów. Czy ten

człowiek ma ich przy sobie dużo?

– Skąd mam wiedzieć?

– Więc dlaczego na niego napadliście?

– Powtarzam, zostaw nas. My nie interesujemy się waszymi sprawami.

– Widzę, że jednego już zabił. Myślicie, że we dwóch dacie mu radę?

– Ma rację – odezwał się ten drugi z toporem. – Tracimy czas. We czterech załatwimy to szybko.

– Ale podzielicie się z nami – zastrzegł człowiek w kapeluszu. – Ile wam zapłacili za jego zabicie?

– Kopę denarów.

– Myślisz, że upadliśmy na głowę? Kto was wynajął?

– Ruda. Dobrze, słuchajcie. Dwie kopy już dostaliśmy, a cztery dostaniemy po skończeniu sprawy. Wystarczy?

– To przyzwoicie – skinął mężczyzna w kapeluszu i spojrzał na swojego towarzysza. Ten w milczeniu kiwnął głową. – Na niego! – zachęcił do walki pozostałych dwóch.

Oldrzich z Chlumu śledził ich rozmowę z rosnącymi obawami. Przeciwko czterem nie miał najmniejszych szans. Mocniej uchwycił miecz. Grupa napastników powoli ruszyła ku niemu. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby uciec. Mógł spróbować wykorzystać ich zaskoczenie i jeśliby mu się poszczęściło, zdołałby im umknąć. Jednak ci dwaj nowi w płaszczach bez wątpienia nie byli żadnymi nowicjuszami. Szli dwa kroki za pierwszymi napastnikami. Jeśli Oldrzich z Chlumu przebiłby się przez tych z przodu, natknąłby się na nich. Nie miał innej możliwości, musiał walczyć. W duchu szybko się pomodlił, aby jego dusza nie odeszła z tego świata nieprzygotowana.

Pierwszy z włóczęgów machnął toporem. Oldrzich łatwo odparł jego atak i przygotował się, by odeprzeć również drugiego napastnika. Okazało

się to jednak zbyteczne. Ci dwaj w płaszczach zrobili kilka szybkich kroków, od tyłu zakryli włóczęgom usta i wbili im topory w plecy. Obaj bezgłośnie osunęli się na ziemię.

– Spokojnie, spokojnie – uprzedził go starszy z mężczyzn z kogucim piórem na kapeluszu. – Przyszliśmy ci pomóc.

– Nie znam was – mruknął Oldrzich i nadal trzymał miecz w pogotowiu.

– Dziś na jarmarku, pamiętasz? Jeden chłopak zachował się bardzo niezręcznie, ale ty pozwoliłeś mu uciec. Jesteśmy kwita.

– To się zgadza – przytaknął. – Widzę, że znacie się na rzeczy. Gdybym miał dla was pracę, jak was znajdę?

– Pytaj o Koguciarzy. Ale nie jesteśmy tani. Ponadto nie zawsze bywamy tak łaskawi jak teraz. Bywaj!

Mężczyzna musnął palcem rondo kapelusza, ukrył topór i wraz ze swoim towarzyszem zniknął w bocznej uliczce.

Oldrzich z Chlumu schował miecz i niemal biegiem wrócił krętą uliczką w stronę rynku. „Znów podczas jarmarku dobyłem miecza", uświadomił sobie raczej ironicznie niż z obawą. Grunt zaczynał mu się palić pod stopami, najlepiej byłoby jak najszybciej opuścić Wrocław. Musiał jednak jeszcze załatwić kilka spraw.

Gdy tylko zobaczył rozległe targowisko, odetchnął. Szybko przemknął przez tłum i pośpieszył do swojej izby w Piwnicy Świdnickiej.

Maryla leżała pod kołdrą. Wnuk cyrulika, Piotr, siedział na stołku przy łóżku i karmił ją kaszą z miski. Kiedy wszedł prokurator królewski, prostytutka usiadła i poprosiła Piotra, żeby zostawił ich na chwilę samych.

– Poprosił mnie o rękę – oznajmiła radośnie, ledwie Oldrzich z Chlumu podszedł do niej i usiadł.

– Gratuluję. Ale dlaczego cię karmi? Pogorszyło ci się?

– Czuję się dobrze. Karmi mnie, bo mi się to podoba – śmiała się szczęśliwa. Potem spoważniała i wskazała na skraj płaszcza Oldrzicha. Widniała na nim krwawa plama. Z przerażeniem spytała:

– Czy ktoś cię zranił?

– Napadli mnie, ale wszystko dobrze się skończyło. Pomogli mi Koguciarze. Znasz ich?

– Koguciarze? – pisnęła przestraszona. – Trzymaj się od nich z daleka, mój panie. Co cię z nimi łączy?

– To nieistotne. Dowiedziałaś się czegoś?

– A jak myślisz? – Skinęła niepewnie głową i jeszcze raz spojrzała z troską na krwawą plamę. Potem zwróciła twarz ku prokuratorowi i była to już znów dawna Maryla. Oblizała usta i szepnęła kusząco:

– Pocałuj mnie. Zasługuję na to. To jest cena za moją pomoc.

Nie zamierzał się z nią spierać. Nachylił się i lekko dotknął ustami jej policzka. Tymczasem ona uniosła zdrową rękę, oplotła ją wokół szyi Oldrzicha, przyciągnęła go do siebie i zaczęła namiętnie całować.

Ostrożnie wysunął się z jej objęć i niemal bez tchu znów usiadł. Pokręcił karcąco głową.

– Oj, panno, panno, jeśli będziesz całować każdego, kogo spotkasz, nikt się z tobą nie ożeni.

– Nie całuję każdego, tylko ciebie. Nikt nie zrobił dla mnie tyle co ty. A teraz posłuchaj – spoważniała. Poprawiła dłonią potargane włosy i ściszyła głos. – Ten, który na nas napadł w nocy, naprawdę pracował jako pomocnik w jednej karczmie przy tej samej ulicy, przy której znajduje się Brzuch Węża.

– U Świętego Ludwika? – zawołał zaskoczony Oldrzich.

– Właśnie tam. Jak się naprawdę nazywał, tego nie wiem, ale podobno od czasu do czasu pojawiał się we Wrocławiu. Na stałe służył

w Szczepanowie. To niewielki zamek niedaleko stąd, przy drodze do Legnicy.

ROZDZIAŁ XXI

Kolejni zabici – skarżył się wójt Przech, gdy tuż po obiedzie pojawił się w Piwnicy Świdnickiej. – Tegoroczny jarmark jest chyba przeklęty.

– Czy te morderstwa mogą mieć związek z naszym śledztwem? – spytał spokojnie Oldrzich z Chlumu. Zaprowadził wójta do swojej izby, gdzie pomocnik karczmarza przyniósł im piwo jęczmienne i miskę gotowanych raków. Mieli tu większy spokój niż na dole w karczmie.

– Nasza sprawa jest zamknięta – odparł znacząco wrocławski wójt. Chwycił w rękę raka i czubkiem sztyletu jął wydłubywać delikatne białe mięso. Z zadowoloną miną kontynuował: – Najprawdopodobniej pobiły się dwie bandy. Znaleźliśmy trzech martwych. Dwóch mężczyzn te łotry zamordowały od tyłu, tak postępują tylko szumowiny. Rycerz by się tak nie zachował. Ale pomówmy o tych księgach ziemskich. Miałem szczęście, szlachetny pan starosta był w dobrym nastroju i wysłał mnie do skryptorium, żeby pisarz znalazł mi wszystko, czego potrzebuję. Skąd masz informacje o Szczepanowie?

– Po prostu o tym słyszałem.

– Czyli ktoś cię okłamał – wzruszył ramionami Przech, odłożył skorupę raka i sięgnął po kolejnego. – Te informacje są fałszywe. Właścicielem Szczepanowa już od dziesięciu lat jest rycerz Radowicz. Nie umarł i nikt w skryptorium nigdy nie słyszał o sprzedaży tych dóbr. Możesz przyjąć to za pewnik, ponieważ książęcym notariuszem jest jego stryjeczny brat.

– Jak się nazywa?

– Kozuch. Ma piękny dwór za rzeką.

– Wiesz coś więcej o tym Radowiczu?

– Popytałem trochę. To stary człowiek, ale o doskonałym zdrowiu. Od dawna jest wdowcem i nie ma dzieci. Cieszy się szacunkiem z racji swojej pobożności, a cały majątek przekazał kapitule. Zostało to zapisane w księgach grodzkich.

– Dlaczego nie przekazał majątku kuzynowi?

– Prawdopodobnie nie utrzymują ze sobą kontaktów. Gdy spytałem o to pisarza, odparł, że jego interesuje tylko to, co zostało zapisane w księgach grodzkich. – Wrocławski wójt się skrzywił. – Tak czy inaczej, posłuchaj mojej rady. Wracaj do domu, prokuratorze królewski. Tu naprawdę nic już po tobie. Gdyby jednak dręczyło cię sumienie, uwierz mi, że tego, kto stał za tymi niegodziwościami, Bóg pewnego dnia ukarze.

– Tyle że zanim złoczyńca stanie przed ostatnim i najsprawiedliwszym sądem, może jeszcze na ziemi nawyrządzać krzywd uczciwym chrześcijanom. Naszym obowiązkiem jest chronienie bezbronnych i uczciwych. Bóg jest bez wątpienia sprawiedliwy, ale nie można wszystkiego na niego zrzucać. Stwórca dał swoim dzieciom rozum i serce, a niektórym również miecz. To zobowiązanie. Gdyby tego nie chciał, nie uczyniłby części z nas rycerzami albo wójtami – tłumaczył surowo Oldrzich z Chlumu.

Trochę się zasępił, ponieważ uważał to za zupełnie oczywiste. Mimo to musiał tę prawdę nieustannie przypominać. Wcześniej zdumiewało go i zasmucało, jak obojętni bywają wielcy tego świata wobec cierpienia prostego ludu. Teraz już się temu nie dziwił, rozumiał bieg świata i porzucił iluzje na temat władców. To jednak nie oznaczało, że zacznie się zachowywać równie pogardliwie.

– Jesteś sędzią albo kaznodzieją? – burknął z irytacją wrocławski wójt i odłożył niedojedzonego raka do miski, jakby przestał mu smakować. – Myśl sobie, co chcesz, ale ja więcej zrobić nie mogę. A dziś mam na głowie kolejnych trzech zabitych. Dowódca się wścieka, a ja muszę znaleźć morderców, rozumiesz? – Powoli podnosił głos, krew zaczynała się w nim burzyć. – Łatwo ci mówić, bo zajmujesz się tylko jedną sprawą. Ale w mieście żyje się inaczej. Ja muszę codziennie zajmować się dziesiątkami przestępstw. Skąd mam na to wszystko brać czas? A ludzie? Wiesz, z jakimi tępakami często muszę pracować? – Cisnął na ziemię sztylet, który trzymał w ręku, i wrzasnął: – Czego, do diabła, jeszcze ode mnie chcesz?

– Niczego – spokojnie pokręcił głową Oldrzich z Chlumu. – Rozwiązuję tylko swój jeden nic nieznaczący przypadek. Robię to najlepiej, jak potrafię, ponieważ, podobnie jak ty, kiedyś stanę przed obliczem Boga i będę się spowiadał ze swoich ziemskich czynów.

Wrocławski wójt gniewnie chwycił dzbanek i upił potężny łyk, aż mu podskoczyła grdyka. Odstawił go na stół, wstał, podniósł z podłogi sztylet i na powrót usiadł na krześle. Równie szybko, jak wpadł w złość, teraz się uspokoił. Wziął z miski niedojedzonego raka i jakby nic się nie stało, dodał:

– Więc czego jeszcze potrzebujesz?

Oldrzich z Chlumu uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową na znak, że docenia jego starania. On również się napił, w izbie było tak gorąco i duszno jak na zewnątrz.

– Kiedy prowadzę jakąś sprawę, zwykle naradzam się ze swoimi pomocnikami. Omawiamy wszystkie fakty, stawiamy hipotezy, analizujemy ich mocne i słabe punkty. Czasami jest to męczące i długotrwałe, ale lepiej nie umiem – tłumaczył wrocławskiemu wójtowi, jakby się przed nim usprawiedliwiał. – I oczywiście zawsze staram się jak najlepiej poznać tych, których podejrzewam. Co wiesz o tej rudej karczmarce, właścicielce zajazdu U Świętego Ludwika? Tam obok klasztoru cystersów.

– Masz na myśli Celestę? Dlaczego akurat ona przyszła ci do głowy? – rzucił zdziwiony wójt. Na chwilę się zamyślił, a potem bardziej do siebie niż do Oldrzicha mruknął: – Ależ tak, właśnie tak mogło być. – Podniósł wzrok i z nieskrywanym szacunkiem ciągnął: – To trochę nieszczęśliwa kobieta. Pierwszy mąż jej się utopił, drugiego zabili rabusie. Czasem się napije, a między ludzi zbytnio nie chodzi, chociaż wciąż jest piękna i z pewnością kogoś by sobie znalazła. Nigdy nie było z nią żadnych problemów. Powinienem więc odpowiedzieć, że jesteś na złym tropie. Ale skoro mówiliśmy o Szczepanowie, to nie jestem już tak pewny. Ona ma bowiem siostrę. Jest młodsza i niezwykle piękna.

– I ruda?

– Nie, włosy ma koloru łąki, na której rozkwitł mniszek. – Wójt się rozmarzył. Ale niemal natychmiast kontynuował rzeczowo: – Ma na imię Magdalena i jest mężatką. Spróbuj zgadnąć, czyją jest żoną.

– Czyżby owego notariusza, który jest bratem pana Radowicza? Jakże on się nazywa?

– Kozuch. Zdradzisz mi więcej?

– Sam nie wiem zbyt wiele – przyznał Oldrzich z Chlumu. – Będę musiał o tym jeszcze pomyśleć, ponieważ to, co mi właśnie powiedziałeś, stawia całą sprawę w zupełnie innym świetle. Ale niektóre zagadki zaczynam już trochę rozumieć. Daj mi, proszę, chwilę czasu.

– Dlaczego ja? – mruknął wrocławski wójt. – Ty prowadzisz to śledztwo. Co mam teraz zrobić? Każę dyskretnie pilnować tego jej zajazdu. Bardziej po to, żeby tam się nie stało coś złego.

– Kim są Koguciarze?

– Oni też maczają w tym palce?

– Najprawdopodobniej nie. Interesuję się nimi.

– To bractwo, które przed wielu laty założył pewien rycerz, a książę dał mu wtedy przywilej organizowania walk kogutów pod murami miasta. Dlatego jego członkowie noszą na kapeluszach ufarbowane na czarno kogucie pióra. Jest ich około dziesięciu, nie orientuję się dokładnie. Ten rycerz już nie żyje, a bractwem kieruje jego syn. Walki kogutów organizują nadal, ale mówi się, że jednocześnie urządzają potajemne zakłady, ochraniają oszustów i oczywiście kradną. Jednak na książęcym dworze stale mają silnych popleczników, wiele przeciwko nim nie zdziałam. Chyba żeby popełnili jakiś wielki błąd. Gdyby na przykład kogoś zabili podczas jarmarku, to, powiadam ci, byłoby co innego. Nie maczali palców w tym dzisiejszym potrójnym morderstwie?

– Rano na jarmarku ktoś próbował mnie okraść. Był to z pewnością jeden z nich, ale udało mu się uciec. Dlatego o nich pytam. – Oldrzich wykręcił się od odpowiedzi. – Wiesz, kto trzyma nad nimi pieczę?

– Nie przystoi mi komentować takich rzeczy – odparł wójt Przech. Uniósł dzbanek, dopił wino i dodał półgłosem: – Jest wszakże prawdą, że kilka razy sam szlachetny pan dowódca zakazał mi ich przesłuchiwać.

– Dziękuję za szczerość. Leży mi na sercu jeszcze jedna rzecz, która właściwie nie ma związku ze zbrodniami. Chciałbym pomóc Maryli odzyskać cześć. Jak można to najszybciej załatwić?

– Już mówiłem. Najlepiej byłoby, gdybyś stanął przed naszym księciem i osobiście go poprosił o ten przywilej. Ja dopilnuję, żeby się dowiedział,

jakie zasługi ma ta dziewczyna.

– Tego na razie nie mogę zrobić. Nie ma innej drogi? Na przykład żeby się wstawił za nią dowódca?

– Na pewno by to zrobił, ale nie za darmo. Obawiam się, że pomóc Maryli w uczciwym ślubie możesz tylko ty. Od cyrulika Jakuba wiem, że jego wnuk już się nie może doczekać.

– No, chyba te kilka dni jeszcze wytrzyma – uśmiechnął się Oldrzich z Chlumu. – Muszę wyjechać w pilnej sprawie.

– Przypuszczam, że chcesz odwiedzić Szczepanów. Chociaż nie wiem, do czego się to ma przydać. W książęcym skryptorium za pana Radowicza byli gotowi włożyć rękę w ogień. Jest to człowiek pobożny i przestrzegający zasad. Nigdy nie zgodziłby się na coś niegodziwego.

– Znałem ludzi, których otoczenie uważało niemal za świętych, a mimo to skończyli na szafocie jako nikczemni złoczyńcy. O jego cnotach wiesz tylko ze słyszenia. Praca śledczego polega na tym, że o wszystkim musi się przekonać na własne oczy, bo inaczej może popełnić fatalny błąd.

– Dam ci ochronę. Jednak więcej niż dwóch zbrojnych nie mogę się pozbyć.

– Jest jarmark, potrzebujesz każdej halabardy. Poradzę sobie sam.

– Praca wójta polega na tym, że musi przewidywać i podejmować takie środki, żeby do przestępstw w ogóle nie dochodziło – uśmiechnął się Przech. – Też chcę mieć jakieś zasługi, szlachetny panie. Kiedy zamierzasz wyruszyć w drogę?

– Natychmiast. Zakładam, że do wieczora mógłbym być na miejscu.

– Napiszę ci glejt. Ci dwaj, którzy będą ci towarzyszyć, to dobrzy chłopcy. Kiedy trzeba, potrafią milczeć. Ale kiedy mają coś powiedzieć, nie są głupi i potrafią się też porządnie zabawić. Nazywają się Adam i Przech.

– Przech?

– To moi nieślubni synowie. Bliźnięta. Nawet wrocławski wójt nie jest święty.

Adam i Przech okazali się sympatycznymi młodzieńcami, rosłymi i szczupłymi, ze starannie ułożonymi włosami. Byli nieco podobni do giermka Oty. Gdy tylko opuścili Wrocław, Oldrzich z Chlumu zauważył, że prowadzą takie same rozmowy, jakie zwykle prowadził Ota ze swoim przyjacielem, dowódcą Diviszem. Przede wszystkim wyrażali obawy, co poczną wrocławskie dziewczęta podczas ich nieobecności.

Dali się poznać jako dobrzy jeźdźcy. Na wypoczętych i silnych koniach, które dał im wójt, galopowali szeroką drogą, mijając czasem wozy zmierzające na jarmark. Gdzieniegdzie znajdowały się osady, otoczone niezbyt starannie uprawianymi polami, resztę pokrywały rzadkie brzozowe zagajniki. Słońce stało jeszcze wysoko nad horyzontem, kiedy zobaczyli przed sobą Szczepanów, umiejscowiony w płytkiej dolinie. Zamek okazał się raczej potężnym kamiennym dworem, ze spiczastym dachem, dwiema palisadami i rzędem budynków gospodarczych pokrytych strzechą. Drewniany mostek łączył dwór z masywną wieżą w kształcie graniastosłupa. Podgrodzie przypominało małe miasteczko, między okazałymi domami panował wielki ruch.

Brama okazała się otwarta, pilnował jej strażnik w sukiennej przeszywanicy. Wysłuchał Oldrzicha z Chlumu, a potem uprzejmie poprosił go, aby chwilę poczekał, aż on spyta swojego pana. Wrócił niemal natychmiast i ukłonił się z szacunkiem na znak, że goście mogą wjechać na dziedziniec.

– Zajmiemy się końmi – rzekł jeden z przewodników. Obaj bracia byli tak podobni, że Oldrzich z Chlumu przez większość czasu nie miał pewności, czy rozmawia z Adamem, czy z Przechem. Wyjaśnili mu, że

Adam jest o godzinę starszy, ma żywsze spojrzenie, nieco bardziej spiczasty nos i trochę niższy głos. Rada ta jednak zbytnio nie pomogła prokuratorowi w odróżnianiu swoich towarzyszy.

Zeskoczył z siodła, rzucił jednemu z nich wodze i skierował się w stronę portalu zdobiącego wejście do palatium. Tam czekał nań mężczyzna z ogoloną głową, w habicie, który – niegdyś brązowy – teraz wypłowiał i nosił ślady licznych cerowań. Szyję mężczyzny zdobił długi, masywny łańcuch z mosiężnym krzyżem. Zakonnik założył ręce na brzuchu i kręcił młynka palcami. Był to spokojny i rozważny człowiek.

– Miło mi. Brat Stanisław. Noszę imię patrona naszego kraju i jestem spowiednikiem szlachetnego pana Radowicza. A także jego cyrulikiem. Czy mogę wiedzieć, co cię sprowadza?

– Byłoby lepiej, gdybym powiedział to samemu gospodarzowi.

– Z pewnością. Lecz mój pan ma słabe serce i nie może się denerwować. Przybywasz z Wrocławia. Zapewne chodzi o coś niezmiernie istotnego, skoro opuściłeś miasto w czasie jarmarku. Czy nie przysyła cię jego niegodziwy brat Kozuch?

– Nie znam tego człowieka. I nie jestem z Wrocławia. Jestem sługą czeskiego króla – odparł z godnością Oldrzich z Chlumu i podał mu swój glejt. – We Wrocławiu zatrzymałem się tylko przejazdem, ponieważ szukam pewnego czeskiego rycerza.

– A więc dobrze. – Brat Stanisław zgodził się, przeczytawszy najpierw dokładnie pismo. – Nie wiem jednak, w czym rozmowa z moim panem mogłaby być dla ciebie przydatna. Żaden czeski rycerz nie odwiedził nas co najmniej od dwóch lat. – Odsunął się na bok, aby gość mógł wejść.

Na parterze palatium znajdowała się przestronna sień, z której drewniane schody prowadziły na piętro, gdzie mieściły się trzy pokoje. Obok sieni była jeszcze kuchnia, z której schodziło się do piwnic. W sieni

panował mrok, rozjaśniany przez światło sączące się z kilku małych okienek. Po przeciwnej stronie, blisko drzwi, stał kominek z szerokim przewodem kominowym, ciągnącym się wzdłuż ściany i znikającym w stropie. Teraz, latem, był wygasły. Stało przy nim ozdobne rzeźbione krzesło, na którym siedział starzec o pomarszczonym obliczu. Mimo letniej pory był otulony płaszczem podszytym wilczymi skórami. Za krzesłem stał chłopak, najprawdopodobniej syn któregoś z miejscowych gospodarzy, który trzymał w ręku dzbanek.

– Podejdź bliżej, rycerzu – rzekł mocnym, trochę skrzekliwym głosem Radowicz. – Napijesz się? Woda z miodem i ziołami. Bardzo orzeźwiająca. – Podniósł rękę i na ten znak chłopak wziął z półki prosty, pokryty brązowym szkliwem kubek i napełnił go.

Oldrzich z Chlumu przyjął go z wdzięcznością. Był spragniony, a woda z miodem była przyjemnie zimna. Wypił ją trzema długimi łykami i rozejrzał się trochę niepewnie, jednak w pomieszczeniu nie znalazł niczego, na czym mógłby spocząć. Zrozumiał, że będzie musiał stać. Po długiej drodze w siodle nie przeszkadzało mu to, ale uważał to za brak szacunku ze strony gospodarza. Brat Stanisław pobożnie ukląkł na podłodze obok krzesła swego pana.

– Słucham – oznajmił krótko Radowicz.

– Nie wiem, czy jestem we właściwym miejscu, i z góry przepraszam, jeśli zadam niestosowne albo całkiem zbędne pytania – zaczął pokornie Oldrzich z Chlumu. – Ale twe słowa mogą się okazać moim ostatnim ratunkiem.

Pan zamku tylko wielkodusznie machnął ręką na znak, że całkowicie to rozumie. Uważnie go obserwował. Jak na swój wiek miał żywe i bystre spojrzenie.

– Szukam rycerza, który nazywa się Roland i przybył z Francji. Ktoś we Wrocławiu wyjawił mi, że ów rycerz przed swoim zniknięciem odwiedził Szczepanów. To było jakieś dwa miesiące temu, tuż po Wielkanocy.

– Niemożliwe. W tym czasie byłem w podróży do Krakowa. Co roku organizuję pielgrzymkę do grobu męczennika, świętego Stanisława. Jeśli tego nie wiesz, szlachetny rycerzu, to powiem ci, że patron naszego kraju pochodził stąd, ze Szczepanowa. Tutaj się urodził i my o nim pamiętamy.

– Kto bierze udział w tej pielgrzymce?

– Sprawdzasz mnie? Oczywiście cała moja czeladź. I większość rodzin z podgrodzia. W moich dobrach mogą mieszkać tylko ludzie szczerze oddani wierze.

– To znaczy, że na czas co najmniej dwóch tygodni zamek zostaje pusty?

– Zostawiam tu kilka służących, które doglądają zwierząt. I oczywiście mojego zarządcę. Majątek jest w tym czasie pod Bożą opieką.

– Dziękuję za wyjaśnienie – skłonił się uprzejmie Oldrzich z Chlumu. Powoli cała ta historia zaczynała nabierać sensu i był zadowolony, że tu przyjechał. Nieco niepewnie przestąpił z nogi na nogę, a potem z pokornym wyrazem twarzy poprosił: – Pomogłoby mi w śledztwie, gdybyś mi wyjaśnił, jakim człowiekiem jest twój stryjeczny brat Kozuch. Najprawdopodobniej był ostatnią osobą, która rozmawiała z tym rycerzem we Wrocławiu.

– Kozuch, ten nikczemnik! – zawołał gniewnie Radowicz.

Brat Stanisław natychmiast począł go przekonywać, żeby myślał o swoim sercu, ale jednocześnie posłał Oldrzichowi z Chlumu złe spojrzenie. Pstryknął palcami i chłopak natychmiast podał panu pełen kubek. Ten się napił i trochę go to uspokoiło. Ciężko westchnął i położył

rękę na sercu. Zamknął oczy i przez chwilę odpoczywał. W sali panowała cisza, którą zakłócał jedynie przytłumiony gwar dobiegający z dziedzińca.

– Jeśli temu rycerzowi coś się stało, z pewnością maczał w tym palce – rzekł chłodno, kiedy na powrót otworzył oczy. – Ale nie czuję za to żadnej odpowiedzialności. Wydziedziczyłem Kozucha, a mój spowiednik nałożył na niego klątwę. Wiem, że to stoi w sprzeczności z prawem kanonicznym, niemniej obowiązuje w moich dobrach. Noga Kozucha nigdy tu nie postanie, rozumiesz?

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

– Nie, nie możesz. Rozmowa jest skończona. Możesz przenocować w moim zamku, otrzymasz też posiłek. Zakładam, że rano wyruszysz w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XXII

Dowiedziałeś się, szlachetny panie, tego, czego potrzebowałeś? – spytał z szacunkiem jeden z przewodników. Sądząc po nosie, był to Adam.

Stali na dziedzińcu. Zbliżał się zmierzch, cichł codzienny gwar. Czeladź czekała na wieczerzę.

– Chodźmy gdzieś na bok – powiedział Oldrzich. Ruchem głowy wskazał okna palatium. – Jesteśmy tu za bardzo na widoku.

– W takim razie możemy zejść do podgrodzia. Widziałem tam całkiem przyzwoicie wyglądającą karczmę. Po takim gorącym dniu odrobina piwa by nie zaszkodziła.

Oldrzich z Chlumu się uśmiechnął. Docenił, że tak uprzejmie potrafili poprosić o zaproszenie. Zgodził się i od razu ruszyli w drogę. Przeszli przez bramę i szeroką ulicą, otoczoną domami zbudowanymi z solidnych bali, dotarli do palisady, gdzie stał ów przyzwoity przybytek. Nad wejściem znajdował się wyblakły szyld, na którym widniały dzban i misa z kaszanką. Przez otwarte okna dobiegały rozmowy.

Zasiedli na końcu długiego stołu, przy którym miejscowi chłopi sprzeczali się, czy wiosną lepiej siać zboże przed świętym Jerzym, czy po

nim. Oldrzich z Chlumu zamówił trzy dzbanki piwa i szybko przekazał swoim przewodnikom informacje od Radowicza. Młodzieńcy ze zrozumieniem kiwali głowami, jednocześnie ochoczo popijając z dzbanków.

– I co teraz? – zakończył swój wywód zirytowany Oldrzich z Chlumu.

– Nas zwykle nikt nie pyta o zdanie – wyjaśnił Adam. Najwyraźniej zwykł mówić również za swojego brata. – Gdyby jednak był tu czcigodny wrocławski wójt, pewnie by powiedział, że należy sprawdzić, czy to prawda. I znaleźć kogoś z miejscowych, kto nie brał udziału w tej pielgrzymce. Pewnie spytałby kogoś takiego, czy nie zauważył czegoś niezwykłego pod nieobecność pana zamku.

Oldrzich z Chlumu już wcześniej zauważył, że obaj młodzi ludzie nigdy nie nazywają Przecha ojcem, tylko podkreślają jego wójtowską funkcję. Gdy Adam mówił, młodszy Przech z lubością przyglądał się ciemnowłosej pomocnicy karczmarza, roznoszącej piwo. Jednak do ich stołu dzbanki podał sam karczmarz, chcący najprawdopodobniej okazać w ten sposób szacunek.

– Wójt Przech jest niewątpliwie mądrym człowiekiem – zgodził się Oldrzich z Chlumu. – Ja także najpewniej zaproponowałbym właśnie taką drogę działania. Zostawiam wam kilka srebrniaków, może coś tu zjecie? Zbliżycie się dzięki temu do miejscowych. Wypijcie z nimi kilka dzbanków.

Otworzył sakwę, położył na stole garść denarów, nie licząc ich, wstał i wyszedł z lokalu. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Przech zwrócił się do swego brata Adama:

– Jak zwykle? Rzucamy.

Ów przytaknął. Wziął ze stołu jedną z monet, rzucił ją w powietrze i zręcznie chwycił. Zacisnął pięść i spytał brata:

– Król czy krzyż?

– Krzyż! – zawołał od razu Przech.

Adam otworzył dłoń. Denar leżał portretem czeskiego króla do dołu, a krzyżem do góry. Rozczarowany oznajmił:

– Wygrałeś. Dziewczyna jest twoja.

Oldrzich z Chlumu opuścił Szczepanów o świcie, nie czekając na śniadanie przygotowywane w zamkowej kuchni. Razem z synami Przecha pogalopował z powrotem do Wrocławia. Na posiłek zatrzymali się dopiero w zajeździe u brodu rzeki, której nazwy nie znali nawet oni.

– Zatem słucham – zwrócił się do bliźniaków Oldrzich, gdy tęga karczmarka postawiła przed nimi trzy miski z kaszą i duży dzban cienkiego piwa. – Dowiedzieliście się wczoraj czegoś istotnego?

– Czy istotnego, to nie wiem – zaczął uprzejmie Adam. – Chwilę trwało, zanim miejscowi zaczęli z nami rozmawiać. Są nieufni, jak wszyscy wieśniacy. Musieliśmy zdobyć ich zaufanie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio rozmawiałem z takim zapałem o sianokosach i kryciu krów. W końcu udało nam się zejść na temat pielgrzymki. Wzięli w niej udział wszyscy, którzy siedzieli z nami przy stole. A właściwie wszystkie rodziny ze wsi. Spytałem, kto zajmował się wówczas zwierzętami. Mów teraz przez chwilę ty – zachęcił Przecha i chwycił za łyżkę. Jego brat miał już prawie pustą miskę.

– Powiedzieli, że w domach zostali pasterz i kilku starców. Mój brat ich wszystkich obszedł, ale nie dowiedział się niczego interesującego. W ciągu dnia byli ze zwierzętami na pastwisku, wieczorem wracali dopiero po zmroku, poili bydło i szli spać. Na szczęście zasięgnąłem języka też w tej karczmie.

– Zauważyłem, że ten pomysł zaświtał ci niemal natychmiast – uśmiechnął się Oldrzich z Chlumu.

– Karczmarz był na pielgrzymce, ale nie zamknął zajazdu. Zostawił w domu córkę, żeby zajmowała się podróżnymi. Pracuje tam jako pomocnica. Jest nieufna tak jak wieśniacy. Nie uwierzysz, jak musiałem się napocić, żeby zechciała o tym porozmawiać.

– Dlatego wrócił dopiero rano – zauważył z pełnymi ustami Adam.

– Nie kłap ozorem – upomniał go Przech. Szybko się napił i ciągnął dalej: – Ponieważ ta dziewczyna zostawała w podgrodziu również podczas dnia, zauważyła, że któregoś razu przyjechała tam rano jakaś rudowłosa kobieta. Woźnica zatrzymał się na piwo, dzięki czemu dowiedziała się, że przybywają z Czech. Wieźli rzeczy czeskiego rycerza, który z nimi podróżował. Jednak jego samego nigdzie nie dostrzegła.

– Pan Radowicz twierdził, że podczas jego nieobecności zamkiem zajmował się zarządca. Czy ta dziewczyna wie, dlaczego ich wpuścił?

– Nazwała go bękartem i nie chciała powiedzieć na jego temat ani słowa więcej. Teraz ty – zwrócił się do swego brata Przech i rzucił się wyjadać resztki z miski.

– Wiele więcej już nie wiem – zabrał głos Adam. – Jedna młoda wieśniaczka powiedziała, że przed dwoma laty podczas pielgrzymki została w domu, ponieważ była w połogu. Wspomniała, że wtedy do Szczepanowa też przyjechała jakaś ruda kobieta. Według niej dziwnie ubrana. Zapamiętała jej wóz, bo przejechał im kurę, ale woźnica okazał się uczciwym człowiekiem i zapłacił za szkodę. Podobno przy okazji wyjawił, że jest z Wrocławia i przywiózł rzeczy jakiegoś rycerza z zagranicy.

– Doskonale! A co z tym Kasprem? Zna go tu ktoś?

– Jeden tutejszy chłopak podobno regularnie jeździ do Wrocławia i dorabia w karczmie. Tyle że nie nazywa się Kasper, tylko Kaczyński. Służy u zarządcy pana Radowicza, tego pilnującego włości, gdy wszyscy mieszkańcy Szczepanowa wyruszają na pielgrzymkę. Mówiąc dokładniej,

jest pomocnikiem karczmarza. Myślisz, że zasługujemy na jeszcze jeden dzbanek? To piwo jest tak słabe, że mogłoby je pić niemowlę.

Kiedy Oldrzich z Chlumu się zgodził, Adam krzyknął do karczmarki:

– Kobieto, przynieś jeszcze jeden dzbanek. Ale porządnego piwa, a nie tych końskich szczyn.

– Końskich szczyn? – skrzywiła się. – Przecież wychłeptaliście je aż do dna. Jeśli nie smakuje, idźcie gdzie indziej. Moje piwo chwalił niedawno nawet wrocławski wójt, kiedy tędy przejeżdżał.

Adam spojrzał na Przecha, po czym obaj głośno się roześmiali i nie mogli się uspokoić.

– To chcecie czy nie chcecie? – spytała niepewnie karczmarka. Patrzyła na nich, jak gdyby miała przed sobą dwóch błaznów.

– Chcemy – potwierdził Oldrzich. – Ale ja też mam prośbę. Umyj ten dzbanek. I nie próbuj mnie przekonywać, że wrocławskiemu wójtowi podobał się taki brudny.

– Też coś! Jeśli dzbanek się opłucze, straci zapach. Ale skoro się upierasz…

– Zrób, jak chcesz. – Oldrzich zrezygnował z dalszej dyskusji. – Twoja karczma leży w pół drogi między Wrocławiem a Szczepanowem. Zatrzymuje się tu niemal każdy, komu się nie śpieszy. Czy jakoś po Wielkanocy zatrzymała się tu ruda, dziwnie ubrana kobieta?

– Owszem. Zapamiętałam ją, bo podróżowała sama. To dość niezwykłe. I zachowywała się dokładnie tak samo wyniośle jak ty.

– Dokąd jechała? Do Wrocławia czy w przeciwnym kierunku?

– Zatrzymała się tu dwukrotnie. Raz w drodze do Szczepanowa, a nazajutrz w drodze powrotnej.

– I na pewno nikt jej nie towarzyszył?

– Mówiłam, że podróżowała sama. Tam i z powrotem. Umyłam wam ten dzbanek, ale zobaczycie, że piwo z niego nie będzie wam smakować.

Adam nachylił się do Oldrzicha z Chlumu i cicho zauważył:

– Jej piwo nie smakowałoby nawet ze złotego kielicha. Wstrętne babsko!

Przed południem dotarli do wrocławskich murów. Brama jak zwykle była zatarasowana wozami. Załadowane po brzegi pchały się do środka, natomiast puste próbowały jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Między nimi tłoczyli się ludzie i przeklinali.

– Z drogi! Jesteśmy urzędnikami miejskimi! – krzyczeli synowie wójta i wjechali w tłum. Drzewcami swoich kopii odpychali opornych i upartych.

Oldrzich wygodnie podążał utorowaną trasą i chociaż nigdy wcześniej nic podobnego nie przyszło mu do głowy, nagle się zawstydził. Z wysokości końskiego grzbietu spoglądał na zmęczone twarze spracowanych ludzi, którzy w południowym skwarze tłoczyli się tylko po to, żeby zarobić na swoje nędzne życie. Jednak czy ich praca była mniej ważna niż jego? Wprawdzie według ludzkich praw urząd prokuratora królewskiego nadawał mu przywilej pierwszeństwa, lecz czy było to zgodne z prawami Bożymi?

Zanim zdążył to przemyśleć, znaleźli się w chłodnym cieniu masywnego sklepienia bramy. Zatrzymali się przy pierwszym domu.

– Czy będziesz nas jeszcze potrzebował? – spytał uprzejmie Adam.

– Teraz nie. Odprowadźcie tylko mojego konia, pójdę pieszo. Byliście bardzo pomocni, dziękuję. – Sięgnął do sakiewki i podał im garść srebrniaków.

Jednak bliźniacy ich nie przyjęli.

– Wybacz, szlachetny panie, ale ojciec by nam na to nie pozwolił – wyjaśnił Adam.

Oldrzich z Chlumu uświadomił sobie, że pierwszy raz nazwali tak przy nim wrocławskiego wójta. Byli to zaiste niezwykli młodzieńcy i czuł do nich wielką sympatię. Schował pieniądze do sakiewki i odparł przyjaźnie:

– W takim razie niech Bóg ma was w swojej opiece. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– I nad tobą niechaj Bóg trzyma swoją rękę. I powodzenia w śledztwie – odparł Przech. Obaj lekko się ukłonili i ponaglili konie. Tego, na którym siedział Oldrzich, prowadził za wodze Adam. Skręcili w boczną ulicę, aby ominąć zatłoczony rynek. Powoli jechali między wysokimi domami i po chwili zniknęli mu z oczu.

Oldrzich obserwował ich z uśmiechem, ponieważ bardzo przypominali mu giermka Otę. Znowu miał okazję się przekonać, jak lubi tego chłopaka. Bóg na razie nie obdarzył prokuratora królewskiego własnymi pociechami. Jego pierwsza żona zmarła razem z dzieckiem podczas porodu, a z Ludmiłą z Vartemberku żył zbyt krótko, aby mogła mu dać potomka. Na Otę patrzył więc niekiedy jak na trochę nieposłusznego syna i często tak też go traktował.

Nieśpiesznym krokiem podążał w stronę rynku. W Piwnicy Świdnickiej było jak zwykle tłoczno. Kiedy karczmarz go dostrzegł, z ukłonem wybiegł mu naprzeciw. Zrozumiał bowiem, że ten człowiek jest kimś ważnym, kto nie chce zdradzić swojego imienia. Wskazywało na to pełne szacunku zachowanie wrocławskiego wójta oraz próba morderstwa. Zwyczajnych gości zazwyczaj nikt nie morduje.

– Wszystko załatwiłem tak, jak sobie życzyłeś, panie – powiedział z nieco służalczym uśmiechem.

Oldrzich z Chlumu wprawdzie nie pamiętał, aby zgłaszał jakieś szczególne prośby, lecz potakująco skinął głową.

– O tę dziewczynę moja córka troszczy się jak o własną siostrę – kontynuował karczmarz uprzejmie. – Wierzę, że docenisz jej troskę i zapłacisz jej tyle, ile temu chłopakowi.

– Piotr od cyrulika odszedł? Dlaczego?

– W tych najgorszych chwilach jego towarzystwo było niezbędne. Ale teraz, kiedy nabrała sił, mogłoby to wywołać zbyteczne plotki. Na to mój zajazd nie może sobie pozwolić. Jakub również. Jest przecież książęcym cyrulikiem i musi dbać o swoją opinię – tłumaczył karczmarz.

– Na wieczór przygotuj mi stół. – Oldrzich przerwał ten rozwlekły monolog.

– Dla dwóch osób?

– Jeszcze nie wiem. Może dla trzech, może dla czterech – odparł prokurator beztrosko i szybko ruszył schodami na piętro, gdzie znajdowały się izby gości.

Marylę zastał w łóżku, opierającą się plecami o wysokie wezgłowie. Była roześmiana i miała wesołe oczy. Naprzeciw niej na trójnogu siedziała szczupła ciemnowłosa dziewczyna w pięknej brązowej sukni. Włosy miała splecione w dwa warkocze i ozdobione wiankiem z polnych kwiatów. Ona też się śmiała. Kiedy Oldrzich z Chlumu wszedł do izby, poderwała się i uprzejmie się ukłoniła. Nie miała więcej niż piętnaście lat i nigdy nie widział jej na dole w karczmie.

– Podobno już ci lepiej – powiedział do Maryli.

– Niestety – westchnęła. – Ale te kilka dni jeszcze tu wytrzymam. Piotr mi wyjawił, że się postarasz, abym mogła za niego wyjść.

– Spróbuję – potwierdził ostrożnie Oldrzich z Chlumu. Potem poprosił córkę karczmarza o dzbanek jęczmiennego piwa. Jeśli to możliwe,

zimnego, bo w tym upale zaschło mu w gardle. Gdy wyszła, zaczął szybko tłumaczyć Maryli: – Pamiętasz, jak szukałaś tej rudej, która odwiedziła Slavibora ze Szvabenic przed jego śmiercią?

– Oczywiście. Ale ponieważ nie była z naszego cechu, nie znalazłam jej.

– Jednak ona istnieje. Muszę ją znaleźć za wszelką cenę, bo była najprawdopodobniej ostatnią osobą, która widziała tego zaginionego rycerza. Udaje uczciwą, ale może się okazać przestępczynią. W środowisku, w którym się obracasz, na pewno ktoś ją zna. Według Koguciarzy jakaś Ruda nasłała na mnie trzech włóczęgów, żeby mnie zabili. To oznacza, że ma kontakty z półświatkiem. Dam kopę denarów, jeśli mi ją znajdziesz. Poproś jeszcze raz starszą waszego cechu o pomoc.

– Jeśli pomożesz mi odzyskać cześć, nie chcę żadnych pieniędzy. I nasza starsza cechu też na pewno nie. Traktuje nas jak córki. A jeśli któraś z nas uczciwie wyjdzie za mąż, jest to wielkie wydarzenie.

– Nie przesadzaj! Dla pewności te pieniądze jej obiecaj. To dla mnie rzecz całkowicie drugorzędna. Musimy znaleźć tę Rudą za wszelką cenę! Jak ramię?

– Już lepiej. Przed obiadem był tu cyrulik Jakub i powiedział, że miałam szczęście. Rana się nie zaogniła i podobno do ślubu nie będzie po niej śladu.

ROZDZIAŁ XXIII

Oldrzich z Chlumu zjadł skromny obiad: niewielką porcję zimnego mięsa z warzywami. Potem znów udał się do miasta. Tym razem nie zamierzał zajmować się śledztwem. Chciał tylko zobaczyć Wrocław, a przede wszystkim zamek książęcy i katedrę. Teraz bowiem nie mógł nic zrobić. Mógł tylko czekać. Bezcelowa wędrówka szybko go jednak znudziła. Nie przywykł do próżnowania.

Przez drewniany most wrócił z książęcej siedziby do miasta. Przez chwilę się zastanawiał, co ze sobą począć. W końcu postanowił odwiedzić zajazd U Króla Wacława. Zakładał, że karczmarz Hermenegild go nie pozna, ponieważ podczas ich poprzedniego spotkania Oldrzich miał na sobie habit franciszkanina. Teraz był ubrany w świecką odzież, a brodę pokrył zarost. W kieszeni płaszcza miał dokument od wrocławskiego wójta.

– Nie wiem, jak mógłbym pomóc wymiarowi sprawiedliwości – powiedział z szacunkiem karczmarz, kiedy mu Oldrzich z Chlumu oznajmił, że przychodzi jako pomocnik wójta Przecha. – W mojej karczmie nie stało się nic, czym władze miasta mogłyby się interesować.

– Przed czterema miesiącami uciekł stąd bez zapłaty jeden z gości. Podawał się za francuskiego rycerza, ale w rzeczywistości nazywał się

Milicz i był Czechem.

– To zostało już wyjaśnione.

– Nieprawda. Pewnemu franciszkaninowi mówiłeś, że ten człowiek mieszkał u ciebie niewinnie jak mnich.

– To prawda.

– Nie kłam! I ostrzegam cię, zastanów się, co mi odpowiesz. Słyszałeś o zabójstwie w karczmie Pod Złotym Dzbanem? Nie wątpię. Ów zamordowany był bratem tego twojego Milicza. Wójtowi udało się dowiedzieć, że przychodziła do niego jakaś prostytutka. I nie zgadniesz, co powiedziała. Ponoć przychodziła też tu, do Milicza. A więc?

– Czyli już to ktoś doniósł wójtowi – mruknął z niezadowoleniem Hermenegild. – Wiem, że prawo miejskie tego zabrania, ale robią to wszyscy. I każdy o tym wie. Chyba nie zamierzasz mnie za to ukarać?

– Tylko jeśli wciąż będziesz kłamał. Czyli wiedziałeś o tej prostytutce?

– Oczywiście. Wójt z pewnością ma świadomość tego, że każda prostytutka daje denara od klienta karczmarzowi, który pozwala jej pracować w swoim lokalu. Marion cieszy się dobrą opinią. Zawsze płaciła uczciwie. Przychodziła tu chyba przez tydzień. To było zimą.

– Ona nie interesuje mnie tak bardzo, jak ta druga, która zaczęła tu przychodzić po niej.

– O tej też wiesz? To nie była prostytutka. Przyszła tu chyba cztery czy pięć razy. Zawsze miała na głowie kaptur, nie widziałem twarzy. Zawsze w towarzystwie tego rycerza. Za każdym razem dawał mi dwa denary za milczenie. To było tuż przed tym, zanim zniknął.

– Czyli nie wiesz, co to była za kobieta?

– Powiem prawdę. Interesowało mnie, która z szanowanych mieszczanek tak strasznie się zhańbiła. Raz zobaczyłem ją na podwórzu,

kiedy przyszli razem. Wtedy dopiero zakładała kaptur. Miała rude włosy i była naprawdę piękna. Ale nie była stąd, nie z Wrocławia.

– Niemożliwe! Przecież na pewno nie przebywało tu wielu cudzoziemców. Nie mów, że nie próbowałeś jej śledzić.

– Próbowałem – przyznał ponuro karczmarz. – Przy bramie miała konia. Wsiadła i odjechała.

– Gdzie przy bramie?

– Przy każdej bramie jest daszek, pod którym można zostawić konia, jeśli nie zamierza się długo zostać w mieście. Strażnicy zajmują się nim za kilka groszy. Kiedy odjechała, wypytywałem ich, ale też jej nie znali.

– Przykro mi, ale to dla mnie za mało – ostrzegł Oldrzich z Chlumu. – Muszę znaleźć tę kobietę.

– Nosiła płaszcz z sukna bardzo dobrej jakości. Był obszyty bobrowym futrem. Jest więc bardzo bogata. – Karczmarz gorliwie przypominał sobie kolejne szczegóły. Ponieważ nie zorientował się nawet, że jego gość jest franciszkaninem, z którym rozmawiał ledwie przed czterema dniami, było oczywiste, że nie ma zmysłu obserwacyjnego. Mimo to Oldrzich z Chlumu postanowił spróbować. Każda drobnostka wydobyta z pamięci tego człowieka mogła okazać się na wagę złota. – Raz zwrócił się do niej po imieniu! – niemal krzyknął Hermenegild i uderzył się dłonią w czoło. – Teraz sobie przypominam. Przyszli razem. Na zewnątrz szalała straszna zawierucha. Ten rycerz zaproponował jej, żeby poszła na górę i trochę się ogrzała. Wiesz, on miał izbę nad kuchnią i dlatego można tam było grzać, jest w niej kominek. Nazwał ją Urszulą. Pamiętam, że mnie to zaskoczyło. To nie jest u nas częste imię. Może ta kobieta była przebraną zakonnicą? To by wyjaśniało, dlaczego na głowę narzucała kaptur. A przy murach miejskich są trzy klasztory żeńskie. Na pewno tak właśnie było – zawołał radośnie karczmarz.

Oldrzich z Chlumu pokiwał głową w milczeniu i szybko się pożegnał. Owa hipoteza brzmiała wprawdzie interesująco, ale był niemal pewien, że to fałszywy trop. Ta kobieta zmieniła imię. Nie potrafił połączyć morderstwa z osobą zakonnicy. Długo rozmyślał, czy nie sugeruje się zbytnio faktem, że jego żona również dorastała w klasztorze, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że nie o to tu chodzi.

„Przeklęta Ruda!", zaklął w duchu. Potem szybkim krokiem ruszył na rynek. Maryla czekała w izbie już gotowa. Miała na sobie spódnicę, którą podarował jej giermek Ota. Na płócienną koszulę narzuciła krótki płaszczyk, również nowy.

– Prezent od narzeczonego – podkreśliła dumnie.

Zeszli po schodach i skierowali się do stołu, przy którym siedzieli za pierwszym razem. Maryla zachowywała się bardziej powściągliwie niż poprzednio i skromnie spuszczała wzrok.

– Podobno tak robią przyzwoite kobiety – wyjaśniła, kiedy Oldrzich z Chlumu spytał, skąd ta odmiana.

Zamówili pieczonego kapłona z nadzieniem śliwkowym.

– Nie wiem, czy zasługuję na taki smakołyk – powiedziała, pamiętając o użyciu serwetki do otarcia zatłuszczonych ust. – Ta rudowłosa jest zagadką. Myślę, że to ta Ruda, która nasłała na ciebie najemnych zbirów.

– Na jakiej podstawie?

– Zastanawiałam się, dlaczego Koguciarze najpierw wypytywali tych, co cię napadli, kto ich posłał i ile za to dostaną. Jeśli chcieli ci pomóc, nie miało to przecież znaczenia. Ale potem dotarło do mnie, że zrobili to tylko po to, by ci pokazać, że naprawdę nie maczali w tym palców. Więc można w to wierzyć. Nasza starsza cechu oczywiście wie, kim są ci zabici. Wie to też wójt. Wszyscy trzej byli skończonymi łotrami. Wójt nie wie jednak, że często przesiadywali w Brzuchu Węża.

– Zatem ty także z pewnością ich znałaś.

– Tylko z wyglądu. Takich lepiej unikać. To wszakże nie jest najważniejsze. Istotne jest co innego. Zarabiali w ten sposób, że chronili zajazd U Świętego Ludwika. Każdy karczmarz ma umowę z kilkoma takimi ludźmi, którzy wkroczą, jeśli w karczmie wydarzy się coś niepożądanego. To szybszy i bezpieczniejszy sposób niż wzywanie strażników miejskich. A założę się, że ta Ruda to nikt inny, tylko karczmarka Celesta. Ta, która jest właścicielką Świętego Ludwika.

Następnego dnia Oldrzich z Chlumu wyruszył do miasta późno, kiedy jarmarczny handel kwitł już w najlepsze. Nie pamiętał, kiedy ostatnio spał tak długo, a potem jeszcze wylegiwał się w łóżku. Nie miał żadnego planu, ale postanowił, że zajdzie do karczmy przy klasztorze cystersów. Jeśli Celesta naprawdę maczała palce w tych zbrodniach – a było to niemal pewne – chciał nieco zmącić jej spokój. Zawsze bowiem warto wytrącić przestępcę z równowagi. Gdy ma on poczucie, że śledczy depcze mu po piętach, zaczyna popełniać błędy. Właściwie błędem było już nasłanie przez Rudą najemnych morderców, ponieważ to oni go do niej doprowadzili.

Tym razem w karczmie siedziało niewielu biesiadników. Ci, którzy tu nocowali i rano zjedli śniadanie, już wyjechali, a nie przybyli jeszcze goście popołudniowi. Oldrzich z Chlumu na moment zawahał się w drzwiach, ponieważ zauważył wysłannika francuskiego króla. W tej samej chwili przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Dlatego nie wybrał pustego stołu, przy którym biesiadował niedawno z bratem Augustynem, lecz skierował się w przeciwną stronę. Tam siedział Jean d'Angulléme ze swymi dwoma przyjaciółmi. Kiedy podszedł do nich, zaciekawieni podnieśli wzrok. Zrozumieli, że przybyszowi coś leży na sercu.

– Czy mogę z wami porozmawiać o pewnej sprawie, która nie daje mi spokoju? – spytał uprzejmie Oldrzich z Chlumu. Ponieważ po francusku znał zaledwie kilka słów, mówił po łacinie. Zakładał, że ci trzej również nią władają.

– Ależ oczywiście – odpowiedział dobrą łaciną Jean d'Angulléme. – Z pewnością wiesz, kim jesteśmy, i dlatego najpierw zapytam o twoje imię.

– Jestem rycerzem, szlachetnym mężem, przyjechałem z Czech. Mam tu pewną poufną sprawę, dlatego proszę, wybaczcie, chwilowo nie mogę wyjawić mej tożsamości.

Francuzi krótko spojrzeli na siebie. To, że obcy odmówił przedstawienia się, nie budziło co prawda zaufania, ale budziło ich ciekawość.

– Dobrze – zgodził się wielkodusznie francuski wysłannik. – O co chodzi?

– Szukam pewnego francuskiego rycerza. Nazywa się Roland i chociaż nie przesiadywał tu, w karczmie, jeden z was widział go jakiś czas temu na podwórzu. Przynajmniej tak powiedzieliście pewnej kobiecie, która o niego pytała.

– Pamiętam. Bardzo ładna. Szkoda tylko, że miała rude włosy. Jasne pasowałyby jej o wiele bardziej – skinął głową Jean d'Angulléme. – My tego młodzieńca naprawdę nie znamy. I nie wiemy o nim zupełnie nic. Przykro mi.

– W rzeczywistości ów rycerz był Czechem, a nie Francuzem. Szukam go, ale na razie bezskutecznie. A gdy was tu zobaczyłem, pomyślałem, że może wy również kogoś poszukujecie. Mógł zniknąć dwa lata temu w czasie Wielkanocy.

– Co wiesz o naszej sprawie? – syknął francuski wysłannik. Ściągnął brwi i mierzył Oldrzicha uważnym spojrzeniem.

– Po prostu snuję domysły – przyznał Oldrzich z Chlumu. – Dowiedziałem się bowiem, że ten mój zniknął prawdopodobnie w tym samym miejscu, co pewien cudzoziemiec. Podczas Wielkanocy. Obu łączy ta karczma. Powiedzcie mi coś więcej o tym waszym.

Jean d'Angulléme zwrócił się do jednego ze swoich przyjaciół i kiwnął głową na znak, że pozwala mu mówić. Głos zabrał starszy rycerz z posiwiałą brodą.

– Jestem Berthold z Caen. Moje imię zapewne nic ci nie mówi, ale w ojczyźnie słynę ze swej zamożności. Mam pięciu synów. Jeden z nich, ten najmłodszy, przed trzema laty wyjechał z domu. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wybrał na swojego patrona świętego Wojciecha i chciał odbyć pielgrzymkę jego śladami. Jednak zniknął. Dlatego go szukam. Ostatni trop prowadzi tu, do Wrocławia. Zniknął dwa lata temu w czasie Wielkanocy. I powinieneś wiedzieć coś jeszcze. Tuż przedtem posłałem mu dwieście kop srebrniaków, ponieważ chciał je ofiarować na jakiś kościół.

– To mnóstwo pieniędzy.

– Owszem, ale mogę sobie na to pozwolić. Pierre, bo tak ma na imię mój najmłodszy syn, był najposłuszniejszy ze wszystkich moich dzieci. Dlatego spełniłem jego prośbę. Chciał bowiem pójść drogą duchownego.

– Podobne okoliczności towarzyszyły również zniknięciu tego mojego rycerza – skinął z zadowoleniem Oldrzich z Chlumu. – W jego przypadku niewątpliwie także chodziło o pieniądze. Też był bardzo pobożny. I mam wrażenie, że łączy ich jeszcze coś. Czy Pierre, kiedy wyjeżdżał z domu, żył w cnocie?

– Jak mówiłem, chciał się poświęcić życiu duchowemu. Złożył ślub czystości i unikał dziewcząt. Nie był taki jak moi pozostali synowie. Mam

już tuzin wnucząt – powiedział dumnie Berthold z Caen. Natychmiast jednak spoważniał. – Jak dowiedziałeś się o moim synu?

– To długa historia. Usłyszałem, że jakiś cudzoziemiec przywiózł skrzynię, najprawdopodobniej z pieniędzmi, do pewnego dworu kilka godzin drogi stąd. Przyszło mi do głowy, że mógł być Francuzem. A ponieważ, z całym szacunkiem, nie uważam wrocławskiego dworu książęcego za ważniejszy niż nasz praski, me zainteresowanie musi wzbudzić kwestia, dlaczego francuski król posłał swojego wysłannika tu, a nie do Pragi. Być może to tylko pozory, a w rzeczywistości chodziło o coś innego.

– Bystry jesteś – kiwnął głową Jean d'Angulléme. – Wydajesz się porządnym człowiekiem, dlatego powiem ci coś jeszcze. Nie szukamy tylko Pierre'a. Jakieś pięć lat temu zaginął bratanek arcybiskupa Metzu. On również chciał obrać drogę duchownego. I także miał przy sobie dużo pieniędzy. Jego stryj jest jednym z najbogatszych francuskich arcybiskupów i wiadomo, że stara się o czapkę kardynalską. Ostatni list ów młodzieniec napisał do swego stryja stąd, z Wrocławia. A, jak z pewnością wiesz, wszyscy Francuzi zatrzymują się w tej karczmie.

– Natrafiliście na coś?

– Przyznam, że nie. Na początku podejrzewaliśmy tutejszą karczmarkę. Celesta jest wprawdzie trochę osobliwa, stanowcza wobec służby i nie umie się uśmiechać, ale nie potrafimy sobie wyobrazić, że mogłaby zabijać. A poza tym przed dwoma laty, kiedy zniknął Pierre, nie było jej we Wrocławiu. Wyruszyła przed Wielkanocą na jakąś pielgrzymkę i wróciła dopiero po sześciu tygodniach – wyjaśnił Berthold z Caen.

– Moment – odezwał się nagle Jean d'Angulléme. – Nasz nieznajomy twierdzi, że twój syn zniknął w jakimś dworze daleko stąd. A Celesta była

przecież poza miastem. Może się mylimy. Nie musiało się to wydarzyć we Wrocławiu.

– Wiem na razie naprawdę mało – przerwał jego rozważania Oldrzich z Chlumu. – Bardzo was jednak proszę, nie mówcie nic Celeście. I zachowujcie się wobec niej tak jak wcześniej. Możliwe, że maczała palce w tych zbrodniach, bo w czasie, kiedy zniknął mój rycerz, była we Wrocławiu, co można udowodnić.

– A gdzie zniknął ten twój?

– W jednym z zamków przy drodze do Legnicy. Na razie nie pytajcie o więcej. Ale bardzo mi pomogliście. Gdy tylko się czegoś dowiem, z pewnością was zawiadomię.

– Poczekaj! – Chwycił go za rękę zirytowany Berthold z Caen. – Z tym chcesz nas zostawić? Ja chcę wiedzieć więcej. Czy jest nadzieja, że mój Pierre żyje?

– Nie – pokręcił głową Oldrzich z Chlumu i mimo ich protestów opuścił karczmę.

Jeszcze przez jakiś czas Oldrzich z Chlumu wałęsał się po mieście, a na późny obiad zaszedł do Baszty Rybackiej. Karczmarz przywitał się z nim przyjaźnie jak ze starym znajomym i zaraz zaprowadził go do jego stołu. Polecił mu szczupaka z rozmarynem.

Czekając na posiłek, Oldrzich z Chlumu spoglądał na spokojną powierzchnię rzeki, od której jak od lustra odbijały się promienie słońca. Nagle ktoś od tyłu zakrył mu oczy i wyrwał go z rozmyślań.

– Wiedziałam, że tu będziesz – śmiała się radośnie Ludmiła z Vartemberku. Nachyliła się ku niemu i długo go całowała. Giermek Ota stał z boku i dyskretnie czekał. Dopiero kiedy pan go zawołał, przyniósł trzecie krzesło dla siebie.

– Jak wam poszło w Czechach? – spytał zaciekawiony, kiedy zamówił dla nich to, co dla siebie.

– Dobrze. Ale cała nasza praca była oczywiście niepotrzebna – powiedziała uszczypliwie. – Jesteś bowiem najokropniejszym człowiekiem na świecie.

– Czy mogę się dowiedzieć, co znowu zrobiłem nie tak? – spytał trochę zaskoczony.

– Kiedy już nas gdzieś wysyłasz, nie wtrącaj się nam do śledztwa – wyjaśniła, ale chociaż miała surową minę, w jej oczach dostrzegał błysk dumy. – Dowiedzieliśmy się, że Milicz ze Szvabenic pojechał z Czech do Szczepanowa. Ruszyliśmy tym tropem. Wczoraj wieczorem tam dotarliśmy. Poganialiśmy konie, jak tylko się dało. Szlachetny pan Radowicz przyjął nas niemal od razu. Kiedy jednak wymieniłam przy nim imię rycerza Rolanda, jakby go ukąsił bazyliszek. Krzyczał, że nikt nie będzie z niego robił błazna i że poszczuje nas psami. Przyznam się, że po prostu uciekliśmy. Przenocowaliśmy w karczmie w podgrodziu. Tam się dowiedzieliśmy, że dzień wcześniej Szczepanów odwiedził jakiś ciekawski człowiek, który według opisu był uderzająco podobny do ciebie. Miał ze sobą dwóch zbrojnych, którzy z szacunkiem nazywali go Gelasiusem. Czy przypadkiem to nie ty występujesz pod tym głupim imieniem?

– To imię wymyślił wrocławski wójt, nie ja – bronił się Oldrzich z Chlumu i starał się głośno nie roześmiać.

– Ale to nie wszystko – żaliła się Ludmiła z Vartemberku. – Kiedy Ota chciał przesłuchać tamtejszą pomocnicę karczmarza, dowiedział się, że już to gruntownie uczynił jeden z twoich towarzyszy. Cóż to za metody? Chcesz, żeby Ota został świętym?

– Do tego, chwała Bogu, jeszcze mi daleko – przyznał giermek Ota. – Tę dziewczynę w Szczepanowie bym przebolał, ale kiedy wróciliśmy,

czego się dowiaduję? Że zaręczyłeś Marylę. Popsujesz każdą przyjemność.

– Czyli powitalne przemówienie mamy za sobą – uśmiechnął się zadowolony Oldrzich z Chlumu. Było wspaniale mieć swoich bliskich znów przy sobie, chociaż wiedział, że znów będą musieli się rozstać. Z udawaną surowością zaproponował: – Czy nie powinniśmy raczej zabrać się do pracy?

– Czy potrafisz czasem myśleć o czymś innym? Jeszcze nawet mi nie powiedziałeś, że ładnie wyglądam – zauważyła kapryśnie Ludmiła z Vartemberku i błogo przeciągnęła się w słońcu. Już nie mogła się doczekać, aż zostaną w nocy sami. Miała dla ukochanego wielką niespodziankę.

– Rzeczywiście, bardzo ładnie wyglądasz – przytaknął spokojnie jej mąż. – Oto, czy ty też oczekujesz komplementów? Czy może pomówimy wreszcie o naszej sprawie?

ROZDZIAŁ XXIV

Najpierw spokojnie skończyli posiłek. Rozmowa podczas delektowania się wybornym szczupakiem oznaczałaby gardzenie darami Bożymi, jak uważała Ludmiła z Vartemberku, a ze względu na ości byłaby niebezpieczna, jak twierdził Oldrzich z Chlumu, widząc, jak jego współbiesiadnicy łapczywie jedzą.

Gdy tylko karczmarz zabrał miski z ośćmi, prokurator królewski zamówił rabarbarowe kołacze z jagodami i białe wino z Górnych Węgier. Było nieco cierpkie i pachniało ziemią winnicy. Potem Oldrzich zaczął szczegółowo opowiadać o wszystkim, co przeżył i czego się dowiedział podczas ich nieobecności we Wrocławiu. Wymieniał tylko fakty, hipotezy zachował dla siebie. Zamierzał przedstawić je dopiero po zapoznaniu się z wynikami śledztwa Ludmiły i Oty w Czechach.

– Chcieli cię zabić? – przestraszyła się Ludmiła z Vartemberku, kiedy wspomniał o dwóch napaściach.

– To się zdarza w tej pracy – uspokoił ją. – Właśnie dlatego noszę miecz. A poza tym człowiek nie jest na świecie sam. Zawsze znajdzie się pomocna dłoń. Najpierw okazała się nią Maryla, a potem Koguciarze.

– Interesuje mnie, dlaczego ta dziewczyna została u ciebie na noc – odparła Ludmiła. Oldrzich wyczuł w jej głosie raczej dobroduszny ton niż zazdrość, z jaką skomentowałaby to jeszcze przed tygodniem. Ogólnie Ludmiła promieniała zadowoleniem, które z pewnością nie wynikało jedynie z jej udziału w śledztwie. Prokurator królewski nie tracił jednak czasu na takie rozważania. Szybko kontynuował wyliczanie kolejnych zdarzeń.

Potem głos zabrała Ludmiła i opowiedziała, co robili i z kim rozmawiali. Chociaż giermek Ota miał wrażenie, że o wielu rzeczach mówi zbyt rozwlekle i skupia się na nieistotnych szczegółach, nie wtrącał się. Znał ją i wiedział, że główne informacje zostawia na koniec.

– I to chyba wszystko – podsumowała Ludmiła z Vartemberku. – Nie wspominam już o naszym fiasku w Szczepanowie. Chyba że zainteresuje cię ten dokument. – Położyła na stole pergamin i opowiedziała o rozmowie ze służącym Milicza, Paleczkiem.

Oldrzich z Chlumu z ciekawością sięgnął po pergamin i rozpoczął lekturę. Kiedy podniósł wzrok, powiedział z ulgą:

– A zatem podejrzenie naszego króla było bezpodstawne. Dla naszego śledztwa to doskonale. Wiemy już, dlaczego Milicz ze Szvabenic przebywał we Wrocławiu. I dlaczego podawał się za francuskiego rycerza. Chodziło przecież o cystersów, a oni przybyli tu z Francji. Wiemy również, dlaczego nasz władca nalegał, abyśmy prowadzili śledztwo w tajemnicy. Lecz kuzyn naszego miłościwego pana najwyraźniej dotrzymuje umowy w kwestii budowy kościoła i całą tę sprawę trzeba zatem po cichu zamknąć. Poinformuję o tym naszego króla podczas rozmowy w cztery oczy. W ten sposób wszystko jest zakończone i z innymi przestępstwami nie ma to właściwie żadnego związku. Odkryliśmy wszakże inne zbrodnie i podczas ich wyjaśniania możemy w końcu występować oficjalnie.

– Czyli nie muszę ponownie zapuszczać brody – ucieszył się giermek Ota.

– A ja rudzieć – dodała z zadowoleniem Ludmiła z Vartemberku.

– Jeszcze zobaczymy – zaprzeczył żartobliwie Oldrzich z Chlumu, ale natychmiast spoważniał. – Wprawdzie nie musimy się ukrywać, lecz na razie niewiele nam to da. Co się bowiem wydarzyło? Paru nikczemnych złoczyńców wzięło na cel niedoświadczonych zamożnych młodzieńców, prawdopodobnie cudzoziemców. Francja leży daleko, więc szansa, że ktoś będzie tu szukał ofiar, jest niewielka. Wszystkie drogi prowadzą do karczmy U Świętego Ludwika. To jednak wciąż tylko hipoteza. Ci dwaj, o których na razie wiemy, chociaż z pewnością było wielu więcej, zniknęli w Szczepanowie. I to też jest oczywiście hipoteza, ponieważ zeznania, które mamy, są niebezpośrednie i w sądzie nie zostałyby uwzględnione. Zajazd U Świętego Ludwika i Szczepanów łączy osoba notariusza Kozucha, który jest bratem stryjecznym właściciela majątku i zarazem szwagrem karczmarki Celesty. Ze Szczepanowa pochodził morderca Slavibora ze Szvabenic. Ten sam człowiek próbował mnie zabić. Pracował jako pomocnik u Celesty. Ponoć pracowało dla niej również tych trzech włóczęgów, którzy napadli mnie na ulicy. Tylko że wszyscy nie żyją i nie mogą zeznawać. Jednakże te informacje nie wystarczą do wniesienia oskarżenia. Na pewno nie tutaj, zresztą u nas również byłoby to niewystarczające, ponieważ w sprawę jest zamieszany notariusz książęcy. Jeśli chcemy oskarżyć kogoś, kto ma wpływy na dworze władcy, musimy zdobyć niezbite dowody. Ale skąd je wziąć? Gdybyśmy przynajmniej znaleźli tę rudą kobietę, która uwiodła Milicza, a potem spotkała się z nim w Szczepanowie. Rozpłynęła się jednak jak we mgle.

– Mój drogi, jesteś wprawdzie najlepszym śledczym w Królestwie Czeskim, ale jesteś też tylko człowiekiem – odezwała się czule Ludmiła

z Vartemberku. Również giermek Ota dostrzegł, że jego pani jest pewniejsza siebie niż w domu, ale zarazem rozsądniejsza. Ludmiła położyła dłoń na ręce męża i kontynuowała pobłażliwie: – Rozumiem, że są sprawy, które wam, mężczyznom, umykają. Zwróć jednak, proszę, uwagę na jedną rzecz. Sprytna kobieta potrafi tuzin razy zmienić wygląd tak, że nie poznają jej nawet najbliżsi. Jeśli ja mogłam ufarbować sobie włosy, to czemu nie mogłaby tego zrobić również żona tego notariusza?

– Do diabła! – zawołał Oldrzich z Chlumu i zacisnął wargi. Z wyrazu jego twarzy było widać, jak bardzo mu wstyd. Przeoczył tak oczywistą rzecz. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz popełnił taki błąd. Nagle bowiem wszystko nabierało sensu. I co więcej, wiedział, jak to udowodnić. Musiał tylko przemyśleć poszczególne kroki. Ta sprawa była wprawdzie niezmiernie delikatna, ale możliwa do rozwiązania. – Co ja bym bez ciebie począł, moja droga? – pochwalił Ludmiłę.

– Zatem będę mogła ci pomagać w śledztwach?

Oldrzich z Chlumu natychmiast zamilkł. Kobiety miały tę szczególną cechę, że nieustannie próbowały zajmować coraz większy obszar wspólnego życia. Jedno ustępstwo oznaczało definitywną stratę. Oczywiście wiedział o tym już wcześniej i dlatego tak się wahał, zanim zabrał ją ze sobą do Wrocławia. W ich własnym domu w Bezdiezie nie było mowy o tym, żeby żona towarzyszyła mężowi podczas pełnienia obowiązków urzędowych. W zaciszu domowym opowiadał jej o wszystkich interesujących sprawach, naradzał się z nią, ale na tym ta współpraca się kończyła. Gdyby naruszył tę tradycję, być może niektórzy doceniliby ten nieco romantyczny gest, jednak u większości sąsiadów w północnych Czechach, i zapewne również na królewskim dworze, straciłby swój autorytet. Tak już był zorganizowany chrześcijański świat i, nawet gdyby Oldrzich kochał swoją żonę najbardziej na świecie, nie mógł tego zmienić.

Kilka razy próbował jej to wytłumaczyć i myślał nawet, że mu się to udało. Zawsze starał się te jej zapędy oddalać tak, by nie zranić jej duszy, ale jednocześnie utrzymać swoją pozycję, ponieważ zapewniała im godne życie. Lecz kobiecy upór nigdy nie dawał za wygraną. Kiedy tylko pojawiała się okazja, Ludmiła z Vartemberku podejmowała kolejne próby. I była to jedna z cech, za które Oldrzich ją kochał.

– Oczywiście, moja droga – zgodził się wielkodusznie. – Gdy tylko znów będę prowadzić śledztwo na Śląsku, docenię twoją pomoc.

Brak protestu go zaskoczył.

– Nie szkodzi, i tak na razie nie będę miała na to czasu – odparła z tajemniczym uśmiechem. Tym go ostatecznie zbiła z tropu. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. W jego głowie kotłowały się myśli dotyczące śledztwa.

Znów zabrał głos i wyjaśniał:

– Powiem wam, co musimy załatwić do wieczora. Nie mamy wiele czasu, ponieważ rano razem z Ludmiłą opuszczam Wrocław. Ota tu zostanie. Czeka go trudna i niebezpieczna misja. Nie pytam, drogi Oto, czy się jej podejmiesz, ponieważ wiem, że byś nie odmówił. Ale zaklinam cię, bądź naprawdę ostrożny, ponieważ stawką może się okazać nawet życie. Jeśli mimo tej poważnej chwili chciałbym zażartować, dodałbym, że będzie chodzić również o twój honor.

– To brzmi ciekawie – zainteresował się giermek Ota. – Zamieniam się w słuch.

– Najpierw musimy przygotować kilka rzeczy. Szczegóły wyjawię ci w nocy.

– W nocy? – rzuciła rozczarowana Ludmiła. – Myślałam, że spędzimy ją razem.

– Spędzimy. Już nie mogę się doczekać – zapewnił ją Oldrzich. Ale zaraz zwrócił się do swego giermka: – Oto, od tej chwili się nie znamy. Zatrzymasz się tutaj, nie szczędź pieniędzy. Znasz chociaż kilka słów po francusku?

– Naturalnie – przytaknął giermek i było widać, że jest ciekawy, co go czeka. – Kiedyś spotykałem się z pewną francuską nowicjuszką, która uciekła z klasztoru. – Gdy to mówił, dyskretnie obserwował swoją panią, ale ona tylko uśmiechała się dobrodusznie. Giermek przeszedł na francuski. Chociaż jego akcent nie był doskonały, mówił całkiem płynnie: – Oczywiście ta dziewczyna nauczyła mnie podstawowych słów dotyczących… hmm… niektórych spraw. To ładny język i jest podobny do łaciny, więc później u cystersów kontynuowałem naukę.

– Co ty na to? – Oldrzich zwrócił się do żony.

– Brzmi nieźle – potwierdziła. – Chociaż nie może się podawać za Francuza. A już na pewno nie w obecności przyjezdnych z Francji.

– Na potrzeby mojego planu to wystarczy – stwierdził Oldrzich. – Drogi Oto, od teraz jesteś zamożnym rycerzem z Burgundii, który cierpi na drobną wadę wymowy. Kiedy jesteś zdenerwowany, całkowicie tracisz zdolność mówienia. Jesteś wykształcony, ale trochę opóźniony. I jesteś cnotliwym mężczyzną.

– To rzeczywiście nie lada wyzwanie – zachichotał rozbawiony giermek. – Ale wspominałeś też o moim honorze. Skoro mam zgrywać przygłupiego kapłona, to nie widzę w tym nic honorowego.

– Kapłon jest cnotliwy z konieczności – tłumaczył mu cierpliwie jego pan. – I nic na to nie poradzi. A ty będziesz cnotliwy z nieśmiałości i głupoty. Jeśli dobrze to rozegrasz, powinieneś raz jeszcze stracić swoją męską niewinność. Szczegóły omówimy później, ale to, co kluczowe, powiem od razu. Żeby dopaść złoczyńców, musimy złapać ich na gorącym

uczynku. Ich ofiarami padali bogaci młodzieńcy bez doświadczeń z płcią przeciwną. Ta ufarbowana ruda ich uwiodła, obiecała małżeństwo i wmówiła, że spędzą wspólne życie w siedzibie, którą wspólnie kupią. Zakochani młodzieńcy przywieźli pieniądze, a pomocnicy tej kobiety ich zamordowali i okradli. Dasz im okazję, aby zrobili to ponownie. Módlmy się, żeby wpadli w tę pułapkę.

– Ale to może potrwać kilka tygodni.

– Nie mamy tyle czasu. Musimy to jakoś przyśpieszyć. Ważne, żeby przestępcy czuli się bezpiecznie. Dlatego jutro razem z Ludmiłą opuścimy miasto – wyjaśnił Oldrzich z Chlumu. – A teraz już naprawdę na mnie pora. Ludmiło, wróć do Piwnicy Świdnickiej i zaczekaj tam na mnie.

Oldrzich zastał Przecha w jego siedzibie.

– Jutro wyjeżdżam – oznajmił z miejsca. – Dlatego dziś po południu muszę się spotkać z waszym księciem. Nie zapomniałem o Maryli. I potrzebowałbym prywatnie porozmawiać ze starostą. Jak on się właściwie nazywa?

– Bolek Raciborski. Pochodzi z pobocznej linii Piastów. Czyli jeszcze nie porzuciłeś swojego śledztwa? Ostrzegam cię, starosta nie lubi kłopotów.

– Ty też – zauważył z lekkim wyrzutem Oldrzich z Chlumu. – Ale ja nie mam w zwyczaju łatwo się poddawać. Ponadto już wiem, co się stało, i gdzie do tego doszło, więc nie pozostawię sprawcy na wolności.

– Zdradzisz coś więcej?

– Na razie nie. Chyba wystarczy, jeśli powiem, że maczały w tym palce Celesta i jej siostra Magdalena. A zatem, jak rozumiesz, ta sprawa jest niezmiernie delikatna.

– Bardziej niż myślisz – mruknął z niezadowoleniem wrocławski wójt. Po jego minie było widać, że waha się, czy jednak nie umyć rąk od tych

kłopotów. Dla pewności wyjaśnił: – Mąż Magdaleny, Kozuch, to bardzo wpływowy człowiek. Jego brat jest powiernikiem warszawskiego księcia. Natomiast jej siostra wyszła za bratanka wojewody opolskiego. Nie wspominam już o jego stryjecznym bracie ze Szczepanowa, który trzyma z kanonikami naszej kapituły biskupiej. Tobie jednak nie ma co o tym mówić, i tak zrobisz to, co uznasz za stosowne.

– Znasz mój pogląd na sprawiedliwość. Ale doceniam te ostrzeżenia. Mam nadzieję, że mimo wszystko mi pomożesz. Na razie wystarczy audiencja u waszego księcia. Poza tym chciałbym porozmawiać poufnie tu, u ciebie, z wysłannikiem francuskiego króla, niejakim Jeanem d'Angulléme'em. Zatrzymał się w zajeździe u Celesty.

– Wiem, o kogo chodzi. Załatwię to – westchnął strapiony wójt, wstał od stołu, przerzucił płaszcz przez ramię i ruszył w stronę drzwi.

Oldrzich z Chlumu oparł się o ścianę. Na zewnątrz panował upał chyba jeszcze większy niż wczoraj, ale wnętrze budynku trzymało przyjemny chłód. Prokurator królewski przymknął oczy i niemal od razu zapadł w drzemkę. Jeszcze zanim usnął twardym snem, przemknęło mu przez głowę, że w nocy się nie wyśpi, ponieważ wróciła jego żona. Nagle wzdrygnął się i otworzył oczy. Sam nie wiedział dlaczego, w uszach brzmiała mu jej odpowiedź, kiedy sprzeczali się, czy będzie mu mogła pomagać również w przyszłości. Powiedziała, że na razie i tak nie miałaby na to czasu. Tam, na tarasie nad rzeką, nie przywiązywał do tego szczególnej wagi, ale teraz miał wrażenie, że zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć.

Poderwał się z krzesła, jął się przechadzać po izbie wójta i główkować, czy jego hipoteza może być słuszna. Ciągle jednak nie mógł dojść do rozsądnych wniosków.

– Fakty, potrzebuję faktów – mruczał do siebie. – Bez nich się nie uda.

Te wątpliwości zaprowadziły go z powrotem do śledztwa. Aby się uspokoić, powtórzył sobie wszystko, co ustalił, i próbował znaleźć słaby punkt w swoim rozumowaniu. W końcu zrezygnował. Był pewien, że ma rację. Zarówno w przypadku wrocławskich morderstw, jak i w sprawie swojej żony Ludmiły.

Gdy wrócił do stołu i usiadł na krześle, do izby wszedł francuski wysłannik.

– Wiedziałem, że nasza sprawa nie skończy się na jednej rozmowie – powiedział zadowolony i bez zaproszenia usiadł naprzeciw. Był to człowiek nawykły do rozkazywania. – A zatem słucham.

– Celesta, którą od początku podejrzewacie, pomaga zbrodniarzom, ale nie zabija. Przynajmniej tak sądzę – zaczął Oldrzich z Chlumu. – Wszystko ma na sumieniu pewien bardzo wpływowy dworzanin. Jego żona uwodzi niedoświadczonych młodzieńców, oczywiście udając pannę, i zaręcza się z nimi. Potem nakłania ich, aby przywieźli wszystkie swoje pieniądze. Nie powiem ci, jak jej się to udaje, ale sam wiesz, jak słodkie słówka potrafią prawić kobiety.

– Zwłaszcza nasze, francuskie – uśmiechnął się ze zrozumieniem Jean d'Angulléme.

– Najwyraźniej te śląskie im dorównują. Uwiedzionych młodzieńców ta niegodziwa kobieta zawozi do zamku stryjecznego brata swojego męża i tam giną. Mógłbym się założyć, że gdzieś tam zostały zakopane zwłoki.

– Doskonale. – Wysłannik zatarł ręce. – Podaj mi jeszcze imiona i pójdę wnieść oskarżenie.

– To, o czym ci właśnie powiedziałem, jest prawdą, ale na razie opiera się wyłącznie na domysłach. Nie mamy dowodów.

– Zażądam, aby książę posłał tych łotrów na męki. Nie przejmuj się tym. Przyznają się!

– Nie jesteś we Francji! A zbrodniarz jest zbyt wpływowy. Książę tego nie zrobi. A gdyby powziął choćby przypuszczenie, że masz rację, tym skuteczniej chroniłby swojego dworzanina. Nie może przecież pozwolić sobie na taki wstyd.

– Nie zgadzam się! Autorytet francuskiego króla jest wystarczający, aby książę Henryk nie mógł się cofnąć.

– Nie będziemy się teraz spierać o takie sprawy. Autorytet czeskiego króla jest tu o wiele większy niż waszego. Mimo to daję głowę, że w niczym by mi tu nie pomógł.

– Nie, nie spierajmy się – zgodził się trochę chłodno Jean d'Angulléme. – Działaj tak, jak uważasz za słuszne. Ja jednak będę postępował według swojego przekonania.

– Oczywiście – przytaknął uprzejmie Oldrzich z Chlumu. – Ale zważ na to, że nie znasz imion. A ja ci ich nie zdradzę, dopóki nie przysięgniesz na święty krzyż, że będziesz postępować rozważnie i zgodnie z moim planem. Tylko on bowiem prowadzi do ukarania złoczyńców.

– Czy ty się aby trochę nie przeceniasz? Pycha jest grzechem śmiertelnym. U nas w kraju już kilka przestępstw wyjaśniłem. Dlatego nasz król mnie tu wysłał. Mam doświadczenie. A ty? Czy prowadziłeś kiedykolwiek jakąś sprawę?

– Owszem, też mam już pewne doświadczenie – potwierdził z nieznacznym uśmiechem Oldrzich z Chlumu. – A ponieważ nasz król był zadowolony z mojej pracy, wyznaczył właśnie mnie do tego zadania. Jak powiedziałem, nie będziemy się spierać o błahostki. Rozważ wszak jedną rzecz. Ty jesteś tu co najmniej pół roku. Ja tydzień. Kto z nas dwóch ustalił prawdziwe imiona przestępców?

– Masz cięty język. I wcale nie jesteś uprzejmy – zachmurzył się francuski wysłannik. – Tak nie prowadzi się rozmów dyplomatycznych.

– Pokornie przyznaję, że nie jestem dyplomatą. Jestem tylko prokuratorem królewskim.

– Poczekaj – rzucił zaskoczony Jean d'Angulléme. – Czy nie jesteś przypadkiem tym czeskim rycerzem, który przed kilku laty towarzyszył w pielgrzymce do Santiago de Compostela ciotce czeskiego króla, pobożnej przeoryszy Aneżce? I który tak niegodnie zachował się wobec łaskawej gościnności naszego króla?

– Długo moglibyśmy dyskutować o tym, czy ta gościnność rzeczywiście była łaskawa i bezinteresowna, podobnie jak o tym, który z naszych władców ma większe wpływy we Wrocławiu. W naszej sytuacji na nic by nam się to nie zdało. Niemniej, owszem, to byłem ja.

Francuski wysłannik milczał i się zastanawiał. Oldrzich z Chlumu się nie śpieszył. Już przed chwilą dostrzegł we wnęce przy drzwiach do piwnicy dzbanek. Poszedł po niego. Jego przypuszczenie okazało się słuszne. Poczuł gorzki zapach wina. Nalał do dwóch kielichów i jeden postawił przed swoim francuskim gościem. W duchu przepraszał wójta, ale latem podczas takiej rozmowy szybko zasycha w gardle.

– Swojemu przyjacielowi Bertholdowi z Caen obiecałem, że pomogę mu znaleźć zaginionego syna. Albo pomogę mu pomścić jego śmierć – rzekł roztropnie Jean d'Angulléme. – Wydaje się, że z twoją pomocą mogę spełnić tę obietnicę. Przyjmuję więc twoje warunki. Jednak nie jako wysłannik francuskiego króla, lecz jako rycerz, który pomaga swojemu przyjacielowi.

ROZDZIAŁ XXV

Wrocławski książę Henryk, zwany Probusem lub też Prawym, dopiero niedawno osiągnął pełnoletniość. Był w wieku, w którym człowiek myśli raczej o uciechach cielesnych niż o zbawieniu duszy. Sprawami związanymi ze sprawowanym urzędem zajmował się rzadko i niechętnie. Był jednak na tyle odpowiedzialny, że nie zaniedbywał ważnych kwestii. Bynajmniej nie zlekceważył ataku na ważnego dworzanina króla czeskiego. Przyjął Oldrzicha z Chlumu niemal bezzwłocznie.

Książę Henryk wygłosił kilka uprzejmych zdań o pragnieniu życia ze wszystkimi sąsiadami w chrześcijańskiej miłości i pokoju. Potem poprosił Oldrzicha z Chlumu, by wyznał, co mu leży na sercu.

– Ze swoją ukochaną żoną byłem z wizytą u krewnych niedaleko Trutnova. Wszędzie mówiono o tym, jak wspaniałe jarmarki odbywają się tu, we Wrocławiu – odpowiedział prokurator królewski uprzejmie. – Z pewnością znasz kobiety, dostojny książę. Moja żona prosiła tak długo, aż się zgodziłem tu przyjechać, rozejrzeć i oczywiście dokonać kilku zakupów. Tymczasem tuż po naszym przyjeździe został zamordowany pewien czeski rycerz. Ponieważ jego brat należy do ważnych członków

dworu mojego króla, Przemysła Ottokara II, stwierdziłem, że moim obowiązkiem jest zainteresowanie się tą sprawą. Nie z braku zaufania do wójta Przecha. Przeciwnie, uważam go za wyjątkowo zdolnego człowieka. Wiedziałem wszak, że będę musiał zdać relację swojemu królowi. Miałem nadzieję, że przydam się podczas poszukiwań zbrodniarza.

Mówiąc te słowa, Oldrzich z Chlumu klęczał przed książęcym tronem w wielkiej sali audiencyjnej. Wzdłuż ścian obszernego pomieszczenia stali szlachetni członkowie dworu oraz prałaci. Kiedy wszedł, wrocławski wójt dyskretnie wskazał mu, który z nich to notariusz Kozuch. Był to wysoki, przystojny mężczyzna. Miał spiczasty nos i wyraziste, niemal dziecięce niebieskie oczy. Ubrany w brokatową szatę, z dłońmi zdobnymi w dwa złote pierścienie, sprawiał wrażenie człowieka tchórzliwego i próżnego.

– Jednakże bezwiednie zwróciłem na siebie uwagę przestępcy – ciągnął Oldrzich z Chlumu. – Wykorzystał to, że moja żona musiała szybko wyjechać, i w nocy próbował mnie zabić. Z pewnością doszedł do przekonania, że jestem na jego tropie, choć tu się mylił. Tymczasem jego działanie dopomogło sprawiedliwości i jest oczywiste, iż zamiarem Bożym było to, że skończył tak marnie, jak skończył. W sieni mej sypialni przypadkiem nocowała pewna tutejsza prostytutka. Tamtej nocy szalała straszna ulewa, więc po chrześcijańsku zaoferowałem jej dach nad głową.

– Zapewne – przerwał mu po raz pierwszy książę Henryk. – Podobne czyny, podawane za akt miłosierdzia, mają miejsce, chociaż mnie osobiście ani trochę się nie podobają. Nie jesteś jednak moim poddanym, abym zajmował się twoimi grzechami. Słyszałem, jak to wszystko się skończyło, i wiem, że dzięki tej niegodnej kobiecie nie przypłaciłeś ataku życiem. Dlatego zdołałeś zabić tego złoczyńcę i sprawa została rozwiązana. To wszystko wiem. Chętnie bym wszak usłyszał, czego oczekujesz ode mnie. Nie stała ci się bowiem żadna krzywda.

– Nie. Ale ta dziewczyna, która chroniąc moje życie, została poważnie zraniona, zrozumiała, jak grzeszne życie prowadzi, i pragnie to naprawić. A cóż mogłoby sprawić chrześcijaninowi większą radość niż sprowadzenie na drogę zbawienia kajającej się prostytutki?

– Tu się z tobą zgadzam. Mów, proszę, jaśniej.

– Ta dziewczyna ma nadzieję na uczciwe zamążpójście. W tym celu niezbędne jest jednak przywrócenie jej przez waszą książęcą mość czci, jaką cieszą się inne cnotliwe kobiety.

– Co o tym myślicie? – zwrócił się książę do niewielkiej grupy wielmożów, stojących przy jego tronie.

– Z pewnością nie byłoby dobrze, aby na dworze czeskiego króla mówiło się o tym, że jego ulubiony prokurator został w naszym mieście napadnięty i niemal przypłacił to życiem – odezwał się w imieniu wszystkich starosta, Bolek Raciborski. Rysy twarzy tego niewysokiego, tęgiego mężczyzny o chytrym spojrzeniu zdradzały bliskie powinowactwo z piastowskimi krewnymi. Dodał zwięźle: – Proponuję, żeby pan z Chlumu przysiągł na święty krzyż, że przemilczy okoliczności tej napaści. Za to możemy wrócić cześć tej prostytutce.

– Na to nie mogę się zgodzić. – Oldrzich natychmiast odrzucił ten pomysł. – Nie mam zwyczaju czegokolwiek ukrywać przed moim władcą. Nie zapominajcie, że w waszym mieście zginął wpływowy czeski wielmoża. Przedstawiłem tylko prośbę, którą uważam za chrześcijańską, ale nie zamierzam handlować prawdą w zamian za swoje milczenie. To byłoby zaiste niegodne. Wierzyłem, że słowa Chrystusa o przebaczeniu mają na tym dworze większą wagę. Chodzi o twoją poddaną, dostojny książę, ale nie przysługuje mi więcej, niż tylko zwrócić uwagę na jej odważny czyn. A zatem jeśli pozwolicie, wrócę do Pragi.

– Oczywiście, zrób to – zgodził się ponuro książę Henryk. – I ja wierzę w przesłanie Jezusa Chrystusa o wybaczeniu. Starosto, nakazuję ci, abyś przygotował dla tej nieszczęsnej dziewczyny dokument, który przywróci jej cześć. A ty, panie z Chlumu, kiedy będziesz zdawał relację swemu królowi, nie przemilcz niczego, co tu widziałeś. Będę się modlił za twój szczęśliwy powrót do Pragi. Audiencja skończona!

– Jeśli mogę coś doradzić, mój książę, daj panu z Chlumu eskortę – odezwał się starosta, wyraźnie urażony, że jego propozycja została odrzucona.

Oldrzich z Chlumu uświadomił sobie, że ten człowiek jest nie tylko podstępny, lecz także szalenie zarozumiały. Tak wyobrażał go sobie z opisu wójta i to ułatwiało mu zadanie. Ponadto potwierdzało to jego hipotezę.

– Poddany czeskiego króla będzie korzystał z twojej ochrony aż do granicy, aby dla naszego czcigodnego sąsiada było jasne, jakim szacunkiem cieszą się znaczący słudzy jego kraju na twoim dworze – ciągnął Bolek Raciborski.

– Zgadzam się – skinął znużony książę i wstał. – Czas udać się na mszę. – Mówiąc to, ruszył szpalerem kłaniających się dworzan w stronę wyjścia.

Dopiero gdy zniknął, Oldrzich z Chlumu wstał z kolan. Zwrócił się wprost do starosty. Lekko się przed nim skłonił i z udawaną wdzięcznością dziękował za troskę, jaką zamierza okazać mu podczas jego powrotu do Czech. Jednocześnie spytał, czy Bolek Raciborski mógłby go zaprowadzić do skryptorium, ponieważ chętnie poczekałby na dokument dla tej prostytutki.

– Skąd ten pośpiech? – zachmurzył się starosta. – Mam teraz inną pracę. Dziewczyna otrzyma to pismo.

– Mówiłem, że jutro wyjeżdżam.

– Czy chcesz przez to dać do zrozumienia, że mi nie ufasz?

– W żadnym razie! – zaprotestował gorąco Oldrzich z Chlumu. – Myślałem po prostu, że za ten miłosierny czyn ja również mógłbym mieć pewne zasługi przed Bogiem. Byłoby z pewnością uprzejmie z mojej strony, gdybym mógł tej dziewczynie osobiście przekazać ów dokument jeszcze dziś wieczorem.

Bolek Raciborski spojrzał nań badawczo. Sala powoli pustoszała. Jako jeden z pierwszych zniknął notariusz Kozuch. Nie zdradzał żadnego zainteresowania tymi wydarzeniami. Starosta przez chwilę się zastanawiał i nagle uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Rozumiem. Ta dziewczyna z pewnością i tak będzie ci wdzięczna. Ale jestem naprawdę zajęty.

– Zostało mi trochę pieniędzy. Jak wiadomo, nie jest mądrze podróżować z pełnymi sakwami. – Oldrzich z Chlumu zmienił ton na poufały. – Może powierzyłbym ci jedną z nich, abyś przeznaczył ją na chrześcijańskie cele? Wystarczy, że zaprowadzisz mnie do skryptorium i wydasz pisarzom stosowne polecenia. Zajmie ci to zaledwie chwilę, a ja będę mógł zapewnić swego króla, że wrocławski książę ma wyjątkowo troskliwego starostę.

– Na chrześcijańskie uczynki nigdy dość pieniędzy – przytaknął natychmiast Bolek Raciborski, a przez twarz przemknął mu uśmiech zadowolenia. – Z szacunku do czeskiego króla zgadzam się na twoją propozycję. Chodź za mną!

Wyszli z sali, przeszli przez sień, której ściany zdobiły tarcze z herbami śląskich rodów szlacheckich, i znaleźli się na dziedzińcu. Obeszli naroże palatium i dotarli do niskiego budynku, połączonego z tylną ścianą siedziby kapituły biskupiej krytym drewnianym mostkiem. Zatrzymali się przed

wejściem, ozdobionym wspaniałym kamiennym portalem, u którego stóp znajdowały się dwie rzeźby przedstawiające lwy.

– Potem nie będzie sposobności – zwrócił Oldrzichowi uwagę starosta bez dalszych wyjaśnień.

Prokurator zrozumiał. Odwiązał sakiewkę od paska i podał mu. Starosta wprawnie zważył ją w ręku, potem skinął głową i wszedł do budynku.

Skryptorium mieściło się na parterze. Pod wysokimi oknami stało sześć drewnianych pulpitów. Przy nich pracowali kanonicy w ciemnych habitach.

Gdy przybyli weszli do środka, z krzesła podniósł się tęgi prałat z łysą głową. Jedynie koło uszu sterczały mu kępki siwiejących włosów. Ruszył im naprzeciw, ale zachowywał się z godnością, bynajmniej nie służalczo. Było oczywiste, że rządzi skryptorium silną ręką. Wysłuchał polecenia starosty, skinął i spytał rzeczowo, czy do dokumentu ma przywiesić książęcą pieczęć.

– Czyż nie wyraziłem się jasno, że jest to książęcy przywilej? – niecierpliwie potwierdził starosta. Krótko pożegnał się z Oldrzichem z Chlumu i wyszedł.

Otyły prałat wskazał gościowi miejsce na ławie pod ścianą, ruchem ręki przywołał młodego nowicjusza i polecił mu, aby przyniósł dwa kielichy wina. Pisarzowi siedzącemu przy najbliższym pulpicie wydał polecenia, a potem zajął się gościem.

– Byłem na audiencji – oznajmił. – Stałem tuż przy drzwiach, chyba mnie nie zauważyłeś. Muszę wszak przyznać, że twoje wystąpienie mnie zaskoczyło. Nie, to nie jest właściwe określenie. Raczej: zdumiało. Zrozumiałem, że jesteś człowiekiem biegłym w prawie. Z pewnością zatem wiesz, że mogłeś uzyskać o wiele więcej. Zamiast pisma dla jakiejś prostytutki mogłeś zażądać pieniędzy za krzywdę, która niewątpliwie cię spotkała. Jest jarmark i wszyscy korzystają ze szczególnej ochrony naszego

księcia. Ośmielę się zapytać, jakie powody kierowały tobą, że nie wniosłeś żadnych pretensji?

– Jak powiedziałem, w swoim postępowaniu kierowałem się chrześcijańskim miłosierdziem – odparł spokojnie Oldrzich z Chlumu.

Podszedł do nich pisarz z przygotowanym dokumentem. Zanim tęgi prałat zdążył zareagować, Oldrzich z Chlumu chwycił pergamin i szybko go przeczytał. Kątem oka dostrzegł, jak obaj zakonnicy obrzucają go zdziwionym spojrzeniem.

– Tu widzę błąd – wskazał Oldrzich z Chlumu jedno miejsce w tekście, gdzie była mowa o tym, że dziewczynie imieniem Maryla przywraca się cześć pod warunkiem, że nie będzie się nadal zachowywać niegodnie. A ktokolwiek chciałby jej wypominać czyny minione, zostanie surowo ukarany. Dokument był napisany po łacinie, a pisarz w zwrocie „zostanie ukarany" zmienił *futurum* na *perfectum*. Łacina miała trudną odmianę czasownika i był to częsty błąd.

– Coś ty za jeden? – naskoczył na niego nieufnie przełożony skryptorium.

– Studiowałem w szkole kościelnej w Magdeburgu. Przebywałem też na uczelniach w Italii – odparł skromnie Oldrzich z Chlumu. – Jestem rycerzem i prokuratorem czeskiego króla, ale troska o dusze bliźnich pozostała mi z czasów młodości.

– Popraw to – polecił prałat pisarzowi. Potem się uśmiechnął i szczerze wyznał: – Podobasz mi się, szlachetny panie.

– Cieszy mnie to – skinął przyjacielsko Oldrzich z Chlumu. – Czy w takim razie mógłbym wykorzystać twoją łaskawość i spytać o kilka rzeczy?

– Jeśli to nie naruszy tajemnicy spowiedzi, to dlaczego nie?

– Czy w nocy ktoś pilnuje skryptorium?

– Cóż to za dziwne pytanie? – Prałat się najeżył. – Bramy miasta są zamykane na noc i jest tu bezpiecznie i spokojnie. Dlaczego ktoś miałby strzec naszego skryptorium? Nie ma tu nic cennego, co mogłoby interesować złodzieja, oczywiście oprócz dokumentów. Ale one są dla naszych panów rycerzy bezwartościowe. W odróżnieniu od ciebie nie umieją czytać i pisać. Wystarczą zamknięte drzwi. Dlaczego cię to ciekawi?

– Jak powiedziałem już waszemu dostojnemu księciu, interesowałem się okolicznościami zabójstwa owego czeskiego rycerza, pana Slavibora. Jego służący wspomniał mi, że przed śmiercią rozmawiał z kimś, kto w nocy coś tu pisał.

– Niemożliwe. – Przełożony skryptorium stanowczo pokręcił głową. – Klucz mam tylko ja. I nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek zastał zepsuty zamek. Ten służący się pomylił.

– Zapewne tak właśnie było, to prosty chłopak, zwykły sługa. Może ten człowiek pisał tu coś w ciągu dnia.

– To bardziej prawdopodobne. Nasze skryptorium jest do dyspozycji ogółu. Często przychodzą tu dworzanie, ale też mieszczanie z prośbą, żebyśmy przygotowali im jakieś dokumenty. Pieniądze, które za to dostajemy, kapituła przeznacza na szpital dla biednych. Nie jesteśmy bogaci i musimy ciężko pracować na swój chleb powszedni.

– W to nie wątpię. Polecę was pamięci naszego króla i poproszę, aby przekazał wam hojny dar. Ale wróćmy jeszcze do tego morderstwa. Czy zdarzyło się w ostatnich miesiącach, aby ktoś prosił o pismo dotyczące zamku i majątku w Szczepanowie?

– Nie przypominam sobie. – Tęgi prałat zmarszczył brwi. Potem pytał pisarzy obecnych w skryptorium, a oni kolejno kręcili przecząco głowami.

– Nikt z nas niczego takiego nie pisał – odezwał się ostatni, wysoki chudy mężczyzna z rzadkimi włosami i wielką brodawką na twarzy. – Ale

zrobił to ktoś inny.

– Co ty gadasz? – naskoczył nań przełożony. – Czy pracuje tu ktoś oprócz nas?

– Jakoś w zimie, pamiętasz? – zwrócił się pisarz do swojego sąsiada. – Wróciliśmy z obiadu, a ja się zorientowałem, że ktoś ruszał rzeczy na moim pulpicie.

– To prawda – przyświadczył drugi pisarz. – Ktoś korzystał też wówczas z mojego kałamarza.

– Czy coś zginęło? Dlaczego mi tego nie zgłosiliście? – zirytował się przełożony skryptorium.

– Ponieważ nic nie zginęło, nie uznaliśmy tego za istotne – zabrał znów głos chudy pisarz. – Jednak w starych pergaminach leżał na wierzchu papier, na którym było napisanych kilka nic nieznaczących słów. Zwykła preambuła, jakiej się powszechnie używa. Pojawiła się w niej nazwa, o której wspomniał nasz szlachetny gość: Szczepanów.

– Nie pamiętasz, co było napisane w tym dokumencie? – spytał Oldrzich.

– Niestety nie. – Chudy pisarz przepraszająco wzruszył ramionami. – Na pergaminie był wielki kleks. Ten nieznajomy najwyraźniej przewrócił mój kałamarz i dlatego pożyczył drugi od brata Ząbka.

– Świetna dedukcja. – Oldrzich docenił domyślność braci i zwrócił się znów do przełożonego skryptorium. – Dlaczego ów nieznajomy zostawił tutaj to pismo?

– Gdyby leżało na pulpicie, powiedziałbym, że o nim zapomniał. Ale skoro włożył je między stare pergaminy, musiał wiedzieć, że zeskrobuje się z nich atrament i ponownie używa, w ramach oszczędności. To był ktoś, kto wie, jak tu postępujemy. Żaden włóczęga czy złodziej.

– Może jakiś urzędnik potrzebował coś napisać – podsunął Oldrzich z Chlumu. – Ja umiem pisać. Z pewnością i tu znajdą się tacy rycerze.

– Znam takich tylko dwóch – wyznał przełożony skryptorium.

– Czy jest wśród nich notariusz Kozuch?

– Nie, on z pewnością nie umie czytać ani pisać. I mówiąc między nami, nie zna się też na prawie. Utrzymuje ten urząd tylko dlatego, że ma wpływowych protektorów.

– I to wszystko – podsumował rezultaty swego śledztwa Oldrzich z Chlumu, kiedy pod osłoną nocy wślizgnął się do izby Oty, którą jego giermek za grube pieniądze wynajął w Baszcie Rybackiej. Kontynuował stanowczo: – Nie mamy zbyt wiele czasu, dlatego musimy działać. Jean d'Angulléme wie, co ma robić. To obrotny człowiek, w przeciwnym razie francuski król nie uczyniłby go swym wysłannikiem. Najważniejsze należy jednak do ciebie.

– To trochę dziwne zadanie – wyznał z wahaniem giermek Ota. – Niczego takiego do tej pory nie robiłem. Uwodzę tylko piękne dziewczyny.

– Ta jest piękna. Przynajmniej tak o niej mówią.

– Nie to miałem na myśli. Ale to nieistotne. – Machnął ręką, jakby chciał odpędzić od siebie wątpliwości. – A jeśli się na to nie nabiorą?

– Nabiorą – zapewnił z mocą Oldrzich z Chlumu. – Muszą!

– Zrobię, co w mojej mocy, choć będę musiał zgrzeszyć. Tym razem naprawdę niechętnie.

– Niczego się nie obawiaj, wójt Przech dopilnuje twojego bezpieczeństwa. A jeśli chodzi o grzechy – nie martw się, chcemy przecież zdemaskować niegodziwych morderców. Kto wie, ile istnień mają na sumieniu!

– Łatwo ci mówić – westchnął giermek Ota.

Oldrzich z Chlumu położył mu ręce na ramionach i w milczeniu spojrzał mu w oczy. Potem dodał po ojcowsku:

– Ufam ci. Jeśli chcesz, kupię ci papieski odpust.

– To już wolałbym nową koszulę – roześmiał się Ota, aby odegnać wzruszenie.

– Zostawiam ci tu wszystkie pieniądze, które mi zostały – powiedział Oldrzich i szybko go opuścił.

Mimo iż noc była ciepła, letnia, a na niebie świeciły miriady gwiazd, nie dostrzegał tego piękna. Z głową pełną trosk zmierzał na rynek. Nie mógł się doczekać spotkania z żoną.

Lecz musiał jeszcze załatwić ostatnią ważną sprawę. Obszedł ratusz i podążył w stronę murów, gdzie mieszkał Jacek Młot. Szybko się dogadali. Dopiero teraz Oldrzich pośpieszył do Piwnicy Świdnickiej.

Ludmiłę z Vartemberku zastał w jej pokoju. Razem z Marylą siedziały przy stole i rozmawiały.

Kiedy wszedł, poderwała się i podbiegła doń. Pocałowała go jednak powściągliwie, nie lubiła demonstracyjnego okazywania uczuć przy obcych.

– Marylo, czas się pożegnać – rzekł Oldrzich z Chlumu i wyjął pergamin. Położył go na stole przy świecy, aby samemu dobrze widzieć treść dokumentu. Przeczytał pismo dziewczynie i wyjaśnił jej, jaki przywilej otrzymała. Słuchała go z zapartym tchem. Kiedy skończył, rzuciła mu się na szyję i zaczęła radośnie całować. Prokurator królewski bronił się przed potokiem jej wdzięczności.

– Dziękuję za wszystko – powiedział łagodnie. – Ale teraz już idź, chcę zostać sam ze swoją żoną. O ile wiem, w domu cyrulika Jakuba już na ciebie czekają.

– Czy to wszystko dzieje się naprawdę? – upewniła się jeszcze raz. Potem zakręciła się po pomieszczeniu i roześmiała się ze szczęścia.

– Wszystkiego dobrego! – życzyła jej Ludmiła, niezbyt umiejętnie skrywając zniecierpliwienie.

Maryla zrozumiała. Uprzejmie się ukłoniła, lekko mrugnęła do Oldrzicha z Chlumu i wyszła.

– Niezbyt gorliwie broniłeś się przed jej objęciami – zauważyła Ludmiła z Vartemberku, kiedy zostali sami. Nie mówiła tego jednak z wyrzutem, raczej z przekąsem. Wspięła się na palce, a kiedy Oldrzich się pochylił, pocałowała go. Z siłą i namiętnością, którą musiała tłumić przez tyle dni.

Kochali się pożądliwie, pospiesznie, a gdy potem leżeli nadzy obok siebie na łóżku, szepnęła:

– Teraz chciałam ci wyznać coś ważnego. Spodziewam się dziecka.

ROZDZIAŁ XXVI

Rano, tuż po świcie, jeszcze zanim bramy miasta zapełniły się kupieckimi powozami, Ludmiła z Vartemberku opuściła Wrocław wraz z najstarszym synem Jacka Młota, ubranym w odzież Oldrzicha z Chlumu. Towarzyszyło im kilku zbrojnych z chorągwiami księcia Henryka. Ich odjazdu pilnował wrocławski wójt. On jeden znał Oldrzicha z Chlumu, zatem nie istniało niebezpieczeństwo dekonspiracji. Lekko się ochłodziło, a znad rzeki wiał orzeźwiający wiatr.

Tymczasem giermek Ota wylegiwał się w wygodnym łóżku, ale czuł się spięty i niespokojny. Teraz wszystko zależało od niego. W duchu powtarzał sobie plan działania. Wstał dopiero, gdy z podwórza zaczął dobiegać gwar czeladzi, przygotowującej się na nadchodzący dzień. Zbiegł na dół i umył się w kamiennym korycie za stajnią. Potem starannie się ogolił. Zauważył przy tym, że z zainteresowaniem przygląda mu się urodziwa, ciemnowłosa dziewczyna, która służyła w karczmie. Kiedy indziej by go to ucieszyło, ale dziś nie miał na to czasu. Nawet się do niej nie uśmiechnął i pośpieszył do swojej izby na piętrze. Było to przecież częścią jego nowej roli. Musiał przywyknąć do tego, że jest teraz wstydliwym, niedoświadczonym, cnotliwym młodzieńcem.

Starannie się ubrał, uczesał i ruszył przez całe miasto do zajazdu U Świętego Ludwika. Wolał ominąć rynek. Teraz, rano, w krętych bocznych uliczkach panował spokój. Wielkiego ruchu nie było również w okazałej karczmie przy klasztorze cystersów. Kiedy wszedł do środka, na chwilę się zatrzymał na progu, jakby się wahał. Zgodnie z umową francuskiego wysłannika i jego przyjaciół nie było.

– Czego sobie życzysz, panie? – zwrócił się do niego z szacunkiem wysoki pomocnik karczmarza.

– Wiesz, ja… ja szukam… – zaczął jąkliwie giermek. Mówił po francusku, starał się więc unikać długich i skomplikowanych zdań. Miał rozlatany wzrok i nerwowo miął ręce. Zawsze potrafił dobrze wczuć się w rolę. – Pana d'Angulléme'a. Szukam go. Musi tu być. Jestem Roger z Tuluzy.

– Witam cię – skłonił się uprzejmie pomocnik i wskazał ręką wolny stół, przy którym wcześniej siadywał wysłannik francuski. – Wczoraj o tobie wspominał, ale nie wiedział, kiedy przyjdziesz, dostojny panie. Czy mam ci przygotować pokój?

– Nie… nie. – Przestraszony Ota podniósł ręce. – Już mam pokój. W Baszcie Rybackiej. Czy to źle?

– Oczywiście, że nie. To zależy tylko od ciebie. A czy posilisz się u nas?

– Chętnie. – Giermek skinął głową i nieśmiało przysiadł na skraju ławy. – Poproszę też o wino.

– Czy to prawda, że twój ojciec jest tym sławnym hrabią z Tuluzy, który walczył w Ziemi Świętej? – Zaciekawiony pomocnik nie potrafił pohamować ciekawości.

– Nie ojciec, ale jeden z moich przodków. Dlatego ja również pragnę zostać krzyżowcem – odparł giermek Ota ze wzrokiem wbitym w stół. Przeszedł na łamany niemiecki. – Ale nie templariuszem. Moja matka

urodziła się w Brunszwiku. Wstąpię do zakonu niemieckich rycerzy. Mówię już nieźle po niemiecku, nie uważasz?

– Oczywiście, dostojny panie. – Pomocnik skłonił się i odszedł szybkim krokiem. Nie udał się jednak do piwnicy, tylko do kuchni.

Po chwili do sali weszła Celesta. Miała na sobie piękną strojną suknię, sznurowaną po bokach, ale najwyraźniej ubierała się w dużym pośpiechu. Dłonią poprawiała jeszcze swoje wspaniałe rude włosy. Podeszła do stołu, przy którym siedział giermek Ota. Ukłoniła się i słodkim głosem zaczęła:

– To wielki zaszczyt dla mojego zajazdu.

– Tak… tak – wyjąkał Ota i odwrócił wzrok.

– Wypijesz ze mną kieliszek wina na powitanie? Oczywiście na mój koszt – kontynuowała po francusku.

Giermek zauważył, że jej wymowa nie była najlepsza. Z pewnością nie mówiła w tym języku zbyt często.

– Oczywiście – odparł wstydliwie.

Celesta usiadła na ławie obok niego i przyglądała mu się badawczo.

Ota, patrząc na nią ukradkiem, dostrzegł, że jest naprawdę atrakcyjną kobietą. Złączył dłonie i począł poruszać ustami, udając cichą modlitwę. Udawanie cnotliwego młodzieńca zaczynało go bawić.

– Podobno nie chciałeś się u mnie zatrzymać. Czyż to nie błąd? – zagadnęła ze skrywaną w głosie obietnicą. – Zajmę się tu tobą dużo lepiej. Moje pokoje są znacznie wygodniejsze niż w tym ponurym gmaszysku nad rzeką.

– Ale tam… tam… tam… – zająknął się Ota i nawet udało mu się zarumienić. – Chcę zostać Bożym rycerzem. Wystarczy mi drewniana prycza.

– Rozumiem, musisz oszczędzać – odparła z odrobiną pogardy.

– Nie o to chodzi! – niemal krzyknął, jakby go śmiertelnie uraziła. Natychmiast jednak opuścił wzrok i cicho dodał, tłumacząc się: – Mam ze sobą skrzynię pełną pieniędzy. Są one przeznaczone dla zakonu na walkę z heretykami. Nie mogę ich roztrwonić.

– W Baszcie Rybackiej też nie jest tanio – odparła od razu.

Giermek Ota spostrzegł, że język plącze się jej również dlatego, że od rana z pewnością już sporo wypiła. Przeszedł na niemiecki, jakby chciał uniknąć odpowiedzi.

– Czy mogę mówić po niemiecku? – spytał, jakby chciał zmienić temat. – Muszę się uczyć. Muszę się dużo uczyć. Mam świętą misję.

Do stołu podszedł wysoki pomocnik karczmarza i postawił przed Otą miskę z gęstą zupą, w której pływały kawałki mięsa i warzyw. Obok położył koszyk z pachnącym, jeszcze ciepłym białym chlebem.

– Dziękuję – powiedział uprzejmie Ota, szybko chwycił łyżkę i pochylił głowę nad miską, aby nie musieć patrzeć na powabną karczmarkę. Ta wymieniła ze swoim służącym pełne politowania spojrzenie.

– Jak długo zatrzymasz się we Wrocławiu? – spytała Celesta, kiedy pomocnik odszedł.

– Tylko tydzień. Potem muszę ruszać dalej na północ. Na święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny chcę złożyć śluby zakonne – mówił z pełnymi ustami i kilka razy prychnął wokół siebie. Potem pomyślał jednak, że nie może przesadzać z grą aktorską. Ma udawać nieśmiałego, ale pamiętać też o tym, że jest synem znakomitego francuskiego wielmoży. Odłożył łyżkę i podniósł kielich z winem. Na krótką chwilę z przestrachem spojrzał na Celestę, potem odwrócił wzrok i nieśmiało wzniósł toast za jej urodę.

Zauważył, że w jej oczach mignęło zadowolenie. Ota doskonale znał się na kobietach i wiedział, że nie wynikało ono z komplementu, tylko

z zainteresowania jego osobą. Ściślej mówiąc, nie z zainteresowania nim jako mężczyzną, lecz jako właścicielem skrzyni pełnej pieniędzy. Ucieszył się. Wypełnienie pierwszej części zadania przyszło mu nadspodziewanie łatwo.

Z galanterią dolał Celeście wina, a kiedy pomocnik przechodził obok do innego gościa, Ota nieśmiało poprosił o kolejny dzbanek. I to duży, bo jest gorąco. Potem zawstydzony zapytał karczmarkę, czy uczyni mu ten zaszczyt i z nim to wino wypije. Zgodziła się natychmiast.

Celesta umiała pić, ale giermek Ota również. Opuścił karczmę około południa. Udawał, że jest mocno pijany i na ulicy zataczał się aż do najbliższego rogu. Tam ukrył się w podcieniach i obserwował drzwi do zajazdu U Świętego Ludwika. Słusznie uczynił, ponieważ chwilę później wybiegła stamtąd Celesta. Nie szła wprawdzie zupełnie pewnym krokiem, ale świeże powietrze trochę ją otrzeźwiło. Śpieszyła w kierunku mostu, przez który można się było dostać do katedry i zamku książęcego, leżących po drugiej stronie rzeki.

Ota jej nie śledził, byłoby to całkowicie zbędne. Ruszył w stronę rynku i już niebawem znalazł się w swojej izbie w Baszcie Rybackiej. Położył się i zamknął oczy, aby się zdrzemnąć. Chciał szybko wytrzeźwieć, ponieważ zakładał, że w nocy zbytnio się nie wyśpi.

Kiedy otworzył oczy, było późne popołudnie. Słońce powoli opadało ku horyzontowi, a cienie robiły się coraz dłuższe. Ota przeciągnął się błogo i wyskoczył z łóżka. Zbiegł na dół i usiadł na tarasie przy stole, przy którym wcześniej siadywał jego pan. Wiatr niósł od portu stęchłą woń ryb. Giermek był wypoczęty, ale nieco zdenerwowany. Trochę niezdarna pomocnica karczmarza przyniosła mu dzbanek jęczmiennego piwa i miskę chrupiących solonych placków.

– Wybacz, że zakłócam twój spokój, szlachetny panie, ale pytała o ciebie jakaś rudowłosa kobieta – powiedziała, kiedy postawiła przed nim naczynia. – Nie znam jej, chyba nie jest z miasta. Czeka na podwórzu.

– Przyślij ją tutaj – polecił Ota. Poczuł, jak opadło z niego napięcie. Za pośrednictwem Celesty udało mu się zwabić złoczyńców i przekonać ich, że muszą działać szybko. Czyli: zaczyna się. Z zaciekawieniem spoglądał na koniec tarasu, skąd wiodły schody w dół, ku wejściu.

Dziewczyna, która się na nich pojawiła, była naprawdę piękna. Miała lekko śniadą, muśniętą słońcem twarz, proporcjonalne rysy i szerokie brwi nad dużymi oczami. Pełne usta umalowała na czerwono. Ubrana była w prostą suknię z zielonej tkaniny, spływającą w swobodnych fałdach. Rude włosy opadały jej na ramiona. Miała odkrytą głowę, a zatem najwyraźniej nie była mężatką.

Kiedy podeszła do Oty, wbił wzrok w ziemię i niepewnie wyjąkał po niemiecku:

– Czego… czego chcesz?

Nie odpowiedziała i usiadła naprzeciwko. Od jej ciała biła delikatna woń fiołków. Ręce złożyła na stole i dopiero potem miłym głosem zaczęła tłumaczyć powód swego najścia.

– Powiedziano mi, że pochodzisz z południowej Francji. Cóż za szczęście. Mam tam brata. Chciałam cię poprosić, żebyś mu doręczył list.

Giermek Ota z trudem przełknął ślinę, a potem wydał z siebie kilka bezładnych dźwięków, jakby się dusił. Dopiero po chwili stłumionym głosem odparł, że to niemożliwe, ponieważ podróżuje na północ, nad Bałtyk. Zostanie krzyżowcem.

– Szkoda – westchnęła. – Opowiedz mi o Tuluzie. Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że to piękne miasto.

– To prawda – potwierdził ochoczo. Wprawdzie wciąż odwracał wzrok ku rzece, ale mówił nieco bardziej otwarcie, jak ktoś, kto powoli wyzbywa się nieśmiałości. Szybko powtórzył to, co Oldrzich z Chlumu opowiedział mu o Tuluzie, kiedy dziś w nocy przygotowywał go na to spotkanie. Ota nie miał pojęcia, skąd jego pan wiedział, o co spyta ta dziewczyna. Po raz kolejny potwierdziła się niezwykła intuicja prokuratora królewskiego.

Gdy skończył swą opowieść, dziewczyna radośnie zaklaskała. Pomimo iż giermek Ota znał jej prawdziwe intencje, jej zachowanie wyglądało bardzo przekonująco. Podziękowała mu z wdzięcznością:

– Przynajmniej teraz wiem, gdzie mieszka mój brat.

Potem zawołała pomocnicę karczmarza i zamówiła dwa dzbanki wina.

– Czy mogę się z tobą napić? To będzie moje podziękowanie za te cudowne słowa – wyjaśniła słodko.

– Nie mam zwyczaju pić – bronił się Ota.

Dziewczyna podniosła dłoń i poufale położyła mu ją na ramieniu.

– Ja też nie. Ale oczarowałeś mnie swą opowieścią. Może powiesz jeszcze coś ciekawego?

– Nie wiem co – szepnął niepewnie giermek. Udawał zmieszanego, ale się nie bronił. Ręka trochę mu drżała, jakby miał dreszcze.

– Opowiedz mi o wyprawach krzyżowych. Z pewnością wiesz o nich więcej niż ktokolwiek inny.

Tę legendę giermek Ota również miał wyuczoną. Snuł więc opowieść o wyprawie Rajmunda z Tuluzy do Jerozolimy. Powoli, jakby się zaczynał ośmielać. Mówił coraz barwniej. Chwilami zapominał o zakłopotaniu i patrzył rozmówczyni prosto w jej piękne oczy.

– To niesamowite – szepnęła z przejęciem, gdy skończył. – Za chwilę będą dzwonić na mszę. Odprowadziłbyś mnie do kościoła? Pomodlimy się razem.

– Nic nie sprawi mi większej radości – odparł chętnie. Wstał i ruszył do drzwi. Nie nadstawił jej ramienia. Dopiero na dole zatrzymał się i zapytał ze zdziwieniem: – Właściwie wciąż nie znam twego imienia, piękna panno. Ja jestem Roger.

– Odonata. Ale tu zazwyczaj mówią na mnie po prostu Odyna. Podoba ci się?

– Nie wiem – odparł szybko, odwrócił głowę i wyszedł na ulicę.

Dogoniła go i delikatnie, z siostrzaną czułością ujęła go za rękę, pokornie tłumacząc:

– Jesteś rycerzem i na pewno byś mnie ochronił. Mogę?

– Boisz się czegoś?

– Prześladuje mnie pewien człowiek. I czyni mi nieprzyzwoite propozycje – skarżyła się ze łzami w oczach. Lekko przytuliła się do Oty i kontynuowała: – To nikczemnik. Mam jednak szczęście, że mi towarzyszysz. Jesteś silny i piękny, z tobą się nie boję.

– To… to… nie – wyjąkał i spróbował wyswobodzić się z uścisku, ale nie pozwoliła mu na to. Przypomniał jej przestraszonym głosem: – Zostanę Bożym wojownikiem.

– Zazdroszczę ci tego. Gdybym była mężczyzną, również tak bym postąpiła. To musi być cudowne.

Doszli do kościoła i weszli pod sklepienie, niknące w półmroku wysoko nad ich głowami. Skierowali się ku bocznemu ołtarzowi, gdzie lśniła wspaniała figura Maryi Panny. Uklękli na zimnej podłodze i złożyli ręce. Siostra Celesty, czyli Magdalena, która przedstawiła się jako Odyna, lekko oparła się o Otę ramieniem, jakby byli co najmniej narzeczonymi. Giermek się nie bronił. Modlił się żarliwie półgłosem. W rzeczywistości jednak myślał o niej.

Od razu poznał, że w rzeczywistości jest o wiele starsza, była mniej więcej w wieku Oldrzicha z Chlumu. Sprytna kobieta potrafi przy pomocy makijażu ukryć oznaki starzenia na twarzy, ale dłonie zawsze ją zdradzą. Otę trochę smuciło, że ta czarująca kobieta jest przestępczynią i ma na sumieniu tyle morderstw.

Kiedy msza dobiegła końca, wzięła go za rękę tak, jakby było to coś całkowicie oczywistego, i u jego boku wyszła na ulicę. Giermek dostrzegł, że w podcieniach po przeciwnej stronie ulicy ukrywa się za słupem wrocławski wójt. Wolałby ujrzeć tam swego pana, ale wiedział, że Oldrzich czeka w kuźni pod murami. Podobnie jak jego pilnował wójt Przech, ktoś z pewnością dyskretnie chronił Magdalenę. Była przecież żoną wpływowego wielmoży. Wystarczyłby drobny błąd, aby cały plan spalił na panewce.

Ota się nie wzbraniał, pozwolił się prowadzić. Szedł ze zwieszonymi ramionami, jak ktoś, kto nie wie, co ze sobą począć.

– Tam, przy ołtarzu, czułam się obok ciebie tak pewnie i spokojnie – westchnęła z lubością kobieta podająca się za Odynę. – To była piękna msza, nie sądzisz?

– Owszem – przytaknął ochoczo. – Lecz myślę, że musimy się już pożegnać.

– Nie zamierzam cię zatrzymywać – odparła urażona. – Skoro jest ci obojętne, czy ten straszny człowiek mnie nie śledzi…

– Nie jest mi to obojętne – zaprzeczył natychmiast giermek. Dostrzegł triumfalny uśmiech, który przemknął przez jej twarz. Mógł dalej robić ceregiele, ta maskarada bardzo go bawiła, ale nie chciał ryzykować. Paliła go ciekawość, w jaki sposób ta kobieta planuje popełnić zbrodnię. Dlatego dobrodusznie zaproponował: – Odprowadzę cię do domu.

– Prawdziwy rycerz z ciebie – schlebiła mu i skręciła w jedną z bocznych, krętych uliczek.

Nie uszli jednak nawet pięćdziesięciu kroków, kiedy z bramy przed nimi wynurzył się rosły mężczyzna z wrogą miną. Miał zrośnięte brwi, brodawkę na czole i brudne ręce.

– Kim jesteś, że prowadzasz się z tą dziewczyną? – krzyknął do Oty. – Kto ci na to pozwolił, młokosie?!

Magdalena ścisnęła dłoń Oty, ukryła się za jego plecami i cicho prosiła, żeby ją obronił, ponieważ to właśnie ten mężczyzna ją prześladuje.

Giermek sięgnął do pasa i dobył miecza. Człowiek stojący przed nim nie był uzbrojony. Przez chwilę się wykłócali, ale potem dryblas splunął i zniknął w bramie. Magdalena natychmiast objęła Otę i pocałowała go z wdzięcznością.

– Nie wolno ci! – zawołał przerażony, jakby ujrzał właśnie władcę piekieł. Próbował się jej wyrwać, ale mocno go obejmowała. Przylgnęła doń tak, że wyraźnie czuł nacisk jej kobiecych kształtów.

– Zawsze marzyłam o takim odważnym rycerzu jak ty – powiedziała oczarowana.

– Ale ja nigdy żadnej… Chcę złożyć śluby zakonne – wyjąkał, ale się nie bronił. Stał sztywno, bez ruchu.

– Ja też jestem pobożną dziewczyną – odparła. – Ale raz chyba mógłbyś… Może wstąpimy na chwilę do ciebie? Proszę, proszę.

Ponieważ Ota wciąż tkwił w bezruchu, chwyciła go za rękę i niemal ciągnęła ku Baszcie Rybackiej.

ROZDZIAŁ XXVII

Noc była dla Oty naprawdę udana. Udawał niewprawnego i bojaźliwego, ale musiał przyznać, że Magdalena jest piękną kobietą, a kiedy zrzuciła suknię, nie mógł od niej oderwać oczu. W końcu w przypływie namiętności zapomniał o swej udawanej nieśmiałości, a ona krzyczała z niepohamowanej rozkoszy i zasnęła potem w jego ramionach.

Rano obudził się pierwszy. Obejmowała go, a jej głowa spoczywała na jego ramieniu. Miała lekko uchylone usta i spokojnie oddychała. Giermek Ota czuł się jak Judasz i wiedział, że będzie jeszcze gorzej. To było jedno z najgorszych zadań służbowych, jakie dotychczas wypełniał.

– Co myśmy zrobili?! – krzyknął przerażony i szybko usiadł, a głowa dziewczyny zsunęła się zeń i opadła na łóżko. Przeżegnał się, złożył ręce i zaczął się modlić.

– Co… co się stało? – spytała trochę zmieszana. Ale natychmiast sobie przypomniała, gdzie jest. Również usiadła, objęła go od tyłu i przylgnęła do niego nagim ciałem. – Kochany, to było takie piękne.

– Zgrzeszyliśmy!

– Zgrzeszylibyśmy, gdybyśmy zrobili coś nieprzyzwoitego – tłumaczyła. – Ale nie jest grzechem, jeśli ciała dwojga ludzi łączą się z prawdziwej miłości. Bóg im to wybacza.

– *Mea culpa! Mea maxima culpa!* Boże, zmiłuj się nade mną! – lamentował ze łzami w oczach giermek Ota i bił się w pierś.

Magdalena nie zamierzała przekonywać go słowami. Jej dłoń się zsunęła i rozpoczęła kolejne pieszczoty. Przyniosło to efekt niemal natychmiastowy i już po chwili ich ciała znów splotły się w miłosnym uścisku.

– Gdybyś mi nie powiedział, że nie masz żadnego doświadczenia, mogłabym przysiąc, że już byłeś z kobietą. I to nie jedną – pochwaliła go, kiedy położył się obok niej. – To jest znak od Boga, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Przed chwilą wykrzykiwałeś, że mnie kochasz, pamiętasz jeszcze?

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – żalił się giermek z poczuciem winy. – Rozum podpowiada, żebym jechał dalej na północ, ale serce namawia do pozostania z tobą. Dlaczego pojawiłaś się w moim życiu?

– Kocham cię ponad wszystko – szepnęła i lekko go pocałowała. – Będzie nam razem tak dobrze. Mój stryj chce sprzedać swój majątek. Jest tam zamek z wygodnym palatium. Nie zechce za to dużo. Kupimy go i zamieszkamy tam. Będziemy tam wychowywać nasze dzieci. Chcesz?

Przez chwilę gorączkowo dyskutowali, ale w końcu Ota się zgodził.

– Mam jednak warunek – powiedział rzeczowo. – Chcę najpierw zobaczyć ten zamek. Dopiero po oględzinach będę skłonny zapłacić. A twój stryj będzie musiał spisać z nami odpowiednią umowę.

– To uczciwy rycerz – zaprotestowała natychmiast. – Nie oszuka nas. Zapłacimy mu od razu, żeby nie sprzedał posiadłości nikomu innemu. W księgach grodzkich możemy to zapisać później.

Długo się o to sprzeczali, aż w końcu się pokłócili. Magdalena niechętnie ustąpiła.

– Nie kochasz mnie – zakończyła spór. – W przeciwnym razie byś mi zaufał.

– Przecież ci ufam – zdziwił się giermek Ota. – Jak się nazywa twój stryj?

– Bolesław – rzuciła i obserwowała kochanka z ukosa. W udawanym zamyśleniu tłumaczyła: – Ty mi wierzysz, ale dlaczego on miałby wierzyć tobie? A jeśli tak naprawdę mnie nie kochasz? Jemu zależy na moim szczęściu.

– Chcę być z tobą cały czas. I zależy mi na twoim szczęściu. A zatem dobrze, zróbmy to inaczej. Żeby uniknąć jeżdżenia tam i z powrotem, nie muszę tego zamku oglądać od razu. Może twój stryj najpierw przepisze zamek na nas, a potem razem z nim tam pojedziemy i mu zapłacę?

– To brzmi już lepiej, ale nie sądzę, żeby się zgodził, nie mając pieniędzy w ręku. Ja go znam. Zrób to po mojemu, zapłać mu, a zaraz potem możemy się pobrać – zaproponowała i go pocałowała. Zachowywała się jak kobieta po uszy zakochana.

Giermek Ota uświadomił sobie, że mało który mężczyzna potrafiłby postępować tak podstępnie jak zepsuta kobieta.

– Nie – odmówił zdecydowanie. – Jeszcze nawet mi nie powiedziałaś, jak się ta posiadłość nazywa. Wierzę ci na tyle, że się zgadzam, chociaż nie wiem, czy jest warta moich pieniędzy. Przed zapłatą wolałbym ją zobaczyć na własne oczy.

– Powiem ci o tym zamku wszystko, co zechcesz, ale przysięgnij, że nie wyjawisz tego swoim francuskim przyjaciołom!

– Dlaczego nie? Chcę ich zaprosić na ślub.

– Nie rób tego, kochany, bardzo cię proszę! – zawołała przestraszona. – Na ten majątek ma chrapkę pewien urzędnik książęcy. Gdyby się dowiedział, że stryj chce go nam sprzedać, robiłby trudności. A jeśli powiesz o tym temu francuskiemu wysłannikowi, to jak myślisz, co on zrobi? Zabroni ci się ze mną ożenić. Zmusi cię do kontynuowania podróży na północ, do krzyżowców. Tego chcesz? Chcesz, żeby ci odradzał naszą miłość?

– Nigdy w życiu – zaprzeczył zlękniony giermek. – Będę milczeć. Przysięgam.

– Wiedziałam, że jesteś rycerzem, jakich nie ma na świecie wielu – ucieszyła się Magdalena, próbując znów nakłonić Otę do miłosnych igraszek. Ale chociaż Ota nie miałby nic przeciwko nim, wiedział, że popełniłby błąd, pozwalając się ponownie uwieść. Przecież jeszcze wczoraj twierdził, że jest prawiczkiem. A poza tym chciał dokończyć rozmowę.

– Jeszcze mi nie wyjawiłaś, gdzie leży ten zamek – zauważył, kiedy udało mu się powstrzymać jej miłosne zapędy.

– Szcze… – przerwała, ponieważ uświadomiła sobie, że tego miejsca nie da się teraz wykorzystać. Po czym na chybił trafił rzuciła: – Szczylków. Niedaleko stąd, ale ludzie go nie znają. Zatem co mam powiedzieć stryjowi?

– Że jutro może przepisać na nas majątek. Zaraz potem tam wyruszymy.

– Zawieziemy pieniądze ze sobą?

– To niebezpieczne wozić ze sobą tyle srebra. Nie bój się, ukochana, pieniądze zawiezie tam mój zaufany przyjaciel, żebyśmy nie mieli niepotrzebnych kłopotów.

– Ale to chyba… – jęknęła i spochmurniała. Zupełnie wyszła z roli. Zirytowana zmarszczyła brwi. – Czy ty je naprawdę masz? Przecież nikt rozsądny nie powierza takich pieniędzy obcym.

– Towarzyszy mi podkomorzy mojego ojca i pilnuje mojego bezpieczeństwa. A także pieniędzy. Wiesz, ja się nie znam na takich praktycznych rzeczach. Wychowywano mnie na zakonnika. Ten podkomorzy nazywa się Guillaume. Polubisz go.

– Nie wspominałeś o nim – surowo kontynuowała przesłuchanie. – Zatrzymał się tutaj?

– Nie, wczoraj wyjechał z miasta, żeby coś załatwić. Wróci chyba jutro. Lubi mnie, nie będzie nam przeciwny. Nawet jeśli złamię przysięgę, którą dałem rodzicom, stanie po mojej stronie.

Magdalena aż trzęsła się ze złości, ale wreszcie nad sobą zapanowała. Giermek patrzył na nią z miną wyrażającą całkowite zaufanie i czekał. Wiedział, jak bardzo skomplikował jej plany. Jego warunek niweczył bowiem powzięty zamiar zgładzenia Oty na miejscu, we Wrocławiu. Jeśli Magdalena chce jego pieniędzy, musi pojechać z nim do jakiegoś zamku. Do Szczepanowa oczywiście nie może, musi znaleźć inny. Ota był ciekaw, jak Magdalena i jej pomocnicy wybrną z tej sytuacji.

– Kochany, odeślij tego Guillaume'a do domu – podjęła jeszcze jedną próbę. – Moi przyjaciele pojadą z nami, a w ich towarzystwie te pieniądze będą znacznie bezpieczniejsze. To przecież leży w naszym wspólnym interesie. Nie masz się czego obawiać, okoliczne drogi są bezpieczne.

– Guillaume będzie świadkiem na naszym ślubie. Nalegam na to – odparł niepewnym głosem, żeby dać do zrozumienia, że nie nawykł do wydawania rozkazów.

Magdalena pochyliła głowę i się rozpłakała. Giermek wiedział, że jest to ostatnia kobieca broń, która wobec mężczyzn zazwyczaj nie zawodziła. Postanowił postąpić niespodziewanie. Również schylił głowę, złożył ręce i zaczął się cicho modlić. Kątem oka obserwował, jak długo wytrzyma

Magdalena. Była dobrą aktorką i poddała się dopiero po jego dziesiątym Ojcze nasz.

– Żebyś wiedział, jak bardzo cię kocham, ustąpię ci – powiedziała i wstała z łóżka. – Mimo że głupio się upierasz. Ale postaram się jakoś to załatwić. Tymczasem ty się spokojnie wyśpij, ukochany! – zaproponowała troskliwie. Pochyliła się i złożyła na jego ustach długi pocałunek. – Musisz nabrać sił. W nocy wszystko powtórzymy. Jesteś słodki, mój najdroższy!

Ota posłusznie zamknął oczy i udawał, że zasypia. Magdalena powoli się ubierała. Obserwował ją przez przymknięte powieki. Zaczął głośno oddychać, tak jakby naprawdę usnął. Kiedy skończyła, podeszła do łóżka i pochyliła się nad jego twarzą. Ota nawet nie drgnął. Odczekała chwilę, a potem na palcach podeszła do skrzyni. Otworzyła ją ostrożnie i bezszelestnie.

Skrzynia była niemal po brzegi wypełniona pokaźnymi sakiewkami. W tych leżących na spodzie znajdowały się kamienie, ponieważ Oldrzich nie zdołał zdobyć w tak krótkim czasie tylu pieniędzy, ale te na wierzchu zostały wypełnione srebrniakami. Część należała do prokuratora królewskiego, a reszta do francuskiego wysłannika i jego towarzyszy. Magdalena rozwiązała dwie z nich i sprawdziła zawartość. Potem na powrót starannie zawiązała sakiewki, odłożyła je na miejsce i cicho zamknęła skrzynię. Na palcach wymknęła się z izby.

Giermek Ota pozostał w Baszcie Rybackiej. Był pewien, że ktoś z tej bandy złoczyńców go obserwuje. Kiedy jego pan po raz pierwszy użył wobec nich określenia banda, Ota protestował, że tak mówi się na rozbójników, którzy ukrywają się w lasach i napadają na kupców. Oldrzich z Chlumu jednak odrzucił to wyjaśnienie.

– Wydaje ci się, że wykształceni i pochodzący ze szlachty złoczyńcy są lepsi? Ci pierwsi chowają się po lasach i kradną z głodu, a ci drudzy

mieszkają w zamkach i też kradną, tyle że z nienasycenia.

Czasem giermek Ota musiał przyznać swojemu panu rację.

Ponieważ nie miał nic do roboty, w końcu usnął, ale nie spał długo. Bezczynność w izbie szybko go znudziła, więc wyszedł na taras karczmy, aby coś zjeść. Nic lepszego nie miał do roboty. Te godziny były decydujące. Przestępcy towarzyszący Magdalenie mogli się jeszcze wycofać. Jeśliby do niego nie wróciła, pozornie nic by się nie stało. Ponieważ zakładali, że Ota o niczym nie wie, mogliby pomyśleć, że po krótkich i daremnych poszukiwaniach młodzieniec zrezygnuje i uda się na północ zgodnie z początkowymi zamiarami.

Jednak gdy Oldrzich z Chlumu omawiał tę kwestię z Otą, wydawał się pewny swego.

– Jeśli Magdalena zobaczy, że masz pieniądze, nie zrezygnuje – stwierdził. – Rozbójnicy w lasach muszą być wyjątkowo ostrożni. Jeśli mają złe przeczucia, szybko się wycofują. Ale ci wysoko urodzeni grzeszą nadmierną pewnością siebie. Myślą, że są bezkarni. I dlatego zrobią wszystko, by doprowadzić plan do końca.

Kilka godzin później okazało się, że miał rację. Giermek Ota siedział w swojej izbie i się nudził. Nagle skrzypnęły drzwi i weszła Magdalena. Ota szybko się zgarbił i złożył ręce między kolanami. Przecież mógł się jeszcze choć trochę niewinnie zabawić.

Kobieta miała na sobie płaszcz z kapturem, który, narzucony na głowę, zasłaniał jej twarz. Starannie zamknęła za sobą drzwi i poskarżyła się z żalem:

– Rano jakaś służąca widziała mnie, jak wychodziłam. Mówiła, że doniesie o tym karczmarzowi. Wiesz, jakiego wstydu narobiliby mi w mieście? Dałam jej więc kilka srebrniaków, żeby milczała. Ale musimy być ostrożni i do ślubu bardzo uważać. Dlaczego tak sposępniałeś?

– To nie ma sensu, Odonato – odparł Ota smutno.

– Czy ktoś cię skrzywdził? – spytała zatroskana i ruszyła w jego stronę, ale ją powstrzymał.

– Nie, to ja wyrządziłem krzywdę – narzekał płaczliwie. – Bogu, swojej duszy i tobie. Wybacz mi. Odprawię pokutę i przyjmę na siebie krzyż, żeby odkupić nasze grzechy.

– Odszedłeś od zmysłów? – zaatakowała go. Jej twarz spochmurniała i straciła słodki wyraz. Giermek Ota, siedząc ze spuszczoną głową, dyskretnie ją obserwował. Przez usta przemknął jej okrutny grymas. W tej chwili wydała mu się odpychająca.

Szybko rozwiązała sznurowania, suknia lekko zsunęła się z jej ciała i opadła na ziemię wokół jej stóp. Przestąpiła nad nią i naga podeszła do łóżka. Bezwstydnie kołysała biodrami, a na jej twarzy znów malowała się wcześniejsza czułość. Czubkiem języka przesunęła po lekko rozchylonych ustach. Stanęła tuż przed Otą. Jego głowa znajdowała się na wysokości jej łona. Wsunęła palce w jego starannie ułożone włosy i przez chwilę delikatnie je głaskała. Nagle jednak mocno zacisnęła dłoń i szarpnęła.

Giermek Ota nie spodziewał się tego i jęknął raczej z zaskoczenia niż z bólu.

– Zwariowałaś?

– To ty zwariowałeś – odparła ostro. – Obiecałeś mi małżeństwo, nie pamiętasz? Rano widzieli mnie, jak od ciebie wychodzę. Jeśli cofniesz obietnicę, splamisz mój honor. Rozpowiedzą, że nie jestem dziewicą, i nie znajdę przyzwoitego narzeczonego. Wszystko przez ciebie. Myślisz, że możesz mnie bezkarnie wykorzystać, a potem odtrącić? Może u was to dozwolone, ale tu obowiązują zasady. Naruszenie obietnicy małżeńskiej jest ciężkim przestępstwem. Wierz mi, sąd nie będzie miał dla ciebie litości!

– Wybacz mi! Nie wiem, co robić – rozżalił się giermek Ota. Upadł na kolana, objął ją i zaczął gorączkowo całować.

Magdalena przez chwilę stała bez ruchu, aby podkreślić swoją władzę nad nim. Potem nagle westchnęła, jakby nie mogła powstrzymać namiętności, po czym też opadła na kolana. Przejęła inicjatywę i kochała się z nim na podłodze.

Tym razem wcale nie sprawiło to giermkowi przyjemności. Wciąż miał przed oczami ten okrutny wyraz jej twarzy. Zaskoczony zauważył jednak, że Magdalena jest całkowicie pochłonięta miłosną grą. Miał wystarczające doświadczenie, aby wiedzieć, iż jej namiętność nie jest udawana. To, co robiła, było szczególnie okrutne i perwersyjne, ponieważ Magdalena przyszła tu przecież jedynie po to, aby go jak najszybciej okraść i zabić.

W końcu kobieta nasyciła swe żądze. Leżała w jego ramionach i wzdychała przeciągle. Wstała pierwsza, podeszła do drewnianego cebra, który stał przy drzwiach, szybko się umyła, a potem wygodnie ułożyła się na łóżku.

– Chodź do mnie – powiedziała pieszczotliwie. – Musimy porozmawiać o naszym ślubie.

Giermek Ota wstał. On też szybko się umył, ponieważ do spoconych pleców przykleiła mu się warstwa kurzu z podłogi. Potem położył się przy Magdalenie, ale milczał. Nie udawał obrażonego, tylko próbował jakoś poradzić sobie z jej obecnością. Przeszkadzała mu coraz bardziej.

On przykładał do miłości niemal taką samą wagę jak do modlitwy, ponieważ jego zdaniem w wielu aspektach duchowych były do siebie podobne. Do modlitwy powinno się przystępować z duszą czystą, otwartą i uczciwą, tak samo jak do miłości. Jest ona piękna tylko wówczas, gdy chce się dawać drugiemu człowiekowi radość, ale Magdalena tylko

gwałtownie ją brała. Lecz nawet ona wyczuła, że to wszystko nie jest już tak wspaniałe jak poprzedniej nocy.

Przytuliła się do Oty i zaczęła go delikatnie głaskać, szepcząc mu do ucha jakieś głupstwa. Mimo iż było to miłe, nie słuchał jej. Zastanawiał się, jak postąpić. Nawet gdyby miał jak najlepsze zamiary, zdradziło go ciało, tak jak każdego normalnego mężczyznę. Magdalena oczywiście to zauważyła. Pocałowała go, a potem się odsunęła. Giermek nie protestował, tylko narzucił na biodra kołdrę.

– To jak, dasz już spokój z tymi bzdurami? – spytała spokojnie.

– Wybacz. Na zbyt długo zostawiłaś mnie samego. Cały czas myślałem o tym, jak zdradziłem swoje święte powołanie. Modliłem się, żeby Bóg dał mi siłę. Prosiłem go o natchnienie, aby wskazał mi, która droga jest właściwa. Nie rozeznaję się sam w sobie.

– Zostaw to mnie – odparła. Przybrawszy znów minę zakochanej kobiety, zaczęła mu wyjaśniać dalsze kroki: – Jutro możesz wysłać przodem swojego przyjaciela z pieniędzmi. Mój stryj po obiedzie przyjedzie tu, do miasta, i wszystko spiszemy. Potem razem wyruszymy do jego zamku. Dotrzemy tam pod wieczór, to niedaleko. Zgodził się, żebyśmy zapłacili dopiero po spisaniu dokumentu. Potem takie niemądre myśli przestaną ci przychodzić do głowy. Obiecuję, że na to nie pozwolę.

– Jesteś taka miła – wzruszonym głosem pochwalił ją giermek Ota. Musiał się bardzo zmuszać, lecz przecież on także był dobrym aktorem. Pogładził ją po policzku i trochę niepewnie kontynuował: – Przypomnij, jak się nazywa to miejsce?

– Szczylków.

– Pytałem przy obiedzie karczmarza. Nigdy nie słyszał o takim zamku.

– A czy nie mówiłam ci, że wielu ludzi nie zna tego miejsca? Leży poza szlakiem handlowym, ale to cenna posiadłość, sam zobaczysz.

– Wierzę ci. Ale jak Guillaume znajdzie zamek, o którym prawie nikt nie słyszał?

– Zatem niech jedzie z nami.

– Już ci mówiłem, że nie uważam tego za rozsądne. Ojciec zawsze nakłaniał mnie do ostrożności w sprawach pieniędzy. Nawet tu, na Śląsk, nie przyjechałem z pełną skrzynią. Większość pieniędzy ojciec złożył w kraju, u cystersów, którzy wydali mi potwierdzenie złożenia depozytu, a dopiero tu ich bracia mi je wypłacili.

– Podoba mi się, że jesteś taki uparty. I zasadniczy – szczebiotała Magdalena. – Ale jest jeszcze jedna możliwość. Pojedzie z nim mój spowiednik. To franciszkanin, nie znam uczciwszego człowieka. Zaprowadzi go, dobrze zna drogę.

„To też Oldrzich przewidział", uświadomił sobie giermek. Było to częścią jego planu. Tak jak się umówili, Ota odparł:

– To nie jest zły pomysł. Guillaume będzie przebrany za kupca. Skrzynię przewiezie w krytym wozie, schowaną pod warzywami i suszonymi owocami. Trwa jarmark, nikt się nie domyśli, co wiezie naprawdę. Mogą wyruszyć z samego rana.

– Ale jak mu o tym powiesz? Jeszcze ani razu go nie widziałam.

– Zatrzymał się gdzie indziej. Wieczorem pójdę się pożegnać ze swoimi przyjaciółmi U Świętego Ludwika. Nie bój się, pamiętam, co ci obiecałem. O naszym ślubie nie powiem im ani słowa. Będę się zachowywał, jakbym zamierzał kontynuować podróż do zakonu, żeby zostać tam krzyżowcem.

– Czy to znaczy, że w nocy mam nie przychodzić?

Ota miał ochotę przytaknąć. Ale wiedział, że to nie wchodzi w grę. Dlatego gorliwie pokręcił głową i poprosił, żeby Magdalena koniecznie przyszła. Z francuskimi przyjaciółmi nie spędzi wiele czasu. Z pewnością wróci po dzwonach na Anioł Pański.

– To mi odpowiada – zgodziła się nad wyraz spokojnie. – Przynajmniej nikt mnie nie zauważy. Chociaż mamy wziąć ślub, musimy dbać o swoją reputację. – Potem nogą zrzuciła kołdrę na podłogę i zaczęła namiętnie całować Otę. Wzdychając, tłumaczyła: – Mamy jeszcze chwilkę. Dlaczego mielibyśmy jej nie wykorzystać?

Giermek Ota zawsze starał się spełniać oczekiwania swoich kochanek, ale w przypadku Magdaleny nabierał coraz silniejszego podejrzenia, że ta zepsuta kobieta ma niewyczerpalne zasoby energii. Na szczęście jako niedoświadczony mężczyzna nie musiał dotrzymywać jej kroku. Zdał się zatem na nią.

ROZDZIAŁ XXVIII

Po krótkiej i formalnej uroczystości pożegnania z francuskim wysłannikiem, odbywającej się pod czujnym okiem powabnej karczmarki Celesty, giermek Ota wrócił do Baszty Rybackiej. Magdalena dołączyła doń dopiero po zmroku. Mimo iż w jej zachowaniu nie zaszły żadne zmiany, w jej oczach Ota dostrzegł zmęczenie. Domyślał się, że zorganizowanie wszystkiego tak, by mogła zrealizować swoje zbrodnicze zamiary, kosztowało ją wiele wysiłku. Kazał przynieść dzbanek wina, jak na rycerza przystało, napełnił kieliszek, po czym podał go Magdalenie. Napiła się z wdzięcznością i zamiast skierować się w stronę łóżka, podeszła do krzesła stojącego pod oknem.

Ota usiadł naprzeciwko i wzniósł toast za ich miłość. Skinęła w milczeniu, a potem poprosiła, żeby opowiedział jej o sobie. Wytłumaczyła spokojnie:

– Musimy się przecież poznać, skoro mamy zostać małżeństwem.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyś to ty opowiedziała mi coś o sobie? – zaprotestował. – Ja powiedziałem ci już mnóstwo rzeczy, a ty nic. Mnie też ciekawi, z kim będę zażywać rozkoszy życia małżeńskiego.

– Ja nie jestem interesująca. Ty opowiadaj. – Dopiła wino i postawiła kieliszek na niskim stoliku.

– Jak chcesz – poddał się zgodnie z wymogami roli, którą grał.

Miał wymyślonych kilka wiarygodnych historyjek. Jednak zanim dokończył pierwszą z nich, Magdalena zasnęła na krześle. Miała głowę przechyloną na bok i lekko rozchylone usta. We śnie wyglądała tak niewinnie. Giermek patrzył na nią i zastanawiał się, jak taka piękna kobieta może nosić w sobie tyle zła.

Pomyślał, że może rację miał teolog Rupert z Deutz, pisząc w swym traktacie, że za wszystkie grzechy świata odpowiedzialne są kobiety, ponieważ noszą w sobie stygmaty grzechu pierworodnego, popełnionego przez ich pramatkę Ewę. Jednakże niemal natychmiast doszedł do wniosku, że to nie może być prawda. Poznał dużo kobiet, które były dobre i miały czystą duszę. A wiele z nich nie wiedziało, czym jest egoizm. Kuglarka Beatrycze poświęciła się, żeby uratować mu życie. Nie, egoizm nie był dziedzictwem po pramatce Ewie. Winne było zepsucie duszy. Nosili je w sobie tylko ci, którzy zatracili wiarę i miłość do ludzi. Nieważne, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Dopił wino, odstawił kieliszek na stolik obok kieliszka Magdaleny, a potem oparł się na krześle i również zamknął oczy. Postanowił, że prześpi się tutaj. Gdyby wstał, mógłby ją obudzić, ponieważ siedzieli tuż obok siebie. Nie chodziło mu bynajmniej o niezakłócony sen tej kobiety. Po prostu chciał mieć spokój. Nie mógł jednak usnąć. Przez głowę przebiegały mu dziwne myśli i wpadał w coraz gorszy nastrój. Wreszcie pomodlił się, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło.

– No pięknie! – Ota usłyszał jakby z oddali głos Magdaleny. Otworzył oczy. Siedział skulony na krześle, a całe ciało miał zdrętwiałe. Przez okno do izby wpadały promienie wschodzącego słońca. Chociaż wcześniej

czyniła mu wyrzuty, było oczywiste, że jest bardzo zadowolona z rozwoju sytuacji. – Spokojnie sobie śpisz, zamiast się mną zajmować.

– Ty zasnęłaś pierwsza – wyjaśnił i się przeciągnął. Słońce zawsze przywracało mu dobry humor.

– Powinieneś był wziąć mnie na ręce i zanieść do łóżka. Na krześle nie jest wygodnie. Nie czuję pleców, a rękę mam jak z drewna.

– Widzisz, nie przyszło mi to do głowy – przeprosił i dodał ze smutkiem: – Nie mam doświadczenia w tych sprawach. Kiedy przygotowywałem się do misji krzyżowca, sypiałem nago na twardej drewnianej ławie, żeby ciało przywykło do pokory i umartwień. Teraz z tym koniec.

– Znowu zaczynasz? – skarciła go. W jej głosie pobrzmiewało napięcie. – Jestem głodna. Do łóżka teraz już nie pójdziemy. Czekają nas ważne zajęcia.

– Zajmę się tym. – Wstał, przez chwilę masował dłonią zdrętwiałą szyję. Potem podszedł do skrzyni, otworzył ją i wyjął jedną sakiewkę z pieniędzmi.

– Co ty robisz? – Magdalena stała tuż za jego plecami i z ciekawością spoglądała na pełne woreczki leżące w skrzyni.

– Biorę na zapłatę w karczmie – tłumaczył pokornie. Potem zatrzasnął wieko i pieczołowicie pozamykał skrzynię.

– Czy trochę nie przesadzasz z tą ostrożnością?

– Nie, kochana. Za chwilę przyjdzie Guillaume. Nie chcę, żeby wiedział, ile pieniędzy powiezie. Kiedy pojawi się tu twój spowiednik?

– Nie martw się, przyjdzie – ucięła. Giermek Ota zrozumiał, że pieniądze były jedynym, co umiała naprawdę kochać. Oczywiście oprócz siebie.

Zbiegł na dół do karczmy i zamówił śniadanie oraz dzbanek piwa. Potem wyszedł na podwórze, jakby wyglądał swojego pomocnika. Człowiek w ubraniu prostego pachołka, który trzymał się prosto jak wojak, oczywiście nie mógł ujść jego uwadze. Najprawdopodobniej spędził na posterunku całą noc. Ota uśmiechnął się zadowolony i ruszył po schodach z powrotem do izby.

– Gdzie byłeś? – warknęła nań Magdalena. Jedzenie już stało na stole.

– Wypatrywałem Guillaume'a – wyjaśnił łagodnie. – Chyba zatrzymał się gdzieś po drodze.

– Mam nadzieję, że nie będziemy tu na niego czekać wieczność. – W jej głosie pobrzmiewało coraz większe zdenerwowanie.

Jedli w milczeniu. Nagle na zewnątrz rozległy się energiczne kroki, po czym otworzyły się drzwi. Stanął w nich Oldrzich z Chlumu, przebrany za kupca. Znów się ogolił, ale poprzysiągł sobie, że robi to po raz ostatni. Miał przepaskę na oku, a jego twarz wyglądała jak usiana bliznami po ospie. Maryla doskonale opanowała sztukę makijażu. Lewy policzek wypychał mu mały woreczek z kaszą, tak aby sprawiał wrażenie opuchlizny i skrzywionych ust.

– Oto on – przedstawił go giermek Ota. – Doskonały rycerz, ale w kupieckim rzemiośle też sobie dobrze radzi. Wejdź, Guillaumie. Pomogę ci z tą skrzynią.

– Poczekajcie lepiej na mojego spowiednika. Jest bardzo silny – zaprotestowała Magdalena.

– O, to świetnie, silny towarzysz bardzo się przyda – ucieszył się z udawaną prostodusznością Oldrzich z Chlumu. Z woreczkiem w ustach mówił trochę niewyraźnie. – Gdyby ktoś nas napadł, obroni mnie.

Rzuciła na niego łaskawe spojrzenie, ale nie odpowiedziała.

Mimo wczesnej godziny było już znów duszno i gorąco. Na niebie wisiała tylko jedna chmurka.

Po dłuższej chwili w drzwiach pojawił się potężny mężczyzna w stroju franciszkanina. Oldrzich z Chlumu ani przez chwilę nie wątpił, że jest to ten sam habit, w którym Magdalena uciekła po zamordowaniu Slavibora ze Szvabenic. I najprawdopodobniej zamierzała w nim zniknąć również dziś, gdy odda jej go ów rzekomy spowiednik.

Plan miała prosty. Człowiek w habicie wraz z pozostałymi łotrami napadnie na Oldrzicha z Chlumu w jakimś ustronnym miejscu, zabije go i zabierze skrzynię z pieniędzmi. Potem powróci do Baszty Rybackiej, aby poinformować Magdalenę o wykonaniu zadania. Wtedy Magdalena poderżnie Ocie gardło i ucieknie, przebrana w habit. Mężczyzna spokojnie wyjdzie przez karczmę. Pomocnica zaświadczy, że do zamordowanego przychodziła rudowłosa kobieta i była u niego również wtedy, gdy doszło do zabójstwa. Ale w tajemniczy sposób zniknęła. Któż by podejrzewał kogoś z gości, przebywających w tym czasie na dole w karczmie?

– Do roboty, miejmy to z głowy – zachęcił Oldrzicha z Chlumu mężczyzna w habicie.

Magdalena posłała mu surowe spojrzenie. To zachowanie wydało się jej głupie. Szkoda, że w Piwnicy Świdnickiej zabili jej ulubionego pomocnika ze Szczepanowa. On potrafił w ogóle nie zwracać na siebie uwagi. Ale ostatecznie okazało się to korzystne dla jej własnych planów. Wójt zamknął śledztwo w sprawie wcześniejszych zabójstw, przypisał je bowiem właśnie owemu pomocnikowi, więc miała wolną rękę w dalszych działaniach.

Oldrzich z Chlumu wraz z człowiekiem przebranym za franciszkanina chwycili skrzynię za masywne kute uchwyty i sapiąc, powlekli ją na zewnątrz.

– Widzisz, moja droga, srebro nie jest lekkie. Wkrótce się pobierzemy i stanie się ono również twoje. – Giermek Ota nie potrafił sobie odpuścić tej uwagi, przez co tym razem na niego padł surowy wzrok Oldrzicha.

Dopiero kiedy wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi, Magdalena odparła:

– Oczywiście, mój miły, będzie moje. A czym się teraz zajmiemy?

– Musimy chyba poczekać, aż przyjedzie twój stryj, żebyśmy mogli podpisać dokumenty w skryptorium – przypomniał giermek Ota. – Przyjdzie tu?

– Obiecał mi to. Myślę, że mamy jeszcze mnóstwo czasu. Może spędzimy go w jakiś przyjemny sposób? – zaproponowała i wyzywająco przesunęła językiem między wargami. Oczy błyszczały jej z podekscytowania, jak kotu czyhającemu na ofiarę. Giermek pomyślał, że jeśli diabeł nachodzi chrześcijan, to z pewnością przybiera postać tej zepsutej kobiety. Zamierzała go zabić, ale mimo to chciała się z nim jeszcze kochać. To było wstrętne.

– Zgadzam się z tobą, zróbmy coś przyjemnego – przytaknął więc. – Pora pójść do kościoła i pomodlić się, by Bóg dał nam szczęście. Cieszę się, że będę miał tak pobożną żonę.

– Bzdura – niemal jęknęła. Nie mogła pozwolić, by Ota opuścił izbę. Była tu z nim przede wszystkim dlatego, żeby go pilnować. Wszystko miała jak zawsze starannie przemyślane, za wszelką cenę unikała komplikacji. Nigdy nie myślała o mężczyznach nic dobrego, gardziła nimi. Wiedziała, że istnieje jeden niezawodny sposób na to, żeby nie sprawiali problemów i posłusznie robili to, czego od nich chce. Błyskawicznie poluzowała sznurowania i zrzuciła suknię na podłogę.

– Kochamy się częściej, niż modlimy – zauważył ze skruchą giermek Ota. Nie udawał niezadowolenia, ponieważ zrozumiał, że będzie musiał jeszcze raz zhańbić się w objęciach tej kobiety. Gdyby jej odmówił, nie

nakłoniłby jej później do tego, co zaplanował Oldrzich z Chlumu, ponieważ mogłaby nabrać podejrzeń. Niezależnie od tego, jak zepsutą miała duszę, nie była głupia.

– Modlitwy nadrobimy, kiedy się zestarzejemy – zaśmiała się i zamknęła drzwi na zasuwę.

Leżeli jeszcze nadzy na łóżku, kiedy ktoś mocno zapukał do drzwi. Magdalena zerwała się, szybko wciągnęła przez głowę swoją długą suknię, ale nie traciła czasu na sznurowanie. Z zaciekawieniem podbiegła do drzwi i odsunęła zasuwę. Giermek Ota zdążył przynajmniej włożyć spodnie.

Magdalena otworzyła drzwi i, jakby chciała pochwalić przybysza, z uznaniem zaczęła:

– Szybko się uporaliście z tym…

Zdania jednak nie dokończyła. Na progu stał Oldrzich z Chlumu – w koszuli poplamionej krwią, z poranionymi przedramionami, trzymał w dłoniach podarty i zakrwawiony habit franciszkański. Energicznie wszedł do środka, a za jego plecami pojawiła się dziewczyna niosąca duży dzbanek z winem. Przecisnęła się obok Magdaleny, postawiła go na stole i kłaniając się spytała, czy życzą sobie czegoś jeszcze.

Mimo iż Magdalena z punktu widzenia swej udawanej przyzwoitości znalazła się w bardzo trudnej sytuacji, stała bez ruchu przy drzwiach, nie próbując nawet poprawić ubrania.

– Możesz odejść – rzekł surowo giermek Ota. – Pamiętaj, niczego nie widziałaś lub cię Bóg pokarze. I ja też. W tej izbie jestem sam, rozumiesz?

Służąca znów się ukłoniła i uciekła zmieszana. Oldrzich zatrzasnął za nią drzwi. Dopiero teraz Magdalena trochę się opamiętała.

– Co się stało? – spytała przez ściśnięte gardło.

– Nieszczęście. To znaczy z perspektywy twojego spowiednika, szlachetna pani. Nade mną jednak Bóg trzymał opiekę. Jechaliśmy szlakiem, który wybrał spowiednik. Powiedział, że na wszelki wypadek pojedziemy okrężną drogą, ponieważ tak będzie bezpieczniej. Ale akurat kiedy przejeżdżaliśmy przez las, z krzaków wyskoczyło pięciu zamaskowanych ludzi. Wyciągnąłem miecz, ale jednocześnie zacząłem się modlić, ponieważ jasnym było, iż jesteśmy skazani na klęskę. Już chciałem powierzyć swoją duszę Bogu, kiedy za nami na zakręcie pojawiło się dziesięciu zbrojnych na koniach, w barwach miasta Wrocławia. Przygnali jak wiatr i co do jednego wybili rozbójników. W tym zamieszaniu ktoś zabił też twojego spowiednika.

– A co z pieniędzmi?! – krzyknął z przerażeniem w oczach giermek Ota.

– Nie obawiaj, się, mój panie – uspokoił go z dumą Oldrzich z Chlumu. – Odwiozłem skrzynię z tamtego feralnego miejsca, a potem zakopałem ją tak, że beze mnie nikt jej nie znajdzie. Waszemu ślubowi nic nie grozi.

– Mówisz, że ci strażnicy zabili wszystkich rozbójników? – upewniła się rzeczowo Magdalena. Szybko otrząsnęła się z pierwszego szoku, a po jej skupionej twarzy można było poznać, że zastanawia się, co teraz począć.

– Wszystkich – potwierdził Oldrzich z Chlumu. – Szkoda, że choć jednego nie pojmali żywcem. Mogliśmy wyciągnąć zeń jakieś informacje. – Oldrzich również był dobrym aktorem.

– Mój stryj będzie chciał zobaczyć pieniądze, bez nich nie sprzeda nam zamku – stwierdziła Magdalena.

– Najważniejsze, że się kochamy – odparł giermek Ota. – Kupimy sobie inny. Słyszałaś, pieniądze są bezpieczne.

Nawet na niego nie spojrzała. W skupieniu obserwowała Oldrzicha z Chlumu, jakby próbowała go ocenić. Po chwili namysłu jej twarz nagle

rozjaśnił zachwyt.

– Jesteś bardzo odważnym człowiekiem. Chyba najodważniejszym, jakiego spotkałam. I wiesz, że tu chodzi o miłość twojego pana. I o moje szczęście. Jeśli nam pomożesz, zapewniam cię, że otrzymasz zasłużoną nagrodę. – Mówiąc te słowa, nieznacznym ruchem czubka języka dała wyraźnie do zrozumienia, jaką nagrodę ma na myśli.

Oldrzich z Chlumu udawał oczarowanego jej urodą i, głęboko się przed nią skłaniając, odparł:

– Ja natomiast nigdy nie spotkałem piękniejszej kobiety. Cóż może być dla rycerza większym szczęściem niż służenie pięknej damie i zbieranie okruchów wdzięczności, które spadną ze stołu oferującego tak wyszukane przysmaki? Co zatem rozkazujesz, moja pani?

Magdalena wyraźnie się rozluźniła.

– Odważyłbyś się sam wydobyć tę skrzynię i zawieźć ją do pewnego dworu, położonego opodal miejskich murów?

– Czy to aby nie jest niebezpieczne? – spytał przestraszony giermek.

Ale Magdalena już z nim nie rozmawiała. Wszystkie swoje kusicielskie walory skierowała do jego rzekomego służącego. Zmieniła ton na poufały.

– Rycerz taki jak ty z pewnością nie musi się niczego obawiać, skoro poradził sobie z tyloma rozbójnikami. Przywieziesz tę skrzynię?

– Oczywiście. – Oldrzich z Chlumu znów się pokłonił. – Gdzie leży ta posiadłość?

Magdalena się zawahała. W ostatniej chwili uświadomiła sobie, że gra o zbyt wysoką stawkę. Wiedziała, że o takich rzeczach nie może decydować sama. Dlatego zaczęła się tłumaczyć:

– Muszę najpierw porozumieć się ze swoim stryjem, a także z właścicielem tego dworu. Nie należy on do mnie i nie mogę decydować za innych. Ustalę wszystko i wrócę. Poczekacie?

– Nic nie sprawi mi większej radości – przytaknął serdecznie Oldrzich z Chlumu.

Magdalena bez zainteresowania przelotnie pocałowała Otę, po czym obiecująco uśmiechnęła się do Oldrzicha i szybko wyszła.

– Myślisz, że wróci? – mruknął giermek Ota. – Bardzo by mnie zirytowało, gdyby się okazało, że na darmo grzeszyłem tak straszliwie.

Kiedy indziej jego pan nie odmówiłby sobie dobrodusznego przytyku, ale tym razem milczał, ponieważ znał Otę i umiał sobie wyobrazić, jak się on czuje. Z silnym przekonaniem obiecał:

– Wróci. Już kiedy wszystko planowaliśmy, nie wątpiłem w to ani przez chwilę. Ale teraz jestem całkowicie pewien. Kiedy wygłodniała ryba wgryza się w przynętę, nie puszcza. A ona jest taka sama.

– Szczupak to przy niej istny baranek – westchnął giermek Ota. – Już nie mogę się doczekać znajomości z jakąś ładną i porządną pomocnicą karczmarza. Czy wszyscy ci rozbójnicy naprawdę nie żyją?

– Przecież wiesz, że nie – pokręcił głową Oldrzich z Chlumu i spoważniał. O żadnej śmierci nie rozprawiał beztrosko, nawet o śmierci złoczyńców. – Tej bandzie już powoli zaczyna brakować ludzi. Do ataku na mnie wynajęli kilku zwykłych włóczęgów. Tylko fałszywy spowiednik był doświadczonym przestępcą. Dlatego od początku uważałem, żeby nawet na moment nie odwrócić się do niego plecami, chociaż podejrzewałem, że sam mnie nie zaatakuje. Wójt Przech wybrał najbardziej godnych zaufania strażników, którzy jechali kawałek za nami, ale nie nazbyt blisko, żeby nie było słychać odgłosu kopyt ich koni. Wiedziałem, że przez krótką chwilę będę sam przeciwko wszystkim, zanim zbrojni nas dogonią. Uważałem na tego w habicie franciszkanina, bo było dla mnie oczywiste, że jakoś się zdradzi, zanim do tego dojdzie. I miałem rację! Kiedy wjeżdżaliśmy na wzgórze i wóz musiał zwolnić, nagle wsunął rękę pod habit i wzrokiem

bezwiednie błądził w gęstych krzakach przed nami. Nie miałem wątpliwości, że zaraz się zacznie. Niepostrzeżenie chwyciłem rękojeść miecza, a drugą ręką niby przypadkiem zacząłem sobie poprawiać koszulę. Gdy tylko w krzakach mignął pierwszy cień, ten człowiek obok mnie wyciągnął sztylet, ale zanim zdążył mnie dźgnąć, pięścią zepchnąłem go z wozu na ziemię. Mogłem go zabić, ale przecież potrzebujemy go żywego. Z krzaków wybiegło kilku rzezimieszków z twarzami przewiązanymi brudnymi szmatami. Byli uzbrojeni w siekiery i włócznie. Z kozła przeturlałem się do tyłu, gdzie mogłem się całkiem nieźle bronić, ponieważ boki chroniły mi burty wozu zakryte materiałem. Ten przebrany za zakonnika podniósł się z ziemi, a ponieważ jego pomocnicy się wahali, wyzwiskami szczuł ich przeciwko mnie. Posłuchali, ale niezbyt chętnie. Pierwszego, któremu udało się wejść na wóz, zabiłem. Potem w końcu nadjechali ludzie Przecha. Trzej bandyci natychmiast chwycili broń i się rozbiegli. Ale wrocławianie znają się na swojej pracy. Złapali wszystkich. Ja zeskoczyłem z wozu, żeby ująć tego w habicie. Jako świadek jest dla nas najważniejszy. Okazał się jednak silny jak niedźwiedź. To on zadał mi tę ranę. Nie był to wyszkolony wojownik, ale porządny zabijaka z karczmy. W końcu jakoś się z nim uporałem. Trzej włóczędzy nic nie wiedzą, to on ich wynajął. Przyznali się od razu. Człowiek w habicie nie chciał ze mną rozmawiać, ale Przech z pewnością sobie z nim poradzi. Wrocławski kat podobno nie należy do mięczaków.

– Martwiłem się o ciebie – przyznał się giermek cicho, jakby się wstydził.

– Ja o ciebie też. I wciąż będę się martwił, bo teraz czas na najgorsze.

ROZDZIAŁ XXIX

Giermek Ota na koniu, z Magdaleną u boku, przejechał przez bramę miejską i skierował się wzdłuż rzeki na północ. Towarzyszył im Oldrzich z Chlumu. Dopiero kiedy znaleźli się za miastem, kobieta wyjawiła im cel podróży.

– Nie masz się czego obawiać – próbowała rozwiać wątpliwości nieustannie wyliczane przez Otę. – Ten dwór należy do książęcego notariusza. Kto może być bardziej godny zaufania niż on? Rozumiesz już z pewnością, dlaczego nie chciałam ci zdradzić jego imienia. Nasz starosta by się wściekł, gdyby jakaś sprawa urzędowa została załatwiona poza skryptorium. Za każdy zapis dostaje srebrniaka. A twojego służącego proszę, żeby miał to w pamięci, kiedy pojedzie po skrzynię. Tylko nie wolno mu tego nikomu wyjawić. Nie chcę, żeby szlachetny pan notariusz w przyszłości robił nam problemy.

– Przecież już to omówiliśmy – przerwał jej Oldrzich z Chlumu. – Jestem rycerzem, szlachetna pani. I dotrzymuję słowa. Wierzę, że ty również.

– Bez wątpienia, Guillaumie – przytaknęła ochoczo.

– Jeszcze jedna rzecz – ostrzegł Oldrzich z Chlumu, kiedy odłączał się od nich na rozstaju dróg. – Jeśli będę podejrzewał, że ktoś mnie śledzi, zostawię skrzynię ukrytą tam, gdzie jest. Nie narażę na niebezpieczeństwo pieniędzy mojego pana.

– To rozsądne – skinęła głową.

Chociaż Oldrzich z Chlumu był niemal pewien, że tym razem złoczyńcy pozwolą mu spokojnie dojechać w umówione miejsce, dodał:

– Przyszło mi do głowy, mój panie, że może znów pojechałbym okrężną drogą.

– Oczywiście, ostrożności nigdy za wiele – pochwalił go giermek Ota i ruszył wzdłuż rzeki.

Magdalena nieznacznie zwolniła, a gdy znalazła się za nim, nachyliła się do Oldrzicha i szepnęła:

– Będziesz mnie miał tak, jak zechcesz.

Potem cmoknęła na konia i szybko ruszyła do przodu.

– Jakoś dużo uśmiechałaś się do Guillaume'a – powiedział z wyrzutem Ota, gdy go dogoniła.

– Tylko tyle, ile uznałam za stosowne – broniła się ostro. – Ale jeśli myślisz, że jako swojej żonie będziesz mi rozkazywał, to się mylisz. Ja w twoje sprawy się nie wtrącam.

– Po co się kłócić? – szybko zmienił ton. – Daleko jeszcze?

– Za tym wzgórzem – wskazała ręką.

Dalej jechali w milczeniu. Nie było o czym rozmawiać. Ota był potrzebny Magdalenie już tylko do odebrania od służącego skrzyni z pieniędzmi. Zaraz potem zamierzała się go pozbyć. Giermek Ota dokładnie wiedział, jaki los został mu przypisany. Dlatego nawet gdyby chciał coś powiedzieć, żadne słowa nie przeszłyby mu przez gardło.

Dwór Kozucha był okazałą siedzibą otoczoną murem z wieżami w narożnikach. Kilkaset kroków dalej znajdowało się jeszcze gospodarstwo ze stajniami i dwiema stodołami. Do dworu prowadziła szeroka wygodna droga obsadzona jabłoniami. Brama była otwarta, a przy moście nad fosą stał zarządca w brązowej szacie, który uprzejmie się skłonił.

– Pan już na was czeka – oznajmił.

Zatrzymali się przed piętrowym pałacem. Magdalena sama zeskoczyła z siodła, była doskonałym jeźdźcem. Swojego narzeczonego szybko wprowadziła do środka. Ota zauważył, że dziedziniec jest pusty, tak samo jak okolice dworu. Magdalena oczywiście nie chciała żadnych świadków. Pozbycie się na dzisiejszy wieczór służby i poddanych z pewnością nie stanowiło dla niej żadnego problemu.

Pusta była również siedziba notariusza. Jeśli nie liczyć właśnie notariusza i zarządcy, o ile rzeczywiście był to zarządca, przyjezdni znajdowali się na dworze sami. Ota musiał przyznać, że w tej kwestii jego pan również miał rację. Zbrodniarze nie rzucą się na nich ze sztyletami czy inną bronią – na to było ich zbyt mało, ale spróbują ich otruć. Mimo iż Oldrzich z Chlumu twierdził, że nie zrobią tego, zanim on nie przybędzie ze skrzynią, Ota na wszelki wypadek zaczął się skarżyć na skurcze żołądka i odmówił jedzenia. Na Magdalenie nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia. Nawet nie okazała mu współczucia.

– Musimy jeszcze poczekać na mojego stryja – powiedziała, nie zwracając na Otę uwagi. – I oczywiście na Guillaume'a. Usiądź gdzieś i przestań marudzić.

– Pójdę się pomodlić. Gdzie tu jest kaplica?

– Nie mamy tu kaplicy – odparła roztargniona. Nawet nie zauważyła, jak nieopacznie się wygadała.

Giermek usiadł we wnęce okiennej, skąd dobrze widział bramę. Powoli zapadał zmrok. Dopiero gdy z oddali dobiegły stłumione dźwięki dzwonów kościelnych, zwołujących wiernych na mszę, w bramie pojawił się człowiek na koniu. Miał na sobie wspaniały płaszcz obszyty futrem, a na głowie kapelusz z szerokim rondem. Lecz jego twarzy Ota nie dostrzegł. Mężczyzna zeskoczył na ziemię, a zarządca z głębokim ukłonem wziął od niego wodze i zaprowadził konia do stajni. Magdalena wybiegła mu naprzeciw i namiętnie ucałowała przybysza. Potem zaczęła mu coś szybko opowiadać. Słuchał jej uważnie, a potem dostojnie skinął głową. Razem weszli do środka.

Giermek oparł się o ścianę, zamknął oczy i udawał, że drzemie. Ponieważ drzwi sali zostawił otwarte, usłyszał kroki na schodach.

– Tu jest – zaszczebiotała Magdalena z nieszczerą dobrotliwością.

Za nią stał niewysoki, tęgi mężczyzna w kapeluszu. Jego twarz okalała gęsta broda, ale już na pierwszy rut oka było widać, że jest sztuczna. Ota niedawno zapuścił swoją brodę i zauważył wtedy, że jej granica nigdy nie była ostra, a drobny, delikatny zarost pojawia się również wyżej, na policzkach. Tymczasem ów człowiek miał policzki gładko wygolone, z którymi wyraźnie kontrastował gęsty zarost.

Magdalena podeszła do Oty, ale przybysz wciąż stał niewidoczny przy drzwiach, ponieważ zapadał zmrok, a salę słabo oświetlało zaledwie kilka łuczyw.

– Mój stryj. – Wskazała nań. – Nie, nie wstawaj, on jest przesądny. Przy sprzedaży ludzie podobno powinni się obejmować dopiero wtedy, gdy dobili targu.

– Wystarczy, że obejmował się z tobą.

– Chyba nie jesteś zazdrosny, skarbie? Przecież to mój stryj i długo się nie widzieliśmy.

– Nie to miałem na myśli. Gniewasz się, ukochana?

– Czy mam ci przynieść wino?

– Byłoby miło – zgodził się giermek Ota. Wstał, lekko się skłonił i oficjalnym tonem dodał: – Cieszę się, że mogę cię poznać, szlachetny panie.

Kiedy Magdalena wraz z rzekomym stryjem wyszła, Ota podbiegł na palcach do otwartych drzwi. Oprócz kroków na schodach usłyszał, jak ów człowiek stwierdza pogardliwym tonem, że wybrała sobie wręcz podręcznikowego durnia i z pewnością pójdzie im z nim jak z płatka.

„Z pewnością", pomyślał Ota raczej ze smutkiem niż triumfalnie. Magdaleny nie było mu żal, czuł jednak wielką gorycz z powodu zbytecznego zła, które zawładnęło duszami niektórych ludzi. Jakże piękne byłoby życie, gdyby ludzie nie krzywdzili się nawzajem.

Gdy na czerniejącym niebie rozjaśniły się gwiazdy i pojawił się srebrny sierp księżyca, przed bramą rozległ się turkot kół. Na dziedziniec wjechał wóz kryty płótnem. Powoził Oldrzich z Chlumu. Z czeladnej wybiegł zarządca, a z dworu podążał ku nim notariusz książęcy. We trzech z wysiłkiem zaciągnęli skrzynię do sali, gdzie czekał giermek Ota. Niemal natychmiast zjawiła się również Magdalena. Jej stryj znów pozostał w cieniu przy drzwiach.

– Brakuje jeszcze klucza – zauważył Oldrzich z Chlumu i pobiegł z powrotem do wozu. Po krótkiej chwili wrócił, niosąc ze sobą łuk i kołczan pełen strzał. – Wziąłem to ze sobą na wszelki wypadek. Gdyby znów napadli mnie rozbójnicy, łuk by mi się przydał, jestem doskonałym strzelcem – wyjaśnił, widząc zaskoczoną minę Magdaleny. Jej mąż, notariusz Kozuch, stał obojętnie z boku, a słowa woźnicy nie robiły na nim najwyraźniej żadnego wrażenia.

Oldrzich z Chlumu pokazał im klucz, ale nie otworzył skrzyni, tylko zamaszystym gestem schował go do skórzanej sakwy przytroczonej do paska. Raczej troskliwie niż surowo dodał:

– Najpierw spiszemy odpowiednie dokumenty, tak jak się umówiliśmy. Jesteśmy tu wprawdzie wszyscy uczciwymi ludźmi, ale handel to handel i rządzi się swoimi prawami. – Spojrzał na fałszywego stryja Magdaleny, stojącego przy drzwiach, i rzucił: – Czyż nie, szlachetny panie?

– Wolałbym najpierw zobaczyć pieniądze – mruknął tęgi mężczyzna w kapeluszu. Nie zdejmował go nawet w sali, a jego szerokie rondo ocieniało mu oczy.

Oldrzich z Chlumu trochę rozczarował się jego wyglądem, ponieważ złoczyńcy najwyraźniej uważali ich za skończonych głupców. Przebranie tego człowieka nie sprawdziłoby się nawet podczas występu podrzędnych komediantów. Z drugiej strony jednak rozumiał, że po tym, jak nie dał się zabić i okraść, mieli niewiele czasu. Te łotry musiały improwizować.

– Mój pan również nie miał możliwości obejrzenia twojego zamku – odparł nieustępliwie.

– Guillaumie, nie zrobisz tego nawet dla mnie? – prosiła go Magdalena i ręką nieznacznie dotknęła go w kroku, jak czasem robiły to najbardziej wulgarne prostytutki.

Oldrzichowi przyszło na myśl, że najprawdopodobniej w młodości trudniła się tym rzemiosłem, zanim w jakiś tajemniczy sposób udało się jej zostać żoną książęcego notariusza. Z pewnością nie pochodziła ze szlachetnego rodu, w przeciwnym razie karczmarka Celesta nie byłaby jej siostrą.

– Nieba bym ci przychylił – rzekł i uprzejmie się ukłonił. – Tyle że to nie są moje pieniądze, tylko mojego pana. I twojego przyszłego męża.

Giermek Ota zrobił zniecierpliwioną minę i nawet nie musiał udawać. Gdy tylko Magdalena zwróciła się do niego, już niemal gniewnie rzucił:

– Nie! Najpierw chcę zobaczyć umowę.

– Proszę bardzo. – Wzruszyła ramionami. Potem krzyknęła do Kozucha, żeby przyniósł wino, by mogli wznieść toast za Boże błogosławieństwo dla ich poczynań.

– To też mi się nie podoba – zaprotestował giermek. – Może przynieść pecha. Najpierw spiszemy umowę, potwierdzimy ją swoimi pieczęciami, a potem wzniesiemy toast i zapłacę.

– Ależ kochany…

– Mój pan ma rację – wtrącił się ostro Oldrzich z Chlumu. Podszedł do Oty i stanął przy nim. Przy pasach ich obu zwisały miecze.

– Twoja wola – zgodził się chłodno człowiek w kapeluszu. Potem krzyknął władczo: – Kozuchu, przygotuj dokumenty!

Notariusz posłusznie skinął głową i natychmiast zniknął. Magdalena i jej rzekomy stryj wymienili krótkie spojrzenia.

– Zaraz wszystko będzie gotowe. – Magdalena próbowała uspokoić gości. Było widać, jak bardzo się zmusza, aby mówić uprzejmie i spokojnie. – Odpocznijcie sobie, a ja przyniosę coś do jedzenia. I dopilnuję, żeby to wszystko nie trwało zbyt długo. – Wyszła wraz z mężczyzną w kapeluszu.

Giermek Ota położył palec na ustach na znak, by jego pan nie powiedział nic, co by ich zdradziło, ponieważ z pewnością ktoś z tych trojga potajemnie ich podsłuchuje. Możliwości było wiele. W sali znajdowały się dwie pary zamkniętych drzwi wiodących do dalszych komnat, wygasły kominek z szerokim kominem, a także małe okienko do jednego z bocznych pomieszczeń. Z jego położenia można było wnioskować, że za dwiema wspaniałymi flamandzkimi tapiseriami,

wiszącymi na ścianie, kryją się kolejne komnaty. Oldrzich z Chlumu roześmiał się, rozbawiony tym, że jego giermek może podejrzewać go o taki błąd. Na schodach znów rozległy się szybkie kroki. Oldrzich przemówił więc zatroskanym głosem:

– Nie, mój panie, byłem bardzo czujny i co chwila się oglądałem. Na pewno nikt mnie nie śledził. Nie musisz się obawiać, kiedy będziemy stąd wyjeżdżać, nikt na nas nie napadnie, wierz mi.

W drzwiach pojawiła się Magdalena. Przyniosła im miskę z małymi pieczonymi rybkami i dzbanek czerwonego wina, które wspaniale pachniało przyprawami. Pochyliła się ku Ocie, pocałowała go w policzek i pieszczotliwie powiedziała:

– Smacznego, mój kochany. Za chwilę wrócę.

Na Oldrzicha z Chlumu nawet nie spojrzała, odwróciła się i znów pośpiesznie wyszła.

Giermek Ota uniósł brwi, aby dać znak swojemu panu, że w planach zbrodniarzy nastąpiła spodziewana zmiana. Początkowo zakładali bowiem, że otrują ich podczas toastu. Ale to nie pasowało Oldrzichowi z Chlumu, więc zręcznie rozegrał tę sytuację tak, by podsunąć im inną możliwość.

Wziął miskę i podszedł do kominka, gdzie stały dwa krzesła nakryte futrami. Uniósł jedno z nich i starannie rozłożył pod nim rybki. Potem nakrył je futrem i odniósł z powrotem pustą miskę.

Ota wyjrzał przez okno, ale wylewanie wina na zewnątrz nie wydało mu się bezpieczne. Pokręcił głową na znak, że nie wie, co robić. Jednocześnie obaj głośno chwalili znakomite jedzenie i podziwiali smak wina.

Oldrzich z Chlumu rozejrzał się, ale również nie dostrzegł nic odpowiedniego. W końcu podszedł do tylnej ściany, na której wisiało kilka mieczy, kopii oraz hełmów. Przyjrzał się im i do każdego wlał tyle wina, ile

się zmieściło. Wzruszył ramionami na znak, że nic więcej nie wskóra. W dzbanku została jeszcze niemal połowa. Podszedł do skrzyni i ostrożnie otworzył kłódkę. Nie skrzypnęła, ponieważ przed podróżą dokładnie ją naoliwił, podobnie jak zawiasy. Nieznacznie uniósł wieko, zajrzał do środka, położył palec na ustach podobnie jak przed chwilą giermek Ota, a następnie cicho opuścił wieko. Kłódkę powiesił tak, jakby skrzynia wciąż była zamknięta. Klucz przymocował sobie z powrotem do pasa.

– Jakoś kręci mi się w głowie – rzekł głośno giermek Ota.

– To pewnie przez ten upał. Przez cały dzień nie daje nam wytchnienia, mój panie. Ja też nie czuję się najlepiej – odparł Oldrzich z Chlumu.

– Mam skurcze.

– Ja też.

– Będę wymiotować.

– Co się dzieje?!

– Pomocy!

Jeszcze przez chwilę charczeli, a potem umilkli. Oldrzich z Chlumu zwinął się na podłodze. Łuk z przygotowaną strzałą ukrył pod brzuchem. Giermek Ota siedział zgięty na krześle. Miecz miał oparty o poręcz tak, aby wydawało się, że wciąż tkwi w pochwie.

Przez chwilę nic się nie działo, ale potem przez drzwi zajrzała Magdalena. Na palcach podeszła do nich i sprawdziła, czy naprawdę pili wino. Potem kopnęła leżącego Oldrzicha z Chlumu, a Otę mocno uderzyła dłonią w twarz. Żaden nawet się nie poruszył. Zadowolona wróciła do drzwi i zawołała swoich wspólników:

– Już po nich.

Jako pierwszy pojawił się rzekomy stryj. Zadowolony zdjął kapelusz, otarł dłonią czoło, a potem odkleił fałszywą brodę. Oldrzich z Chlumu obserwował go spod przymkniętych powiek. Tak jak się spodziewał,

bandzie przewodzili Magdalena i jej kochanek, starosta Bolek Raciborski. Dlatego notariuszowi Kozuchowi tak się powodziło. Oddał swoją żonę potężnemu staroście, a za to otrzymał dochodowy urząd. I pomagał we wszystkim, co ci dwoje zaplanowali. Wreszcie przybiegł również on, cały zdyszany, ponieważ z sąsiedniej komnaty podsłuchiwał ofiary.

– Nie chcę, żeby tu zostali. – Kozuch od razu zaczął protestować, nie potrafiąc ukryć roztrzęsienia. – Pozostałych pogrzebaliście u mojego stryjecznego brata w Szczepanowie. Jeśli tych zakopiecie tutaj, do końca życia nie będę spać spokojnie.

– Nie zostaną tu, ty tchórzu – odparła z zimną pogardą Magdalena. – Paszek załaduje ich w nocy na wóz, którym przywieźli pieniądze. Wywiezie ich gdzieś daleko stąd i porzuci. Ile jest w tej skrzyni?

– Sądząc po wadze, na pewno więcej, niż kiedykolwiek zdobyliśmy. – Uspokojony Kozuch zacierał ręce. Podszedł do Oldrzicha z Chlumu i ostrożnie, jakby brzydził się trupa, odwiązał od jego paska klucz i pośpieszył z nim do skrzyni.

– To już dwunasty raz – rzekł tymczasem starosta do Magdaleny. – Trzynastka jest pechowa. Albo rzucimy to zupełnie, albo przynajmniej na jakiś czas. Zarobiliśmy wystarczająco dużo, nie wydaje ci się?

– Nie – odwarknęła zimno. – A jeśli będziesz się zachowywać tak tchórzliwie jak Kozuch, to z nami koniec.

– Nie myśl sobie, dziwko, że nie znajdę lepszej – rozgniewał się starosta.

– Powodzenia – skrzywiła się. – Już raz próbowałeś. Wytrzymałeś miesiąc, mój drogi. I nie zapomnij, że wiem o tobie więcej, niż myślisz.

– Obyś kiedyś tego nie żałowała – ostrzegł ją, ale było oczywiste, że jej ustąpi. – Ale z następnym poczekamy przynajmniej do zimy.

– Dobrze – zgodziła się wspaniałomyślnie Magdalena. – Ale tym razem nie dzielimy pieniędzy na dwie części, tylko na trzy.

– Chcesz się dzielić z tym twoim durniem? – zdziwił się starosta. Nie zważał na to, że Kozuch stoi tuż obok.

– Myślisz, że jestem głupia? – zaśmiała się. – Jedna część dla ciebie, a dwie dla mnie. Nie masz pojęcia, ile się naharowałam, zanim ta oferma wykrzesała z siebie coś w łóżku. Tak koszmarnego kochanka dawno nie miałam.

Gdyby giermek Ota mógł, natychmiast by zaprotestował. Ale nie mógł, więc ze złości tylko przygryzał wargi.

Kozuch podszedł do skrzyni i chciał ją otworzyć, ale nagle zaskoczony krzyknął:

– Już jest otwarta!

Przerwali kłótnię i podbiegli do niego. Magdalena uniosła wieko i z przerażeniem odskoczyła. Zamiast pieniędzy ujrzała w środku wrocławskiego wójta Przecha i Jeana d'Angulléme'a.

W tej samej chwili poderwał się Oldrzich z Chlumu, napiął łuk i z okna wystrzelił strzałę tak, aby przeleciała przez palisadę obok bramy. To był umówiony znak. Niemal natychmiast pod murami odezwały się dźwięki rogów i na dziedzińcu pojawił się oddział miejskich strażników na koniach. Giermek Ota chwycił miecz i rzucił się do drzwi, aby przeszkodzić złoczyńcom w ucieczce.

– Co to ma znaczyć? – wybuchnął Bolek Raciborski. – Czy wy wiecie, kim jestem?

– Owszem, niegodziwym bandytą – odparł ostro Oldrzich z Chlumu. – I spytam o to samo. Czy wiecie, kim jestem? – Wypluł woreczek na podłogę i zerwał czarną przepaskę ze zdrowego oka. Dłonią szybko

pocierał twarz. Ślady po ospie nie chciały jednak zejść, więc dał sobie z tym spokój.

Starosta przez chwilę przyglądał mu się z niedowierzaniem, a potem mruknął:

– Gdybyś miał brodę, powiedziałbym, że prokuratorem czeskiego króla. Ale to niemożliwe, on jest w drodze do granicy. Towarzyszą mu moi ludzie i wiedzą, co robić, jeśli zrezygnowałby z wyjazdu.

– Towarzyszą mojej żonie i pewnemu kowalskiemu czeladnikowi – poinformował go chłodno Oldrzich z Chlumu. – Wójta i wysłannika francuskiego króla z pewnością znasz. A teraz spróbuj sobie odpowiedzieć na pytanie, czy książę uwierzy nam, trzem szanowanym ludziom, czy tobie. Twój służący, który podawał się za spowiednika Magdaleny, już się przyznał.

– To on żyje?

– Tak. I na tym nie koniec niespodzianek. Jestem także ciekawy, co powie wasz książę, gdy każemy przeszukać posiadłość w Szczepanowie. Wszyscy trzej wyraźnie słyszeliśmy, że są tam zakopane ciała ludzi, których przez swą chciwość zupełnie nie po chrześcijańsku pozbawiliście życia. Ponieważ odeszli z tego świata, nie otrzymawszy przed śmiercią rozgrzeszenia, odebraliście im możliwość uzyskania zbawienia. To z pewnością nie spodoba się księciu, który nosi przydomek Prawy.

W tej chwili starosta dobył miecza i mimo tuszy zwinnie rzucił się ku drzwiom, ale tam natknął się na giermka Otę. Skrzyżowali broń, jednak Ota był wyższy i silniejszy, więc z łatwością zapędził napastnika z powrotem do sali. Niemal jednocześnie na schodach rozległ się tupot i do sali wbiegło kilku wrocławskich zbrojnych z włóczniami. Natychmiast otoczyli Bolka Raciborskiego i, nie zważając na jego pogróżki, zmusili go do rzucenia broni. Gdy tylko miecz z brzękiem upadł na podłogę, starosta pochylił

głowę, zwiesił ręce wzdłuż ciała i zaczął się cicho modlić. Kozuch ze szlochem padł na ziemię.

– Komu z was przyszło do głowy, żeby zlecić zabicie mnie na ulicy? – spytał Oldrzich z Chlumu.

– Tej głupiej Celeście – odparł cicho starosta. Było jasne, że też już pogodził się ze swym losem. – Nikomu nic nie powiedziała. Usłyszała, jak wypytujesz uliczne prostytutki i się przestraszyła. Gdybym o tym wiedział, Koguciarze by się w to nie wmieszali. Miałeś szczęście!

– Zabijaliście i okradaliście mężczyzn, którzy dali się nabrać na obietnice tej kobiety – oficjalnie oskarżył zatrzymanych wrocławski wójt Przech. – Dlaczego jednak zamordowaliście również Slavibora ze Szvabenic i jego służącego? On przecież nie miał przy sobie żadnych pieniędzy.

– Wytropił mnie i próbował szantażować. Głupiec! Mnie szantażować! – wyjaśniła spokojnie Magdalena. Stała otoczona przez strażników z dumnie uniesioną głową. – Szkoda, to było piękne życie – westchnęła, gwałtownie przedarła się przez ich krąg i pobiegła w kierunku okna. Wójt zastąpił jej drogę, więc skręciła w stronę stołu. Najbliżej stał giermek Ota, który z łatwością mógłby ją powstrzymać, ale nawet nie drgnął. Magdalena chwyciła dzban i dużymi łykami wypiła zatrute wino. Umarła szybciej, niż zbrojni związali obu mężczyzn.

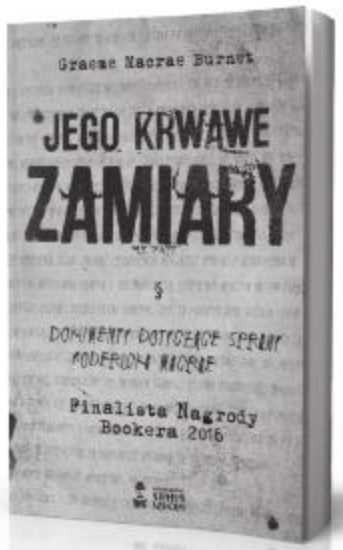

Jedna z najważniejszych powieści grozy ostatnich lat.

Wiele nagród i nominacji. Pierwszy thriller w finale Nagrody Bookera!

Dziewiętnastowieczna Szkocja. Wyżyny zapomniane przez Boga i ludzi. Potrójne morderstwo.

Do zbrodni przyznaje się młody rolnik – Roderick Macrae. Czy naprawdę jest winien? I co tak właściwie oznacza wina? Obrony Rodericka podejmuje się pan Sinclair, prowincjonalny adwokat. Robi wszystko, by dowieść, że Roderick nie zasłużył na szubienicę.

Jego krwawe zamiary to trzymająca w napięciu powieść, która nikogo nie pozostawi obojętnym. W obliczu ludzkiej tragedii autor szuka prawdy o zbrodni. Tylko czy prawda istnieje?

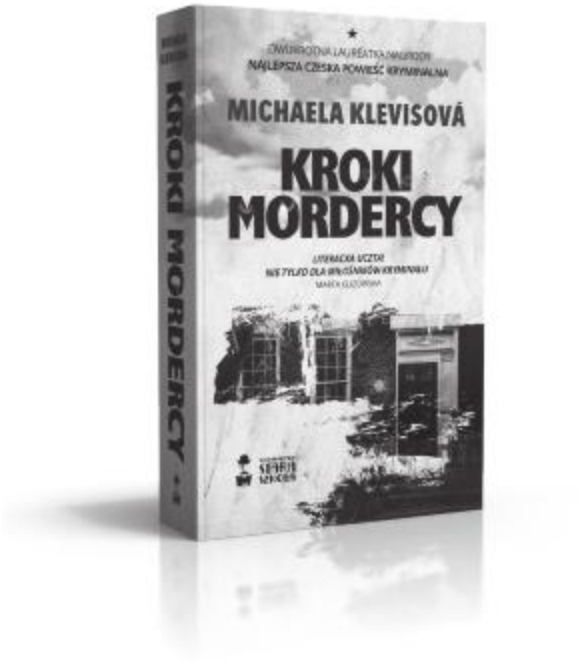

W lasku miejskim na peryferiach Pragi zostaje zamordowana młoda kobieta. Czy jej podobieństwo do córki mieszkającej w pobliżu dziennikarki jest przypadkowe? Śledztwo rozpoczyna inspektor Bergman.

Powieść Michaeli Klevisovej to doskonałe studium psychologiczne i obraz społeczeństwa, w którym pod powłoką pozornej normalności skrywają się tajemnice i pragnienia.

Inspektor Bergman – dwukrotnie rozwiedziony miłośnik kotów, wielbiący porządek i rzeczowość. Empatyczny, stanowczy i systematyczny. W pracy pomagają mu podwładni: Sylwia Rolnik i Adam Danesz.

Kroki mordercy to pierwsza część cyklu z inspektorem Bergmanem.

Anna Walenta to główna scenarzystka najpopularniejszego czeskiego serialu telewizyjnego „Podwórze". Dzięki pracowitości i ambicji odnosi duże sukcesy, lecz pod powłoką wielkomiejskiego blichtru skrywa sekrety, których nie wyjawia prawie nikomu.

Ester Czarna prowadzi pensjonat na peryferiach Pragi. Kiedy pewnego dnia odwiedza ją przyjaciółka Anna, w nocy zostaje popełnione morderstwo. Na jaw zaczynają wychodzić demony przeszłości oraz tajemnice teraźniejszości, a śledztwo prowadzi inspektor Bergman. Jak poradzi sobie w środowisku niekończącego się serialu telewizyjnego, w którym trwa nieustanna walka o władzę i wpływy? Czy mordercą okaże się gwiazda srebrnego ekranu, czy może prawda leży gdzie indziej?

Intryga bez nadmiaru brutalnych scen i z rozbudowaną psychologią postaci to znak firmowy Michaeli Klevisovej – królowej czeskiego kryminału,

dwukrotnej zdobywczyni nagrody dla najlepszej powieści detektywistycznej!

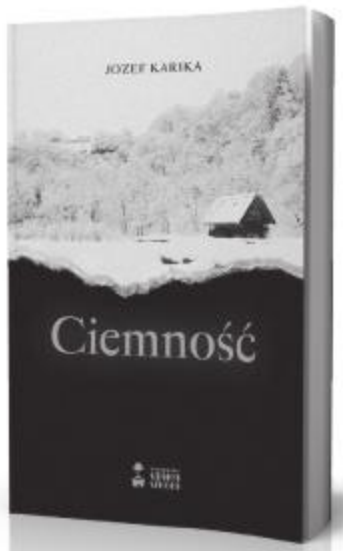

Scenarzysta serialowy postanawia spędzić Boże Narodzenie w górskiej chacie, by uciec od problemów w domu i w pracy. Jedno pozornie niegroźne zdarzenie zmienia jego pobyt w cyklon porywający głównego bohatera i czytelników!

Jozef Karika – autor thrillerów, horrorów i powieści sensacyjnych, laureat wielu nagród literackich, najpopularniejszy pisarz słowacki. Jego powieść Szczelina przekroczyła nakład stu tysięcy egzemplarzy. Stała się najpopularniejszą książką w historii literatury słowackiej i zdobyła trzecie miejsce w plebiscycie Lubimyczytać.pl na Książkę Roku w kategorii Horror.

Trybecz, pasmo górskie na Słowacji. Od dziesięcioleci krążą o nim legendy z powodu tajemniczych zaginięć. Niektóre ofiary zostały znalezione martwe. Niektóre zniknęły bez śladu. A jeszcze inne powróciły – ranne i niezdolne do życia. Igor zdobył tytuł magistra. Po pięciu latach wreszcie może zacząć karierę jako… robotnik budowlany. Na swojej pierwszej budowie odkrywa tajemniczy sejf. Znajduje w nim płyty gramofonowe sprzed kilkudziesięciu lat. Słyszy na nich głos człowieka, który przez ponad trzy miesiące błąkał się w górach Trybecza.

Legenda, mistyfikacja czy przerażająca rzeczywistość? Świetna powieść najpopularniejszego słowackiego pisarza. Jozef Karika staje twarzą w twarz z legendą Trybecza.

***Szczelina* zdobyła najważniejszą słowacką nagrodę literacką ANASOFT LITERA w kategorii NAGRODA CZYTELNIKÓW!**

Kiedy tłumaczka Sonia przeprowadzała się do osady Białe, leżącej w Kotlinie Kłodzkiej, spodziewała się ciszy i spokoju. Stary dom oczarował ją atmosferą, a dziki ogród dawał iluzję harmonii z przyrodą. Jednak już kilka dni później okolica zaczęła odkrywać przed nową mieszkanką swoje sekrety.

Karina to młoda policjantka, która po znajomości dostała pracę w kłodzkim wydziale kryminalnym. Trafia do zespołu niezbyt pracowitych samców alfa. Jeden z nich postanawia zawładnąć jej życiem.

Sprawdź, czy ktoś za tobą nie stoi. Bo nie wszystkie historie mają dobre zakończenie.

Mglista Kotlina Kłodzka i jej mrok, który znowu budzi się do życia.

Pierwsze jesienne dni w kotlinie przynoszą niepokojące wiadomości. Morderstwo młodej kobiety wstrząsa małą górską społecznością. Do pomocy w kłodzkim oddziale dochodzeniowym zostaje oddelegowana psycholożka – Klementyna Sawicka. Kobieta przeprowadza się do kotliny wraz z córką, aby wśród natury i dzikości krajobrazu szukać ukojenia.

Czy uda jej się rozwikłać zagadkę tajemniczego morderstwa?

Czy wynajmowane mieszkanie, którego ściany zdobi mroczne malowidło, okaże się bezpieczną kryjówką?

Z pomocą może przyjść jej ambitna sierżant policji Karina Maj. Jednak toksyczny związek z niebezpiecznym policjantem wysysa siły witalne z młodej policjantki. Czy wystarczy jej sił, aby wyrwać się z chorego układu i zaangażować w śledztwo?

W tym miejscu powinien znaleźć się opis książki, ale tej książki po prostu nie da się opisać! Jest w niej wszystko: humor, thriller, miłość, seks, seks klasyczny, seks analny, dania z jeża, krew, duchy, wizje.

Nadchodzi nowy rok. Praski zegar Orloj wybija północ. Zostaje popełnione morderstwo. Do akcji wkracza ekscentryczny komisarz Durman. Zaczyna się śledztwo i gonitwa za mordercą i barwnymi przeżyciami.

Bogactwo narracyjne *Młyna do mumii* pozwoliło zdobyć tej powieści najbardziej prestiżową czeską nagrodę literacką

MAGNESIA LITERA.

THRILLER 2017 ROKU według WIELKIBUK.COM

SPIS TREŚCI:

Okładka
Karta tytułowa
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII

Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Karta redakcyjna

Copyright © Vlastimil Vondruška, 2021
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2021
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości
lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

Tłumaczenie: Weronika Girys-Czagowiec
Projekt okładki: Radosław Bączkowski Quite Studio
Redakcja: Urszula Śmietana
Korekta: Marzena Golisz

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-62-9

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek